

Ja - Mark
Hrabak
margaryta
Krzyszto

~~Heligman Michyś~~

946. Nochin 30 n 4

948.

HENRYK GALLE

WYPISY POLSKIE

NA KLASĘ DRUGĄ



WYDANIE ÓSME

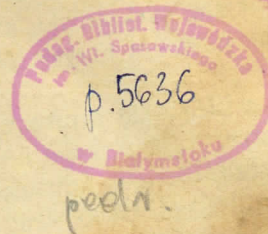
PRZEJRZANE I POPRAWIONE ZGODNIE Z PROGRAMEM
MINISTERSTWA W. R. I O. P.



1922

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
POZNAŃ — LWÓW — RÓWNE — LUBLIN — ŁÓDŹ — WILNO

Drojo Mojżesz



874-82 (OM)

PRZEDMOWA.

ydanie niniejsze uległo poważniejszym, niż poprzednie, zmianom. Autor bowiem uważał za właściwe, zastosować się w nich do wydanego w roku ubiegłym (1919) „Programu gimnazjum państwowego”, ogłoszonego przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Trzeba więc było włączyć niektóre utwory, krótsze, zalecone do czytania przez Ministerstwo w klasie II, jako lektura domowa (bajki, liryki, krótsze nowelki); dłuższe poematy i nowele, podane w spisie, ułożonym przez Ministerstwo, muszą być, oczywiście, osobno czytane.

Również w myśl wymagań Ministerstwa weszły do wydania niniejszego przysłowia, sentencje i krótsze urywki mowy niewiązanej — do nauki pamięciowej. Podano też pewną liczbę urywków bez tytułów lub nie dokończonych, by uczniowie sami je mogli tytułować lub kończyć; jest to, jak słusznie zaznacza „Program” Ministerstwa, pożyteczne ćwiczenie wyobraźni.

Najważniejsza zmiana polega na wprowadzeniu ćwiczeń stylistycznych i logicznych, a więc: wyszukiwanie i zestawianie synonimów i homonimów, porównań, przenośni, wyrazów o znaczeniu współrzednym, nadrzednym i podrzednym, akcentów logicznych i uczuciowych przy zmienianiu szyku wyrazów w zdaniu; układanie planów, odnajdywanie, w najogólniejszych zarysach, składników twórczych rozbieranych utworów i ich wzajemnego stosunku i t. p.

Oczywiście, pytania te nie wyczerpują i nie mogą wyczerpać wszystkich stron rozbioru stylistycznego; nauczyciel, znalazłszy w nich pewne wskazówki, sam je uzupełni, rozszerzy, zastosuje do poziomu umysłowego swych uczniów i t. d.

Wreszcie, autor widział się zmuszonym do zmniejszenia rozmiarów książki przez opuszczenie niektórych urywków i wierszy. Było to rzeczą, niestety, konieczną wobec drożyzny papieru i druku, by obniżyć nieco cenę podręcznika. Niezmierna wysokość cen książek szkolnych jest dla oświaty polskiej zjawiskiem tak groźnym, że każdy, w miarę możliwości, powinien jej zapobiegać. Ażeby jednak nie wprowadzać zamętu w życie szkolne, autor podał w nawiasach, obok nowej numeracji urywków, dawną dla tem łatwiejszego orjentowania się nauczycieli i dzieci.

W tej nowej szacie niechaj „Wypisy“ te idą w świat — ku pożytkowi szkoły polskiej.

AUTOR.

Warszawa, 29 marca 1920.

Brójdo

Brójdo

1 (1). Pieśń o domu.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą twe koi ły?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń
Skoszonych traw i płowych zbóż,
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wplatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk, i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co wpośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O, jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść z tych zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złoś!...

Marja Konopnicka.

2. Karmienie ptaków.

Hub przeprosił gościa, dość, co prawda, niezrozumiale, że go na chwilę opuści. Pobiegł, śnieg na wsze strony rozpryskując, i wkrótce wrócił z sakwą, uczynioną z worka, jakiego się używa do wyciskania sera. Na widok tej sakwy wszczął się niemały rozruch, tumult i gwałt w społeczeństwie szczygłem i gilem, świadczący o dobrych stosunkach potomka rodu Olbromskich z wymienionymi zespołami ptasimi za tych odległych czasów, które tu przyszło nam opisywać. Hub rozwiązał swą sakwę z powagą, uroczyście i wśród pewnego rodzaju perory. Powtórzyć dosłownie tę przemowę, stanowiłoby po upływie tylu lat, w tej chwili, trudność nie do przewyciężenia, to też ją, jako szczegół mniej ważny, opuszczamy.

Udeptał następnie obcasami i podeszwami w punkcie, którego topografię znał, oczywiście, lepiej, niż jego milczący towarzysz, pewien rodzaj klepiska. Śnieg nie stawiał oporu, poddawał się łatwo podeszwom i obcasom, zwłaszcza, że Hub wykonywał pracę podstępnie, żywo, a jakby w prysiu. Ruchy jego niespodziane zlewały się w jakiś taniec, który należałoby nazwać ptasim. Machnicki pomagał w przedsięwzięciu swemi wojskowemi butami, ale na krańcach tylko terenu i nieśmiało, gdyż nie był świadom ani właściwej metody prysiu, jakie w danym porządku czynić należało w tych obcych dlań krajach, a nadto wątpił, czy jego inicjatywa¹⁾ dobrze będzie widziana i przyjęta.

Miejsce dobrze ubite zajaśniało równą powierzchnią w zagłębiu i Hub wyłożył pierwszą emisję²⁾ ziarna w tem Prytaneum³⁾. Zarówno szczygły, jak gile, rzuciły się na plac z ordynarnym zapątem, wydając okrzyki częstotliwe, świadczące o niezmiernej smakowitości konopnego siemienia. Wielkie, szybkie i zaciekle powstało zajadanie, nie prze-

¹⁾ Wystąpienie. — ²⁾ Porcję. — ³⁾ W starożytnych Atenach miejsce, gdzie żywiono na koszt państwa zasłużonych starców.

puszczając ani jednego ziarnka. Aliści z dalekich stron, od czarnego młyna i wielkich olch, nadleciały istne tabuny wróbli. Czarniawa tego pospólstwa obsiadła czuby plotu-pleciaka, okalającego ogród, rozmiotła na wsze strony mnóstwo pyłu śniegowego i ze swarem rzuciła się na resztki pastwy. Hub, jako samowładny, ale oświecony władca, rzucił między te szare skrzydełka, czerwone podgardla i nakrapiane brzuszki nowe garście, jedną i drugą.

Ale dobroczynność despotów choćby i najbardziej oświeconych, szybko się wyczerpuje, zwłaszcza, jeśli w worku braknie naprawdę siemienia. Hub wysypał wszystko, co było, do ostatniego ziarenka, przewrócił worek na nie, i wewnętrzny spiczasty róg okazał zgromadzeniu. Ale ani zawiązanie worka w węzeł, ani inne prawdę głoszące gesty nie wywarły dobrego wrażenia. Przeciwnie, wszystko przyjęte zostało z oziębłą nieufnością, a nawet niedowierzająco-drwiącym szczebiotem, jak to bywa u zgłodniałego tłumu. Hub odszedł z tego miejsca ptasiej żarłoczności, niosąc pod pachą worek, a w sobie poczucie spełnionego obowiązku. Niósł jeszcze coś, z czem wydać się nie chciał przed nieznanym panem: żał za gilami, żał za szczyglami, których barwy wielorakie wily mu się pod powiekami, tworząc zaiste czerwone i żółte lzy.

Stefan Żeromski.

3 (48). Dzwony w szkole.

.....
Grają w wieży kościelnej nie rozbite dzwony,^{1) gdzie}
Dobrze głos ich pamiętam; jeden różańcowy
Budził ze snu do pracy rozmarzone głowy
Głos miał długi, jęczący
..... Drugi dzwon był duży,
Tylko w dni uroczyste i na sumę służy;
Ten huczał groźnym głosem, ale z taką siłą,

Że prawie bicia serca słyhać w nim nie było;
Aż huczało powietrze, aż trzęsło się miasto,
Gdy on zagrał w niedzielę, kwadrans na dwunastą.

V 4 (4). Koledzy.

Trzeci dzwon był najmniejszy w swoich braci rzędzie,
Lecz głos jego do śmierci pamiętny mi będzie:
Głos miał cienki, dobitny, dźwięczny niesłuchanie,
Trzepał prędko, jak student, gdy umie zadanie;
Echa nie miał, a jednak za jego wyrazem
Dwieście serc młodocianych uderzało razem:
To postrach, to nadzieje budził swemi tony,
To był nasz dzwonek szkolny, Piotrem orzeczonny!
Och! jakże się pragnęło wśród naszej drużyny,
By prędzej pana Piotra przyszyły imieniny ¹⁾!
A on, jak solenizant hojny i wspaniały,
Zasygnuje ²⁾ wakacje aż na miesiąc cały!
Lecz jeszcze do imienin Piotrowych daleko,
Zadzwoń!... śpiesz do klasy z książkami i teką:
Bo, jak sekund ³⁾ zadzwonią — zgłuchną korytarze,
Ksiądz prefekt się nie pyta, a klęczeć rozkazuje.
Więc na prym ⁴⁾, czy kto lekcje umie, czy nie umie,
Wybiegają studenci ze swych gospód w tłumie.
Małą swoją gromadkę, jakby wódz na przedzie,
Z uroczystą powagą pan dyrektor ⁵⁾ wiezie,
Pilnuje, kto się został, kto za prędko leci,
Gromi jednemi słowy: „Nie swawolcie, dzieci!”
Wbiegamy na korytarz. Tam księdzowskie cele,
Nad każdą obraz męża wielkiego w kościele,
Co w ojca Dominika zakwitnął zakonie,
Był biskupem lub zasiadł na papieskim tronie.
W tych celach nasze szkoły, więc każdy z młodzieży
Idzie do swojej klasy, gdzie komu należy.

Wł. Syrokomla (L. Kondratowicz).

¹⁾ 2) czerwca, początek wakacji. — ²⁾ Wyznaczy. — ³⁾ Drugi dzwonek. — ⁴⁾ Pierwszy dzwonek. — ⁵⁾ Korepetytor, dozorca.

Z początku mało zwracałem uwagi na Józia garbuska, który wydawał mi się niemrawym. Ale raz ten duży kolega, który już golił wąsy brzytwą, usiadł za Józiem i począł mu palić byki w oba uszy. Garbus zanosił się od płaczu, a klasa trzęsła się od śmiechu. Wtedy coś mnie ukłuło w sercu. Schwyciłem otworzony scyzoryk i dragała, który dawał garbusowi byki, pchnąłem w rękę aż do kości, wołając, że tak zrobię każdemu, kto Józia dotknie choćby palcem!...

Dragałowi trysnęła krew, zbladł, jak ściana, i zdawało się, że zemdleje. Cała klasa nagle przestała się śmiać, a potem zaczęła krzyczeć:

— Dobrze mu tak!... niech nie dokucza koledze!...

W tej chwili wszedł profesor, a dowiedziawszy się, że zranił nożem kolegę, chciał sprowadzić inspektora z dziadkiem, naturalnie z różgą. Ale wszyscy zaczęli za mną prosić, nawet sam raniony dragał; więc pocałowaliśmy się, naprzód ja z dragalem, potem on z Józiem, potem Józio ze mną — i tak mi się upiekło.

Uważałem, że przez całą lekcję garbusek odwracał głowę w moją stronę i uśmiechał się, zapewne dlatego, że przez ten czas nie dostał ani jednego byka. Na pauzie także mu nikt nie dokuczał, a kilku oświadczyło, że będą go bronili. On dziękował im, ale — przybiegł do mnie i chciał mi dać bułkę z masłem. Nie wziąłem, więc trochę zawstydził się, potem rzekł cicho:

— Wiesz co, Leśniewski, powiem ci sekret.

— Gadaj! — odparłem — ale prędko...

Garbusek stropił się, a potem zapytał:

— Czy ty już masz przyjaciela?

— A mnie co po tem?

— Bo widzisz, gdybyś chciał, to ja mógłbym być twoim przyjacielem

Spojrzałem na niego z góry. On zmieszał się jeszcze bardziej i znowu zapytał cieniem i stłumionym głosem:

— Dlaczego ty nie chcesz, żebym był twoim przyjacielem?

— Bo ja nie wdaję się z takimi trutniami, jak ty! — odpowiedziałem.

Garbuskowi bardziej, niż zwykle, posiniał nosek. Już chciał odejść, ale zwrócił się jeszcze raz do mnie, mówiąc:

— To może chcesz, żebym przy tobie siedział?... Widzisz, ja uważam, co belfry zadają, robiłbym za ciebie przykłady. Umiem dobrze podpowiadać.

Ta argumentacja wydała mi się poważną. Po namyśle przyjąłem garbusa do ławki, a mój sąsiad zgodził się za pięć bułek odstąpić mu swego miejsca.

Już po południu Józio przeniósł się do mnie. Był to mój najszczęśliwszy pomocnik, powiernik i chwalca. On wybierał słówka i robił wszelkie tłumaczenia, on notował zadawane przykłady, nosił kałamarz, pióra i ołówki dla nas obu. A jak podpowiadał!... Przez czas pobytu w szkołach wielu mi podpowiadało, niektórzy nawet klęczeli za to, ale żaden w tej sztuce ani się nie umywał do Józia. W podpowiadaniu garbusek był mistrzem, bo umiał mówić z zaciśniętymi zębami i robił przytem tak niewinną minę, że żaden z profesorów nawet nie podejrzewał...

Ile razy osadzono mnie w kozie, garbusek przynosił mi ukradkiem chleb i mięso ze swego obiadu.

A gdy mnie spotkała jaka większa nieprzyjemność, ze łzami w oczach zapewniał kolegów, że ja nie dam sobie zrobić krzywdy.

— Ho! ho! — mówił — Kazio jest mocny. On jak złapie dziadka za ramiona, to nim ciśnie na ziemię, jak piórkiem. Nie bójcie się!...

Istotnie koledzy moi nie bali się, tylko on, biedak, bał się za nas obu.

Jeżeli garbusek nie potrzebował na jakiej lekcji uważać, wówczas prawil mi komplementy:

— Mój Boże!... żebym ja był taki, jak ty, mocny... Mój Boże!... żebym ja był taki zdolny... Wiesz, że, gdybyś chciał, to za miesiąc zostałbyś prymusem...

Bolesław Prus.

5. Przysłowia o dzieciach i wychowaniu.

Dobre dziatki to skarb matki.

Dziecię za rękę, matkę za serce.

Kiedy dziecię płacze, matkę serce boli.

Kto ściska, całuje dziatki, ten zdobywa serce matki.

Jaki ojciec, taki syn, jaka matka, taka i córka.

Jakie matki, takie dziatki.

Niedaleko jabłko pada od jabłoni.

Gdzie wiele nianiek, tam dziecię garbate.

Bóg daje dzieci, daje i na dzieci.

Śluchaj ojca, matki, da Bóg i dostatki.

Dziecię ojciec raduje, a sierotę Pan Bóg.

Kto nie słucha matki, ten pójdzie za kratki.

Gdzie u dzieci matka, tam i główka gładka.

Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci.

Jak się kto wychował, tak się będzie sprawował.

Jak wy dzieci wychowacie, takie i macie.

Wychowanie pieściłiwe czyni dzieci złośliwe, słabe i leniwe.

Bieda temu dokuczy, kto się za młodu nie uczy.

Kto chce mądrym być, musi się uczyć.

Kto się za młodu nie lubi uczyć, ten później z torbą będzie się włóczyć.

Zaniedbane nauki w młodości pożałujesz w starości.

6 (6). Wyjazd do szkół.

Jadąc rzemiennym dyszlem, wstępując do różnych krynich, gdzie była taka, jak my, dziatwa, wybrykując z tą

działwą, strzelając po drodze do wróblów i innych ptaszków, zapomnieli o szkołach. Zbliżamy się do miasta, widzimy jakiś ogromny gmach, myślimy sobie, musi tam być wiele dzieci, ot, będziemy się bawić; pytamy:

— Papo, a wstąpimy tu?

— Wstąpimy.

— A dużo tam chłopców?

— Dużo.

— A jak się ten pan nazywa, co tam mieszka?

— Gimnazjum.

Otóż masz! Pospuszczaliśmy nosy na kwintę¹⁾, spojrzeliśmy na posępne mury pojezuickie, spojrzeliśmy po sobie, lży zakręciły się w oczach, żal się zrobiło za domem, za matką, stanął strach popisów przed oczami. Żle! Ale cóż robić? Wjeżdżamy do miasta — paskudne, prowadzą nas nazajutrz do szkół — szkoły brudne; po korytarzach zimno, nauczyciele straszni.

Wtem dzwonią; z milion chłopaków wylatuje z klasy i nuż w perewerty²⁾; wesoło krzyczą, i nam poweselało! Radziłyśmy się wyrwać do chłopców i pokazać im, co to i my figlów umiemy; ale nie można, tylko więc przez okno zazdrośnie spoglądamy.

— Papo, a kiedy my pójdziemy do tych szkół?

A nauczyciel łaciny i greczyzny, Jagiełło, nieproszony odpowiada:

— Jak odbędziecie popisy³⁾.

— Nie boimy się popisów, my wszystko umiemy.

— Da się to widzieć.

Przyszło do popisów. Straszniejsze były w domu, myślimy sobie. Książd Skiba był przy nas, więc nie baliśmy się, popisaliśmy się doskonale. Edwarda i mnie przyjęto do trzeciej klasy, Eustachego do drugiej.

Nazajutrz oddano nas już do szkół. Gimnazjum i szkoły były umieszczone w dawnych gmachach pojezuickich. Klasy

wyższe miały innych nauczycieli, niższe — innych. Klasy wyższe wynosiły się nad niższe; stąd w lecie rodziły się niesnaski, a w zimie toczyła się wojna na śnieżki, zwykle między pierwszym a drugim dzwoniem, a właściwie między pierwszą a drugą po obiedzie. Z jednej i drugiej strony zbierają się niesforne gromady, sposobią zasób wojenny, to jest stosy śnieżek. Niecierpliwi wybiegają naprzód i z niecierpliwymi drugiej strony staczają bój pojedynczy; stopniami zapala się bitwa powszechna, najzażartsza. Słabsi podają śnieżki strzelcom celniejszym; krzyk, hałas niestychany. Chmury śnieżek krzyżują się straszliwym pędem, śniegowe bomby warczą i pękają na mężnych piersiach. Ten je odbija teką, co mu jest puklerzem; ten nieustraszony chwytą bombę w powietrzu i zdwojonym pędem zwraca, temu wrzeszczącemu malcowi śnieżka głębię zamknęła i oczy zabryzgała; idzie malec do klasy, jak do szpitala; tam znowu wdarła się w zanadrze rozchłystanemu bimbasowi¹⁾ i oziębia dalszą ochotę do wojny. Wrzawa, zamieszanie, walka się wzmagają, wściekłość przyrasta.

Już niema śnieżek, więc śnieg garściami rzucając, strony zbliżają się: już, już przy sobie, już, już rozdierać się mają: wtem dzwonią raz, drugi — i w mgnieniu oka bój ustał, wojska walczące zniknęły. Już w ławkach; już wchodzi nauczyciel, już przeminęła zawziętość i strach wojny, a panuje bez zawziętości strach nauki.

Przyszedłszy latem na jaką płaszczyznę pod lasem, nasze pułki stawały i cały dzień hulały. Z za lasu myślałbyś, że wojna, rżenie koni, huk wystrzałów, wrzawa, zamieszanie, okrzyki zwycięzców, jęki zwyciężonych; bo nie raz aż się krew leje. Zaglądasz z lasu: jedni gonią, drudzy uciekają; tu piłki, jak kule harmatnie, warczą w powietrzu i po ziemi skaczą; tu balony, jak bomby, poważnie wznoszą się w górę; jeden bohater porywa kulę i ciska nią, jak gdyby z harmaty, drugi odbija bombę kulakiem, niejeden zwali się na ziemię, niejeden w rów wleci; tu niby ludzie

¹⁾ Zmartwiliśmy się. — ²⁾ t. j. do figlów. — ³⁾ Egzamin.

¹⁾ Bimbas — zbytny chłopiec.

opadną olbrzyma, olbrzym miota nimi, jak niedźwiedź psiakami, działwa powraca do boju i dopóty się naraża na nowe guzy, dopóki olbrzyma nie uszamocze; kilku skoczy mu na łeb, kilku do nóg się uczepi, wali się olbrzym... malce, jak gruszki, odleca od niego, wnet, jak mrówki, obsiedą i męczą go, dopóki nie krzyknie: „Daruj!” Ale zwyciężony woli cierpieć, niż poddać się, leży spokojnie, jak gdyby zabity; chłopcy się zagawronią, on strzepnie nimi, oni odleca, i albo nowy bój rozpocznie się, albo zaszczytny pokój następuje. Tam jedni ciskają strzałami, drudzy dzidami, ci się na gołe łby tłuką. Wojna powszechna.

Zabrzmią trąba pokoju, bój ustaje, zniknęli nieprzyjaciele, szykują się wszyscy do jednych szeregów, każdy urwał sobie liściastych gałęzi, a choć nie laurowe, ani oliwne, niesie je przed sobą na znak zwycięstwa i pokoju. Muzyka gra, ogromne gałęzie suną, a słońce zachodzące igra z drżącym ich liściem.

Słuchając i patrząc zdaleka, myślałbyś, że to bożki leśne wyszły poigrać po chłodzie wieczornym, a stęskniony las bieży za nimi. Ale jak muzyka ucichnie, a malcy różnym głosem zawrzeszczą, poznasz dopiero, że to uczniowie wracają z pohanek.

Wchodzą do miasta. Ustaje wrzask; szyki się równają, hardość rycerska krasi czoła uczni, iskrzy się w ich oczach; spojrzawszy na nich, mimowolnie wykrzykniesz: „To dzieci rycerzów, to polskie dzieci!” Z rozwiniętymi chorągwiemi, z konnicą na przedzie, przy odgłosie zwycięskiej pieśni, oddział, przesunawszy się przez miasto, zawija na dziedziniec szkoły.

Ks. A. Jelowiecki.

7 (7). Dziecięce lata.

Piękne to były dziecięce lata,
Kiedym zaledwie odrósł od ziemi;
Myśl moja ku nim często ulata,
Złocąc je snami. Izami cichemi.

Kiedym tu igrał na matki rękę,
Kolano ojca było konikiem,
W sercu woń taka i tyle wdzięku...
Oj, nie płakało jeszcze po nikim...

Świat wtedy dla mnie taki był mały,
Ludzie tak dobrzy, jak ich cukierki;
Gwiazdki miljonem oczek mrugały,
Chciałem mieć skrzydła, zdjąć te iskierki.

Lub kiedy księżyc wyrzał na wzgórze,
Biegłem ku niemu — już, już go schwycę...
Znowum po niebie jeździł na chmurze
I za batożek brał błyskawicę.

Widziałem słonko, jako się kładło
W złote łóżeczko z chmurką nad głową;
Jak je jezioro potem okradło,
Ledwo już rąbki widać różowe.

Co ranek, wieczór jam myślał sobie:
„Jaki Bóg dobry! dla mej zabawki
Zrobił ten księżyc, słońce na dobie,
Płaszki, motyle, kwiatki i trawki.”

I codzień rano, wieczorem codzień
Mówilem pacierz codzień za mamą:
Boże! niech będę darów Twych godzien
I niech Cię kocham zawsze tak samo.

L. Siemiński.

8 (8). Artyści klasowi.

Deszcz ze śniegiem, błoto, wiatr.
Nawet na wielką pauzę nikt z klasy nie wychodzi. Jeden
tylko chłopiec odważył się wybiec na dziedziniec, szukając

Judkowej z obwarzankami; okazało się jednak, że i jej niema na stanowisku.

W klasie mniej hałasu, niżby kto myślał. Wprawdzie kilku chybionych akrobatów skacze przez ławki i usiłuje chodzić na rękach, jeden gra na grzebieniu, dwu rzuca w siebie papierowymi strzałami, większość jednak zachowuje się spokojnie i przyzwoicie.

Podzielili się na małe gromadki, każda gromadka w poważnem milczeniu przypatruje się czemuś czy komuś.

W pierwszej z brzegu gromadce uwagę kolegów skupia na sobie studencik, gładko uczesany, z miłą, rumianą, nadzwyczaj spokojną i prawdziwie wypogodzoną twarzą, wypisujący w kajecie ozdobnemi literami tytuł: *Zagadnienie VI-te*.

Jest to Welinowicz, pierwszy w klasie kaligraf, o którym Łypaczewski, nauczyciel kaligrafji, wyrzekł:

— Welinowicza czeka wielka przyszłość. Jeśli nauczy się w dużem B dolny brzusek czynić wypuklejszym od górnego, może czasem zająć tam, dokąd ja zaszedłem!

Marzeniem kolegów Welinowicza jest posiadać kajety z „wysztychowanemi“ przez niego tytułami. Proszą go o to, jak o łaskę największą.

Gdyby chciał swój talent sprzedawać, mógłby zjadać codziennie po tuzinie bułek z zimną pieczenią, po garncu jabłek, gruszek lub śliwek.

Ale on „iskrą Bożą“ nie kupczy, swe mistrzowskie inicjały, zdobne nadzwyczajnemi „figlasami“ i „wykrętasami“, wypisuje wyłącznie przyjaciółom. To też wszyscy starają się przyjaźń Welinowicza zdobyć i utrzymać.

Drugie jest trudniejsze jeszcze, niż pierwsze. Doświadczył tego na sobie Sprężycki. Jeden z jego najpiękniejszych kajetów w turkusowo-niebieskiej „morowej“ okładce, przekładany kolorową bibułką, wychuchany, wycackany, nosił na pierwszej karcie taki zadziwiający tytuł:

Ćwicz... Witolda Sprężyckiego.

Słowo „Ćwicz“ było wypisane, a raczej wyrysowane i wymalowane tak pięknie, jakby je wyjęto ze wzorów kaligraficznych i rysunkowych. Umieszczone pod niem imię i nazwisko wyglądały nieco skromniej, jednak swem świetnem perłowem, tuszowo-czarnem „rondem“ ujawniały również rękę artysty.

Dlaczego Witold Sprężycki miał być „ćwiczonym“? Od kogo pochodził rozkaz w tak surowej, a zarazem tak estetycznej formie wydany?

Wszystko to odnosiło się do pewnego pamiętnego dnia, w którym Sprężycki i Welinowicz, wówczas przyjaciele najserdeczniejsi, poróżnili się między sobą. Welinowicz był zajęty właśnie wykonywaniem wspaniałego nagłówka na „Ćwiczeniach polskich“ kolegi, i po wysztychowaniu rondem jego nazwiska kończył piątą literę tytułu, gdy Sprężycki odezwał się nagle, ni stąd, ni z owąd:

— Mickiewicz miewał z kaligrafji same dwójki...

„Artysta“, całkowicie pochłonięty swą pracą, mruknął tylko przez zęby:

— Nie wierzę...

Zapalczywszy od niego kolega Bellon zawołał:

— Bajki!... Genjusz musi wszystko robić, a więc i pisać genjalnie.

— Jednak upewniam cię — ciągnął tamten — że Mickiewicz pisał, „jak kura pazurem“.

Welinowicz odjął pióro od papieru.

— W takim razie Mickiewicz nie był genjuszem — oświadczył stanowczo.

I zabierał się napowrót do wykończenia swego przepięknego Z.

Sprężycki aż podskoczył z oburzenia.

— Co? ty będziesz ubliżał Mickiewiczowi! ty, „czwarty od końca“.

Ostatnie wyrażenie odnosiło się do tego, że Welinowicz był czterdziestym trzecim uczniem w klasie, która liczyła wszystkich uczniów czterdziestu sześciu.

Artysta nie był obraźliwy, poprzestał tylko na uwadze:

— Z kaligrafii jestem pierwszy.

— To i cóż! — krzyczał tamten, nie mogąc się uspokoić. — Do kaligrafii nie trzeba wielkiego rozumu! Wszyscy znakomici ludzie pisali brzydko. Zato każdy kancelista „sztychuje“, jak sam Łypaczewski!

W gromadce odezwały się śmiechy złośliwe. Welinowicz przestał rysować, otarł starannie pióro kawałkiem irchy, którą nosił zawsze przy sobie, schował do kieszeni flaszeczkę z czerwonym atramentem, wstał i odszedł, pozostawiając na ławce kajet z nie dokończonym tytułem.

Wszystko to zostało spełnione z pogodnym spokojem i imponującą¹⁾ powagą. Koledzy milczeli, nie wiedząc, jak się zachować...

Sprężycki pobiegł za przyjacielem, przepaszając, zapewniając, że nie miał bynajmniej zamiaru ubliżyć mu.

Tamten odpowiedział spokojnie, że wcale się nie gniewa, ale... już mu kajetów „opisywać“ nie będzie.

I dotrzymał słowa. Żadne późniejsze prośby, umizgi, podarki nie pomogły.

Nieszczęsne „Ćwiczenia“ pozostać miały na zawsze już z dwuznacznym na pierwszej karcie napisem: „Ćwicz... Witolda Sprężyckiego“.

Druga gromadka skupiła się przy koledze rysującym. Ten budzi większy jeszcze zachwyt, połączony z szacunkiem. Niebieskie mundurki, choć cisną się, przejęte ciekawością, czynią to bardzo ostrożnie, aby pracującemu nie przeszkadzać, aby go, broń Boże, nie „trącić“. Każdy trzyma i podsuwa artyście papier i ołówek, każdy pragnąłby pozyskać choćby mały szkic jego ręki genialnej. Niektórzy przynieśli przygotowane umyślnie w tym celu zeszyty z przytwardzonymi na jedwabnych wstążeczkach ćwiartkami różnokolorowej bibułki angielskiej.

Ze wszystkich stron słysząc nieśmiałe, zająkliwe prośby:

¹⁾ Wzbudzającą podziw.

— Wyrusuj mi, kochany Konopko, myśliwego!

— A mnie, mój złociutki — charta!

— A mnie, mój brylantowy — zająca!

Konopka, tęgi, pleczysty wieśniak, nieustannie poświęcający lub podśpiewujący pod nosem melodię znanej piosenki: „Pojedziemy na łów, na łów“ — spełnia ohotnie wszystkie pragnienia. Wyciąga rękę to na prawo, to na lewo, bierze najbliższy papier, zarysowuje go, oddaje, sięga po następny i zaspokaja kolejno każdego kolegę. Po chwili, ten już ma zająca, ten charta, ten myśliwego, wszyscy są zachwyceni, wszyscy też wielbią go, kochają i szanują.

Na nieszczęście, urok sympatycznego chłopca słabiej oddziaływa na nauczycieli i wskutek tego na liście klasowej Konopka bardzo blisko sąsiaduje z Welinowiczem.

Poza tem, dwaj ci artyści trzymają się zdala od siebie, i jeden drugiemu okazuje lekceważenie.

— Cóż to jest kaligrafja! — szydzi rysownik, wysuwając dolną wargę. — Możesz z tem co najwyżej „zajechać“ do biura powiatu na „wolnonajętego“ z pensją stu złotych na kwartał!

Kaligraf, uśmiechając się pogodnie, dowodzi:

— Kaligrafja jest podstawą wszystkiego. Na kaligrafii świat stoi. Weźcie któregokolwiek z rysowników, a nie potrafi napisać pięknie nawet dużego A, choć to najłatwiejsza litera w alfabecie. Tymczasem każdy dobry kaligraf, gdy zechce, będzie doskonale piórem rysował!

Aby słowa poprzeć czynem, bierze arkusz papieru i jednym posuwistym „cugiem“, pióra od papieru nie odrywając, wypisuje prześlicznego aniolka w chmurach, z kędzierzawą główką, z rozpostartymi szeroko skrzydłami...

Koledzy — ykrzykują na różne tony: „a!“ „aa!“ „aaa!...“

Konopka zaś z rękami w kieszeniach, z twarzą zwróconą do okna poświsuje:

„Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój!“

Jednak sfera pomysłów tego pewnego siebie Konopki nie jest zbyt rozległa. Zając, pies, myśliwy — to wszystko, na co zdobyć się potrafi.

Jedynym urozmaicheniem jego „dzieł“ są kombinacje tych trzech motywów. Czasem myśliwy idzie w pole szukać zająca, a zając tuż za jego plecami wesoło sobie skacze; to znów pies i zając biegną w przeciwne strony, a myśliwy stoi pośrodku, broń opartą o drzewo i spokojnie pociąga sobie z opłatanej butelki; to wreszcie pies stoi wyprężony i gotowy do skoku, a myśliwy strzela do zająca kulą, przyczem widać tę kulę, wylatującą z lufy i zmierzającą po linii matematycznie prostej (artysta wykreśla ją przy ekierce) w biednego szaraka.

Klasa posiadała innych jeszcze artystów, w rodzaju niższym cokolwiek, ale zato — praktyczniejszym. Byli to nie tyle artyści, co majsterkowie, w swojej drobnej specjalności nieźrównani i niezastąpieni.

W. Gomulicki.

9 (9). Pod sosenki koroną.

Pod sosenki koroną
Stoi chatka nam znana,
Przy niej stogów dwa siana,
Które z wiosną złożono;
Bocian usłał swe gniazdo,
Ten przyjaciel nasz stary,
I powietrzną mknąć jazdą
Przez łąk kwiatnych moczary.

Czasem skrzydła, jak żaglę,
Na pęd wiatru rozwinie —
I zatrzyma się nagle,
I znów z wiatrem popłynie,
Aż się schowa w traw lesie,
I po chwili, po chwili
Dzieciom żabkę przyniesie,
Bo biedactwo już kwili.

Oto ogród warzywny,
Pełen kwiecica i ziela:
Mak ponsowy w przedziwny
Duży kielich wystrzela,
W słońcu dynia się grzeje,
Groch wyziera za płoty,
A wzdłuż grządek jaśniej
Ogórczany kwiat złoty.

Dalej smukłe topole,
Przy nich wiatrak jest jeszcze,
Las na wzgórzu, staw w dole
Wciąż falami szeleszcze.
Pan Bóg wie też, skąd rzewna
Tu piosenka fal płynie:
Może w srebrnej głębinie
Śpiewa senna królowna?

Ach, jak pięknie dokoła,
Jak słonecznie na świecie!...
Coś szeleszcze, gra, woła:
Kochaj! kochaj mnie, dziecię!
To królowna napewno
Szepce do mnie te słowa...
Ja ci powiem: królowną
Twoja chata ojcową!

K. Gliński.

10 (10). Chory nauczyciel.

Wczoraj, po wyjściu ze szkoły, poszedłem odwiedzić mego nauczyciela, który jest chory. Za wiele pracuje i dlatego jest chory. Pięć godzin lekcji dziennie, i to z takimi łobuzami! do tego jeszcze godzina lekcji gimnastyki i dwie godziny w szkole wieczornej, to znaczy: za mało śpi, je

dorywkami tylko i wyteża siły od rana do nocy, co mu też zrujnowało zdrowie: tak mówi moja matka.

Mama zaczęła na mnie w bramie tego domu, a ja poszedłem sam na górę. Na schodach spotkałem tego czarnego brodacza, Crotti'ego, co to zawsze swoim uczniom grozi, a nigdy ich nie karze. Spojrzał na mnie srogimi oczami i, jak lew, ryknął swoim grubym głosem, odpowiadając na moje powitanie. Mimo tego żartu jednak, nie roześmiał się wcale. Ja zaś śmiałem się jeszcze, pociągając dzwonek na czwartym piętrze; ale spoważniałem natychmiast, kiedy służąca wprowadziła mnie do ubogiego wpółciemnego pokoju, w którym leżał mój nauczyciel.

Leżał na niewielkim łóżku żelaznym, był blady, z brodą zarośniętą. Kiedym wszedł, podniósł rękę do czoła, żeby lepiej widzieć, i zawołał swoim miłym, przyjaznym głosem:

— Henryku!

Poszedłem do łóżka, a on mi swą rękę chudą na ramieniu położył i rzekł:

— Dobrze, żeś przyszedł odwiedzić swego biednego nauczyciela! Jak widzisz, nietęgo się miewam, mój drogi Henryku! A jakże tam idzie ci nauka w szkole? Jak się mają twoi koledzy? Wszystko dobrze, co? i beze mnie... Obywacie się doskonale, nieprawdaż, bez swego starego nauczyciela?

Chciałem odpowiedzieć, że nie, ale przerwał:

— Daj spokój, daj spokój! Wiem i tak, żeście mi życzliwi...

I westchnął. Spojrzałem na kilka fotografii, wiszących na ścianie. Spostrzegł to i rzekł:

— Widzisz, to wszystko moi uczniowie, którzy mi dawali swoje portreciki, od lat dwudziestu przeszło... Dobrze chłopczyśka. To moje najmilsze pamiątki. Jak będę umierał, ostatnie moje spojrzenie będzie dla tych małych przyjaciół, wśród których ubiegło mi życie. Ty także dasz mi swój portrecik, prawda, gdy skończysz elementarną szkołę?

Sięgnął do stolika przy łóżku, wziął pomarańczę i dał mi ją do ręki.

— Nie mam cię poczęstować czem innym — rzekł. — Taki oto poczęstunek chorego...

A ja patrzyłem na jego twarz bladą i miałem serce ściśnięte smutkiem, sam nie wiem, czemu....

Z „Serca“ *Amicisa*.

11. Z „Katechizmu rycerskiego“.

Pytanie. Czy może Kadet być bojaźliwym albo tchórzem?

Odpowiedź. Na to nie umiem odpowiedzieć, bo i słowa i czyny, które znaczą, są mi nieznajome, i jeżeli w Korpusie potrafi opisać, co to jest, chyba by o tem słyszał, że się gdzieś indziej znajduje, bo co między nami, ani jest, ani podobno być może.

Pytanie. Do czego najbardziej stosować powinien Kadet zabawki swoje?

Odpowiedź. Do sztuk wojennych; dlatego niech się wprawuje w rękość w bieganiu z kolegami do mety; niech się kocha w ryszunkach wojennych; koniem niech toczyć lubi; słowem, niech pamięta, że wojowniczy ród dziadów naszych nie spodziewał się wydać plemienia niewieściuchów, którzy, zalegając pole, sławę i kraj stracili.

A. K. Czartoryski.

12 (12). O chłopcu, co sypiał w trumnie.

Był to poczciwy, nieco rozlazły wyrostek, z dużą głową i kędzierzawymi włosami, w których tkwiło zawsze pełno wiórków stolarskich.

Nazywał się Krystek.

Nazwisko, dość niezwykle, należało jednak w miasteczku do popularnych. Uczynił je takim duży sztyl, gdzie na tle zielonem były wymalowane czerwono: szafa, komoda, łóżko, a pod niemi napis: „Wojciech Krystek, stolarz.“

Tego Wojciecha synem był chłopiec z dużą, kędzierzawą głową, również Wojciech.

Koledzy przewali syna „Wojtek“, a profesor Luceński nie zaniedbał Krystka przefasonować na „Antychrystka“.

Wojtek miał małe zdolności, ale był zawzięty. Zawziął się dostawać dobre stopnie i — dostawał je. Niewiele rozumiał z tego, co się uczył, ale każdą lekcję wykuwał doskonale na pamięć i wypowiadał nauczycielowi jednym tchem, z zamkniętymi do połowy oczami, jakby w obawie, żeby jakie niespodziane wrażenie wzrokowe szyków mu nie popsulo.

Zato w zwykłej rozmowie płynnym bynajmniej nie był. Zawadzała mu tu samogłoska „a“, którą wtrącał co kilka słów bez żadnej potrzeby, wymawiając ją przez nos i ponad wszelką miarę przeciągając.

Pytał go kto:

— Wojtek! pójdziesz na „ciarki“?

On w głowę się drapał i usta szeroko otwierał.

— A... pójdę! Co nie miałbym... a... pójść.

To, że jego ojciec był prostym rzemieślnikiem, nikogo nie raziło. „Niebieskie mundurki“ nie znały różnic stanowych.

Syn stolarza, syn urzędnika i syn obywatela ziemskiego żyli w szkole na jednych prawach, całowali się i czubili bez żadnych wyróżnień.

Czasem tylko rzemiosło Wojciecha Krystka budziło ciekawość w kolegach jego syna.

— Słuchaj, Wojtek! — zagadywali — to ty wiesz, jak się robi szafę?

— A... wiem.

— Krzesło?

— Też wiem.

— Stół, komoda, łóżko, ławkę?

— Wszystko... a w...iem. Jakbym się uparł, tobym sam... a... każdą rzecz zrobił.

„Arystokraci klasowi“, umiejący zaledwie domki z kart ustawiać, kręcili głowami z podziwu.

— To ci dopiero... — powtarzali, przejęci szacunkiem dla kolegi.

Czasem na przechadzce, gdy znaleźli kilka deszczułek, przynosili je Krystkowi, a on, zasiadłszy w rowie, na kamieniu przydrożnym lub pod drzewem w polu, tłumaczył im metodą poglądową, jak to powstają stoły, łóżka, szafy...

Słuchali wykładu z nadzwyczajnem zajęciem.

To wszystko było dla nich takie nowe! takie ciekawe!

Krystek miał stały przywilej budzenia w kolegach podziwu. Raz naprzykład, pokazywał im zrobiony przez siebie „garnitur“ maleńkich, lilipucich mebelków. Pomimo, że całość, złożona ze stołu, kanapy, dwu foteli i sześciu krzeseł, mieściła się wygodnie na wierzchu zwykłej uczniowskiej teki, każda sztuka była wykończona jak najdokładniej, mocno sklejana i pokryta błyszczącą politurą.

Koledzy zachwycali się w równym stopniu dziełem i twórcą. W nowem też, ponętne światło ukazywało im się to rzemiosło.

— Wiesz, Witek — mówił Dembowski do Sprężyckiego — chciałbym zostać stolarzem...

— Ja też — wzdychał tamten.

Obaj zaś mieli zamożnych rodziców, którzy pragnęli uczynić swych synów co najmniej — mecenasami.

— Wojtek! — dopytywali „mistrza“ koledzy — dla kogoś ty zrobił te śliczności?

— A... dla księdza stryjka.

— Lubisz go?

— A... lubię! Daje mi na książki, na kajety, szkołę za darmo... a... opłaca.

— Pewnie chce, żebyś został księdzem?

— A... chce.

— A ty zgadzasz się na to?

— A... nie.

— Pewnie wolisz być stolarzem?

— A... broń Boże! Ja wolę... a... wy kierować się na aptekarza.

— Pigułki kręcić, lukrecję smażyć, robić pomadę i maść na odciski?

— A... tak.

Koledzy mają nowy powód do dziwienia się. Kilku chłopców objawiło chęć odwiedzenia Wojtka, a właściwie — jego ojca.

Warsztat Wojciecha Krystka ciągnie ich do siebie, wydaje się im czemś nadzwyczajnym. Pragnęliby zobaczyć zbliska heble, piły, świdry, śrubsztaki, fukszwancy, piony, bory, bankajzy, te wszystkie nadzwyczajne narzędzia, o których tyle się nasłuchali od młodego Krystka.

Ale on kręci głową dwuznacznie.

— A... trudno to będzie. Mój „tatko“ nie lubi, jak mu kto w robocie przeszkadza. Czeladnik też na gapiów... a... powstaje.

Nie brzmiało to zachęcająco; na tytuł „gapia“ nikt nie chciał zasłużyć.

Jednak ciekawość, nie zaspokojona, nie przestawała chłopcom dokuczać.

Jednego dnia Krystek nie przyszedł do szkoły. Nie przyszedł drugiego dnia i trzeciego. Rozeszła się wieść, że jest chory ciężko, może śmiertelnie.

Sprężycki i Kozłowski postanowili odwiedzić kolegę. Za Sprężyckim pociągnął nieodstępny jego towarzysz, Dembowski. Do Dembowskiego przyczepił się Sitkiewicz. Sitkiewiczowi narzucił swe towarzystwo Bellon. Nie brakło też Piotrusia Mieszkowskiego, który musiał być wszędzie, gdzie znajdował się „kozieł“. Liczna gromadka pociągnęła wie-

czorem ku drewnianemu domowi, ozdobionemu zielonoczerwonym znakiem.

Brukowana sień „naprzestrzał“ przepołowiała niewielki dom, oddzielający od siebie dwa mieszkania i dwa warsztaty. Po prawej stronie mieszkał szewc, po lewej — stolarz.

Gromadka zatrzymała się w sieni, najśmielszy i najryzykowniejszy Sprężycki przysunął się do drzwi mieszkania pana Wojciecha Krystka. Panowała tam cisza zupełna, w warsztacie zawieszono już widocznie robotę.

Sprężycki zapukał, ze środka nie odpowiedziano. Nacisnął klamkę, drzwi otworzyły się same. Wszedł zalekniiony, bąkając nieśmiało: „Dobry wieczór“, na co również nie otrzymał odpowiedzi.

W dużej izbie warsztatowej było prawie ciemno. Światło małej olejnej lampki zaledwie pozwalało rozróżnić przedmioty. Nie dokończone meble, deski, oparte o ścianę, szafy z próżnemi, czarnemi wnętrzami tworzyły dziwny, fantastyczny, ponury zamęt.

Sprężycki chciał się cofnąć, ale w jednym kącie poruszyły się nagle wióry, z pomiędzy wiórów wybiegło jakby ciężkie, przeciągłe westchnienie.

Lampa jasno oświecała to miejsce, chłopiec zapuścił tam wzrok niespokojny, a ciekawy.

W tejże chwili włosy zjeżyły mu się na głowie, krzyknął głośno i wybiegł pędem do sieni.

Pędził tak szybko, że koledzy zdążyć za nim nie mogli. Przytrzymali go dopiero na ulicy, przerażonego, drżącego...

— Gadaż, co się stało?

— Czemuś „dał nura“?

— Djabłaś zobaczył, czy co?

— Dajcie mi pokój! — odpowiedział tamten na wszystkie pytania. Com ja widział, ach!... com ja widział!...

— Gadażże, Sprężyk!... nie bądź głupi!

— Już po naszym Wojtku... ach! Już umarł!... Już w trumnie leży... Ledwie się rusza, a jak jęczy!

Chłopcy skamienieli z przerażenia, kilka chwil stali z otwartymi ustami, nie będąc w stanie przemówić.

Pierwszy oprzytomniał Kozioł. A że był sprytny i trzeźwo patrzył na rzeczy, wystąpił zaraz z uwagą krytyczną:

— Przecież jeżeli umarł, to nie mógł jęczeć...

— Ani ruszać się! — poparł przyjaciela Piotruś.

— Nic nie wiem, nie rozumiem — tłumaczył się Sprężycki — ale zapewniam was, że nie kłamię. Jak ojca kocham, jak Matkę Boską kocham, widziałem Wojtkę w trumnie!

Zaczęli wszyscy krzyczeć, sprzeczać się, radzić, ośmiewać się nawzajem, wreszcie postanowili jednogłośnie zawrócić i na własne oczy sprawdzić, co powiedział Sprężycki.

Trzęśli się i zębami szczękali ze strachu, jednak przemogli trwogę, odemknęli drzwi od warsztatu i zajrzeli do środka.

Nie było już żadnej wątpliwości.

— Wojtek naprawdę leżał w trumnie! Trumna była duża, szeroka, czarno malowana; on leżał w niej wygodnie, jak w łóżku, łokciem wspierając się na poduszce.

Na widok kolegów poruszył się i głową im skinął przyjaźnie.

Ale ten ruch i to skinienie jeszcze bardziej ich przerażyły. Trzęśli się wszyscy, jak galareta, i starali umieścić się w ten sposób, żeby choć jedna noga każdego pozostała za progiem.

Wreszcie Kozłowski z trudnością wykrztusił.

— Bój się Boga... Wojtek!... prawdę gadaj... Umarłeś ty... czy nie?

Na to zaś głos z trumny:

— A... poco miałbym umierać! Ani mi się śniło! Czym to głupi... a?... Poczekajcie... wstanę, to wam wszystko... a... opowiem.

I siadłszy na śmiertelnej pościeli, zaczął nogę z owego trumniska wyciągać.

Tego już było za wiele. Chłopcy z błyskawiczną szybkością drapnęli do sieni i, przepychając się, przewracając, poszturkując, jak garść wystrzelonych kartaczów, wypadli na ulicę.

Każdy biegł w swoją stronę, nie oglądając się za siebie, jakby go śmierć z kosą gonila.

Spotkali się dopiero nazajutrz, w szkole.

Pierwszym kolegą, który ich tam powitał, był — Krystek!

Nie przestraszyli się go i nie uciekli przed nim.

W świetle dziennem (a tego dnia słońce wyjątkowo jasno świeciło) cała rzecz przedstawiła się inaczej, naturalniej i prawie wesoło.

Wojtuś nie wyglądał ani na umarłego, ani na zmartwychwstańca. Prosto, jak zawsze, trzymał swą dużą głowę, oczy miał tylko trochę podsiniawe, a we włosach więcej, niż zwykle, drobnych wiórków stolarskich.

Zarzucono go krzykliwymi pytaniami. Wszyscy krzyczeli razem, tarmosząc go i szczypiąc, tak ich paliła ciekawość.

Stolarczyk przez czas długi nie mógł przyjść do słowa, powtarzając tylko swoje:

— A... a... a...

Dopiero na pauzie, gdy słuchacze przeszkadzać mu nie mogli, mając usta zapchane ciastem, serdelkami i owocami, wszystko im wytłumaczył.

Ojciec Wojtusia miał zawsze na składzie kilka trumien gotowych. Największa z nich i najszersza, tak wielka i szeroka, że dotąd jeszcze żadnego nieboszczyka nie można było do niej „dopasować“, stała służyła chłopcu za łóżko.

Wynikało to z koniecznej potrzeby. Mieszkanie państwa Krystków było bardzo szczupłe. Przy dużej izbie warsztatowej jeden, mały pokój i mniejsza jeszcze kuchenka — to wszystko. Rodzina składała się z ośmiu osób!

Pokój służył za sypialnię rodzicom i pięciorgu drobnym dzieciom, w warsztacie jadano razem z czeladnikami obiad i wieczerzę; tu również po skończonej robocie Wojtuś odra-

30
biał lekcje i sypiał. A że na łóżko miejsca nie było, więc sypiał w trumnie.

Jemu wydawało się to zupełnie naturalne i zrozumieć nie mógł, dlaczego dziwią się temu inni.

Ale było już widać przeznaczeniem Wojtusia budzić zawsze podziw wśród kolegów.

W. Gomułicki.

13 (13). Mały świątek.

Jak to ja sobie
Domek ozdobię,
Ten modrzewiowy
Dworek ojcowy!

Najpierw przed drzwiami
Lipę zasadzę,
Wkoło płotami
Sad oprowadzę.
Stawię przy wodzie
Świętego Jana,
A na ogrodzie
Gniazdo bociana.

Będą przy stawie
Chodziły pawie,
Pod stodołami
Na ziarno pszenne
Białe gołębie,
Goście codzienne.

Jeśli kto do mnie
Łaskaw przyjedzie,
To słup przed sienią
Stoi na przedzie.

Przy nim mosiężne
Wiszą kółeczka,
Gdzie się przewleka
Długa uzdeczka.

A zechce bawić,
To jak zwyczajnie:
Konia postawić
Każe się w stajnie,
Gdzie koniczyną
Poza drabiną
Przy czystym żłobie
Przegryza sobie.

A że wypędzić
Pragnę lenistwo,
A lubię ryby
Oraz myśliwstwo,
Więc już psów chmara,
Bo od ogara
Aż do jamnika,
Co lisy dusi,
U mnie być musi.

A mam u siebie
Starego dziadka,
Co sieci robi;
To będzie siatka.
Słowem — co chcecie,
U mnie znajdziecie:
Ryby i grzyby;
Mąka i łąka.

* * *

Teraz we dworze,
Jak ja ułożę!
Wszedłszy do sieni,
To być powinna
Zaraz najpierwsza
Izba gościnna.

W niej stół dębowy,
Szafa u ściany,
W której cynowy
Dzban pobielany.

A zaś na ścianie
Obraz Łazarza,

31
Co to psy liżą
Rany nędzarza,
By mieć w pamięci,
Że w szczęściu jedni,
A drudzy ludzie
Straszliwie biedni...

A w drugiej stancji,
W mojej siedzibie,
Co kto ukochał,
Z tem się tam zdybie.

Nad mojem łóżkiem
Rejtan z Kościuszką¹⁾,
Stefan Czarniecki,
Pogromca szwedzki,
Hetman Zamojski
I ten pan wojski²⁾,
Jan Kochanowski.

A zaś nad niemi,
Nad dziećmi swemi,
Twarz Matki Boskiej.
Jaśnieją w dali
Zbroje ze stali.

T. Lenartowicz.

14. Skazana.

(Z dziejów tajnego nauczania w Warszawie.)

Była to największa z sal wielkiego gmachu. Kościelna prawie wysokość nadawała jej pozór imponujący; uroczyste wrażenie sprawiały kobierce i okrycia długiego stołu, za

¹⁾ Zamiast z Kościuszką. — ²⁾ Jan Kochanowski nosił urząd wojskiego sandomierskiego; wojski opiekował się rodzinami szlachty, która w po-
spółitem ruszeniu poszła na wojnę.

k którym zasiedli sędziowie. Tłum ludzi różnych stanów napępniał szeregi ław, ustawionych przy wnijściu. W poprzecznych ścianach wysoko umieszczone cztery ogromne okna rzucały jednolite, białe, nużące światło na wysokie, białe, jednolite ściany, na poważne postawy sędziów, na zalegający połowę sali pstry, ruchliwy, głuchemi rozmowami szumiący tłum. Tu i owdzie jaskrawy kwiat zakolysał się na kobiecej głowie, zadzwonił i echem odbił się w górze głośniejszym wyrażony wyraz. Woźny sądowy wymówił kilka dobitnych słów i zrobiła się wielka cisza, wśród której dał się słyszeć głos przewodniczącego sądowni.

— Sprawa Joanny Lipskiej, obwinionej o utrzymywanie szkoły bez pozwolenia władz....

Słowa te powróciły Joannie przytomność. Powstała i na kilka zapytań przewodniczącego odpowiedziała cicho, lecz wyraźnie. Potem usiadła znów. Ogniste rumieńce zniknęły z jej twarzy, ukazując zwykłą jej bladość. Zarazem widać było, że ogarnia ją zamyślenie tak natarczywe i nieodparte, iż odrywało wzrok jej i słuch od rozgrywającej się przed nią, a tak zbliżonej obchodzącej ją sceny. W szeroko otwartych jej oczach odmalowało się zdziwienie. Wzniosła je w górę, ku ozdobnym gzymsom przeciwległej ściany; czasem głową czyniła ruchy takie, jakby we wnętrzu swem usiłowała coś nadzwyczaj dziwnego zrozumieć i — za nic nie mogła. Trudno było powiedzieć napewno, czy zwracała jakąkolwiek uwagę na zeznania świadków. A jednak były one głośnie i trwały długo. Otyła i siwa Roźnowska w staroświeckiej mantyli i z płaskim czerwonym kwiatem na kapeluszu, chustką ocierając spoconą, wielką, dobroduszną twarz, po kilkakroć powtarzała wyznanie, że ona to głównie wszystkiemu jest winna. Sumienie jej inaczej mówić nie pozwala. Przysięgła, że powie prawdę, i prawdę mówi. Ona to pierwsza namówiła do tego Lipską. Dziewczyna jest ubogą sierotą, potrzebowała zarobku ona zaś ma wnuczki. Gdyby wiedziała, że jest w tem co złego, pewnoby nie namawiała, ale na Chrystusa przysięga, że ani jej przez głowę nie przeszło, że do złego namawia. Siwe ma włosy,

ale życie przeszło jej w tem mieście, i niech wszyscy zaświadczą, czy kogo kiedykolwiek do jakiej nieuczciwości namówiła. Zachłysnęła się płaczem, jeszcze raz powtarzać zaczęła, że namawiała... nawet prosiła... ale dano jej znak, aby umilkła już, i usiadła.

Przyjaciółka właścicielki magła, posiadaczka dwóch domków, malutka, sucha kobiecina, błyszcząca w tem zgromadzeniu kasmirową suknią i eleganckimi manierami, przyciszonym głosem, ale z przymilającym się uśmiechem oświadczyła, że książki, które, jako *corpus delicti*¹⁾, leżały przed sądem, istotnie kupiła i darowała Lipskiej, która jej syna do klasy trzeciej przygotowała tak dobrze, że teraz, gdyby nie był jeszcze zbyt mały, przyjęłoby go może i do czwartej. Bardzo sumiennie uczyła, bardzo sumiennie... tak sumiennie, że uczyła się ona w obowiązku zapłatę jej podwyższyć. Gdyby była wiedziała, że w tem jest co złego, byłaby pewno tego nie uczyniła, ale słowo honoru daje, że nie wiedziała. Cóż? Kto ma dziecko, ten o edukację jego dbać musi, a tu pod boki guwernantka uczciwa, sumienna i tańsza od innych, bo biedna sierota... Tu wykonała przed sądem dyg elegancki, poczem, milutko zawsze uśmiechnięta, lecz z drgającymi trochę ustami i powiekami, obok Roźnowskiej usiadła.

Od zapytywanej z kolei praczki, żony pijaka ślusarza, najmniej dowiedzieć się było można, bo ta kobieta, wysoka i chuda, z twarzą wszerek i wzdłuż zoraną bólem i troskami, w grubej krótkiej spódnicy i wielkiej chustce, zarzuconej na głowę, tak była strwożona i rozżalona, że prócz kilku niewyraźnych, zaledwie dosłyszanych słów nic wymówić nie mogła. Ramiona jej drżały pod wielką chustką, z oczu, wypieczonych parą wrzasku i spieką żelazek, łzy, jak groch, padały na grube, poparzone, u piersi splecione ręce. Z całej mowy dosłyszeć można było tylko wyrazy: syn dwunastoletni, ojciec pijak, szynk w tym samym domu, nauka, dobra panienska... Odprawiono ją prędko, a miejsce jej zastąpił mularz.

¹⁾ Dowód winy.

Ten mówił za siebie i poprzedniczkę swoją, dużo, prędko i tak głośno, że kilka razy zalecano mu, aby głos zniżył, czemu natychmiast był posłuszny, ale ręką żyłastą i silną targając mosiężny łańcuch zegarka, albo na głowie burząc gestwinę twardych włosów, wnet znowu w ferwor wpadał i głośniejsze, niż wypadało, dowodził, że, gdy za uczenie swojej córki płacił pannie kartoflami i warzywem, to widać bardzo szło mu o to, aby córka cokolwiek umiała. Zaś posyłać ją na pensję — za drogo mu było. Więc cóż miał robić? i cóż on takiego zrobił? albo ta panienka: co ona takiego zrobiła?... Po zadaniu tego pytania rozstawił ręce z takim gestem i tak wytrzeszczył oczy, jakby tuż przed jego wzrokiem cały świat przewracał się do góry nogami, a on za nic zrozumieć nie mógł, dlaczego tak z nim się dzieje?

Po tym mularzu zeznawali i świadczyli jeszcze: piekarz, stróż domu, jakiś dorożkarz i jakaś wdowa po urzędniku, na koniec i najdłużej ten, kto dokonał odkrycia, że na górnem pięterku domu, którego dolne piętro zajmował szynk, gromadka drobnych dzieci dowiadywała się o tem, że pszczoła ma cztery skrzydełka, sześć nóżek, dwa różki i żądło, że cztery od dziesięciu sześć, że nie trzeba czynić drugiemu tego, co nam niemiło i t. d., a dowiadywała się tego, o zgrozo! w języku ojczystym!...

W chwilowej ciszy, która zapanowała, gdy umilkł głos ostatniego z zeznających, wzrok Joanny powoli spłynął z góry ku tłumowi, napełniającemu połowę sali. Wszyscy siedzieli na ławach, pilnie i w milczeniu śledząc bieg sprawy. Nad pstrą i nieruchomą w tej chwili masą wzbijał się jeden człowiek, który nie siedział, ale stał. Ażeby móc lepiej wszystko widzieć, stał on za wszystkimi ławami, na jakimś małym podniesieniu, tak plecami do ściany przyciśnięty, jakby mu one do niej przyrosły. Oczy Joanny przyrosły do jego twarzy i napełniły się wyrazem przerażenia.

Był to jej brat, ale także inaczej wyglądał, niż zwykle! Suche ramiona w wytartych rękawach skrzyżował i mocno do piersi przyciskał; na papierowo białe jego policzki wy-

stąpiły czerwone plamy i wzbijały się aż pod brzegi ciemnych okularów. Oddychał prędko i usta miał nieco rozwarte. Z wyjątkową uwagą słuchał krótkiego, lecz energicznego oskarżenia, które wygłosił prokurator, i splecionej jakoś obrony adwokata. Potem przewodniczący sądowi zwrócił się do Joanny, oznajmiając, że ma prawo wyrzec w tych rozprawach ostatnie słowo, i zapytując, czy na swoją obronę powiedzieć mogła i chciała?

Nad wysoką, ciężką poręczą ławy oskarżonych podniosła się szczupła, jasnowłosa, czarno ubrana dziewczyna. Powieki miała spuszczone, postawę spokojną i głos trochę drżący.

— Uczylaam dzieci, myślałam, że czynię dobrze...

Tu na mgnienie oka w twarzy jej zaszła uderzająca zmiana. Jakby zawrzały w niej gwałtowne jakieś uczucia, podniosła czoło, oczy jej błysnęły, usta drgnęły i, poprawiając ostatnie swe zdanie, głośno, wyraźnie rzekła:

— I teraz myślę, że dobrze czyniłam.

Bezwarunkowo była winna. Rzecz dziwna jednak, dlaczego przewodniczący nie powstał zaraz dla udania się z towarzyszami do komnaty narad i przez kilka minut siedział z podniesioną trochę głową i, jak w tęczę, wpatrywał się w obwinioną — z jakim wyrazem oczu? tego, z powodu oddalenia, nikt z tłumu dostrzec nie mógł. Patrzyli też na nią i jego towarzysze, z których jednemu brwi zsunęły się mocno. Trwało to bardzo krótko, minutę, poczem wstali i odeszli. Nie wracali długo. Sprawa była prosta i jasna. Dlaczego narada trwała tak długo?

Tubalnym głosem woźny oznajmił, że sąd do sali posiedzeń powraca.

Ze szmerem szumiących drzew wszyscy powstałi. Za stołem, zasłanym suknem, przewodniczący stanął pospołu z towarzyszami swymi i zaczął czytać wyrok. Zauważono, że czytał nieco cichszym głosem, niż ten, w którym wprzód przemawiał. Joanna Lipska skazana została na dwieście rubli kary pieniężnej, a w razie niewypłacalności, na trzy miesiące więzienia.

Posiedzenie sądowe zamknięte; publiczność odpływa z sali. Tu i owdzie prawnicy pomiędzy sobą szepczą, że dziewczyna ta jest szczęśliwa, bo małym jeszcze kosztem przestępstwo swe okupi....

Eliza Orzeszkowa.

15. Pożegnanie ze stajnią przed wyjazdem do szkoły.

Machnicki poszedł z chłopczykiem ku zabudowaniom dworskim. Minęli znowu staw, okrążyli gumno z drugiej strony i weszli na podwórze przejściem obok stodoły — wprost do stajni. Kupa nawozu dymiała się tam w czystym powietrzu, jak przyduszone ognisko. Hub wprowadził gościa do stajni ze znajomością drogi i pewnością kroku. Przeszli od razu do gródzy, w której przebywała Łyska. Zaledwie Hub zjawił się w stajni, z tej gródzy dało się słyszeć pochlebne, a raczej przedchlebne rzenie. Kobyła wykręcała się na miejscu, ile na to pozwalała uździenica, i witała swego przyjaciela i dobroczyńcę. Hub nie przyniósł jej wprawdzie chleba, ale zato mnóstwo karesów, pieszczotek, pozdrowień i pożegnań, — miał ją bowiem dziś za parę godzin i to na tak długo, bo na całą zimę, opuścić.

Machnicki, przechadzając się z przyjemnością pomiędzy końmi, zaglądając im w zęby i lustrując nogi, spostrzegł od niechcenia, że Hub płacze i to gorzko, przytulony do szyi Łyski. Dla niepoznaki major usunął się w dalszą część stajni i zajął się tam końskimi obserwacjami, lecz z goryczą widział, że mały nie opuszcza łysinej gródzy.

Po długim, długim czasie Hub przeszedł do gródzy sąsiedniej i tam począł grubym i srogim głosem pokrzykiwać na konie cugowe i na karego ogiera szczególniejszym sposobem, który przypominał do złudzenia głos głównego furmana, Jacka Skowrona. Machnicki zbliżył się wtedy do

Huba, czując, że żal już się może przesilił w małym sercu. Ale gdy stanął w pobliżu, spostrzegł, że łzy kapią wciąż, sekretnie wprawdzie, ale im sekretniej, tem rzęsiściej.

Stefan Żeromski.

16 (16). Nasza szkapę.

Szkapę naszą kochaliśmy niezmiennie. Jak tylko zapamiętam na świecie, zawsze był ojciec, matka i szkapę. Felka potem dopiero bociany przyniosły, Piotrusia także; ale szkapę należała do rzędu tych istot, które są zawsze. Są, bo są. Wyobrazić sobie poprostu nie mogłem ani jej początku, ani też jej końca. Szkapę należała do nas, a my do niej; ani my od niej, ani ona od nas nie mogła się odłączyć. Było to tak naturalne, że m zgoła nie pojmował innego porządku rzeczy. Kogoby tam brakło w naszej gromadce, toby brakło, ale nigdy szkapę. Toć to była cała nasza uciecha.

Kiedy ojciec z rzeki do domu wracał, wybiegaliśmy — gdzie! aż w pół drogi, byle prędzej szkapę zobaczyć. Co który miał, to jej niósł i do pyska wtykał: kawałek chleba, ziemniak, znaleziony w podwórzu, skórkę z cytryny...

I szkapę nas bardzo kochała. Zdaleka już rżała ku nam i przyspieszała kroku, strzygąc radośnie uszami; a kiedyśmy ją po szyi, po bokach klepali, rozumiała wybornie tę pieszczotę i, zwiesiwszy łeb swój ciężki, skubała nas po włosach, po kurtach. Piotruś zwłaszcza był jej ulubieńcem, poprostu rżała do ojca, żeby go wziął z sobą.

Kiedy ją ojciec wyprzągł, zaczynała się dopiero heca. Natychmiast Felek wskakiwał na jej grzbiet kościsty, od starego chomąta obtarty, i podczas kiedy szkapę zanurzała swój łeb ogromny w głębinach uwiązane go u jej karku worka z chudą sieczką, on, przykleknawszy na niej na jedno kolano lub stanawszy na jednej nodze, wywijał czapkę i krzyczał:

— A to jest sławny jeździec z suteryny, co nigdy nie traci miny! Nazywa się Feliks Mostowiak, herbu gnat! Jest chudy, ale chwał! Kto da więcej?...

Na to „kto da więcej?“ wybuchaliśmy tak piekielną wrzawą, że aż ludzie wybiegali z oficyn.

Po Felku gramolił się na szkapę Piotruś; aleśmy go ledwie podsadzić mogli, tak go przeważała rozdęta brzuszyna. Szkapę z Piotrusiem oprowadzaliśmy w triumfie po podwórzu, nie dawszy jej spokojnie sieczki owej spożyć, a Felek znów wywijał czapką i wrzeszczał:

— A to jest Piotruś herbu szczur! Ma dwie łaty i osiem dziur! Dwu zębów nie ma na przedzie, a na szkapie jedzie!... Kto da więcej?...

Skąd on tu to „kto da więcej“ przyczepił, nigdym odgadnąć nie mógł; Felek sam utrzymywał, że to już tak jedno do drugiego pasuje. I znów wybuchaliśmy szatańską wrzawą, jakby nas nie trzech, ale ze trzydziestu było.

— Przypatrzyła się, moi ludzie — mówiła, stojąc w drzwiach, tłusta sklepikarka — co też te bestyje chłopaki Mostowiaków nie wyprawiają z tą kobyłą! A toć to czyste małpy z „meranziery“.

I chwytala się za boki, trzęsąc się od śmiechu, aż jej oczy w tłustej twarzy zupełnie ginęły.

— Oj, batem, batem! — skrzeczała ojcu, albo: „powiem mamie“, albo: „powiem szkapie“.

Tej pogroźki nie lekceważyliśmy bynajmniej; i często gęsto dostał Piotruś jaki kasek, szczególnie od Felka, byle tylko „nie powiadał szkapie“.

Nie mogliśmy bowiem znieść, kiedy tak patrzyła na nas smutnie jednym okiem swoim, podczas kiedy na drugim, ślepem i zbolalem, powieka o siwej rzęsie podnosiła się i opadała zwolna, jak gdyby z wyrzutem.

— Słysz, Wicek! — mawiał Felek. — Co ta szkapa takiego w tem ślepiu ma, co tak świdruje? A tobym ci wołał, żebyś mnie ojciec paskiem przemierzył, niż kiedy ona tak patrzy. Do samego ci „honoru“ człowiekowi sięga..

Szkapę czyściliśmy codziennie. Ale nigdy nie obeszło się przytem bez bijatyki o szczotkę i zgrzebło. Cośmy jej wtedy sierści nadarli! cośmy naplatali grzywę! Stała jednak szkapa cierpliwie, zmrużywszy zdrowe oko, i tylko od czasu do czasu machała wypętlonym ogonem, jakby się oganiała od baków.

Zaraz po Wielkiej Nocy zaczynało się pławienie szkapy. Jeszcze woda zimna była, jak lód, a my już zawijamy porciecia i dalej do rzeki. Jaki to był triumfalny pochód! Chłopaki z całej ulicy chcieli z nami lecieć, aleśmy ich odpędzali biczem.

Dopieroż szkapę wodą chlustać, dopieroż jej pęciny i boki wycierać, dopieroż jej wygwizdywać, jakieśmy to u ojca słyszeli. Największa bieda była, kiedy szkapa dla uwolnienia się od nas i naszej opieki, parę kroków w wodę dalej poszła.

— Utopi się! utopi — wrzeszczał Piotruś i aż siniał i przysiadł na ziemię, obu rękami brzucha własnego się trzymając. Brnęliśmy tedy po nią i za ogon ku brzegowi ciągnęli, poczem, zziązani, zmęczeni, wracaliśmy do domu, szkapa naprzód, my za nią, mokrzy, ociekający wodą, jak topielcy.

Marja Konopnicka.

17 (17). Wrona miejska.

Raz miejska wrona, wpadłszy między wiejskie ptaki, By dać poznać słuchaczom, godności jest jakiej, Poczęła rozpowiadać, jak ona w Warszawie Po wszystkich pierwszych domach codziennie lata prawie. Jak po Saskim ogrodzie przechadzki używa, Jak często pod zamkowym dachem przesiadywa, Jak nieraz w Wilanowie... Wtem kruk, co tam siedział, Znudzony tą rozmową, tak do niej powiedział: „Przestań, jakżeś z pochwały swemi naprzykrzona, Cóż stąd, że wszędzie bywasz, kiedyś zawsze wrona!“

Antoni Górecki.

18 (18). Na lekcji gimnastyki.

Pogoda prześliczna, kazano więc nam przejść z sali gimnastycznej do ogrodu, gdy przyszła matka Nello, ta pani o jasnych włosach, w czarnej sukni, prosząc, aby syna jej uwolniono od nowych ćwiczeń. Każde słowo kosztowało ją dużo wysiłku, i, mówiąc, trzymała rękę na głowie swego chłopca.

— On nie może... — rzekła do dyrektora.

Ale Nelli był bardzo zmartwiony, że go usuwają od ćwiczeń na przyrządach gimnastycznych, że go i to jeszcze upokorzenie spotyka...

— Mamo, mamo — powtarzał ze łzami — zobaczysz, że potrafię to samo robić, co inni.

Matka jego patrzyła nań w milczeniu, z wyrazem miłości i litości niezmiernej. Potem z wahaniem dodała:

— Obawiam się jego towarzyszy... — Chciała powiedzieć: „Obawiam się tego, aby zeń nie sztydono.“

Ale Nelli odrzekł:

— To nic, mamo, to nic... a zresztą jest przecie Garrone. Już dość, aby on był: nie będą się śmiały...

I matka uległa w ostatku. Przyszła na lekcję. Nauczyciel poprowadził nas do drążków prostopadłych, które są bardzo wysokie, a trzeba było wgramolić się aż na sam wierzch i stanąć prosto na ostatnim, poprzecznym drążu. Derossi i Coretti wdrapali się na nie szybko i zwinnie jak wiewiórki; i mały Precossi również prędko na szczyt się dostał. Stardi sapał, czerwieniał się, jak burak, zaciskał zęby, jak pies rozwścieczony, ale znać było, że postanowił za jakąbądź cenę, choćby miał pęknąć, dostać się na górę. I istotnie tam dotarł. A i Nobis również, a gdy się znalazł na szczycie, przybrał postawę wspólną; Fotini zaś ześlizgnął się dwa razy, pomimo swego nowego ubranka w paseczki niebieskie, które umyślnie do gimnastyki mu sprawiono. Aby łatwiej móc włożyć na drążek, wszyscy ponacierali sobie ręce kalafonją. Potem przyszła

kolej na Garrona, który, gryząc bułkę, wlaź na drążek, jakby to była rzecz najmniejsza — i sędzę, że mógłby być śmiało jeszcze na plecach swych zabrać jednego z nas na górę, taki to silny i muskularny chłopak! Potem przyszła kolej na Nello.

Zaledwie zobaczono, jak objął drąg temi swemi długimi, chudemi ramionami, natychmiast wielu chłopców zaczęło się śmiać i żartować; ale Garrone skrzyżował swoje potężne ramiona na piersiach i powiódł dokoła spojrzeniem tak wyrazistym, tak jasno dał do poznania, że, pomimo obecności nauczyciela, ani się zawała pięścią nauczyć rozumu żartownisiów, iż zaraz wśród chłopców śmiech ustał. Nelli zaczął wlaźć na słup. Nielatwo to biedakowi szło: twarz mu poczerwieniała mocno, stękał, oddychał ciężko, pot spływał mu z czoła. Aż nauczyciel rzekł:

— Dosyć, dosyć, spuść się na ziemię!

Ale on nie usłuchał, piął się w górę, wysilał się, wyteżał, nie chciał dać za wygraną; zdawało się, że lada chwila wpół martwy padnie za ziemię. Biedny Nelli! Garrone, Derossi i Coretti powtarzali:

— Naprzód! naprzód, Nelli! Mocno, silnie, jeszcze trochę, już niedługo, odważnie!

I Nelli uczynił jeszcze jeden wysiłek gwałtowny, aż jęknął nieborak, ale znalazł się o dwa cale od belki.

— Wiwat! — zawołali inni. — Zuch! śmiało, jeszcze chwilę! dalej, jeszcze raz!

I oto Nelli uchwycił za drążek poprzeczny i usiadł na nim. Wszyscy zaczęli bić w dłonie.

— Brawo! — powiedział nauczyciel — ale już dosyć; spuść się na dół.

Lecz Nelli postanowił stanąć na szczycie tak, jak inni, i po chwili udało mu się łokcie oprzeć na belce, potem kolana, potem nogi: nareszcie stanął, wyprostował się, jak mógł, i zadyszany, ale uśmiechnięty, spojrzał na nas. My powtórnie zaczęliśmy klaskać w dłonie. A wówczas on spojrzał na ulicę. Wtedy i ja spojrzałem w tamtą stronę, i poprzez krzewy,

które pokrywają kratę ogrodową, zobaczyłem jego matkę,
która przechadzała się tam i napowrót po chodniku, nie mając
odwagi oczu podnieść.

Nelli zszedł i wszyscy otoczyli go, winszując i okazując
serdeczne zadowolenie; był czerwony, zdyszany, oczy mu
błyszczały, wyglądał całkiem inaczej, niż zwykle. Gdy już
wychodziliśmy, matka jego pośpieszyła na jego spotkanie i,
uściskawszy go, zapytała trochę niespokojna:

— Jakże tam, synku, jakże tam poszło?

A wszyscy towarzysze odpowiedzieli razem:

— Dobrze, wyborunie! Wlazł na słup aż na sam wierzch,
jak i każdy z nas. Oho! to siłacz! A jaki lekki i zwinny!

Trzeba było widzieć wówczas radość tej pani! Chciała
nam dziękować, a nie mogła, uścisnęła tylko rękę kilku z nas,
ucałowała Garrona i poprowadziła syna do domu. Widzieliśmy
ich jeszcze przez czas pewien, jak szli, rozmawiając i gesty-
kulując, oboje tak weseli, tak zadowoleni, jak ich jeszcze nie
widziałem nigdy.

Według *E. Amicisa*.

19 (19). W piwnicznej izbie.

W piwnicznej izbie zmrok wczesny pada,
Wilgotny a ponury.
Mętne szyby drobne okienko
Na brudne patrzy mury.

W piwnicznej izbie głos dziecka słyhać:
To westchnie, to zagada...
Ojciec chleb czarny wykuwa młotem,
Przy igle matka błada.

— Moja matko! Moja rodzono!
Jak też tam na wsi onej?
Czy też tam dzieci chodzą w słoneczku,
Po trawce, po zielonej?

I nie mieszkają, jak my, w piwnicy?

I widzą het... obłoki?

— Oj, widzą, synku, wszyściutko widzą,
Caluński świat szeroki!

Oj, widzą one pola i lasy,
I łąki, i zagaje,
Widzą, jak słonko idzie do morza
I jak znów rankiem wstaje...

Widzą, jak pługi rzną wiosną skiby,
Jak siewacz rzuca ziarna,
Jak woły ciągną zębatą bronę,
Jak rodzi ziemia czarna...

Oj, widzą one, jak źródła biją,
Jak modre rzeki płyną,
Jak dzikie gęsi na ugór lecą,
Jak staw zarasta trzcina...

— A niema takich murów dokoła,
Że aż się przegiąć trzeba,
Żeby choć skrawek, choć odrobinę
Zobaczyć czasem nieba?

— Niebo tam, synku, wszystkim otwarte,
Z wschodu na zachód wolne,
Czy zorza świeci, czy gwiazdy wschodzą,
Jako te kwiaty polne. —

To i Pan Jezus bliżej być musi
I patrzy na te dzieci...
A od nas tutaj do Pana Boga
I pacierz nie doleci...

W piwnicznej izbie jęk zabrzmiał cichy,
Matka się po niej krząta...
W gęstnym zmroku głos dziecka słaby
Z ciemnego słyhać kąta:

— Moja mateńko, moja rodzona,
A jak tam jest w tem polu?
— W polu, to synku, zboża a zboża,
Przetkane w kwiat kąkolu...

Takie ci owsy, takie ci żyta,
Że się w nich człowiek schował
A grusza na nie cień rzuca chłodny,
A wkoło woń chlebową.

Spojrzysz na lewo, spojrzysz na prawo,
To kłosy aż się garną.
Jakby kto złotą nakrył kurzawą
Całą tę ziemię czarną...

A wierzchem takie ci idą szumy,
Takie w powietrzu granie,
Jak kiedy, na ten przykład, w kościele
Zagrają na organie.

Od spodu słoma, jak trzcina, stoi,
Ot, gdzie tam do niej tobie!
A takie ziarnem pełniuskie kłosy,
Aż kładą się po sobie!

A jęczmień to ci taki wąsaty!
A gryka taka miodna!
A lny — jak niebo, a grochy w strąkach,
Że ich nie przeirzysz do dna.

A tu ci zając z pod miedzy smyrknie,
Przepiórka w głos zadzwoni...
A z łąki kędyś po rosie słyhać
Spętanych rzenie koni.

W piwnicznej izbie zmrok coraz gęstnie,
Wilgotne ściany płaczą...
Dziecko w ciemności oczy otwiera,
Czy czego nie zobaczą...

— A jaż, mateńko, zobaczę kiedy
Wszyściusko, co mówicie?
One te ptaki, w lasach grające,
One zajaczki w życie?

A jaż, mateńko, nie taki samy,
Jako te insze dzieci,
Co to się dla nich zieleni łąka
I jasne słońko świeci?

W piwnicznej izbie ciężkie westchnienie
Z ciemnego słyhać kąta...
Ucichło dziecię na swym barłogu,
Matka się we łzach krząta.

W piwnicznej izbie zmierzch zapadł czarny
Jako ta czarna dola...
Któż dziecku temu da trochę słońca,
Pokaże lasy, pola?

Marja Konopnicka.

20 (20). Mularczyk.

Mularczyk przyszedł dziś do nas, cały ubrany w stare swego ojca odzienie, na którym znać jeszcze było ślady wapna i gipsu. Mój ojciec pragnął, bardziej jeszcze, niż ja, jego odwiedzin i bardzo się nim ucieszył. Zaraz w sieni zdjął swój stary kapelusz, mokry od śniegu, i schował go do kieszeni, potem wszedł, krocząc tym chodem niedbałym, opieszalym, jaki jest właściwy znużonym robotnikom, zwracając to w tę, to w ową stronę swoją twarzyczkę, okrągłą, jak jabłuszko, z tym nosem, podobnym do kartofla.

Kiedy się znalazł w jadalnym pokoju, powiódłszy wzrokiem dokoła, utkwiał go następnie w obrazie, który przedstawia Rigoletta, garbatego, nadwornego błazna, zrobił nagle tę swoją śmieszną minkę, zwaną „pyszczkiem zajęczym“.

Niepodobna się nie rozśmiać, gdy zrobi tę swoją minę.

Zaczęliśmy się bawić drewnianymi cegielkami. Ma on dziwną łatwość w budowaniu wież i mostów, które cudem zdają się trzymać; a pracuje nad tem uważnie, z namysłem, z cierpliwością człowieka dorosłego.

W przerwach tej roboty, pomiędzy jedną wieżą a drugą, opowiadał mi o swojej rodzinie; mieszkają na poddaszu. Jego ojciec uczęszcza do szkoły wieczornej, aby się uczyć czytać, jego matka jest praczką. I muszą go kochać rodzice, bo, choć tak ubogo ubrany, jest zabezpieczony od chłodu — i odzież starannie połatana, i krawat na szyi porządnie zawiązany, widocznie ręką matki. Jego ojciec — jak mówił — to nie ułamek, ale ołbrzym prawdziwy, który z trudnością przez drzwi przechodzi, lecz jest bardzo dobry i syna swego nazywa zawsze: „Ty mój pyszczku zajęczy!“ Syn ten natomiast jest bardzo mały.

O czwartej, siedząc na sofie, zjedliśmy razem podwieczorek, składający się z chleba i winogron, a kiedyśmy wstali, mój ojciec, nie wiem dlaczego, nie dał mi oczyścić poręczy sofy, którą mularczyk pobrudził swoją kurtką: gdy to chciał

uczynić, ojciec zatrzymał moją rękę, ale następnie sam nieznacznie stari ślady wapna z poręczy.

W zabawie mularczyk zgubił guzik od swojej kurtki i moja matka sama mu go przyszyła, a on się zaczerwienił i patrzył, jak mama przyszywała, zdziwiony i zawstydzony, dech w sobie tamując. Potem pokazywałem mu albumy z karykaturami, a on, sam tego nie spostrzegając, naśladował wszystkie te zabawne miny tak wybornie, że nawet ojciec mój śmiał się. Taki był zadowolony i rozbawiony, iż, kiedy odchodził, zapomniał włożyć swój podarty kapelusz i już na schodach, aby mi okazać swą wdzięczność, zrobił tę swoją śmieszną minkę zajęczka. Nazywa się Antoni Rabucco i ma lat osiem i osiem miesięcy.

Po odejściu mularczyka ojciec mój rzekł do mnie:

— Wiesz-że, synu, dlaczego nie chciałem, byś oczyścił sofę? Bo czyścić ją w obecności twego towarzysza byłoby to robić mu niemal wymówkę z tego, iż ją powalał. A to nie wypadało: najpierw, nie uczynił tego umyślnie, powtóre, iż miał na sobie kurtkę ojca, który ubiełił ją przy swojej pracy, ślady zaś pracy na ubraniu nie są wcale brudem, ani plamą: może być kurz, wapno, pokost, wszystko, co chcesz, ale to nie brud i nie plamy. Praca nie brudzi. Nie mów nigdy o robotniku, który powraca z roboty: „Jest brudny.“ Powinieneś powiedzieć: „Ma on na ubraniu ślady swojej pracy.“ Pamiętaj o tem i kochaj mularczyka, po pierwsze dlatego, że to twój towarzysz szkolny, po drugie, że jest synem robotnika.

Z „Serca“ *Amicisa*.

21 (21).

„Z powodu smutnych okoliczności jest do sprzedania obraz olejny dobrego pendzla za umiarkowaną cenę.“

Takie ogłoszenie przeczytał głośno Józio w rozłożonym przed sobą „Kurjerze“.

— Gdzie? — zapytał ojciec, który, pijąc herbatę, przysłuchiwał się czytaniu chłopca.

— Na Starem Mieście pod Nr. 15, mieszkania Nr. 32 —
doczytał Józio.

— Pójdziemy tam jutro.

Nazajutrz ojciec z synem pośpieszyli na Stare Miasto. Kiedy w bramie domu pod Nr. 15 zapytali o numer 32 mieszkania, stróż odpowiedział niechętnie, że to nie mieszkanie, tylko facjatka na strychu. Bardzo też zdawał się być zdziwiony, że przybyły pan z synem wcale się tem nie zraził, ale zaczął wstępować na schody.

Pierwsze i drugie piętro były jako tako oświetlone; na trzeciem należało się już dobrze pilnować poręczy — dalej zaś nie było już poręczy, tylko wąska drabina, po której trzeba było iść zupełnie poomacku. Ojciec potarł zaparkę i zobaczył tuż przy drabinie, owej niskiej i lichy sklepcone drzwi, przez które dolatywał łoskot puszczonej w ruch maszyny do szycia. Na drzwiach naznaczony był Nr. 32.

Ojciec zastukał raz i drugi, gdyż dzwonka nie było, aż wreszcie rygielek zgrzytnął, drzwi się otwały, a w nich ukazała się wysoka i szczupła postać czarno odzianej kobiety.

Przybyli uchyliłi kapeluszy, a ojciec zapytał, czy tu jest do sprzedania obraz, o którym było ogłoszenie we wczorajszym „Kurjerze“.

Czarna postać usunęła się, skłoniwszy głowę i wpuściła przybyłych do ubogiej, niskiej, lecz schludnej stancyjki, o pochylonym suficie. Dwa ubogie tapczany, szafka z kuchennym sprzętem, wieszadło z trochą odzieży, mała komódka, na niej lampa, stanowiły prawie całe jej bogactwo. Pod jednym okienkiem stała we wgłębieniu maszyna do szycia, a przy niej koszyk z robotą, pod drugim stał zarzucony książkami szkolnymi stolik, od którego powstał na powitanie przybyłych nieco starszy od Józia chłopczyk, w wytartym gimnazjalnym mundurku. Wprost maszyny, na miejscu najlepiej oświetlonym w tej chwili, wisiał niewielki obrazek, w starvch, złoczonych ramach.

Był to pięknie malowany krajobraz, przedstawiający staro-
świecki dwór wiejski, z obszernym gankiem, przed którym

bawiła się gromadka dzieci. Wielka, stuletnia lipa ocieniała ganek, na prawo widać było ładny ogród i długą topolową aleję, na lewo chaty wiejskie i wiodącą do nich drogę, na której czernił się stary krzyż pochyły. Słońce zachodzące rzucało na drogę tę jaskrawe blaski, oświetlając wracających z pola żeńców i pędzone z pastwisk trzody. Wszystko teńnęło spokojem ślicznego, letniego wieczoru.

Józio wpatrzył się, wpatrywał się i ojciec w ten śliczny wiejski obrazek, a czarno ubrana pani tak mówiła cichym, miłym głosem:

— Jest to dom, w którym urodziłam się, wychowałam i spędziłam najszcześniejsze lata; tam także przyszły na świat moje dzieci, ot te, które się tu na tym obrazku przed gankiem bawią, a z których został mi ten syn jedyny — dodała, głaszcząc po głowie stojącego przy niej chłopczykę. — Tam są groby rodziców moich i dzieci moich, tam życzliwe mi dusze w tych chatkach żyją, tam krzyż, pod którym uczyłam się pacierza od matki. Wszystko to już nie moje! Wierzyście wszystko zabrali. Nowy właściciel założył browar w starej siedzibie ojców moich, nie wiem nawet, czy jeszcze stoi owa lipa stara i ów krzyż, których już nigdy, nigdy nie zobaczę...

A gdy tak mówiła, dwie łzy spływały po jej bladej twarzy.

— Ile pani chce za ten obraz? — zapytał ojciec.

— Tanio sprzedam — rzekła wdowa — gdyż muszę zapłacić wpis za syna mego; inaczej wydalonoby go ze szkoły, a tak się dobrze, tak wzorowo uczył!

Ojciec pomyślał chwilę i rzekł:

— Pani! kupuję ten obraz. Ale chcę być jego nabywcą warunkowym. Jako cenę obrazu, będę płacił za syna pani, aż do ukończenia przez niego nauk, najpierw szkolnych, a potem i wyższych, jeśli będzie miał ku temu ochotę. Co do obrazu, to pozostanie on w tem samym miejscu, aby syn pani, patrząc na tę siedzibę ojców i dziadów swoich, uczył się dobrze i pracował usilnie, tak iżby kiedyś mógł wykupić z rąk obcych ten rodzinny kawalek ziemi i na stare lata wprowadzić panią pod ten dach ojczysty. Przeczuję, iż on to kiedyś

uczyni — dodał, kładąc rękę na ramieniu zarumienionego chłopczyny — Wtedy dopiero odda ten obrazek synowi mojemu. Czy zgoda?

Wdowa w milczeniu płakała, cisnąc rękę ojca do ust, a mały gimnazista rzucił się Józiovi na szyję.

Byli odtąd przyjaciółmi.

Marja Konopnicka.

22 (22). Coby ci chciała dać.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Pyszny pałac na mieszkanie,
Z kolumnami, kryształami,
Złocistemi wezgłowiami
I miękkimi kobiercami
Pod twe drobne stopy.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Mały domek na mieszkanie,
Z okienkami zielonemi,
Z ławeczkami brzozowemi,
Z akacjami cienistemi
Na twe białe czoło.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Szafir z nieba na ubranie,
Promień z słońca na wianeczek,
Perły z rosy na sznureczek,
I z gwiazdeczek pierścioneczek
Na twą śliczną rękę.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Biały muślin na ubranie,
Wianek, z chabru upleciony,
Krzyż, z olszynki wyrobiony,
I pierścionelek, poświęcony
W samej Częstochowie.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Na co tylko Boga stanie:
Wiare, niczem nie wzruszoną,
Miłość, nigdy nie zdradzoną,
A trwałą na wieki.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Na co biednej ziemi stanie —
Śmiech z próżności tego świata,
Pobłażanie za grzech brata
I modlitwę, co ulata
Ku niebu w złej doli.

Narcyza Żmichowska.

23. Czeladnik krawiecki Panewka.

Wśród zgrai niechętnych Jaś znalazł przyjaciela w osobie czeladnika Panewki. Pan Ignacy Panewka był to człeczyna młody, przysadzisty, niezgrabny, z wielką głową, ozdobioną włosami prostemi, jak druty, palkowatym nosem i wypukłemi oczyma. Pracował okrutnie, i on to utrzymywał warsztat Durskiego, a że krajał, jak nikt w Warszawie, śpiewali więc o nim chłopcy:

Pan Panewka,
 Psia podszewka,
 Kraje, jak Szabu ¹⁾,
 A głupi jak but.

Ponieważ rodziny nie miał, przywiązał się więc do swego majstra i, pomimo częstych kłótni, siedział u niego od kilku lat. Dzień, w którymby Ignacy na dobre rozdzielił się z Durskim, byłby ostatnim dla warsztatu, sklepu i reputacji znakomitego krawca.

Ten Panewka był osobliwym człowiekiem. Nie miał ani rozumu, ani ukształcenia, lecz jakiś dziwny instynkt, który go popychał do sympatyzowania i naśladowania tych, których uważał za doskonalszych od siebie. Na nieszczęście, ideały owe były mniej niż skromne. Jeden z nich nosił włosy rozpolowane na przodzie i rękawiczki wątrobiastego koloru, i otóż pan Ignacy nie używał od tego czasu innych rękawiczek i nie cesał inaczej głowy. Ktoś drugi imponował mu siłą i awanturniczym duchem; wnet zatem Panewka zapragnął mu dorównać: porwał się na jakiegoś drągala, był przez niego sromotnie pobity i w dodatku poszedł do kozy na parę dni.

Ponieważ Durski miał przysłowie: „panie“ i mógł wypić odrazu kilkanaście kufli, więc i Panewka mówił „panie“ i przepijał cały zarobek. Usłyszawszy raz, że ktoś tam zjadł dwanaście jaj na twardo, idealista postanowił spróbować tej samej sztuki i dostał zapalenia kiszek, z którego ledwie się wyliżał po kilku miesiącach.

Na tej nierozwiniętej, a gwałtownie wydzierającej się ku lepszemu duszy sierota zrobił ogromne wrażenie. Panewka znowu zapragnął go naśladować. Ponieważ Jaś był ładny, pan Ignacy zatem całe godziny spędzał przed lustrem, badając: o ile jego pąkowaty nos, szerokie usta i kanciaste policzki czynią go podobnym do miłego chłopczyny?. Jaś nosił włosy krótkie, i wnet Panewka ostrzygł głowę przy samej

skórze, uwydatniając tym sposobem wielkie i odstające uszy. Jaś Durskiego tytułował tylko „panem“, i otóż Ignacy począł mówić: „panie“ i „pani“, zamiast, jak dotychczas: „panie majstrze“ i „pani majstrowo“. Że jednak reformy te szły mu niezgrabnie, wyśmiali go więc wszyscy, nieboraka, a Jaś od pana Kalasantego dostał za uszy.

„Szukajcie królestwa Bożego“ — mówi Pan; Ignacy szukał go, lecz nie umiał znaleźć. Czuł on, że jaja na twardo nie zrobiły go doskonalszym, ani ostrzyżenie włosów podobnym do Jasia. Co gorsza, nie wiedział nawet, jakie przymioty chłopca czyniły go tak sympatycznym?

Pewnego razu, gdy byli sami, zapytał sieroty:

— Widziałeś ty kiedy człowieka uczciwego na świecie?...

Ale takiego, że nu!...

— Oj, oj! — odparł Jaś potakująco.

— Kto on taki?

— A pan Anzelm i ...moja mama... — dodał ciszej.

— Cóż oni takiego zrobili?...

— Oni wszystko dobrze robili!... odpowiedział chłopiec.

„Wszystko dobrze robili!“... W tem to i sęk. Panewka też dobrze robił — krawiecczynę; ale o reszcie dobrych czynów nie wiedział. W pierwszej chwili chciał nawet zapytać Jasia: co to znaczy robić dobrze? Ale przyszło mu na myśl, że jest przecie czeladnikiem, a Jaś terminatorem, dał więc spokój. Odtąd jednak coś go trapiło we wnętrzu, i czy się ubierał, czy krajał, czy pił, zawsze myślał: co to znaczy robić dobrze, ale tak dobrze, że to nu!... Był on ziemią, która oczekiwała niebieskiej rosy.

Innym razem słyszał Panewka, jak Jędrus mówił do chłopców:

— Ten podły Jasiak psuje nam interesy! Nie chce nic brać od kundlemanów za odnoszenie, a jak co wytarguje na mięsie, to oddaje majstrowej... Lizus!...

Biyskawica oświeciła ciemny umysł Panewki; przeczuł on, że oddawanie pieniędzy majstrowej należeć musi do czynów dobrych.

¹⁾ Słynny krawiec paryski.

Ponieważ na drugi dzień przypadała niedziela, więc pan Ignacy (który nie mieszkał u Durskiego), wybrał się z wizytą do Jasia. Zastał go na strychu, gdzie wszyscy terminatorzy sypiali.

Po krótkiej pogadance, która się ciągle urywała, czeladnik nagle zapytał chłopca:

— Dlaczego ty sobie nie bierzesz koszykowego, głupi?... Miałbyś przecie trochę własnych pieniędzy...

— Ja nie chcę kraść! — odparł z oburzeniem sierota.

— Głupi, głupi! — mruczał zmieszany Panewka, usiłując nadrobić minę. — Przecież, co utargujesz w jatce, to twoje.

— Co to, to chyba nie! — odpowiedział Jaś. — Jeżeli się potrzeba z czem kryć, to już jest źle.

Ignacy oparł wielką głowę na rękę i po długim milczeniu zapytał:

— No, a jeśli by kto brał tak: guziki, igły, nici, albo kawałek aksamitu, to także źle?...

— Rozumie się! przecie to złodziejstwo.

Czeladnik wyprostował się, jak sprężyna; przeszedł się parę razy po strychu; począł mówić:

— Głupstwo!... Jak będziesz brał choćby igły i nici z warsztatu, to ci fuszerka taniej wypadnie i możesz pójść czasem na Pragę, a czasem do teatru. A jak nie będziesz brał, to i nic nie zarobisz i jeszcze cię inna czeladź nazwie durniem. Co ci z tego przyjdzie, że majstrowi jakiś tam kawałek podszezwczyny albo kortu zostanie?...

— Będę wiedział o tem, że robię dobrze!... Inni niech gadają, co chcą! — odpowiedział Jaś krótko.

Nowa błyskawica olśniła Ignacego. Do tej pory sądził on, że tylko to jest dobre, co ludzie chwala; teraz poznał, że nad opinią ludzką istnieje wyższy probierz: przekonanie o dobrem. Nie można powiedzieć, aby o probierzu tym nie słyszał nigdy; dziś jednak, pod wpływem przywiązania do sieroty, poczuł i zrozumiał jego wartość.

Odtąd był to już inny człowiek, a w ciągu następnych kilku tygodni pan Durski przekonał się, że mu w warsztacie wychodzi mniej materiału.

Bolesław Prus.

24 (11). Żebrak.

Noc była ciemna, zamieć, ślzigawica.
Szedł jakiś młodzian, porządnie ubrany,
Wtem, jakby na złość, gdzie wąska ulica,
Stoi staruszek, okryty lachmany,
I żebrze.

— „Wstydz się, czyż to żebrać pora?

Któż to jałmużny prosi śród wieczora?”

— „Panie! po licu mojem spójrz wybladłem,
Daj mi grosz jaki, jeszcze dziś nie jadłem.”

— „Ej! daj mi pokój, nic nie mam, nie mogę” —

Ofuknął młodzian i szedł w dalszą drogę.

Idzie i myśli: — „Oj! znam was, filuci¹⁾,

Miejscy próżniacy, ze wstydu wyzuci;

Wziął lichą odzież, aby litość wzbudzić,

I lezie gwałtem, aby co wyludzić.”

Idzie, znów myśli: „Można w gniewie zbłądzić,

Nie trzeba nigdy źle o bliźnim sądzić.

A może biedny, może ma i dzieci?

Zajdę, gdzie w bramie tej ogień się świeci,

Dam mu co...”

Zaszedł, lecz coś szukał długo;

„Nie mam nic drobnych... dam mu razą drugą...”

Słabość jest zbytnią unieść się szcudrołą,

Nie tak to łatwo nabywa się złoto.”

Idzie, znów myśli: „Choćbym dał dukata,

Niewielka dla mnie byłaby to strata;

Wszak mam ich kilka, a bez mej pomocy

Może staruszek ten umrze tej nocy.

Lecz gdzież już wracać? — spóźnię się na wiska...²⁾

Ale biednego tego głód przyciska

.....

A. Górecki.

¹⁾ Oszuści. — ²⁾ Wisk, wist — nazwa gry w karty.

25. Urbanowa.

Ktoby to pomyślał, że nazwisko, które potem tak szeroko zasłynąć miało w dziedzinie poezji, usłyszę po raz pierwszy w kuchni, z ust starej, sześć razy na tydzień pijanej kucharki.

A przecież tak było, i to z okazji stłuczonego garnka.

Wogóle garnki tłukły się u nas, jakby na komendę. Z rana bowiem Urbanowej „czegoś się ręce trzęsły“, w południe „wszystko jej z rąk leciało“, wieczorem zaś „cała nie mogła“¹⁾. Jeśli zaś przypadkiem „mogła“, to zwykle wtedy „musiała duchem skoczyć naprzeciwko“²⁾, poczem w kuchni bywało prawdziwe pobjawisko.

Zresztą, jeśli mówię, że garnki się tłukły, to dlatego tylko, że mnie Urbanowa nie słyszy. Nie słyszy ona już oddawna, od bardzo dawna, nikogo... W obecności jej bowiem nie odważyłabym się była nigdy powiedzieć, że się garnek s t ł u k ł. Na to były specjalne określenia, których liczba mnożyła się codziennie, w miarę wzrastającej potrzeby. Garnek mógł się „oberżnąć“, „okroić“, „pęknąć“, „wyszczerbić“, „utrącić“, „wyślizgnąć“ lub zgoła „klapnąć“. Przy takim bogactwie wyrażań, malujących każdy pojedynczy przypadek, już nie wiem, co by za garnek był, żeby się koniecznie upierał przy tem, jako został „stłuczony“.

A ponieważ żaden s t ł u c z o n y nie był, przeto Urbanowa nigdy ich nie wyrzucała, ale takich inwalidów, rzędami ustawionych, miała w kuchni całe police i utrzymywała cały ten lazaret w największym porządku.

Każdy niedobitek miał nie tylko swoje miejsce, ale także i swoją historję.

Kiedy trzeba było obiad gotować, Urbanowa zdejmowała pierwszy z nich, wzdychając i kiwając głową.

— Jeszczebyś ty pożył, nieboraku, żeby nie fajerka... Garnek był, jak rzepa... Taki dzwon miał, że to ha!

*Stawiała go i zdejmowała inny.

— Garncowy garnek... żebym tak zdrowa była! Jaka to polewa!... On jeszcze dziś więcej wart, niż drugi cały... Stawiała go i wzdychała mocniej jeszcze, poczem sięgała po trzeci.

— Na kanonickim rynku go kupiłam... Dziś sześć tygodni... Nie, lę!... Dziś pięć tygodni i trzy dni... Złoty i groszy sześć dałam za niego. Żebym tak jutra doczekała, jak sprawiedliwie mówię... Żeby się nie był utracił, toby do roku wytrzymał... Garnek, jak szkło...

Z kolei brała czwarty. Ten zawsze ją zastanawiał najmocniej. Opukiwała go, przeglądała pod światło i kręciła głową.

— I niech tu kto mądry będzie, którędy on ciecze?... [^] ciecze, choroba!...

I tak szło dalej i dalej, póki ten, w którym już naprawdę rosół wstawiać miała, z trzęsących się rąk jej nie rymnął na ziemię.

Wtedy nastawał sądny dzień w kuchni.

— Masz, babo, reduć¹⁾! — wołała Urbanowa, uderzając w suche, pomarszczone ręce. — Znowu skorupa! A bodajżeś załsnu!²⁾... Nienastarczone rzeczy z temi skorupami... No, i rób, co chcesz! Taki nowy garnek... A bodajżeś zmarniał!... Pólsiódma czeskiego³⁾ dałam... Tygodnia niema... A żeby to choroba z takim gospodarstwem!... Ale to tak, kiedy żelaznych garnków w domu niema, tylko same skorupy...

— Jakem była u państwa Asnyk, to tam nijakich skorupianych garnków nie było. Same żelazne, jeden w drugi, jak wybrane... Żebym tak jutra doczekała, jak nie lę!... Same żelazne!... Żebym tak mego Jaśka szczęśliwie wychowała!...

Po tym pierwszym wybuchu do wieczora już było w kółko jedno i to samo.

U państwa Asnyk było tak a tak, u państwa Asnyk nigdy tego nie bywało, u państwa Asnyk tego nauczona, u państwa Asnyk do tego nie nawykła... słowem gotowy prejudyk⁴⁾

¹⁾ Reduta — ~~hal~~ maskowy. — ²⁾ t. j. oślepl. — ³⁾ Moneta wartości 6 groszy. — ⁴⁾ Prejudyk — wyrok, stanowiący wskazówkę dla późniejszych wypadków.

¹⁾ Zaniemogła. — ²⁾ t. j. do szynku.

na każdą porę dnia i nocy i na wszystkie życia kuchennego wypadki.

Przyszło do tego, że bardzo wiele rzeczy dla świętego spokoju, robiło się u nas tak, jak „u państwa Asnyk“.

Jedne żelazniaki szły jakoś oporem, gdyż ojciec mój był na tym punkcie twardym konserwatystą¹⁾ i utrzymywał, że dobry rosół tylko z glinianego garnka być może.

Stąd powstawały różne zaburzenia, którym nie umiałam zapobiec, lubo bylam bardzo poważną, dziesięcioletnią osobą, trudniącą się naczelnym zarządem naszego sierociego domu, pomiędzy odrabianiem lekcyj do księdza Kubusiewicza a strojeniem lalek.

Tu wyznać muszę z całą pokorą, że, skutkiem zupełnego w owe czasy braku poetyckich przeczuć, nazwisko „państwa Asnyk“, rodziców poety²⁾, obrzydło mi tak, żem go poprostu znieść nie mogła i uciekałam w ostatni kąt, ile razy Urbanowa rozpoczynała swoją Odyseję³⁾ o żelaznych garnkach.

A było tego coraz więcej i coraz częściej. Z początku raz, dwa razy na tydzień, potem codzień, potem jeszcze wieczorkiem, potem od rana do nocy. Jedyny wyjątek stanowiły soboty.

W soboty i ręce mniej się Urbanowej trzęsły, i nie tak jej wszystko z nich leciało, i takiego trajkotania o „państwu Asnyk“ nie było.

Od południa zato grzała Urbanowa wodę, czasem ług nawet, dobywała resztki z całotygodniowych obiadów, szykowała nici i łątki, prosiła mnie o mydło i nawleczenie igły, a wszystko to, popłakując i wycierając nos w gruby kuchenny fartuch, a wyglądając coraz na schody. Nad wieczorem przychodził Jasiek. Wysoki był, chudy, czarniawy, ospowaty i terminował u szewca Pośpieszyńskiego. Lat miał może ze szesnaście. Przychodził zwykle brudny, odarty,

¹⁾ Zachowawcą. — ²⁾ Adam Asnyk, poeta polski, ur. w r. 1830, umarł w r. 1896. — ³⁾ Odyseja — poemat starogrecki o rozlicznych przygodach na morzu i lądzie, potem wogóle długie opowiadanie.

z miną dziwnie wygłodzoną. Urbanowa przyjmowała go szturchańcem w bok lub w kark, gdzie się dało, wpychała go do kuchni i zaczynała płakać. Chłopak całował ją w rękę, siadał na kuferku i patrzył osowiały to na matkę, to na przykryte rynki w kominie.

Dotąd pamiętam i te chmurne, a chciwe w stronę komina spojrzenia, i te jego długie, cienkie nogi w trepach, zwieszające się z wysokiego kufra...

Lubiłam bardzo Jaśka. Raz, że nigdy przy nim nie było mowy o „państwu Asnyk“, a także i dlatego, że mi obiecał uszyć trzewiczki dla najstarszej z moich lalek — Anusi. Cuda, jakie o trzewiczkach owych opowiadał, były niewyczerpanym przedmiotem naszych rozmów, w czasie których zapominałam zupełnie o swojej powadze gospodyni domu, ale, włazłszy na wysoki kuchenny stół, klękałam na nim i, zapatrzona w Jaśka, wycierałam łokcie po kuchennym stole.

Zachwytów wszakże moich nie uwzględniała Urbanowa bynajmniej i wypraszała mnie zwykle za drzwi.

Alé ja i tak widziałam przez dziurkę od klucza, że matka najpierw ściąga z Jaśka spencerek i kamizelczynę, że nalewa potem na miednicę wody, bierze mydło, nagina chłopaka nad stół, przyczem daje mu w kark raz, albo dwa razy, że ściąga mu z rękawów koszulę i szoruje szyję, głowę, twarz, uszy i ręce, czyniąc zaś to wszystko, co chwila nos uciera i płacze.

Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego? Czy że koszula była taka czarna, jak sadze, czy że na grzbiecie chłopaka było tyle sińców, czy że mu żebra omal nie wylazły przez skórę...

Wymywszy Jaśka, dobywała Urbanowa czystą koszulę, z którą chłopak siedł za komin, a gdy wylazł z tej kryjówki już obleczony, czesała go, szturkając w kark, jeśli nie dość głowę przychyłał, przyczem znów zaczynała płakać i nos wycierać co chwila. Po tej dopiero operacji dobywała z pieca rynki i garnuszki, a kiedy Jasiek jadł, łała jego „branie, popłakując i wycierając ciężko. Celem mojego czatowania przez dziurkę od klucza było właśnie jak najrychlejsze wypatrzenie tej szczęśliwej chwili. Wpadałam wtedy do kuchni, a Jasiek

zaczął mi na nowo opowiadać, po raz setny może, jakie to będą owe anusine trzewiczki.

Miała¹⁾ je dostać na gwiazdkę, ale nie dostałam, bo Jasiek był srodze czemś zaturbowany.

Tymczasem przyszła wigilja Trzech Króli...

Wieczór był mroźny, pogodny, szopka chodziła po mieście; nie taka tam stajenka malowana, z wołem, osłem i „Małgorzatka, tańczująca z huzarami“, ale prawdziwy teatr, z żywych, mówiących osób, między którymi była śmierć, anioł i djabeł.

Kiedy pokojówka wpadła na schody z krzykiem, że już idą, serce we mnie zatrzęsło się tak, że mój głos wydać nie mogła.

Był to pierwszy teatr, jaki widziałam w mem życiu.

Trzeba było wszakże czekać długą jeszcze chwilę, zanim przedstawienie odbyło się na dole u gospodarza. Myślałam, że się to nigdy nie skończy. Rozległy się nareszcie po schodach ciężkie kroki i brzęki łańcucha, a do stołowego pokoju weszli aktorzy, poprzedzeni przez straszliwie czarnego, z wywieszonym aż na piersi, czerwonym, sukiennym językiem diabła, który się skłonił i rzekł piekielnym basem:

— Niech będzie pochwalony!

Chwyciłam pokojówkę za kaftan. Dusza we mnie zamierała!...

Za djabełm biegł lekkim krokiem minister króla Heroda. Ten miał na sobie obcisłe do kolan pantalone, niebieską zarzuconą na ramię pelerynę z jakiejś rozprutej spódnicy i biret¹⁾, z pięknem białem piórem z angielskiej bibułki.

Dworak skłonił się uprzejmie, wziął krzesło z pod ściany, postawił na środku pokoju, poczem, schyliwszy głowę, drzwi przed monarchą otworzył. Król Herod wszedł chinurny, „w zamysłach“, ze spuszczoną głową; miał długi, czerwony, widocznie z poszwy²⁾ jakiejś zaimprovizowany płaszcz, berło w rękę i złotą koronę. Twarz jego wydała mi się jakby znajoma jakaś...

¹⁾ Biret, beret — czapka rogata. — ²⁾ Poszwa — poszewka na poduszki.

Tuż za nim wsunęła się nieludzko biała śmierć, odziana prześcieradłem, z pod którego wyglądały buty z cholewami, i z kosą w rękę stanęła za królewskim tronem.

Nie widział jej wszakże, zbrodniczym myślom oddany Herod, a rozparłszy się w swojej trochę jeszcze zapierzonej purpurze, rozpoczął sztukę krwawym dialogiem¹⁾.

Zaledwie jednak wymówił pierwsze jego słowa, kiedy ode drzwi dało się słyszeć głośnie klaśnięcie w dłonie i krzyk przenikliwy:

— Jasiek! Mój Jasiek! Mój król! Mój królewicz złoty!

I, zanim Herod mógł się opamiętać, już Urbanowa rzuciła się przed nim na ziemię i w uniesieniu najwyższej radości ręce jego i kraj szaty z płaczem całować zaczęła.

Zrazu monarcha, nie chcąc wychodzić ze swej roli, próbował monologować²⁾ dalej; nagle przecież głos mu się złamał, usta zadrgały, a po zbladłej twarzy lzy, niby iskry srebrne migąły jedna za drugą...

Zrobiło się zamieszanie. Minister głośno sarknął, że się król „na nic zgapił“. Śmierć radziła raz jeszcze wszystko rozpocząć na nowo, tło zaś tej jedynej w swoim rodzaju sytuacji³⁾ tworzył piskliwy, perliczy⁴⁾ głos anioła, który od początku przedstawienia w równych odstępach wyśpiewywał z za pieca: *Gloria! Gloria in excelsis Deo*⁵⁾!

I znowu:

Gloria! Gloria in excelsis Deo!

Co do diabła, ten ani na chwilę nie stracił rezonu⁶⁾; ale, stanąwszy przed królem Herodem, uderzył w podłogę wielkim czarnym dragiem i, brzęknąwszy łańcuchem, zarzyczał:

„Zaklinam cię, przeklinam cię przez ten kij dębowy!“...

Na widzach zrobiło to piorunujący efekt⁷⁾, a monarsze przywróciło straconą równowagę umysłu. Ponieważ zaś Józka, pokojówka, i młodsza z drugiego piętra odciągnęły tymczasem

¹⁾ Dialog — rozmowa. — ²⁾ Monologować — przemawiać do siebie samego (na scenie). — ³⁾ Sytuacja — położenie, zdarzenie. — ⁴⁾ Od: perlica, perliczka. — ⁵⁾ Chwała Panu na wysokościach (łac.). — ⁶⁾ Tu: przytomności. — ⁷⁾ Wrażenie.

Urbanową na stronę, przedstawienie odbyło się szczęśliwie, aż do tej stanowczej chwili, kiedy król, ścięty kosą śmierci, opuszcza na ramię ukoronowaną głowę, a djabeł nadziewa go na widły mówiąc:

„Królu Herodzie! Za twe zbytki
Pójdź do piekła, boś ty brzydki!”

.....
(Od owej szopki to i owo zmieniło się u nas.

Garnki wprowadzie po dawnemu się tłukły, ale o „państwu Asnyk“ nie było tak często mowy. Zato czas zaczął się liczyć w naszej kuchni od całkiem nowej ery.

— O la Boga! — mówiła teraz Urbanowa — a toć ja ten garnek kupiłam w tydzień potem, jak Jasiek był królem! A on już ciecze, choroba!

Albo też:

— Ale gdzie zaś, panienko! Przecie my ten sążęć drzewa zaczęli akurat trzy dni przedtem, nim Jasiek był królem!

A mówiła to z taką powagą, z takim przekonaniem, jakby królestwo Jaśka było spełnionym faktem¹⁾ politycznym i dało się w ściśle oznaczonych granicach na karcie geograficznej wykazać. Zaczęła też w tym czasie przebąkiwać, że musi Jaśka od Pośpieszyńskiego odebrać, bo „co mu ta po siewstwie“.

Jeszcze i w tem zaszła zmiana, że Urbanowa nie myślała teraz króla Heroda sama, ale, szturchnąwszy go na powitanie, nalewała wody, dawała mu mydło do ręki i kazała samemu sobie „kosierować“²⁾ — jak mówiła — uszy, twarz, szyję i głowę, tylko, stojąc nad nim, pilnowała, żeby to zrobił „dokumentnie“³⁾. Czesania przecież nie wyrzekła się jeszcze.

Mniej się jej także ręce jakoś trzęsły. Do dawniej już uprzywilejowanej pod tym względem soboty przybyła teraz i niedziela jeszcze.

¹⁾ Fakt — wypadek. — ²⁾ Myć dokładnie, szorować. — ³⁾ Dokładnie

W niedzielę po południu, uprzątnąwszy kuchnię, otwierała Urbanowa swój wysoki kufer i, wydobywszy z niego monarszą Jaśka purpurę, tudzież koronę z pozłotka¹⁾, kładła je na swoim łóżku i przypatrywała im się długo z uśmiechem na zwiędłych ustach, kiwając głową i ocierając oczy świeżo wypranym fartuchem.

Jeśli chłopak przybiegł do matki, to go prosiła:

— Mój Jasiek! Mój złocisty! Zawdziejno na siebie ten ornat i koronę!... Niech ja się ciebie napatrzę! Niech ja się nacieszę!

Jasiek się wzdragał, ale zwykle kończyło się na tem, że „zawdziewał“, co matka chciała, a stara uderzała z klaskiem w dłonie, wołając:

— Istny król! Na króla się rodził! Żeby tak zdrowa była, jak na króla! Przypatrzcie się, moi ludzie... Istny król!...

Był to wszakże ciągle jeszcze ten sam czarniawy, chudy, ospowaty dragał, tylko, że purpura coraz krótszą na niego się stawiała.

Czasem też recytował²⁾ swoją rolę. Słuchałam go z zachwytem, a Urbanowa zalewała się łzami. Żaden, najgenjałniejszy nawet tragik³⁾ nie miał tak wzruszonych słuchaczy.

W trzy lata coś potem — podlotkiem już byłam — przyniósł ktoś wiadomość, że Urbanowa dogorywa w bliskiej suterynie. Jak stałam, tak zbiegłam po schodach. Oddawna już wprowadzie stara pijaczka nie służyła u nas, ale zawsze bardzo ją lubiłam.

Kiedym weszła, nie widziałam nic zrazu w tej wilgotnej, dusznej izbie, bo pod pułapem błąkały się dymy ze spalonego świeżo przez kumoszki „ziela“. W pośrodku stała kupka kobiet, gwarząc półgłosem o różnych rodzajach śmierci. W głębi, na wysoko zasłanem kraciastą pierzyną łóżku, leżała stara Urbanowa. Twarz jej zaszła już cieniem śmierci; nikły oddech ledwo piersi jej poruszał, oczy tylko z wyrę-³⁾em błogości i zachwyty wzniesione były do góry.

¹⁾ Pozłotek — papier złocony. — ²⁾ Deklamował. — ³⁾ Aktor, grywający w tragedjach.

Lewa jej ręka przytrzymywała zapaloną gromnicę, prawa leżała na ramieniu Jaska, który, wstrząsany głuchym łkaniem, z twarzą ukrytą w matczynej pierzynie, klęczał przy łóżku w królewskiej purpurze i złotej koronie na głowie.

Z pod purpury ukazywały się oddawna widać nie łatanę przez matkę, stare, spłowiałe spodnie i trepy na bosych, wychudzonych nogach.

Marja Konopnicka.

26 (26). Poranek mglisty.

Nieznacznie z wilgotnego wykradał się mroku
Świt bez rumieńca, wiodąc dzień bez światła w oku.
Dawno wszedł dzień, a jeszcze ledwie jest widomy.
Mgła wisiała nad ziemią, jak strzecha ze słomy
Nad ubogą Litwina chatką; w stronie wschodu
Widać z bielszego nieco na niebie obwodu,
Że słońce wstało, tedy ma zstąpić na ziemię;
Lecz idzie niewesoło i po drodze drzemie.

Za przykładem niebieskim wszystko się spóźniło
Na ziemi; bydło późno na paszę ruszyło
I zdybało zające przy późnem śniadaniu.
One zwykły do gajów wracać o świtanu,
Dziś, okryte tumanem, to mokrzyć chrupią,
To, jamki w roli kopiąc, parami się kupią
I na wolnem powietrzu myślą użyć wczasu;
Ale przed bydlętem muszą powracać do lasu.

I w lasach cisza. Ptaszek zbudzony nie śpiewa;
Otrząsnął pierze z rosy, tuli się do drzewa,
Głowę wciska w ramiona, oczy znowu mruży
I czeka słońca. Kędyś u brzegów kałuży

Klekce bocian: na kopcach siedzą wrony zmokłe,
Rozdziawiwszy się, ciągną gawędy rozwłokłe,
Obrzydłe gospodarzom, jako wróżby słoty.
Gospodarze już dawno wyszli do roboty.

Już zaczęły żniwiarki swą piosnkę zwyczajną,
Jak dzień słotny, ponurą, tęskną, jednostajną,
Tem smutniejszą, że dźwięk jej w mgłę bez echa wsiąka.
Chrzęsneły sierpy w zbożu, ozwała się łąka,
Rząd kosiarzy, otawę¹⁾ siekących, wciąż brząka,
Pogwizdując piosenkę; z końcem każdej zwrotki
Stają, ostrzą żeleźca i w takt kują w młotki.
Ludzi we mgle nie widać, tylko sierpy, kosy,
I pieśni brzmią, jak muzyk niewidzialnych głosy.

Adam Mickiewicz.

27 (27). Odpust na wsi.

Hej, radosny ci to był dzień, wesoly i prawdziwie odpustowy. Dzwony bimbały długo, i te głosy jęklive leciały we świat tak rozgłośnie, aż chwiały się źdźbła, aż płoszyły się ptaki; ale śpiżowe serca były wciąż, były miarowo, mocno i górnio, wynosząc się ku słońcu tą przejmującą pieśnią i wołaniem:

- „Zmiłuj się! Zmiłuj! Zmiłuj!”
- „Matko Przenajświętsza! Matko! Matko!”
- „I ja proszę! I ja! I ja!”

Śpiewały serdecznie, obwołując zarazem uroczyste święto. Jakoż i czuło się w powietrzu święty dzień odpustowy, święto było po chatkach, przystrojonych zielenią, w dalach, przebły-skujących, kieby zapalonemi świecami, w radosnych głosach i w tem cosik, czego nie wypowiedzieć, a co się unosiło nad polami, rozpierając serca lubą cichością i weselem.

¹⁾ Trawa, wyrastająca powtórnie na łące.

A naród śpieszył tłumnie na owo święto i walił ze wszystkich stron. Kłęby kurzawy toczyły się nieustannie nad wszystkimi drogami, turkotały wozy, rżały konie, leciały głosy przeróżne, wiązały się głośnie rozmowy; czasem ktoś wychylał się z półkoszów i krzykał do pieszych, gdzie znowu śpieszył zapóźniony dziad, jęklawie przyspiewując, a po wozach niektórych szeptano pacierze, pozierając dokoła z niemym podziwem, gdyż ziemia stała przystrojona, kieby na te gody weselne, cała we kwiatkach i zieleni, i cała w ptasich śpiewaniach, w chrzęstach zbóż i brzęku pszczoł, a taka cudna, nieobjęta, weselna i przenajświętsza w onej mocy żywiącej, jaże piersi zapierało i lzy same cisnęły się do oczów. Kwitnęło już bowiem wszystko.

Drzewa po miedzach stały, kieby na stróży, zapatrzone w słońce, a dołem, jak okiem sięgnąć, leżały pola zielone, szumiące, jak wody wzburzone, i jak wody, przewalały się niekiedy ze strony na stronę, bijąc o wszystkie drogi, miedze i rowy, co migotały, kiej te wstęgi, kwietne, szczerze przepiecione puszystą bielą, żółtością i fioletem, kwitnęły już bowiem owe ostróżki przeróżne, kwitnęły powoje, patrzące z żytnich gąszczów przytąjonemi, pachnącemi oczami, kwitnęły modraki¹⁾, miejscami, kaj ździebko wymiękło, tak gęsto, jakby tam niebo się kładło, kwitnęły wyczki całemi kępami, a one jaskry, a mleczce i krwawe osty, a ognichy i koniczyny, a stokrotki, a rumianki dzikie, a tysiąc inszych, o których jeno sam Jezus pamięta, boć Jemu tylko kwitną i tak pachną, że prosto czad bił od pól, kieby w kościele, w czas Podniesienia, gdy Jegomość okadza Sakramenta.

Ten i ów pociągał nosem z lubością, a konia batem okładał i pośpieszał, gdyż słońce prażyło coraz ogniściej, jaże śpik morzył, że już niejeden srodze łbem kiwał.

To i pokrótce Lipce napęłniły się narodem po wręby.

Jechali bowiem i jechali bez przestanku, że już wszędy, na drogach, dokoła stawu, pod błotami, w podwórzach i kaj

¹⁾ t. j. chabry, bławatki.

jeno było można zachwycić nieco cienia, ustawiały się wozy i wypręgano konie, bo na placu przed kościołem była już taka gęstwa i tak wóz stał przy wozie, że ledwie się przecisnął.

Lipce prosto ginęły w tej nawale ludzi, wozów i koni.

Rwetes też był coraz większy, gwary i krzyki podnosiły się nad całą wsią.

Naród szumiał, kiej bór rozkolebany. Kobiety obsiadały staw moczyć nogi, wzuwać trzewiki, a ogarniać się przystojnie do kościoła, chłopci rajcowali kupami, zmagając się ze somsiady, zaś dziewczuchy i chłopaki cisnęły się łakomie do kramów i bud, a głównie do katarynki grającej, na której jakiś zwierz zamorski, czerwono przystrojony, czynił takie pocieszne skoki a figle, jaże się za boki brali ze śmiechu.

Katarynka przygrywała zawzięcie i na taką nutę, jaże niejednemu kulasy¹⁾ drygały, a jakby do wtóru i dziady, usadowieni we dwa rzędy od kruchty do placu, jęły wyciągać swoje pieśni prośalne, zaś w samych wrotniach cmentarza siedział ślepy, tłusty dziad, co go to zawdy pies prowadzał, i śpiewał najzarliwiej i najcieniej wyciągał.

Ale, skoro jeno zasygnowali²⁾ na sumę, naród porzucił zabawy i, kiej wezbrany potok, lunął do kościoła i tak go napchał, jaże zebra trzeszczały, a ciągiem jeszcze przybywali nowi, gniotąc się, przechylając, a nawet swarząc, że większość musiała ostać na dworze, tuląc się pod mury i drzewa.

Przyjechało też paru księży z drugich parafij, zasiedli zaraz w konfesjonałach pod drzewami słuchać spowiedzi, nie bacząc zgola na tłok ni na spiekę.

A wiatr był całkiem ustał i gorąc podnosił się już nie do wytrzymania, żywy ogień lał się prosto na głowy; ale naród cierpliwie gniótł się przy konfesjonałach i roił po cmentarzu, nadarmo wyszukując cienia lub jakiej bądź osłony.

Zaraz też huknęły organy i zaczęła się suma, przyklekli wszyscy, poprzyśiadali, a jeli się żarliwie pacierzy.

¹⁾ t. j. nogi. — ²⁾ t. j. zadzwonili.

Rychtyk i południe stało, słońce zawisło prosto nad głowami, lejąc warem straszliwym, i wszystko jakby pomału z onej spieki, że ni liść nie zadrgał, ni ptak przeleciał, ni jakibądź głos powiał z pól. Prażyło, że niech Bóg brani. Niebo wisiało w martwej cichości, kiej ta szklana tafla, rozpalona do białego, a roztrzęsione, niby wrzątek, powietrze ślepiło, wyżej oczu. Parzyła ziemia, parzyły rozgrzane mury, że klęczeli bez ruchu, ledwie już zipiąc i jakby się zwolna gotując w tym ukropie słonecznym.

Naród się modlił w głębokiej cichości, kto na książce, kto na różańcu, a kto jeno tem szczerem słowem Boga chwalił i wzdychem serdecznym; uroczyste głosy organów lały się brzękliwym, rozmodlonym pacierzem, a niekiedy śpiew buchał od ołtarza, czasem zajazgotały dzwonki, a czasem zahuczał grubachny głos organisty, zaś potem ciągnęły się długie, jakby oniemiałe z żaru chwile, i dymy kadzideł płynęły przez wywarte drzwi kościoła, oprzędzając w niebieskawą i wonną mgłę pochylone głowy klęczących.

Szmer pacierzów rozdzwaniał się nikłym i sykim chrzęstem w rozbielalej ciszy gorącego przypołudnia, i grały w słońcu barwiste chusty, kapoty i welniaki, że cały cmentarz widział się, kieby przytrząśnięty kwiatami, co się chyliły kornie w onej świętej godzinie przed Panem, jakoby utajonym w tem słońcu rozgorzałem i we wszystkiej cichości świata...

Że tylko niekiedy co tam ktoś grzbiet prostował, rozводził ręce i wzdychał głęboko, to gđziesik zapłakało dziecko, albo kwik koński roznosił się od wozów.

Nawet dziady pocichły, tyle jeno, co poniektóry przez śpik wyrywał się niekiedy z głośniejszem Zdrowaś i o wspomnienie zaskamlał.

A upał jeszcze się wzmaczał i tak prażył, że pola i sady, zalane pożogą, rozżarzyły się, kiej ogień, migocąc białawemi płomieniami.

Cichość była coraz senniejsza, że już niejeden zachrapał na dobre, niejeden kiwał się klęczący, zaś drudzy wychodzili

się rzeźwić, gđż raz po raz skrzypiały kajś studzienne żórawie.

Dopiero w czas procesji, kiej kościół zatrząsł się od śpiewań, kiej jęły walić chorągwie, a za niemi wyzierał ksiądz pod czerwonym baldachem z monstrancją w rękach, prowadzony przez samych dziedziców, naród przecknął i ruszył wraz z procesją.

Zadzwoniły dzwony, śpiew buchnął ze wszystkich gárdzieli i bił jaże kajś ku słońcu, mocny, ogromny, serdeczny, a procesja opływała zwolna białe, rozpalone mury kościoła, kiej ta rzeka wezbrana. Czerwony baldach płynął na przdzie, cały w dymach kadzielnich, że jeno chwilami błyskała złota monstrancja, migotały rzędy światel, rozwinięte chorągwie, niby ptactwo, łopotało nad mrowiem głów, chwiały się obrazy, przystrojone w tiule a wstęgi, i były radośnie dzwony i grzmiały organy: a naród śpiewał z uniesieniem, całym sercem i wszystką duszą tęskliwą wynosił się kajś, jaże w niebiosy, jaże ku temu słońcu przenajświętszemu.

Wł. St. Reymont.

28 (28). Obrazek sielski.

Widać wioskę hen — daleko,
Pośród drzew,
Z wierzb szelestem pońad rzeką
Płynie śpiew:
To słowika piosnka dzwoni,
Za nią echo goni, goni,
Gra i gra!...

Idą w pole ludzie gwarno
Z myśliwskich dróg —
Ziemie świętą, ziemie czarną
Kraje pług:

Żeby w słońcu pierś ogrzała
I stokrotny plon nam dała
Macierz ta.

Na jesienny posiew orzem
Czarny pas,
Aż zaszumi pole zbożem,
Niby las.

Trzeba skończyć w czas z oraniem.
Nim z sierpami do żniw stanem,
Naszych żniw.

Hej! jak srebrnie pole kwitnie
Wszereż i wzdłuż,
Wnet wystrzelą kłosa żytnie.
Złoto zbóż —
Czasem dmuchnie wiatr nad błonią,
Aż pochyla się, pokłonią
Fale niw.

Za górami, za lasami
Obcych ziem
Wielkie morze grzmi falami.
Wiem ja, wiem!...
Nad tę dziką piosnkę morza
Wolę senny szelest zboża
Naszych pól.

Wśród zielonych, drżących lekko
Ziemii szat
Bławatkową swą powieką
Błyśnie kwiat:
Z szmaragdowej tej topieli
Czasem kraśny mak wystrzeli,
Łanów król!

Kolysze się łąn zielony
Wzdłuż i wszereż,
Wschodzi słońce; srebrne dzwony
Grają z wież:
Idzie ludek do kościoła,
Bo ksiądz czeka, dzwonek woła:
„Śpiesz się, śpiesz!”

Po kościele do gospody
Płynie tłum,
Z skrzypką idzie bas w zawody,
Gwar a szum...
Hej! w pias ze mną pójdź, dziewczeczko,
A skrzysz ognia, podkóweczko,
Ostro skrzysz!...

K. Gliński.

29. Stary sługa.

Obok starych ekonomów, karbowych i leśników, drugim typem, niknącym coraz bardziej z powierzchni ziemi, jest stary sługa. Pamiętam za czasów mego dzieciństwa służył u rodziców moich jeden z tych mamutów ¹⁾, po których wkrótce tylko kości na starych cmentarzyskach, w pokładach grubo zasypanych niepamięcią, od czasu do czasu będą badacze odgrzebywali. Nazywał się Mikołaj Suchowolski, był zaś szlachcicem ze wsi szlacheckiej Suchej Woli, którą często w gawędach swych wspominał. Ojciec mój odziedziczył go po ś. p. rodzicu swoim, przy którym za czasów napoleońskich wojen był ordynansem ²⁾. Kiedy w służbę do dziada

¹⁾ Zwierzę przedhistoryczne; człowiek przestarzałych przekonań.
— ²⁾ Żołnierz, posługujący oficerowi.

mojego nastał, sam nie pamiętał ściśle, a zapytany o datę, zażywał tabaki i odpowiadał:

— Ta, byłem jeszcze gołowasem, a i pan pułkownik, Panie, świeć nad jego duszą, jeszcze koszulę w zębach nosił.

W domu rodziców moich pełnił najrozmaitsze obowiązki: był kredencierzem ¹⁾, lokajem; latem w roli ekonoma chodził do żniwa, zimą do młocarni, posiadał klucze od składu wódczanego, od piwnic, od lamusu ²⁾; nakręcał zegary, ale przedewszystkiem zrzędził.

Człowieka tego nie pamiętam inaczej, jak mruczącego. Mruczał na ojca mego, na matkę: ja bałem się go, jak ognia, choć go lubilem; w kuchni wyrabiał brewerję ³⁾ z kucharzem, chłopaków kredensowych ciągnął za uszy po całym domu i nigdy z niczego nie był kontent. Kiedy zaproszył głowę, co stałe zdarzało się co tydzień, omijali go wszyscy, nie dlatego, żeby pozwalał sobie robić burdy ⁴⁾ z panem lub panią, ale że jak się do kogo przyczepił, to chodził za nim choćby przez cały dzień, kawęcząc i gderając bez końca. W czasie obiadu stawał za krzesłem ojca i, choć sam nie posługiwał, ale doglądał posługującego chłopca i zatruwał mu życie ze szczególniejszą pasją.

— Oglądaj się, oglądaj — mruczał — to ja ci się obejrzę. Patrzcie go! nie może duchem ⁵⁾ usługiwać, tylko będzie nogami włóczył, jak stara krowa w marszu. Obejrzyj się jeszcze raz. On nie słyszy, że go pan woła. Zmień pani talerz. Czego gębę otwierasz? co? Widzicie go! przypatrzcie mu się!

Do rozmowy, prowadzonej przy stole, stałe się wtrącał i stałe był wszystkiemu przeciwny. Nieraz bywało, ojciec odwrócił się przy stole i mówi:

— Mikołaj powie po obiedzie Mateuszowi, żeby założył konie: pojedziemy tam a tam.

¹⁾ Sługa, doglądający kredensu, czyli izby, gdzie przechowują się naczynia i przybory stołowe. — ²⁾ Budynek do przechowywania cenniejszych rzeczy. — ³⁾ Kłótnia wrzaskliwa. — ⁴⁾ Awantury. — ⁵⁾ Szybko (z chłopska).

A Mikołaj:

— Jechać? dlaczego nie jechać. Oj jej! Abo to konie nie do tego. A niechta koniska nogi połamią na takiej drodze. Jak z wizytą, to z wizytą. Przecie państwu wolno. Czy ja bronię? Ja nie bronię. Czemu nie! I obrachunek może poczekać, i młocka może poczekać. Wizyta pilniejsza.

— Utrapienie z tym Mikołajem! — wykrzyknął, bywało czasem, zniecierpliwiony mój ojciec.

A Mikołaj znowu:

— Czy ja powiadam, że nie głupi. Ja wiem, że ja głupi. Ekonom pojechał na zaloty do księżej gospodyni z Niewodowa, a państwowby nie mieli jechać na wizytę. Albo to wizyta gorsza od księżej gospodyni? Wolno słudze, wolno i panu.

I tak szło już wkółko bez sposobu zatrzymania starego marudy.

My, to jest ja i mój brat młodszy, baliśmy się go, jak wspomniałem, prawie więcej, niż naszego guwernera, księdza Ludwika, a z pewnością więcej, niż obojga rodziców. Dla sióstr był grzeczniejszy. Mawiał każdej: „panienka“, choć były młodsze, ale nas tykał bez ceremonji. Dla mnie jednak miał on szczególniejszy urok: oto nosił zawsze kapiszony w kieszeni. Nieraz bywało po lekcjach, wchodzę nieśmiało do kredensu, uśmiecham się jak mogę najgrzeczniej, przymilam jak najuprzejmiej i nieśmiało mówię:

— Mikołaju! Dzień dobry Mikołajowi. Czy Mikołaj będzie dziś czyścił broń?

— Czego Henryś tu chce? Ścierkę przypaszę i basta.

A potem, przedrzeźniając mnie, mówił:

— Mikołaju! Mikołaju! Jak chodzi o pistony ¹⁾, to Mikołaj dobry, a nie, to niech go wilcy zjedzą. Lepiejbyś się uczył. Strzelaniem rozumu nie nabierzesz.

— Ja już skończyłem lekcje — odpowiadam nawpół z płaczem.

¹⁾ Piston — część dawnej broni palnej, na który się nakładało kapiszon.

— Skończył lekcje. Hę! skończył. Uczy się, uczy, a głowa jak pusty tornister. Nie dam i kwita. (To mówiąc szukał po kieszeniach.) Jeszcze mu kiedy piston w oko wpadnie i będzie na Mikołaja. Kto winien? Mikołaj. Kto dał strzelać? Mikołaj.

Tak gderząc, szedł do pokoju ojca, zdejmował pistolety, przedmuchiwał je, zapewniał jeszcze sto razy, że się to wszystko na licha nie zdało; potem zapalał świecę, nakładał piston na panewkę i dawał mi mierzyć, a wtedy nieraz jeszcze miałem ciężki krzyż do zniesienia.

— Jak on to ten pistolet trzyma — mówił. — Gdzie tobie świece gasić, chyba jak dziadowi w kościele! Na księdza ci iść, zdrowaśki odmawiać, ale nie być żołnierzem.

Swoją drogą uczył nas swego dawnego wojennego rzemiosła. Często po obiedzie ja i mój brat uczuliśmy się maszerować pod jego okiem, a z nami razem maszerował i ksiądz Ludwik, który to robił bardzo śmiesznie.

Wtedy Mikołaj poglądał na niego z pod oka, a potem, choć jego jednego najwięcej bał się i szanował, nie mógł przecie wytrzymać i mówił:

— E! kiedy to jegomość akurat tak maszeruje, jak stara krowa.

Ja, jako najstarszy, najbardziej byłem pod jego komendą, najwięcej też cierpiałem. Swoją drogą stary Mikołajsko, gdy oddawano mnie do szkół, beczał tak, jakby się największe nieszczęście wydarzyło. Opowiadali mi rodzice, że potem jeszcze bardziej stetryczał i nudził ich ze dwa tygodnie: „Wzięli dziecko i wywieźli,” mówił. „A niechta umrze! Uu! u! A jemu poco szkoły. Abo to on nie dziedzic? Po łacinie się będzie uczył? Na Salomona chcą go wykierować. Co to za rozpusta! Pojechało dziecko, pojechało, a ty, stary, łaż po kątach i szukaj, czegoś nie zgubił. Na licha się to zdało!”

Pamiętam, gdym pierwszy raz przyjechał na święta, spali wszyscy jeszcze w domu. Jakoś dopiero dniało: ranek był zimowy, śnieżny. Ciszę przerywało skrzypienie żórawia od studni na folwarku i szczekanie psów. Okiennice były w domu

pozamykane, tylko okna w kuchni gorzały jasnym światłem, barwiącem na różowo śnieg, leżący pod przyźbą. Zajeżdżam tedy smutny, zmartwiony i ze strachem w duszy, bo pierwszą cenzurę miałem wcale nieszczególną. Ot pro prostu, nimem się opatrzyć, nim przywykłem do rutyny¹⁾ i karności szkolnej, nie umiałem sobie dać rady. Bałem się więc ojca, bałem się surowej, milczącej miny księdza Ludwika, który mnie przywiózł z Warszawy. Znikąd tedy otuchy, aż tu patrzę, otwierają się drzwi od kuchni i stary Mikołaj z nosem, zaczerwienionym od zimna, brnie po śniegu z garnuszkami dymiącej śmietanki na tacy.

Gdy mnie zobaczył: „paniczku złoty, najdroższy!” jak krzyknie i, stawiając szybko tackę, przewraca oba garnuszki, łapie mnie za szyję i poczyną ścisnąć i całować. Odtąd zawsze mnie już tytułował paniczem.

Swoją drogą, przez całe dwa tygodnie nie mógł potem darować mi tej śmietanki: „Człowiek niósł sobie spokojnie śmietankę,” mówił, „a on zajeżdża. Akurat sobie czas wybrał...” i t. d.

Ojciec chciał, a przynajmniej obiecywał mi dać w skórę za dwa mierne z kaligrafii i z niemieckiego, jakie z sobą przyniosłem; ale z jednej strony moje łzy i przyrzeczenia poprawy, z drugiej interwencja²⁾ mojej słodkiej matki, a na koniec awantury, jakie wyrabiał Mikołaj, stanęły temu na przeszkodzie. Mikołaj o kaligrafii nie wiedział, co by to było za stworzenie, a o karze za niemiecki ani chciał słyszeć.

— A cóż to on luter jest, czy szwab jaki? — mówił. Albo to pan pułkownik umiał po niemiecku? albo to pan sam (tu zwracał się do mojego ojca) umie? co? Jakeśmy spotkali Niemców pod... jakże się nazywa? pod Lipskiem i djabeł wie nie gdzie, tośmy, pada, nic nie mówili do nich po niemiecku, tylko, pada, to pada, zaraz pokazali nam grzbiety i, pada, tyle.

¹⁾ Sposób życia i postępowania. — ²⁾ Wmieszanie się.

Stary Mikołaisko miał jeszcze jedną właściwość. Rzadko się rozgadywał o dawnych swoich wyprawach, ale gdy w szczególnych chwilach dobrego humoru się rozgadał, to kłamał, jak najęty. Nie czynił tego ze złą wiarą; może w starej głowie fakty mieszały się mu jedne z drugimi i rosły aż do fantastyczności. Co gdzie usłyszał o wojennych przygodach za czasów lat swych młodych, stosował to do siebie i do dziada mego pułkownika, a święcie wierzył w to, co opowiadał. Nieraz w stodole, pilnując pańszczyźniaków, młójących zboże, jak im zaczął rozprawiać, to chłopci zawieszali robotę i, poopierawszy się na cepach, słuchali z porozdzianymi ustami jego opowiadań. To się, bywało, spostrzegł i w krzyk:

— Czegożeście wyręchtowali¹⁾ na mnie gęby, jak armaty, co?

I znowu łupu! cupu! łupu! cupu! Słuchać było przez jakiś czas odgłos cepów, uderzających o słomę; stary milczał, ale po chwili zaczynał:

— Pisz mi mój syn, że właśnie został generałem u królowej Palmiry²⁾. Dobrze mu tam jest, pada, żold³⁾, pada, bierze wysoki, tylko pada, że mrozy ogromne panują... i t. d.

Sam słyszałem go opowiadającego, że, jak raz rozhukały się konie ulanom w Marjampolu⁴⁾, to ośmnaście ich wpadło raptem przez rogatki do Warszawy. Ilu ludzi natratowały! co to był za sądny dzień, nim je połapano, łatwo sobie wyobrazić. Drugi raz opowiadał, ale to już nie w stodole, tylko nam wszystkim we dworze, co następuje:

— Czy się dobrze biłem? co się nie miałem dobrze bić? Raz pamiętam, była wojna z Austriakiem. Stoję ja sobie w szeregu, no! w szeregu mówię, aż tu podjeżdża do mnie naczelny wódz, niby chcę powiedzieć, od Austriaków, od

strony przeciwnej i pada: „Ej, ty, Suchowolski, znam ja ciebie! żebyśmy, pada, ciebie złapali, tobyśmy, pada, i całą wojnę skończyli.“

— A o pułkowniku nie wspomniał? — zapytał mój ojciec.

— A jakże! przecie wyraźnie mówiłem, że, pada, ciebie z pułkownikiem.

Ksiądz Ludwik się zniecierpliwiał i rzekł:

— Ależ ty, Mikołaju, łzesz, jakobyś osobny żold za to pobierał.

Stary nachmurzył się i byłby się oburknął, ale, że księdza bał się i poważał, więc milczał, a po chwili, chcąc jakoś załagodzić sprawę, mówił dalej:

— To samo mi powiedział i ksiądz Sieklucki, kapelan¹⁾. Jak raz dostałem od Austriaka bagnietem pod dwudziestę, chciałem powiedzieć pod piątę, żebro, było ze mną źle. Ha! myślę, trzeba umrzeć, spowiadam się więc Panu Bogu Wszchemogącemu z moich grzechów przed księdzem Siekluckim, a ksiądz Sieklucki słucha, słucha, a wkońcu powiada: „Bój się Boga, Mikołaju, pada: taćżeś ty wszystko zełgał!“ A ja mu na to: może być, ale sobie więcej nie przypominam.

— I wyleczyli cię?

— Wyleczyli, wyleczyli! Co mnie mieli wyleczyć. Ja sam się wykurowałem. Jak raz nie rozmieszam dwóch nabojuw prochu w kwaterce wódki, jak nie łyknę na noc, tak na drugi dzień wstałem zdrow, jak ryba.

Byłbym więcej nasłuchał się tych opowiadań i więcej wam ich napisał, ale ksiądz Ludwik, nie wiem zresztą dlaczego, zakazał Mikołajowi „do reszty, jak mówił, mi głowy zawracać“.

Henryk Sienkiewicz.

¹⁾ Wymierzili. — ²⁾ Starożytne miasto w Syrii, dawno zburzone — ³⁾ Płaca żołnierza. — ⁴⁾ Miasto powiatowe w b. gubernji suwalskiej

¹⁾ Kapłan, pełniący służbę Bożą przy wojsku lub w prywatnej kaplicy.

30 (60). Powój.

Czemu, biedny powoju,
 W ciągłym trudzie i znoju
 Pniesz się w modre przestworze?
 Wiotka twoja lodyga
 Niebo ściga a ściga,
 A dosięgnąć nie może?
 Zostań, zostań tu lepiej,
 Niech się strzechy mej czepi
 Kwiat twój wąty i błądy
 Tu bezpieczniej, niż w górze:
 Tam pioruny i burze,
 Tam upały i grady.
 Przyszło lato po wiośnie,
 Powój rośnie a rośnie,
 Już podpory nie stało ¹⁾);
 Wietrzyk w ranną go ciszę
 Pomaleńku kołysze,
 A on nuci nieśmiało:
 „Ja uciekam od ziemi
 Wciąż listkami drżącemi,
 Bo mi ziemi nie trzeba;
 Bo marzenia mnie niosą
 Za słoneczkiem, za rosą,
 W górę, w górę, do nieba.
 A jak rosy nie stanie,
 Powiem: woła Twa, Panie,
 Gdym ja dzionek mój cały,
 Jak myśl sięgnie i oko,
 Patrzył w górę, wysoko,
 Choć ubogi i mały.“

Seweryna Duchńska.

¹⁾ Zabrakło.

31 (31).

Zwiedzałem raz z przyjacielem moim, Świateckim, góry wysokie. Zbłądziliśmy, nie znając drogi. Ponieważ noc zapadła i łatwo było gdzieś w przepaści życie postradać, Światecki więc powiada do mnie:

— Słuchaj, Władek! Ciebie większa szkoda, ja więc pójdę naprzód. Jak spadnę, to posiedzisz na miejscu do rana, a rano już sobie jakoś poradzisz.

— Nie ty pójdziesz naprzód — powiadam — tylko ja pójdę, bo mam lepsze oczy.

Na to Światecki:

— Ja pójdę naprzód; wszystko mi jedno, gdzie i kiedy zgine.

Zaczynamy się sprzeczać. Tymczasem robi się ciemno, jak w piwnicy. Koniec końcem, umawiamy się, że pójdziemy na losy. Idziemy. Światecki wyciąga węzelek i rusza naprzód.

Posuwamy się przełęczą. Z początku jest dość szeroko, później coraz wężiej. O ile możemy wymiarkować, w prawo i w lewo są przepaście, pewnie bezdenne.

Grzbiet staje się jeszcze węższy, a co więcej, okruchy zwietrzałych skał usuwają się nam z pod nóg...

— Idę na czworakach, bo nie można inaczej — mówi Światecki.

Rzeczywiście, nie można było inaczej; opuszczamy się więc na czworaki i idziemy dalej, jak dwa szympanse. Ale wkrótce pokazuje się, że i to na nic. Grzbiet skalny robi się nie szerszy od końskiego. Światecki siada na oklep, ja za nim i, opierając się rękoma przed sobą, posuwamy się naprzód. Po niejakiem czasie słyszę głos Świateckiego:

— Władek!

— Co takiego?

— Grzbiet się skończył.

— A co dalej?

— Pusto... Może być przepaść!

— Weźże jaki kamień i ciśnij; posłuchamy, czy długo leci.
W ciemności słyszę, jak Świątecki szuka, by znaleźć
jaki okruh zwietrzałej skały, a następnie mówi:

— Ciśkam... słuchaj!

Nadstawiamy obaj uszu... Cisza!

— Nie słyszałeś nic?

— Nie!

— Ładnieśmy się wybrali; musi być ze sto sążni!

— Ciśnij jeszcze raz!

Świątecki wynajduje większy okruh, ciska... Ani odgłosu!

— Cóż tam? dna niema, czy co? — mówi Świątecki.

— Trudna rada! Będziemy siedzieli do rana.

I siedzimy. Świątecki puszcza jeszcze parę kamieni; wszystko napróżno. Upływa jedna godzina, druga; już może być pierwsza w nocy. Zaczyna padać drobniuchny deszcz. Naokoło ciemność nieprzebita. Dochodzę do przekonania, że, żyjąc między ludźmi, czy w miastach, czy na wsi, nie mamy pojęcia, co to jest cisza. Ta, która nas otacza, aż w uszach dzwoni. Słyszę niemal, jak krew krąży mi w żyłach, a bicie własnego serca słyszę doskonale.

Z początku położenie nasze zajmuje mnie: siedzieć jak na koniu i tuż nad niezgłębioną przepaścią, to się przecie byle komu w stolicy nie trafi! Ale wkrótce robi się zimno coraz dotkliwsze. Świątecki rzucił jeszcze parę kamieni, powtórzył jeszcze parę razy. — Ani słyhu! — I odtąd milczeliśmy ze trzy godziny.

Zdawało mi się, że niedługo powinien się być zacząć brzask. Nagle usłyszeliśmy nad głowami krakanie i szum skrzydeł. Było jeszcze ciemno i nie mogłem nie dojrzeć; ale byłem pewien, że to orły zaczynają krążyć nad przepaścią. Kra! kra! rozlegało się coraz silniej w górze i w ciemności. Dziwiło mnie, że słyszeć tak dużo tych głosów, jakby przelatowały całe legiony orłów. Ale bądź co bądź, zwiastowały one dzień.

Jakoż po jakimś czasie dojrzałem swoje ręce, oparte o brzeg skalisty, potem zarysowały się przede mną plecy Świąteckiego, zupełnie jak czarna sylwetka na cokolwiek mniej czarnem tle. Tło owo bladło z każdą chwilą.

Robiło się coraz widniej. Patrząc, staram się zapamiętać tę zmianę tonu i potroszę w duszy ją malując, gdy nagle przerywa mi okrzyk Świąteckiego:

— Tfy! głupcy!

I plecy jego giną mi z oczu.

— Świątecki! — krzyknę — co robisz?

— Nie wrzeszcz! — powiada — patrz!

Pochylam się, spoglądam — cóż się pokazuje? Oto siedzę na skalistym zrębie, zapuszczającym się w łąkę, która leży może o półtora łokcia poniżej. Mchy głuszyły odgłos kamieni, bo zresztą łąka jest równiutka; wdali widać drogę, na niej wrony, które poczytywałem za orły. Potrzebowaliśmy tylko nogi spuścić ze zrębu, ażeby pójść najspokojniej do domu. Tymczasem przesiedzieliśmy na zrębie, szczękając zębami, całą Bożą noc...

Henryk Sienkiewicz.

32 (32). A gdy będą mnie chowali.

A gdy będą mnie chowali,
Niech zadzwoni trąbka w dali,
Niech zadzwoni w cichym szlaku,
Jakby sygnał do ataku!

A gdy w ziemię spuszczą trumnę,
Uszykujcie się w kolumnę
I huknijcie na wiwaty,
Jak sztucery i harmaty.

A gdy padną pierwsze bryły,
Zaśpiewajcie u mogiły,
Zaśpiewajcie, zamiast płaczu,
O żołnierzu, o tułaczu!

A gdy grabarz grób zawali,
Niech się lampka na nim pali,
Niech się płomyk tli pomatu,
Jakby lonty u zapalu.

A gałęzie wierzby starej
Niech mi szumią, jak sztandary,
Jak te ptaki z krwawem pierzem,
Sumujące¹⁾ nad rycerzem.

A gdy pusto wkrąg już będzie,
Niech nad grobem piosnka siedzie
I niech dzieciom bajkę plecie
O żołnierzu na pikiecie...

Or-Of.

33 (33). Lirnik.

Znałem w młodości mojej lirnika. Chodził on od wsi do wsi i był powszechnie znany i lubiony, bo pamiętał stare czasy i śpiewał pieśni stare, nabożne i światowe; miał głos bardzo wyrobiony i przygrywał po mistrzowsku na lirze. Wszędzie, gdzie się tylko przysiadł, wszędzie, gdzie się ozwał granie jego liry, skupiały się koło niego gromady ludzi. Dziwnie umiał obierać miejsce spoczynku i chwilę, w której przybywał do dworu lub do wsi. Tu przysiadł się na okopie cmentarza, tam koło bramy, koło cerkwi lub kościoła, pod krzyżem u wielkiej drogi, lub na mogile; a kiedy

¹⁾ Zadumane, zamyślane.

lira jego ozwała się w krótkich, żalosnych przygrywkach, biegły niewiasty i dzieci ku niemu, a ze dworu wychodziła cała drużyna, by się przysłuchać dźwiękom liry i pieśniom starego Pańka.

Wszyscy znali go i witali, jak znajomego. Wiekowym ludziom przypominał on ich dzieciństwo, a kilka pokoleń przeszło za jego pamięci. Nie żebrał też Pańko nigdy, nie zachodził do chat i dworów po jałmużnę; dość było, gdy się jego lira ozwała, a już wszyscy pośpieszali z datkiem i nakarmili i odziali starca i przytrzymali go we wsi, poczem znowu dalej odchodził, żegnając starych przyjaciół.

W okolicach Szczerca i Komarna przebywał zwykle przez zimę, ale już z wiosną wyprawiał się w drogę na Podole i Pokucie, zwiedzając miejsca odpustów, a powracał dopiero zazwyczaj jesienią w okolicę Komarna napowrót, gdzie w małym przysiółku, w domu pewnej gospodyni zimował. Pazia — tak się ona nazywała — dbała o lirnika, jak gdyby był jej bliskim krewnym i najbliższym serca: miała to sobie polecone od matki, aby dbać o Pańka i zimować go w chacie, „bo się błogosławieństwo będzie trzymało chaty“. Tu tedy miał Pańko zimową izdebkę dla siebie i staranie. Chociaż każdy radby go prezimować, ściągał jesienią do Pazi i przynosił gościńce dla wszystkich domowników i dzieci, a nieraz się zdarzało, że go dobrzy ludzie na wózku przywieźli, jeżeli go już w drodze jesienią napadła ślota.

Po wsiach mówili sobie ludzie, że Pańko miał wielkie pieniądze i że je składał u Pazi. Rzeczywiście, trzymał się dostatek chaty, a Pańko był zawsze stosownie do pory roku ubrany, ubogo, ale czysto. Pazia dbała o niego, a wiedząc o tem, gdzie i kiedy na odpuscie będzie, odszukała go zawsze po lirze i przyniosła mu z sobą odzież i bieliznę, trochę domowego pieczywa i owoców.

Pańko był ślepy; przewodnikiem w pielgrzymkach jego była koza; trzymając się jej jedną ręką, szedł od wsi do wsi, znając drogę tak dobrze, że przy pomocy kozy nie potrzebował przewodnika innego.

Była to mądra koza. Kiedy Pańko sobie usiadł, ona kładła się pod bokiem jego; nieraz się zdrzemnała, oparłszy na niej głowę. Kiedy szedł, szła powoli przy nodze jego, i lubo powolna jego ręce, ostrzegała go o wszystkim, zatrzymując się przed każdym mostkiem, przed każdym kołowrotem wioski; nie dopuściła, aby zszedł ze szlaku, albo wpadł do rowu lub wody.

Odkąd ludzie zapamiętali w okolicy całej, trzecia to już z kolei koza Pańka prowadziła. Czasami miewał i chłopaczka sierotę; ale gdy chłopca podchował, oddawał go do Pazi lub do innych dobrych ludzi w służbę, bo dla niego samego wystarczała koza. Pańko żył głównie jej mlekiem, a koza żyła się sama, podczas gdy ludzie jego pieśni słuchali.

Przybywszy później w tamte strony, w których niegdyś ślepy lirnik przebywał, pytałem starszych ludzi o niego: ale trzeba było aż Pazię odszukać, aby z ust jej otrzymać wieści o znany niegdyś śpiewaku.

Pazia, niegdyś młoda, pochyliła się, dochowawszy się wnucząt, i mieszkała sama w tej izdebce, w której przez lat wiele Pańko zimował. Na ścianie wisiała lira i duży różaniec lirnika, przy którym były zawieszzone medale i mały mosiężny składany ołtarzyk. Rzewnie płakała Pazia, gdym ją wypytywał o losy i ostatnie lata żywota lirnika.

Ostatnich trzech lat nie chodził już po świecie. Siedział tylko na okopie cmentarza, przygrywał na lirze i śpiewał, prosząc Boga o śmierć szczęśliwą. Ale zato w dzień odpustu wioski gromadziła się koło niego wielka rzesza ludzi, ponawiając z nim przyjaźń i prowadząc dzieci do jego błogosławieństwa. Gdy raz na „Anioł Pański“ dzwonili, siedział właśnie na okopie cmentarza. Złożywszy głowę na kozie, która pod bokiem jego leżała, usnął w Panu spokojnie.

Pochowano go z żalem uczciwie.

— Cóż się z kozą stało? — zapytałem.

— Nie chciała już wrócić do zagrody — odpowiedziała Pazia — lecz pasła się na cmentarzu w lecie, a zimą chodziła od chaty do chaty i każdy jej podał to kawałek chleba z solą,

to garstkę siana, a dzieci bawiły się Pańkową kozą, jak za życia Pańka. W trzy lata może po śmierci jego przejeżdżał jakiś młody pan drogą koło cmentarza i poznał Pańkową kozę, pasącą się na okopie.

Odszukał naszą chatę i pytał się bardzo po ludzku, co się z Pańkiem stało; a gdy się dowiedział, że już nie żyje, kazał mi się na grób Pańka zaprowadzić, zadumał się bardzo nad jego mogiłą i odmawiał pacierz. Myśmy Pańkowi krzyż postawili, ale pan mówił:

— Krzyż upadnie, gdy was nie stanie, a Pańkowi niech pamięć będzie wieczysta. I kazał mu na grobie kamień położyć.

Zwiedziłem z Pazią grób Pańka i znalazłem na nim dużą płytę kamienną. Na tej płycie wryty był krzyż, pod nim wyobrażenie liry, niżej nieco obraz kozy i niekształtnymi literami napis:

„Pańko lirnik spoczywa tu w Bogu!“

Wincenty Pol.

34. Gęsiarka.

Z czteroletnią powagą, w spódniczce po bose
Słopki i w kaftaniku na wyrost, to wąską
Drepce miedzą, to znowu brodzi młaką¹⁾ grząską,
Z rannym świtem, nim słońce traw osuszy rosę.

Krasą krajką przeplótszy lniano-włosą kosę,
Z kromką chleba w chusteczce za pasa przewiązką,
Dłoń prawą uzbroiwszy wierzby gałązką,
W lewej wlecze za sobą żdźbło złocisto-łkose.

Sznur gęsi, z których każda, jak łódka, się ślania,
Sunie, jak szereg białych znaków zapytania;
Czy dziecko ich pilnuje, czy one je wiodą,

¹⁾ Mokra łąka.

Jak na śnieżnym łańcuchu, by ustrzec przed szkodą,
I odwracają szyję u każdego skręta,
Czy nie zgubiło z dłoni pastuszego pręta.

Leopold Staff.

35. A grajże mi, fujareczko!

A grajże mi, fujareczko,
A grajże mi, graj!
Uliściłem cię z wierzbiny,
Gdzie ten potok srebrno-siny,
Gdzie ten szumny gaj!

J. Kasprówicz.

36 (35). Papierucha.

Niewielką izbę zalegał mrok, słabo rozjaśniony światłem drobnego i do połowy zaklejonego okienka. Przyjrawszy się jednak uważniej, spostrzegłem kilka zwykłych sprzętów, kilka szerniałych obrazów, za którymi tkwiły pęki ziół i świeca woskowa, wreszcie łóżko, a na niem wychudłą, starą kobietę; z za drzwi, jakby z sąsiadującej z izbą komory, rozlegał się płacz kilkorga dzieci. Gdy się wpatrywałem w trupią twarz leżącej kobiety, nagle coś się poderwało pod moimi nogami. Odskokczyłem strwożony — było to leżące i do łóżka przywiązane ciele.

Kobieta ani drgnęła; domyśliłem się więc odrazu, że musiała to być umarła matka płaczących dzieci. Uczułem nieprzyjemny dreszcz; cofnąłem się ku drzwiom, gdy wtem znowu rozległ się płacz przed domem. Wybiegłem.

Przy płocie, przytykającym do chlewka, stały dzieci, zalané łzami. Najstarsza dziewczynka, wspięta na palcach, spo-

glądała za płot. Zbliżyłem się i, ku wielkiemu zdumieniu, ujrzałem tuż za nim świeży dół, z którego dna podstarzały już wieśniak wyrzucał na wierzch ziemię. Miałaby to być grób dla umarłej kobiety?...

— Co wy robicie? — zapytałem.

Wieśniak wyprostował się, popatrzył na mnie surowo i odrzekł:

— Rozgrzewam się.

— Tu myślicie żonę pochować?

— E, co tam panu do tego! — mruknął, nie podniósłszy nawet oczu.

Zatknął rydel, wyskoczył z dołu, wysunął żerdzie z jednej części płotu, zdjął z kółka postronki i wszedł do domu.

— Oszałał — szepnąłem do Józefa, który zdala był nieмым świadkiem tej sceny. — Poszedł po żonę, trup jej leży w izbie.

— Zwierzę — rzekł mój kolega wzgardliwie.

Serce mi bić zaczęło przyśpieszonym tętnem. Utkwiłszy obaj oczy we drzwiach chaty, oczekując niespokojnie jakiegoś strasznego widoku.

Wieśniak długo nie wychodził. Od czasu do czasu tylko słyhać było głucho stukania, jak gdyby coś przewracał. Nareszcie ukazał się w cieniu sieni, okręcony postronkami, na których ciągnął z wysiłkiem poza sobą jakąś białą masę. Dźwignąwszy ją na progu, szarpnął gwałtownie i wywłócił na podwórze białą, nieżywą... krowę.

Co to miało znaczyć?

Dzieci wybuchnęły gwałtownym płaczem.

— Papierucha! Papierucha! — wołało dwoje starszych rozpaczliwie.

Wieśniak, nie zatrzymując się, przeciągnął krowę za płot, odwiązał postronki, zepchnął ją do dołu wśród krzyków dzieci i, popatrzywszy smutnie, usiadł zmęczony na stercie piasku.

— To nie moja żona, ale to ich matka — rzekł do nas, wskazując na dzieci. — Wszystkie wykarmiła. Płaczcie, płaczcie, bo ona wam już mleka nie da.

Dzieci odpowiedziały tak serdecznem łkaniem, że i ja poczułem łzy w oczach.

— Bieda — mówił dalej — chłopska bieda. Żona rok już umiera i dźwignąć się nie może, śtery morgi piasku dosyć chleba nie urodzą, ot ta pościwina nam pomagała. Jakem drugiej dopozycył, to i ziarno zwiozła i pole zorała, i jesce dzieciom mleka dała. He, wola Boża! Zdechniemy i my, jak ona zdechła!

— Cóż jest waszej żonie? — spytałem.

— A bom ja dochtór? Chłop nie pan, żeby wiedział, na co umiera. Choruje i choruje. Lekarka z Podborza mówi, że to kołtun, a u nas jest baba, co gada, że to wole. Słabowała ta kobieta, zwieźli felcera, dał lekarstwo, udzielili papkę, napiła się, ale gdzie tam! Pokrzywiło i trzyma, a umrzeć nie daje. Jakby raz skończyła, toby skończyła, a tak... Boże, bądź miłościw! O moja biedna Papierucha! — zawołał, głęboko wzruszony, patrząc w dół — gdybyś ty... Ha!

Porwał się, chwycił rydel i począł dół zasypywać. Każda garść ziemi spadała z wzrastającym płaczem dzieci.

A. Świętochowski.

37. Do mojego grajka.

Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie!
Miły grajek się przyłoży,
I basista nie najgorzej:
Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi.

Miły Janek, dobra dusza,
Jeno sobie nóżką rusza.
Po chałupie okiem wodzi,
A smyczek mu już sam chodzi.

Czasem to się tak zaduma,
Aż go łokciem trąci kuma,
Co u niego we zwyczaju,
Gdy wędruje po swym kraju.
Za nutami — jedna, druga,
Ta króciuchna, a ta długa,
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianożęci...
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie!

Lecą, lecą nieproszone
Na ten smyczek, na tę stronę.
„Przepióreczka pomkła w proso“,
Śpiewa dziewczę z jasną kosą,
Bo to dziewczę pozna żywo,
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo.
Zabłąkane nuty chwytą:
Ta do tańca wyśmienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty...
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie!

A zawracaj od komina,
Czapka na bok, ostrą miną!
Z przewieszoną tedy połą
Pomaluchno ano wkoło.
Potem rażno na odsiebkę¹⁾,
Bodajże cię za tę skrzypkę...
Grajże, grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie!

Szumno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby wkoło,

¹⁾ Zlewa na prawo.

Za drugimi, za gromadą,
 Maciej sąsiad za sąsiadą,
 A za nimi skocznym tanem
 Jedzie Wojtek z dużym dzbanem;
 Za płotami, jako mogą,
 Dzieci sobie swoją drogą.

W okólniku skoczą żrebce,
 Dziecko śmieje się w kolebce,
 Kędy spojrzeć, radość wszędy.
 Dziwuje się kogut z grzędy,
 I na drągu, na wysokim,
 Przygląda się jednym okiem.

Stara wierzba głową chwieje,
 Nie wiedząca, co się dzieje;
 Wyskakują płowe wzgórza,
 Tylko gwiazda oczy zmruża.
 Wszyscy skaczą, jak najęci;
 Aż tak sobie mówią święci:
 „Grajże, grajku, będziesz w niebie,
 A basista koło ciebie.“

Zmarnowane bieda z nędzą,
 Jak szalone, ze wsi pędzą.
 Po lipowym starym moście
 Na wesele jadą goście:
 Jedzie matka — dobra wola,
 Aż się złocą od niej pola;
 Suknia na niej, jak na pani,
 Złotem tkana, przerabiana,
 Na przyjęcie siostra — cnota
 Otworzyła stare wrota;
 Pokłoniły jej się pługi,
 Stary żóraw też, jak długi;

Potem z izby buchła para,
 Zaśmiała się szczęśna wiara:
 Bywaj z nami, z wieśniakami,
 Stara matko, bywaj z nami!
 A któż w świecie was ugości,
 Jeśli nie my, ludzie prości?
 Danaż moja, dana, dana,
 Od wieczora aż do rana!

Grajże, grajku, bo daremno,
 A ty, Baśko, kręć się ze mną.
 Jak się Mazur puści szczerze,
 Niech się świat za głowę bierze;
 Jak się Mazur rozochoci,
 Co na drodze, to wygrzmoci!
 Zagrajże mi, grajku, proszę,
 Wysypię ci w skrzypkę grosze;
 Więc i dziewczę, szczere lichy,
 Podśpiewuje jeszcze cicho:
 „Grajże, grajku, będziesz w niebie,
 A basista koło ciebie.“

Biały ranek gwiazdy gasi,
 Pospali się ludzie nasi,
 Po weselu cicho wszędy;
 Tylko kogut sfrunął z'grzędy
 I na śpiących snem głębokim
 Ogląda się jednym okiem.

Teofil Lenartowicz.

38 (37). Na wakacjach.

Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do mnie mój szkolny kolega. Mieszkaliśmy obaj na wsi, o kilka wiorst od siebie, i widywaliśmy się prawie codziennie. Był to przystojny blondyn, z łagodnymi oczami. Mnie pociągał jego niewzruszony spokój i trzeźwość umysłu.

Tego dnia spostrzegłem, że mu coś dolega: patrzył w ziemię i gorączkowo uderzał się po nogach szpicrutą. Nie uważałem za stosowne pytać go o powód widocznego zakłopotania, ale on sam zaczął:

— Wiesz — odezwał się — miałem dziś głupi wypadek.

Zdumiałem się; było rzeczą prawie niepodobną, ażeby „głupi wypadek“ mógł się zdarzyć tak panującemu nad sobą człowiekowi.

— Mielśmy — mówił dalej — zrana we wsi pożar. Spaliła się chałupa...

— A tyś może skoczył w ogień?... — przerwałem mu tonem trochę drwiącym.

Wzruszył ramionami, i zdawało mi się, że się lekko zarumienił; zresztą, może padł mu na twarz blask zachodzącego słońca.

— Zapaliło się — ciągnął po przerwie — konopie na strychu u chłopca, a w kilka minut później strzecha. Czytałem w tej chwili jakiś zajmujący rozdział książki, ale na widok kłębow czarnego dymu i płomyków opanowała mnie ciekawość i powlokłem się na miejsce. Ludzie byli przy robocie, więc zastałem tam zaledwie kilka osób: dwie baby, lamentujące nad nieszczęściem, organistkę, która obrazem świętego Florjana zażegnawała pożar, i chłopca, który medytował, trzymając w obu rękach pustą konewkę. Od nich usłyszałem, że chałupa zamknięta, bo gospodarz z kobietą wyszli w pole.

— Oto masz system budowania! — pomyślałem. — Dom płonie, jakby go prochem nabito...

Istotnie w ciągu kilku minut cały dach stał w płomieniu: dym gryzł w oczy, a ogień tak mocno przypiekał, że z obawy o ubranie musiałem cofnąć się o parę kroków.

Tymczasem nadbiegło więcej ludzi z osøkami, siekierami i wodą; jedni poczęli wywracać płot, któremu nic nie groziło, inni lali wodę z konewek w taki sposób, że, nie tknąwszy ognia, przemoczyli do nitki zgromadzonych, a jedną babę wyrócili na ziemię. Nie robiłem im żadnych uwag, widząc, że ogień nie grozi dalszym budynkom; chata zaś była już nie do uratowania.

Nagle ktoś krzyknął:

— Tam jest dziecko, ten mały Stasiek!

— Gdzie? — spytano.

— W chałupie, śpi w nieckach pod oknem... Ino który wybij szybę, a jeszcze wyciągniesz żywego...

Nikt się jednak nie ruszał. Słoma na dachu już spłonęła, a krokwie żarzyły się, jak rozpalone druty.

Wyznaję, że, gdym to usłyszał, serce drgnęło mi w niezwykle sposób.

— Jeżeli nikt nie idzie — pomyślałem — więc ja pójdę... Na uratowanie chłopca wystarczy pół minuty. Czasu aż nadto, ale jakież piekielne gorąco!

— No, rusz-że się który! — wołały baby. — O wy, psie dusze, nie warcieście nazywać się chłopami!...

— To leż sama w ogień, kiedyś taka mądra! — ofuknął ktoś z tłumu. — Tam pewna śmierć, a dziecko, słabe, jak kurczę, i tak już nie żyje...

— Ładnie! — pomyślałem — nikt nie idzie, a ja jeszcze się waham! Chociaż — szepnęła mi rozwaga — jakie лихо ciągnie mnie do bezcelowej awantury?... Czy ja wiem, gdzie leży dzieciak? Może wypadł z niecek?...

Belki już były zwęglone i z głuchym trzaskiem zaczęły się wyginać.

— Ale trzeba wkońcu wdrzeć się tam — myślałem — każda sekunda jest droga. Dzieciak przecie nie może się spalić, jak robak.

— Lecz jeżeli już nie żyje? — odpowiedziało zastanowienie — w takim razie szkoda nawet surduta...

Zdaleka odezwał się straszny krzyk kobiety:

— Ratujcie dziecko!

— Trzymajcie ją! — zawołano w odpowiedzi. — Skoczcie w ogień i zginie...

Usłyszałem za sobą jakieś szamotanie i ten sam krzyk:

— Puszczajcie!... to moje dziecko!...

— Ciągnij ją wpół — odpowiedziano.

Nie mogłem wytrzymać i rzuciłem się naprzód. Owionął mnie żar, dym, dach zatrzeszczał, jakby go rozdarto, z kominu posypały się cegły. Poczułem, że mi się tłą włosy i... cofnąłem się rozgniewany.

— Co za głupi sentymentalizm ¹⁾ — pomyślałem — dla garstki ludzkich popiołów robić z siebie straszdytło!... Jeszcze powiedzą, że tanim kosztem chciałem zostać bohaterem!...

Wtem potrafiła mnie jakaś młoda dziewczyna, biegnąca do chaty. Usłyszałem brzęk wybijanych szyb, a gdy nagły wiatr odgarnął tuman dymu, zobaczyłem ją w oknie, tak silnie pochyloną do wnętrza izby, że widać było jej nieumyte nogi.

— Co ty robisz, warjatko? — krzyknąłem — tam już jest trup, nie dziecko...

— Jagna! chodzi tu! — zawołano z tłumu.

Pułap zapadł się, aż iskry sypnęły do nieba. Dziewczyna znikła w dymie, a mnie pociemniało w oczach.

— Ja—gna! — powtórzył głos lamentujący.

— Zara... zara! — odpowiedziała dziewczyna, przebiegając koło mnie z powrotem.

Z wysiłkiem. Dźwigała w ręku chłopca, który, obudziwszy się, wrzeszczał w niebogłosy.

— Więc dziecko żyje? — spytałem.

— Jak najzdrowsze.

— A dziewczyna... czy to jego siostra?

¹⁾ Człotostkowość.

— Gdzież tam! — odparł — zupełnie obca, nawet służyła innemu gospodarza, ma najwyżej piętnaście lat.

— I nic się jej nie stało?

— Opaliła sobie chustkę i trochę włosów.

Idąc tu, widziałem ją; skrobała przed sienią kartofle i coś sobie nuciła fałszywym głosem. Chciałem jej wyrazić moje uznanie, nagle jednak przyszedł mi na myśl jej dziki zapach i mój rozsądny takt ¹⁾ wobec cudzego nieszczęścia i... taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do niej przemówić ani wyrazu.

My już tacy! — dodał i począł spicróżgą ścinać przy drodze rosnące badyle.

Na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy, a chłodny wiatr przyniósł do stawu rechotanie żab i kwilenie zabierających się do snu ptaków wodnych.

Zwykle o tej porze obaj układaliśmy projekty na przyszłość, lecz dziś żaden ust nie otworzył. Zato zdawało mi się, że dokoła nas szepcą krzaki:

— Wy już tacy!...

Bolesław Prus.

39 (38). Duch sieroty.

Idzie sobie pacholę

Przez zagony, przez pole:

Wielki wicher, ulewa,

Ono idzie i śpiewa.

— Oj, długom ja płakała,

Gdy mię nędza wygnała,

Gdym ja, biedna sierota,

Drżąc stała u płota.

Wyszedł z gaju gajowy

I ozwie się w te słowy:

— Taka bieda na dworze,

A ty śpiewasz, niebożę?

Aż raz w nocy niedzielnej,

Przy dzwonnicy kościelnej,

Mróz wszelakie czucie ściął,

I Pan Jezus duszę wziął!

¹⁾ Ostrożność.

Jedna zimna mogiła
Moją biedę skończyła.
Siwy dziad mnie pochował,
On mnie płakał, żałował.

On mnie ubrał w sukienki
Do tej zimnej trumienki;
Teraz nic mi nie trzeba,
Idę sobie do nieba.

— O sieroto, o dziecię!
Nic ci nie żal na świecie?
— Żal mi jeno tej łaki,
Gdzie fijołki i dzwonki.

Żal mi słońca w zachodzie,
Kiedy świeci na wodzie,
I fujarki wierzbowej
Z nad zielonej dąbrowy.

T. Lenartowicz.

40 (39). Jarmark.

Jarmark był wielki, co się zowie, narodu skupiło się tyle, że i przejść było niełatwo, a już w rynku, pod klasztorem, to Boryna przez siłę pchać się musiał, taki gęszcz czynił się między kramami.

Było też tego, było, że ani przeliczyć, ani objąć, gdzieby zaś tam kto poradził!

A najpierw te płóciennie, wysokie budy, co stały wzdłuż klasztoru we dwa rzędy, zapchane całkiem towarami kobiecym: a płótnami, a chustkami, co wisiały na żerdkach i, jako te maki, były czerwone, że aż się w oczach ćmiło; a drugie zaś się całkiem żółte się widniały, a insze buraczkowe... i kto je tam wszystkie spamięta! A dziewczuch i kobiet pełno tu przed niemi, że i kija nie było gdzie wrazić; która targowała i wybierała sobie, a drugie aby ino popatrzeć i oczy se ucieścić ślicznościami.

A potem znów szły kramy, co aż się lśniły od paciorków, luster, szychów a wstążek, a krzyżyków onych na szyję, a kwiatuszków zielonych, złotych i różnych... a czepków i Bóg ta wie, czego jeszcze.

Gdzie znowu święte obrazy przedawali w pozłocistych ramach ze szkłem, że, choć stały pod ścianami albo i zgola

na ziemi leżały, a szedł od nich blask, że jaki taki do czapki sięgał i znak krzyża czynił świętego.

Boryna kupił jedwabną chustkę na głowę dla Jóźki, którą był jeszcze na wiosnę obiecał dziewczynie za pasionkę, wsadził za pazuchę i jął się przepychać do targowiska świńskiego, co było za klasztorem.

Ale szedł wolno, że to ciżba była sroga i że się popatrzyć było na co.

Gdzie czapnicy pod domami porozwieszali szerokie drabiny, zawieszane od góry do dołu czapkami.

Gdzie znów szewcy tworzyli całą ulicę wysokich kozłów drewnianych, na których, uczepione za uszy, wisiały szereg butów, i takich zwyczajnych żółtych, do smarowania przetopionem sadłem, żeby wody nie puściły, i takich już pod glanc przyszykowanych, i ciżem kobiecych z czerwonymi sznurowadłami, a na wysokich obcasach.

A za nimi ciągnęły się rymarze z chomątami na kółkach i uprzężą rozwieszoną. A potem powroźnicy i ci, co sieci sprzedawali, i ci, co z sitami po świecie jeździli, i ci, co z kaszą po jarmarkach się wodzili. A kołodzieje, a garbarze...

Gdzie znowu krawce i kożucharze rozwiesili swoje towary, od których bił taki zapach, aże w nozdrzach wierciło; te miały odbyć niezgorszy, że to na zimę szło.

A potem całe rzędy stołów, nakrytych płóciennymi daszkami, a na nich zwoje kiełbas czerwonych i grubych, kiej liny, wały żółtego sadła, boczki wędzone, polcie słoniny, szynki spiętrzały się na kapach¹⁾, a gdzie znów na hakach wisiały całe wieprzki wypaproszone i broczące jeszcze posoką, że trza było odganiać piesków, co się cisnęły.

A wpodłe rzeźników, jako to braty rodzone, stali piekarze, i na podosłanej grubo słomie, na wozach, na stołach, w koszach i gdzie się dało, leżały góry bochnów wielkich, jak koło, placków żółtych, bułek, kukiłek...

¹⁾ Na deskach.

Gdzie zaś i kto przeliczy i spamięta te wszystkie kramy i to, co w nich sprzedawali!...

Były z zabawkami i takie z piernikami, gdzie z ciasta lepione były zwierza różne, a serca, a żołnierze i cudaki takie, że i nie rozeznac bele komu; były takie, gdzie kalendarze, gdzie książki nabożne, gdzie historie o zbójach i srogich Magielonach sprzedawali i lementarze też; były i takie, gdzie piszczałki, organki i gliniane kuraski i insze muzyczne rzeczy, które chłopaki dla zachęty grali, że taki jazgot się czynił, że i wytrzymać trudno było, bo ci tu kurasek piszczy, tam trąbka potra buje, gdzie z piszczałek przebieraną nutę wyciągają, tam ci znowu skrzypki piskają, a owdzie bęben pobekuje stękający, jaże we łbie łupało od wrzasku.

Zaś w pośrodku rynku dookoła drzew rozciągali się bednarze, blacharze i garncarze, porozstawiali tyle misek i garnków, że ledwie przejść można było, a za nimi stolarze; łóżka i skrzynie malowane, i szafy, i półki, i stoły aże grały temi farbami, że oczy trza było mrużyć...

A wszędy, na wozach, pod ścianami, wzdłuż rynsztoków, gdzie ino miejsca było, rozsiadły się kobiety sprzedające: która z jajkami, z serami, a grzybami, a masłem w ośłkach, poobwijanych w szmatki; inna znów zasię ziemniaki, to gąsków parę, to wypierzoną kure, to len, pięknie wyczesany, albo i motki przędzy miała, a każda siedziała przy swoim i poredzały¹⁾ se godnie, jak to zwyczajnie na jarmarkach bywa; a trafił się kupiec, to sprzedawały wolno, spokojnie, bez gorącości, po gospodarsku, nie tak, jako te Żydy, co wykrzykują, handryczą²⁾ i ciskają się, kiej głupie.

Gdzieniegdzie zaś pomiędzy wozami i kramami kurzyło się z blaszanych kominków: tam sprzedawali gorącą herbatę, a i insze jadlo, jako to: kielbasę prażoną, kapustę, barszcz z ziemniakami też mieli.

I dziadów: zlażło się ze wszystkich stron co niemiara: ślepych, kulawych, niemych i zgoła bez rąk i nóg tyle. jak

¹⁾ Gawędziły. — ²⁾ Spierają się krzykliwie.

na odpuszcie jakim, wygrywali na skrzypicach pieśni pobożne, drugie śpiewali, pobrzękując w miseczki, a wszystkie z pod wozów, z pod ścian i prosto z blocka żebrałi lekliwie i wypraszałi sobie ten grosik jakiś, albo jensze wspomóżenie.

Wł. St. Reymont.

41 (5). Grzybobranie.

Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą,
Po jej kobiercach, nawskroś białych pniów brzozowych,
Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych
Snuło się mnóstwo kształtów, których dziwne ruchy,
Niby tańce, i dziwny ubiór: istne duchy,
Błądzące po księżycu. Tamci w czarnych, ciasnych,
Ci w długich, rozpuszczonych szatach, jak śnieg, jasnych;
Tamten pod kapeluszem, jak obręcz, szerokim,
Ten z gołą głową: inni jak gdyby obłokiem
Obwiani, idąc, na wiatr puszczają zaślony,
Ciągnące się za głową, jak komet ogony.
Każdy w innej postawie: ten przyrósł do ziemi,
Tylko oczyma kręci na dół spuszczone. +
Ów, patrząc wprost przed siebie, niby senny, kroczy,
Jak po linie, ni w prawo, ni w lewo nie zboczy,
Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony
Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.
Jeżeli się przybliżą, albo się spotkają,
Ani mówią do siebie, ani się witają,
Głęboko zadumani, w sobie pograżeni.
Hrabia widział w nich obraz elizejskich¹⁾ cieni,
Które, chociaż boleściom, troskom niedostępne,
Błakają się spokojnie, ciche, lecz pośepne.

¹⁾ Pola Elizejskie — miejsce pośmiertnego przebywania dusz ludzkich, według podań greckich.

Któżby zgadnął, że owi, tak mało ruchomi,
 Owi milczący ludzie są nasi znajomi?
 Sędziowscy towarzysze! z hucznego śniadania
 Wyszli na uroczysty obrzęd grzybobrania:
 Jako ludzie rozsądni, umieją miarkować
 Mowy i ruchy swoje, aby je stosować
 W każdej okoliczności do miejsca i czasu.
 Dlatego, nim ruszyli za sędzią do lasu,
 Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne,
 Służące do przechadzki opończe płócienne,
 Które osłaniają po wierzchu kontusze;
 A na głowy słomiane wdziali kapelusze,
 Stąd biali wyglądają, jak czyścowe dusze,
 Młodzień także przebrana, oprócz Telimeny
 I kilku po francusku chodzących. Tej sceny
 Hrabia nie pojął, nie znał wiejskiego zwyczaju,
 Więc, zdziwiony niezmiernie, biegł pędem do gaju.

Grzybów było wbród: chłopcy biorą krasnice,
 Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice,
 Co są godłem panieństwa: bo czerw ich nie zjada,
 I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.
 Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
 Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.
 Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy,
 I mniej sławny w piosenkach, zato najsmaczniejszy,
 Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
 Czy zimą. Ale Wojski zbierał muchomory.

Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku,
 Dla szkodliwości albo niedobrego smaku,
 Lecz nie są bez użytku: one zwierza pasą
 I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
 Na zielonyin obrusie łąk, jako szeregi
 Naczyń stołowych sterczą: tu z kragłami brzegi
 Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
 Niby czareczki, różnem winem napelnione:

Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe,
 Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe,
 Bielaki kragłe, białe, szerokie i płaskie,
 Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
 I kulista, czarniawym pyłkiem napelniona
 Purchawka, jak pieprzniczka; zaś innych imiona
 Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,
 Od ludzi nie ochrzczone; a jest ich bez liku.
 Ni wilczych, ni zajęczych nikt dotknąć nie raczy,
 A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój obaczy,
 Zagniewany, grzyb złamie albo nogą kopnie;
 Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.

Adam Mickiewicz.

42. Leśniczówka.

W lesie, głębokim lesie, na obszernej polance stała chata
 gajowego Szczepana. Chata była słomą kryta, a budowana
 z okraglaków, mchem utykanych w spojeniach; obok chaty
 stały dwa budynki gospodarskie, przed nią zaś kawał za-
 grodzonego pola i studnia żorawiana, krzywa, zapadła, z wodą,
 pokrytą zieloną rzęsą

Przed oknami rosły słoneczniki i dzikie malwy, wysokie,
 smukłe, a pokryte kwieciem, jakby rojem motyli; między
 słonecznikami pstrzyły się czerwone główki maku, około
 malw okręcał się groch o kwieciu różowym i lila, w dole
 rósł barwinek, żółty krokosz, złote nagietki i astry blade,
 bo przygluszone i siwemi liśćmi słoneczników i malw od
 słońca zakryte.

W ogrodzeniu, po obu stronach drogi do chaty, posiane
 były warzywa: marchew, buraki i kapusta; dalej, w osobnych
 opłotkach, za każdym powiewem wiatru kołysały się falą
 błękitną kwiatki lnu. Dalej ciemniała zieleń kartoflanej naci,
 na reszcie obszernej polanki ruń zbóż mieniała się to jaśniej,

to ciemniej, aż do brzegów jeziora, oblewającego z jednej strony polankę.

Drzew niewiele było przy chacie. Kilka czereśni z ciemnym błyszczącym liściem i brzoza jedna, o długich cienkich prątkach, stojąca tak blisko chaty, że lada wietrzyk rzucał jej zielone warkocze na zapadły, mchem porośły dach słomiany; a niekiedy wiatr silniejszy przygiął brzozę ku ścianie i wszystkie prątki i całą fałę listków zwał na dach, wówczas mogło się zdawać, że brzoza miłuje chatę i bierze ją w ramiona.

W tej brzozie pełno było wróbli, a szelest liści i szmer prątków mieszał się ze świegotem i radosną wrzawą ptactwa; na podstrzeszu zaś chaty niosły się gołębie, więc i tam pełno było ich rozhoworu i gruchań i wabienia się i niby prośb i rozpraw, jak to zwyczajnie między gołębiami, narodem dziwnie gwarnym i gadatliwym.

Bywało, że czasem spłoszył je jaki nieznany strach; wówczas koło chaty zrywał się szum skrzydeł, powietrze roilo się wichrem skrzydlatym i mnogością białego ptactwa; słyszałeś zamęt i szum, i warkotanie sterówek¹⁾. Cały rój wyłatywał nagle i w kołach a w kółkach krążył i zbliżał się i oddalał i wreszcie spadał, niby tuman śniegowych płatków, na szary, słomiany dach chaty.

A jeśli to było o rannej lub wieczornej zorzy, to wówczas w blaskach powietrza gołębie one zdawały się już nie białe, ale różowe, i niby płomyki lub rozsypane listki róży, padały na strzechę i brzozę.

Wieczorem, gdy słońce zachodziło na bory, cichł zwolna rozhovor pod strzechą i świergot na brzozie. Wróble i gołębie strząsały rosę ze skrzydeł i zabierały się do snu; czasem zagruchał lub zaczyrykał jeszcze który, ale coraz rzadziej, sennie, a wreszcie cichło wszystko — mrok padał z nieba na ziemię, chata, czereśnie i brzoza załazyły się w kształtach, mieszały razem, topiły i przysłaniały odnoszącą się z bliskiego jeziora.

H. Sienkiewicz.

Pióra w ognie u ptaka.

43. Pies i wilk.

Jeden bardzo mizerny wilk, skóra i kości, Myszując po zamrózkach¹⁾, kiedy w łapy dmucha, Zdybie przypadkiem Brysia jegomości, Bernardyńskiego karku, sędziowskiego brzucha; Sierść na nim błyszczy, gdyby szmelcowana²⁾, Podgardle tłuste, zwisłe do kolana.

„A witaj, panie kumie! Witaj, panie Brychu, Już od lat kopy o was ni widu, ni słyhu. Wtedyś był mały kundlik, ale kto nie z postem, Prędko zmienia figurę. Jakże służy zdrowie?“

„Niczego“ — Brysio odpowie I za grzeczność kiwnął chwostem³⁾.

„Oj! oj!... niczego! Widać ze wzrostu i tuszy! Co to za łeb, mój Boże! choć walić obuchem!“

A kark jaki! a brzuch jaki!

Brzuch! niech mnie porwą sobaki,

Jeżeli, uczciwszy uszy,

Wieprza widziałem kiedy z takim brzuchem!“

„Żartuj zdrów, kumie wilku; lecz, mówiąc bez żartu, Jeśli chcesz, możesz sobie równie wypchać boki.“

„A to jak, kiedyś łaskaw?“ — „Ot, tak: bez odwłoki,

Bory i nory oddawszy czartu

I łajdackich po polu wyrzekłszy się świstań,

Idź między ludzi i na służbę przystań!“

„Lecz w tej służbie co robić?“ — wilk znowu zapyta X

„Co robić?... Dziecko jesteś! Służba wyśmienita;

Ot jedno z drugiem nic a nic!

Dziedzińca pilnować granic,

Przybycie gości szczekaniem głosić,

Na dziada warknąć, ~~...~~ pótarmosić,

¹⁾ Miejsce, pokryte lodem. — ²⁾ Pokryta błyszczącą

— ³⁾ Ogonem. — ⁴⁾ Gruba pałka.

Panom pochlebiać ukłonem,
 Sługom wachlować ogonem;
 A za toż, bracie, niczego nie braknie:
 Od panów, paniątek, dziewczynek,
 Okruszyn, kostek, polewek,
 Słowem, czego dusza łaknie.“

Pies mówił, a wilk słuchał uchem, głową, nosem,
 Nie stracił słówka: połknął dyskurs¹⁾ cały,
 I nad smacznej przyszłości medytując²⁾ losem,
 Już obiecane wietrzył specyjały³⁾.
 Wtem patrzy. — „A to co?“ — „Gdzie?“ — „Ot tu, na karku?“
 „Ech, błazeństwo!“ — „Cóż przecie?“ — „Oto widzisz, troszkę
 Przyczესano⁴⁾, bo na noc kładą mi obróżkę,
 Ażebym lepiej pilnował folwarku!“
 „Czy tak?... pięknaś wiadomość schował na ostatku!“
 — „I cóż, wilku? nie idziesz?“ — „Co nie, to nie, bratku!
 Lepszy w wolności kąsek ładajaki,
 Niżli w niewoli przysmaki.“
 Rzekł i, drapnąwszy, co miał skoku w łapie,
 Aż dotąd drapie.

A. Mickiewicza

44. Przysłowia o wilku.

Bierze wilk i liczone.
 Co wilk załapi, próżno wydzierać.
 Gdy się wilk zestarzeje, skubie go i wrona.
 I na wilka przyjdzie chwilką.
 I wilk syty, i owce całe.
 Jak wilk chowany wróci do lasu, to znowu będzie wilkiem.
 Kto chce z wilkami przestawać, musi wyć, jak one.
 Nie puszczaj wilka z dołu.
 Łatwo wilk na barana znajdzie przyczynę.

¹⁾ Rozmowa. — ²⁾ Rozmyślając. — ³⁾ Przysmaki. — ⁴⁾ Przetarte.

Miluje go, jak wilk barana.
 Mów wilkom pacierz, a wilk woli kozią macierz.
 Nie wpuszczaj wilka do owczarni.
 Nim pastuch się skwapi, wilk cię zęłapi.
 Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.
 Zjedli wilcy krowę, niech zjedzą i cię.
 O wilku mowa, a wilk tuż.
 Nie wywołuj wilka z lasu.
 Póki świat światem, wilk owcy nigdy nie będzie bratem.
 Strzelać wilki makiem, łowić ryby przetakiem.
 Uchodząc przed wilkiem, trafił na niedźwiedzia.
 Weźmie się wilk na człowieka, jak mu głód w lesie dopieka.
 Wilk bieży, wilk tyje, wilk leży, wilk gnije.
 Wilk w baraniej skórze.
 Z wilka nie będzie baranina, ani z psa słonina.
 Natura wilka ciągnie do lasu.
 Wilk przez posty nie tyje.
 Wilk chowany, przyjaciół jednany — wszystko jedno.
 Wilkowi dawać paść owce.

45. Lis i kozieł.

Już był w ogródku, już witał się z gąską,
 Kiedy, skok robiąc, wpadł w beczkę wkopaną,
 Gdzie wodę zbierano.
 Ani pomyśleć o wyskoczeniu:
 Chociaż wody nie było i nawet nie grząsko,
 Studnia na półczwarta łokcia. —
 Za wysokie progi
 Na lisie nogi;
 Zrąb¹⁾ tak gładki, że nigdzie nie wścibić paznogcia.
 Postaw się teraz w tego lisa położeniu!

¹⁾ Brzeg.

Inny zwierz pewno załamałby łapy
I bił się w chrapy ¹⁾,
Wołając gromu, ażeby go dobił.
Nasz lis takich głupstw nie robił;
Wie, że rozpaczać jest to zło przydawać do zła.
Zawsze maca wkoło zębem,
A patrzy wgórę. Jakoż wkrótce ujrzał kozła,
Stojącego tuż nad zrębem
I patrzącego z ciekawością w studnię.
Lis wnet spuścił pysk na dno, udając, że pije.
Cmoka mocno, głośno chłepce
I tak sam do siebie szepce:
„Oto mi woda! Takiej nie piłem, jak żyję!
Smak lodu, a czysta cudnie!
Chce mi się całemu splókać,
Ale mi jej szkoda zbrukać.
Szkoda!
Bo co też to za woda!“
Kozieł, który tam właśnie przyszedł wody szukać:
„Ej! — krzyknął z góry — ej, ty, ryży kudła!
Wara od źródła!“
I hop w dół. Lis mu na kark, a z karku na rogi,
A z rogów na zrąb — i w nogi.

A. Mickiewicz.

46. Przysłowia o lisie.

Kiedy lis umiera, to się kury cieszą.
Lis, choć farbowany, zawsze jest poznany.
Lis szczwany niełatwo bywa schwytany.
Każda liszka swój ogonek chwali.
Liszka włos tylko zmienia, a nie obyczaje.
Nie przez jedną dziurę wchodzi lis do jamy.

¹⁾ Nozdrza

Śpiący lis kur nie łapie.
Dmie się, jak liszka między sobolami.
Starego lisa trudno ułapić.
Liszka kusa drugim ogona przypinać radzi.
Trudno w śpiączki złapać ostrożnego lisa.
Więcej się wskóra lisim ogonem, niż kocim pazurem.
Gdzie nie staje wilczej skóry, tam lisiej nadstawić trzeba.

47 (44). Odjazd Wiesława.

Z żoną Stanisław wychodzi z komory,
Wnosi do izby dwa pieniądze wory,
Czterysta złotych ułożył na ławie
I tak powiada: — Zgarnij to, Wiesławie!
Jedź do Krakowa, a za te talary
Kup mi dwa konie, a wybierz do pary.
Syn mój jedyny na wojnie zabity,
Mnie schyla niemoc i wiek nieużyty,
Nie mam z chudobą poufać się komu,
Ty prawą ręką jesteś w moim domu,
A skoro pomrę, tyś rodziny głowa.
Jeśli, daj, Boże! córka się uchowa —
Ma lat dwanaście, nieskapo urody!
Możesz jej czekać, sameś jeszcze młody.
— Tak jest! dla ciebie — Bronisława powie —
Strzegę tej córki, jakby oka w głowie,
A cóż droższego mieć możesz od matki?
Jedneć to moje przed grobem dostatki. —

Bronika matkę objęła za szyję
I wstyd rumiany na jej piersi kryje,
Lecz pusty uśmiech zwraca na Wiesława,
A dalej smutna rzekła Bronisława:
— Miałam ja drugą, litościwy Boże!
Oko się za nią przeplakać nie może:

Zaledwie piąty kwitnął owoc sadu,
 Gdy mi zniknęła, jako cień bez śladu;
 Już to dwunastym liściem wiatr pomiata,
 Jak myśli matki zatruwa jej strata.
 Gdy wojna polskie dobijała plemię,
 W pustkach wsi stały, a odłogiem ziemie.
 Okolnych lasów i wiosek pożary
 Gniewu Bożego zwiastowały kary,
 Z wiatrem, co strzechy i konary walił,
 Do nas wróg przybył i wioskę zapalił.
 Dzień to był sądu: śród płaczu i gwaru,
 Wśród ciemnej nocy, wichrów i pożaru,
 Razem rolnicy ku obronie bieżą,
 Razem się wojsko ciśnie za grabieżą;
 W tej walce z dymem poszła nasza strzecha!...
 Wtedy mi córka, jedyna pociecha,
 Znikła bez śladu. Przez długie ja czasy
 Chodziłam za nią na wioski i lasy:
 Ale, jak kamień, do Wisły rzucony,
 Zniknęła wiecznie, głuche każde strony.
 Codzień do kłosów przychodzą oracze,
 A ja dziewczęcia nigdy nie zobaczę;
 Na świat szeroki próżno rzucać oko,
 Świat nie pocieszy, a niebo wysoko!
 Niech wola Boska, będzie Boska chwała,
 Ciebiam ja za nią, synu! wychowała;
 Bo, gdzie sierota przyjęta pod strzechę,
 Tam z niebem bliższy Bóg zsyła pociechę.
 Może też moje utracone dziecię
 Podobnie kędyś na szerokim świecie
 Litość znalazło; żyje gdzie u matki
 Pomiędzy własne policzona dziatki?
 W takiej ja myśli, po ojców twych stracie,
 Ciebie, małego, wychowałam w chacie,
 Litość za litość. Niebieska opieka
 Tajnie nagradza uczynki człowieka.

A jeśli ziemia strawiła jej kości...
 Swobodna dusza w krainach przyszłości
 Igra wesoło przy niebieskiej matce
 I łaskę nieba zwabia naszej chatce.

Tu Bronisława zalała się łzami;
 Rade łzy płyną za matki myślami;
 Płakała zaraz i córka przy boku.
 Lecz łzy, męskiemu nieprzystojne oku,
 Kryjąc, Stanisław karci smutek żony:
 — Jaki los w niebie komuznaczony,
 Próżno się troskać, Bóg, siedząc wysoko,
 Nad całym światem opatrne ma oko,
 Wszakże On ojcem na wieki i wszędzie,
 Co pod Nim było, pod Nim jest i będzie;
 Lepsze nad smutek ufanie pobożne.
 Idź! Wiesławowi przygotuj nadroże¹⁾.
 Ty wyjdź o świat, a chroń się przygody,
 Bo zawsze wiele ufa sobie młody;
 Przynieś twej przyszłej podarunek z drogi!

Wiesław obojgu kornie ścisnął nogi
 I wyszedł z chaty, przenikniony cały,
 Że takich ojców niebiosu mu dały.

K. Brodziński.

48 (46). Jesienią.

Żółte listki brzoź.
 Dygocą, dygocą,
 Bo je dzisiaj nocą
 Zwarzył siwy mróz.

I padają z drzew,
 Jak ulewa złota,
 Po ziemi je miota
 Wiatru zimny wiew.

¹⁾ Zapasy żywności na drogę.

Źle tym liściom, źle,
Co zleciały z drzewa,
Wicher je rozwiewa
Na deszczu, we mgle.

Lecą z ostrym tchem
W zawieję okrutną —
Jak tym liściom smutno,
Ja najlepiej wiem...

L. Rydel.

49. Do ziemi polskiej.

Hej, pola wy, pola! Hej, łany wy, łany! Oto staję przed wami, jak przed skarbnicą przeszłości i przyszłości naszej, jako przed arką, pełną żywego ducha narodu naszego!

Czy na was pojrzę o zaraniu wiosny, wśród huku pękających lodów, wśród szumu rzek naszych, do dna mórz lecących; czyli żniw czasu stanę na waszych niwach i roztozczach, zbożami złotych, kłosowym szumem głośnych; czyli jesień wymaluje mi bory wasze w królewskie makaty, a puszcze wasze napęłni porykiem zwierza; czyli zapadnę w knieje twych ostępów leśnych, czyli w kipielach wód twoich zabrodzę; czyli mnie osrebrzą światła jezior twoich, czy step twój kurhanami zagada; czy zima Tatrom twoim srebrne hełmy wdzieje, czy rozelśnią się przede mną fale twego morza, — zawsze ty jedna, Matko, zawsze umiłowana i święta, zawsze cała i nierozdzielna w duszy twego ludu.

Marja Konopnicka.

50 (56). Kościółek wiejski.

Była to cerkiew, z modrzewia jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce, wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory.

Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,
Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;
Na progu żebrak pacierze powtarza.
Wokoło cmentarz, kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słyhać wiejski dzwon kościelny,
Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola.
Było to święto, był to dzień niedzielny,
Dziś plug spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ołtarz przystroili w kwiaty,
Zabrzmią młódzież, do śpiewu gotowa;
Wyszedł ksiądz ze mszą, pochylony laty,
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca.
Ucichła... Księdza tylko słyhać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jęklivy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzymsy zapada.

Juljusz Słowacki

51 (99). Na plebanji.

Lubił ksiądz Piotr w letnie popołudnie za ogrodzenie plebańskie wyjść i, na ławce pod starym cisem siadłszy, w świat patrzeć. Widział stąd zboża złociste, pełne modrych bławatków i maków czerwonych, różowe i białe zagony koniczyn, łąki zielone, przesiane mnóstwem różnobarwnych kwiatków, mieniające się pod blask słoneczny. Widział bór ciemny, jakoby pod żrącą, przezroczą gazą złoto-szmaragdowego światła, i gdzieś daleko mgliste błękitniejące góry; a nieopodal widział jezioro wielkie, cichą, lekko falującą, z wiatrem rozchwiej wodną, nenufarami u brzegów i szeleszczącym

sitowiem zarosła, iskrząca się miejscem, jak blacha srebrna w słońcu, miejscem siwą lub siwo-fioletową. Po jeziorze pływały kaczkę dzikie, czerniąc się na topieli sznurami zawisały ponad niem czaple o skrzydłach szerokich i chmary czajek krzykliwych, a jezioro ciągnęło się szeroko, głęboko w kraj, ciche, senne, lekko z wiatrem faliste.

Wszystko to było zatopione w jakąś szreżogę¹⁾ światła, nieskończenie spokojne, rozległe, prawie bezgraniczne jakby zasłuchane w wiatr i szum łąk i wody, łagodnej smętności, rozkołysanych tęsknot, jakiejś polnej zadumy i dziwnych, ogromnych upojeń pełne...

Ksiądz Piotr patrzył i patrzył, i zrazu odróżniał zboże od łąk, a las od wody, ale powoli poczynął mu się ten cały duży i rozmaity świat zlewać, łączyć, zamieniać w jedną wspólną barwę, błękitną a prześwieclną. Zboża, kwiaty, trawy i ciche kręgi fal jeziora, i czaple na szerokich białych skrzydłach, i stada krzykliwych czajek; i obłoki przejrzyste, i niebo jasno-błękitne, wszystko to napełniało mu oczy i czyniło w nich wielką światłość pogodną i niezmiernie słodką. Zdawało się księdzu Piotrowi, jakoby on już nie świat sam rzeczywisty, ale duszę świata widział, raczej opar jakiś czy mgłę, kolory ziemi niosącą, niż samą ziemię.

A potem to widzenie więcej duchem, niż oczyma, poczynąło się gubić i rozwiewać w przestrzeni wylaniających się z pamięci obrazów, niegdyś widzianych. Zatem poczynąły się w duszy księdza Piotra rozbłękitniać olbrzymie przewieje morskie, z okrętami o białych żaglach, i olbrzymie przewieje pustynne; poczynąły w niej szumieć cedry Libanu i palmy oaz arabskich, poczynąły w niej rość piramidy milczące i wulkany o czerwonych kiściach płomienia u szczytu; poczynąły się jawić miasta wschodnie, stubarwne i owe rzymskie martwe, z ziemi dobywane, i ludzi tłumy i zwierzęta dziwne, tworzył się w niej jakiś łagodny, przyćmiony odległością czasu chaos wrażeń, ogarniało ja zapomnienie się,

¹⁾ Szreżoga — mgła błyszcząca.

zamyślenie. I nieraz dopiero wysłany umyślnie przez gospodynią ulubieniec staruszka, siedmioletni sierota, Ignas Znajda, budził go z zadumy, ciągnąc za sutannę.

— Jegomość!

— A... a co?

— Jegomość spali?

— E, tak mi się tylko nieco zdrzemało.

— Pani gospodyni kozeli pedzić i prosić, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, zaraz idziemy.

— Jegomość!

— A co?

— A cy Pon Jezus to tak po niebie chodzi, jak jegomość po ziemi?

— A tak.

— A cy je bosy?

— A pewnie. Pocóżby tam buty nosił, kiedy ciepło.

— A cy je wielgi?

— Ho! ho! jak świat!

— A to jak pierun gruchnie, to mu między paice od nóg leci?

— A pewnie, pewnie.

— A cy je dobry?

— Ho, ho! Jak miód!

— A miód je dobry?

— A czyś to nie próbował?

— A Pombók?

— A Pan Bóg jest też dobry.

— Jeszcze lepejszy?

— Nie, jednako, jednako.

— A wielgi jest Pombók?

— Tak, jak i Pan Jezus.

— Jegomość?

— A co?

— Pani gospodyni kozeli pedzić i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, chodźmy.

— No, to podźcie. Dojcie renke. Pomalućku, boście stary.

I Ignaś brał za rękę księdza Piotra, i szli razem ścieżką ku plebanji, rozmawiając po drodze dużo i serjo.

K. Tetmajer.

52 (68). Siedzi ptaszek na drzewie.

Siedzi ptaszek na drzewie
I ludziom się dziwuje,
Że najmędrszy z nich nie wie,
Gdzie się szczęście znajduje.

Bo szukają dokoła
Tam, gdzie nigdy nie bywa,
Pot się leje im z czoła,
Cierń im nogi rozrywa.

Trwonią życia dzień jasny
Na zabiegi i żale,
Tylko w piersi swej własnej
Nie szukają jej wcale.

W nienawiści i klótni
Wydzierają coś sobie,
Aż zmęczeni i smutni,
Idą przespać się w grobie.

A więc, siedząc na drzewie,
Ptaszek dziwi się bardzo,
Chciałby przestrzec ich w śpiewie...
Lecz przestrogą pogardzą

Adam Asnyk.

53. Przepowiednie pogody.

Święta Barbara po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie.
Kiedy w święty Gawel ślota, będzie w lecie dużo błota.
Święty Marcin na białym koniu jedzie.
Na świętego Szczepana bywa błoto po kolana.
Gdy w dzień Adama i Ewy pięknie, zima wcześniej pęknie.
Susza w świętego Bartłomieja, mroźnej zimy jest nadzieja.
Gdy na świętego Bernarda ziemia twarda, zima będzie harda.
Gdy w Boże Narodzenie pola są zielone, na Wielkanoc będą
śniegiem przyprószone.
Czterdziestu męczenników jakich, czterdzieści dni po nich
takich
Na świętego Grzegorza idą rzeki do morza.
Rzadki dzień świętej Doroty bez mrozu, zawiei, słoty.
Jeżeli w dzień świętego Jacka deszcz nie pada, będzie jesień
sucha.
Gdy się święty Jan rozczuli, to go dopiero Najświętsza Panna
utuli.
Święta Łuca dnia przyrzuca.
Na świętego Macieja pierwsza wiosny nadzieja.
Marja Magdalena rada płacze.
W dzień Szymona i Judy boi się koń grudy.
Na święty Wincenty szczypie mróz w pięty.
Święty Wawrzyniec pokazuje, jaka jesień następuje.

54. Brona.

Słońce za wzgórza się chyli
I senną ziemię ozłaca;
O, wielka cisza tej chwili,
Gdy duch się zmierzchem wzbogaca!

Na nieboskłonie dnia pomnym,
Ciemną sylwetą się czerni
Chłop na swym koniu ogromnym,
Wlokącym bronę po ścierni.

Co krok koń ciężkim łbem kiwa,
Z trudem stąpając pod wzgórek,
Z pod kopyt jego się zrywa
Stado spłoszonych przepiórek.

Leopold Staff.

55 (50). Huczy woda po kamieniach.

Huczy woda po kamieniach,
A na głębi cicho płynie;
Nie sądz ludzi po zachceniach,
Ale prawdy szukaj w czynie.

Kto prawdziwie czuć niezdolny,
Ten się szumen słowa pieści:
Potok głośny, a swawolny,
Mało wody w sobie mieści.

Lecz spokojnej cisza toni
Zwykle wielką głęb zwiastuje:
Na wiatr uczuć swych nie trwoni,
Kto głęboko w duszy czuje.

Adam Asnyk.

56 (83). Klaczka Basia.

W godzinach południowego wytchnienia Rafał szedł cichaczem do stajni i kęsy swego chleba oddawał klaczce Basi. Była to jedyna jego powiernica. Przypatrywał jej się

z rozkoszą. Była długa, na niskich, delikatnych, suchych, przepysznie foremnych nogach, które stawiała miękko, niby po kobiercu, i z dziwną gracją¹⁾. Miała boki wpadłe, jak wilczyca, kłęb wysoki, łopatki tak długie, że ich mięśnie wystawały nad piersi, a mięśnie udowe podkasane i wydłużone. Szyja jej była płaska, długa i zgięta w pałąk, główka mała i ogromnie mądra, głębokie oczy, osadzone w nadzwyczaj szerokich kościach czoła. Oczy te były pełne sądu, pewności siebie i — przysiągłbyś: dumy...

Cienka skóra, przez którą znać było wszystkie żyły, suche ścięgna i mięśnie, była ubarwiona miękką, aksamitną sierścią. Biała grzywa, obfita, bujna i wzdęta, burzyła się a nie strzyżony nigdy ogon świetnie od tułowia odsadzał. A ruchy! Wiła się, jak wąż: można nią było zawrócić na stole. Umiała płaść w miejscu, wolno i lekko, iść do ręki, jak pieszczone dziecko, ale umiała również wydrzeć z rąk cugle perskiego munsztuka, z rozwartym pyskiem, wzięwszy na kiel krygowe wędzidło, rwać, jak dziki wichur, przez rowy i płoty, choćby jej ręka jeźdźca darła żelazem wargi.

Rafał pamiętał Basię od pierwszych chwil jej życia. Miał ją w oczach, gdy była włochoatem źrebiątkiem i biegła na chwiejnych nogach za matką, tęgą, rozrosłą, białą świerzopą²⁾; pamiętał, gdy była źrebicą w krótkiej grzywie, kiedy hasała swobodnie na pastewniku... On pierwszy dopadł, pierwszy siadł na jej grzbiecie bez uzdy i siodła. Pierwszy ją na uździenicy otarzał i objężdżył oklep, nocami, w sekrecie przed cześnikami. Nie dziesięć, nie dwadzieścia razy prasnęła nim o ziemię, że ledwie wstał. Nieraz go ponosiła bezdrożami, w nocy, aż obojgu dech zamierał i serce stawało. Ugłaskała ją wreszcie. Teraz klacz go kochała. Potrafiła rozpoznać jego kroki, gdy już zdaleka nadchodził, rżała zcicha, radośnie, gdy się zbliżał a biła nogami, kiedy się oddalał. Panicz pieścił ją, karmił, pielęgnował, sam cesał zgrzebłem, sam poił i przewoził.

¹⁾ Gracja — wdzięk. — ²⁾ Świerzopa — kobyła.

W tych czasach, skoro jej oddał przyniesione smakołyki, siadał w jej żłobie, splatał ręce na jej szyi, opierał czoło o jej łeb i siedział nieruchomy, w zamyśleniu. Klacz wyciągała ku niemu wilgotne, szeroko otwarte chrapy o czarnych jamach, a mądre spojrzenie jej oczu jakby z pytaniem czułem i trwożnem na nim spoczywało. Często przychodził teraz do niej bez chleba, bez jabłek. Siedział tak samo i, patrząc w oczy Baški przymrużonemi oczyma, z dziwnym uśmiechem śpiewał jej zcicha głuchą piosenkę swej duszy, śpiewkę bez słów, jeszcze nigdy i przez nikogo nie słyszaną, dźwięki, z samej głębi serca płynące tak bez woli i wiedzy, jak łzy płyną z oka...

St. Zeromski.

57 (115). Wieczór wigilijny na wsi.

Wież zginęła w szarych, śnieżystych mrokach, jakby się rozlała, że ani ujrzał domów, płotów i sadów, jedne tylko światełka migotały ostro a gęściej, niżli zwykle, bo wszędy się szykowano do wigilijnej wieczerzy

W każdej chałupie, zarówno u bogacza, jak i u komornika, jak i u tej biedoty ostatniej, przystrojono się i czekano z namaszczeniem, a wszędy stawiano w kącie od wschodu — snop zboża, okrywano ławy czy stoły płótnem bielonym, podścielano sianem i wyglądano oknami pierwszej gwiazdy.

Jakoś nie widno było zaraz z pierwszego wieczoru, jak to zwykle przy mrozie, bo, skoro ostatnie zorze się dopalały, niebo zaczęło się zasnuwać jakby dymami sinemi i całkiem zatapiało się w borościach.

Józka z Witkiem dobrze byli przymarzli, bo stali na zwia-
dach przed gankiem, nim pierwszą gwiazdę uwidzieli.

— Jest! Jest! — wrzasnął naraz Witek.

Wyjrzał na to Boryna, wyjrżeli i drudzy, a na ostatku Rocho.

Juści, że była tuż nad wschodem, jakby się rozdarły bure opony, a z głębokich granatowych głębin rodziła się gwiazda i, zda się, rosła w oczach, leciała, przyskała światłem, jarzyła się coraz bystrzej, a coraz bliżej była, aż Roch uklęknął na śniegu, a za nim drugie.

— Oto gwiazda Trzech Króli, Betleemska gwiazda, przy której blasku Pan nasz się narodził, niech będzie święte imię Jego pochwalone!

Powtórzyli za nim pobożnie i wpili się oczami w tę światłość daleką, w ten świadek cudu, w ten widomy znak zmiłowania Pańskiego nad światem.

Serca im zabiły rzewliwą wdzięcznością, wiarą gorącą, dufnością i brały w siebie to światło, czyste, jako ten ogień święty, pleniący złe, jako sakrament.

A gwiazda olbrzymiała, niosła się już, niby kula ognista, błękitne smugi szły od niej, niby szprychy świętego koła, i skrzyły się po śniegach i świetlistemi drzazgami rozdzierały ciemności, a za nią, jako te służki wierne, wychylały się z nieba inne, a liczne, nieprzeliczoną i nieprzejrzaną gęstwą, że niebo pokryło się rosą świetlistą i rozwijało się nad światem modrą plachtą, poprzebijaną srebrnymi gwoździemi.

— Czas wieczerzać, kiedy słowo ciałem się stało! — rzekł Rocho.

Weszli do domu i zaraz też obsiedli wysoką i długą ławę.

Siadł Boryna najpierwszy, siadła Dominikowa z synami, bo się dołożyła, aby razem wieczerzać, siadł Rocho w pośrodku, siadł Pietrek, siadł Witek kole Józki, tylko Jagusia przysiadła na krótko, bo trzeba było o jadle i przykładaniu pamiętać.

Uroczysta cichość zaległa izbę.

Boryna się przeżegnał i podzielił opłatek pomiędzy wszystkich, pojedli go ze czcią, kieby ten chleb Pański.

— Chrystus się w onej godzinie narodził, to niech każde stworzenie krzepi się tym chlebem świętym! — powiedział Rocho.

A chociaż głodni byli, boć to dzień cały o suchym,
chlebie, a pojadali wolno i godnie.

Najpierw był buraczany kwas, gotowany na grzybach
z ziemniakami całymi, a potem przyszły śledzie, w mące ob-
taczane i smażone w oleju konopnym, później zaś pszenne
kluski z makiem, a potem szła kapusta z grzybami, olejem
również omaszczona, a na ostatek podała Jagusia przysmak
prawdziwy, bo racuszki z gryczanej mąki, z miodem zatarte
i w makowym oleju upróżone, i przegryzali to wszystko pro-
stym chlebem, bo placka ni strucli, że z mlekiem i masłem byli,
nie godziło się jeść dnia tego.

Wł. St. Reymont.

58 (85). Orzeł i żóraw.

— Witaj — rzekł orzeł — żórawiu, z podróży,
Twój powrót cieszy i wiosnę nam wróży:
Usiądź, żórawiu, na bliższych zagonach,
Powiedz, coś widział w cudzoziemskich stronach —
Ci, co daleko lecą,
Zwykle korzystają nieco,
I z twojej pewnie będziemy mieli łaski
Nowe poprawy, nowe wynalazki:
Jak żywność chować,
Gniazda budować...

— Stój — przerwie żóraw — stój, stary gaduło!
Cóż ci się we łbie usnuło,
Że się każdy trzusi lotem,
By was uczyć za powrotem?
Przeleciałem cudze kraje,
Bo tak nasze chcą zwyczaję,
A nie po to, by się męczyć,
Wszystko śledzić, siebie dręczyć!

Już mędrzej chodzę, rezolutniej krzyczę,
To umiem, tego uczyć się ci życzę;
I poznasz wkrótce, że te wasze waśnie...

— Nie kończ! — orzeł wrzaśnie —
Niech się sępy porwą w sztuki
Za twe myśli i nauki!

Niech na nieszczęście do swych gniazd nie wraca,
Kto pamięć o nich na chwilę utracą,
Kto, niebaczny na przykłady,
Przynosząc z sobą pozbierane wady,
Zbiór tylko cudzych śmieszności nam stawia.

O! jakże wiele jest u nas żórawi!

Al. Fredre

59 (87). Połowanie na niedźwiedzia.

Strzelcy stali, i każdy ze strzelbą gotową
Wygiął się, jak łuk, naprzód z wciśnioną w las głową,
Nie mogą dłużej czekać! już ze stanowiska
Jeden za drugim zmyka i w puszcę się wciska,
Chcą pierwsi spotkać zwierza; choć Wojski ostrzegał,
Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,
Krzyżąc, że, czy kto prostym chłopem, czy paniczem,
Jeżeli z miejsca zejdzie, dostanie w grzbiet smyczem.
Nie było rady! wszyscy pomimo zakazu
W las pobiegli, trzy strzelby huknęły odrazu,
Potem wciąż kanonada, aż głośniejsza nad strzały
Ryknął niedźwiedź i echem nappełnił las cały
Ryk okropny! boleści, wściekłości, rozpacz;
Za nim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby dojeżdżaczy
Grzmiały ze środka puszczy: strzelcy ci w las śpieszą,
Tamci kurki odwodzą, a wszyscy się cieszą;

Jeden Wojski w żalości, krzyczy, że chybiono.
 Strzelcy i obławnicy poszli jedną stroną,
 Na przełaj zwierza między ostępem i puszcza,
 A niedźwiedź, odstraszone psów i ludzi tłuszcza,
 Zwrócił się nazad w miejsca mniej pilnie strzeżone,
 Ku polom, skąd już zeszły strzelcy rozstawione,
 Gdzie tylko pozostali z mnogich łowczych szyków
 Wojski, Tadeusz, Hrabia z kilką obławników.

Tu las był rzadszy; słyhać z głębi ryk, trzask łomu,
 Aż z gęstwy, jak z chmur, wypadł niedźwiedź nakształt gromu;
 Wkoło psy gonia, straszą, rwą, on wstał na nogi
 Tylne i spojrzał wkoło, rykiem strasząc wrogi
 I przednimi łapami to drzewa korzenie.
 To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie
 Rwał, wałąc w psów i w ludzi; aż wyłamał drzewo,
 Kręcąc niem, jak maczugą, na prawo, na lewo;
 Runął wprost na ostatnich strażników obławy
 Hrabie i Tadeusza: oni bez obawy
 Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,
 Jako dwa konduktory¹⁾ w łono ciemnej chmury;
 Aż obaj jednym razem pociągnęli kurki,
 (Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwururki;
 Chybili. Niedźwiedź skoczył, oni tuż utkwiony
 Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,
 Wydzierali go sobie, spojrzą, aż tu z pyska
 Wielkiego, czerwonego dwa rzędy kłów błyska,
 I łapa z pazurami już się na łby spuszcza...
 Pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzednie puszcza,
 Zmykali; zwierz za nimi wspiął się, już pazury
 Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiął się znów do góry
 I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.
 Zdarłby mu czaszkę z mózgów, jak kapelusz z głowy,
 Gdy Assesor z Rejentem wyskoczyli z boków,
 A Gerwazy biegł z przodu o jakie sto kroków,

¹⁾ Piorunochrony.

Z nim Robak, choć bez strzelby — i trzej w jednej chwili,
 Jak gdyby na komendę, razem wystrzelili.
 Niedźwiedź wyskoczył w górę, jak kot przed chartami,
 I głową na dół runął i czterema łapami,
 Przewróciwszy się młynicem, cielska krwawe brzemie
 Wałąc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.
 Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły
 Rozjuszona Strapczyzna¹⁾ i Sprawnik¹⁾ zajądły.

Adam Mickiewicz.

60 (38). Niedźwiednik.

Żył przed laty szlachcic, zwany Niedźwiednik. Był to jego przydomek od nadzwyczajnej siły, gdyż każdego przelamał niedźwiedzia, z którym się spotkał; właściwie zaś nazywał się Roch Dąbrowa. Postać nie okazywała bynajmniej tej olbrzymiej siły, którą dziwił i przestraszał. Wysoki, kształtny, topolowego wzrostu; poruszenia żywe, ręka niewielka, ale żyłasta; twarz wesół i ciągle w uśmiechu. Nosił zwykle szarą kapotę i czapkę, na lewe ucho przekrzywioną. Mieszkał w domostwie, niewiele różniącym się od chałupy wieśniaka; mały ogród i jeden zagon duży były całem dziedzictwem Niedźwiednika. Żył pracowicie, uprawiał w pocie czoła ogródek i zagon, a w wolnych chwilach, zarzuciwszy strzelbę na plecy, szedł na grubego zwierza w obszerne knieje, co nie były tak puste, jak dzisiaj, kędy nie zobaczysz niedźwiedzia ni łosia.

Nie strzelał on nigdy do zająca ani do lisa, każdego ptaka omijał; lecz za to w obszernej kniei nie przepuszczał niedźwiedziom, dzikom, łosiom, jeleniom, rysiom i wilkom. Ale i w tem zachowywał szczególny zwyczaj. Żaden z myśliwych nie widział, żeby użył strzelby na niedźwiedzia, chyba, że niespodzianie go spotkał, kiedy nie miał swojego, jak na-

¹⁾ Przejwiska psow.

zywał, kija. Kij ten była to pałka, jak dwie ręce, gruba, u góry zaokrąglona naksztalt buławy; nagłówek ten był nasadzony trójkątnymi gwoździami grubemi, a ze środka wychodził na łokieć długi, ostry, obosieczny dziur.

Z taką bronią przyjmował zawsze niedźwiedzia i, gdy ten, rozjuszony, na dwóch łapach spięty, zbliżył się do Dąbrowy, pchnął go naprzód dziurą, a potem za jednym uderzeniem pałki rozciągnął u nóg swoich. Wtedy z radością uśmiechał się, naciskał lepiej czapkę na lewe ucho, dobywał myśliwskiego noża i nie tylko, że odcinał po zdjęciu skór łapy niedźwiedziowi (ulubiony przysmak na wielkich stołach), ale nadto wykrawał pieczenie, które swemi delicjami nazywał.

Sąsiedni kmiecie, często rozmawiając o nim, zawsze mówili: „Nie dziwota, musi być mocny, jak niedźwiedź, kiedy się żywi pieczeniami z niedźwiedzi.“ Mimo to wszakże nie mogli pojąć, jak człowiek tak może być zdrow i silny, nie pijąc ani wódki, ani miodu, ani piwa; napojem zwyczajnym była u niego kryniczna woda. Łowy były dla niego rozrywką i uciechą. Pan na jednym zagonie, sam go łatwo mógł uprawiać i zebrać. Ogród warzywny i sad, pełen smacznego owocu, dostarczały mu dość żywności przy obfitej zwierzynie.

Na cały powiat Niedźwiednik był osobliwością, a trzeba wiedzieć, że wtedy nie brakło u nas silnych ludzi i dobrych myśliwych; wszakże wszyscy przy nim gaśli. Niedosć, że na oszczep brał wielkie niedźwiedzie; ile razy dziedzicowi chciał podarek zrobić, a zawsze to czynił na kolendę i przed Wielkanocą, przywoził z kniei żywego dzika. Każdy się temu dziwił, i z dalekich okolic zbiegali się myśliwi, aby zobaczyć tak osobliwego strzelca. Chłopstwo oskarżało go o czary, że ma związek z djabelem, lecz to było kłamstwo wierutne.

Jeden nasz znajomy, który był jego sąsiadem, opowiadał o nim następujące zdarzenie:

„Mój ojciec świętej pamięci mieszkał o sześć mil od tej wioski, gdzie Niedźwiednik przesiadywał. Po wesołym kuligu zjechał z matką naszą i z dziatwą w tamte okolice.

W dużych saniach siedziała pani matka i dwie dorosłe panny siostry, ojciec przy woźnicy sam powoził.

W ostatni wtorek, podochocony, wracał z nami wieczorem, a jechał żwawo, aby doma na popielec stanąć. Za dużym lasem — pamiętam jakby dzisiaj, bo miałem już lat dziesięć — iskrzyło się niebo od gwiazd mnóstwa, świecił ci i księżyc w pełni; tak widno było, że szeląg znaleźć było można. Nagle konie parskać poczęły, a nieboszczyk mój ojciec, widząc, co się święci, świsnął — i sanie, jak wiatr, posunęły się po śliskim śniegu.

Wilków stado zabiegało nam z boku. Skręcił końmi w inną stronę i, na nieszczęście, w rów wywrócił. Pamiętam dobrze jego słowa, kiedy przestraszony zawołał, podniósłszy sanie: „Prędej do sani! bo, jeżeli nie uciekniesz, zginiemy na zawsze.“ Matka i panny siostry usiadły prędko; ruszył, co koń wyskoczy, a ja, zagrzebany w śniegu, zostałem zapomniany. Zerwałem się na nogi, wychyliłem głowę, widziałem, jak za ojcem pędzą wilki; z przestrachu przysiadłem i powoli sen mnie ogarnął. Kiedym otworzył oczy, zobaczyłem pierwszy raz w życiu Niedźwiednika; nacierał mi twarz śniegiem, cztery ogromne kundły stały obok niego, a dalej jednokonne sanki, pełne lisów, i trzy skóry wilcze. Gdy zobaczył, że żyję, zaniósł do sanek i zawiózł do domu, lecz nie został w cieplej izbie: rozebrał do naga i na podwórzu wśród mrozu natarł mocno śniegiem. Wtedy obwinał mnie w skórę wilczą i położył na swoim łóżku. W kilka dni już zdrow byłem, a Niedźwiednik, dowiedziawszy się, kto mój ojciec, odwiózł mnie do domu. Drżało mi serce z radości, kiedym ujrzał suche gałęzie lipowej drogi i dwór mego ojca. Zostawił mnie w saniach, a sam wszedł do komnaty.

Owego nieszczęsnego wieczora ojciec dopiero za powrotem do domu zobaczył, że syna stracił, matka zaś i siostry tak były przestraszone, że ze strachu nawet wysiąść z sań nie mogły. W całym dworze powstał lament i płacz wielki, porożyszano czeladź, ale szukano na próżno. Wszyscy pewni byli, że już nie żyje. Dlatego teraz postanowił Nie-

dźwiednik działać ostrożnie, ażeby zbytnia radość nie zaszkodziła matce. Wszedłszy tedy do komnaty, prosił ojca do osobnej izby. Tam mu powiedział, jak mu syna uratował i że przywiózł go z sobą. Pan ojciec nie wiedział, jak mu dziękować: płakał z radości i całował mojego wybawcę.

Powrócili zatem do komnaty, gdzie matka i siostry po mojej stracie zapłakane siedziały. Ojciec kazał teraz jednej siostrze pobiec do piwnicy po węgryzna, a sam rzekł do matki mojej:

— No, dziewczeczko moja, wieści nam pewne sąsiad nasz przywozi o naszym Tadeuszu.

— Żyje? — zawołała.

— Nie tylko żyje, ale przyjechał. — I zaraz wbiegłem, upadłem do nóg panu ojcu i pani matce, a Niedźwiednik płakał i wszyscy. Kiedy go chciał węgryznem ojciec częstować, podziękował za wino i żadnego daru nie przyjął, wyjąwszy strzelbę, jako pamiątkę.

— Jeżeli wielmożny chorąży — powiedział ojcu — chce mię wynagrodzić, niech samotnego Niedźwiednika często pan Tadeusz nawiedza. Nauczę go strzelać, a te odwiedziny rozweselać będą starego myśliwca.

Od tego czasu zawsze co miesiąc na cały tydzień do niego wyjeżdżałem; on mię wprowadzał do strzelby, i mogę rzec bez chluby, że po nim, w naszej ziemi, jako myśliwy, rej wodziłem.

Nadchodziły imieniny mego ojca. Pojechałem do niego, żeby zwierzyny przysposobić. Na kuropatwy poszliśmy z jastrzębiem i bez strzału dwadzieścia par złowili. Niedźwiednik rzekł do mnie:

— No, mój Tadeuszu, trzeba coś grubszego panu ojcu zawieźć; pojutrze jego imieniny. Jutro ze świtem złapiemy dziką żywego i tak zdrowego zawieziem, jak te kuropatwy.

Serce biło mi z radości, jeszcze bowiem nie widziałem, jak to można wziąć żywego dziką w kniei. Mało co spałem; przed świtem byłem już na nogach ubrany. Niedźwiednik

wziął cztery kundły, zarzucił strzelbę i przywiązał wystrzone obosieczne żelazo.

Słońce jeno poczęło wschodzić, kiedy już byłem na stanowisku. Za małą chwilę usłyszałem szczekanie psów głośne, a prędko potem słychać było jeno ciche warczenie. Poskoczyłem; patrzę — i widzę, jak na małej łące kundły przytrzymały ogromnego dziką: dwa trzymały go za uszy, a dwa za tylne racice. Usłyszałem trzask gałęzi i wnet pokazał się Niedźwiednik. Leciał prędko; widać, że pędził za psami, w rękę mu błyszczało ostre żelazo. W pełnym biegu wsiadł na grzbiet dziką i sznurem surowcowym, co go miał za pasem, skrępował ryj jego, wybił kły żelazem i przebiwszy niem przednie przed kolanami racice, poza żyły tenże sznur przeciągnął i silnie związał, a ów dzik ogromny, postrach psów i myśliwych, padł bezsilny. Wtedy, stanąwszy nad nim, rzekł do mnie:

— Tadeuszu, przy trzech brzożach stoi fura, sprowadźcie ją tutaj, ruszymy do dworu pana ojca z podarkiem myśliwskim.

Siedząc na dziku, uradowani, z pełną furą zwierzyny, żwawo popędziliśmy konie i stanęliśmy przed wieczorem. Ja ojcu ofiarowałem kuropatwy, dropia, sarnę i kilka zajęcy, a Niedźwiednik, przywiązawszy na długim sznurze dziką u lipy, co stała na środku obszernego podwórza, wszedł do komnaty, powinszował ojcu i prosił, aby wyszedł zobaczyć podarek starego łowca.

Już wiele było gości; wszyscy, zdjęci ciekawością, wybiegli. Jaki był ich podziw, gdy ujrzeli żywego dziką, co obchodził wokoło lipę! Ojciec mój, rozradowany, wypił zdrowie dzielnego myśliwca z ogromnego puhara.

Wtedy sąsiedzi porwali Niedźwiednika na ręce i nosili po całym podwórzu, śpiewając owa sławna myśliwską piosenczkę:

Siedzi zając pod miedzą,
Myśliwi o nim nie wiedzą.

We dwa miesiące już plakałem nad jego grobem. Jak żył, tak i skończył; nie umarł zwyczajną śmiercią. Polowano na niedźwiedzie, co wiele robiła w okolicy szkody. Wybrał się Niedźwiednik ze swoim, jak nazywał, kijem, który czternaście już zgładził niedźwiedzi. Kiedy poruszona z legowiska wypadła rozzarta niedźwiedzica, wtedy wypadł Niedźwiednik z za drzewa i ugodził ją ostrym dzirytym, ale ten zsunął się po kości. Już nie miał czasu poprawić ciosu, pochwyliła go w silne łapy. Blisko stojąc, usłyszałem jęk cichy i chrzęst łamanych kości. Zemściłem się, bo z mojej strzelby poległa odrazu, ale mój wybawca leżał bez duszy, cały krwią zlany.

Tak skończył stary myśliwiec; opłakiwałem go ciężko, a mój pan ojciec wystawił piękny dla niego nagrobek z kamienia w tym miejscu, gdzie życie skończył, i na nim dał wyryć scenę, jak upadł przed zjadłym niedźwiedziem.“

K. W. Wójcicki.

61 (89). Zając i niedźwiedź.

Nie tylko ludzi łączy zapach święty;
I między zwierzęty
Bywa przyjaźń gorąca.
Dziwnym trafem niedźwiedź bury,
Nadzwyczaj czuły z natury,
Tak się przywiązał mocno do zająca,
Zając do niego nawzajem,
Że ich przyjaźni nazywano wzorem.
Był to Polluks z Kastorem¹⁾.
Cóż, kiedy Polluks strasznym był mazgajem:
Ilekoć z swoim zapachem wyjedzie,
Ilekoć swoje uczucie niedźwiedzie

¹⁾ Dwaj bracia-bliźnięta w mitologii greckiej.

W zajęcze serce chciał przelewać tklowie,
Zawsze go osapał,
Odrapał,
Zawsze nasz zając skrzeczał przeraźliwie.
Lecz nie tu koniec jego smutnej doli,
Bo, gdy raz w cieniu topoli
O wspólnym rozmawiali losie,
A o marnościach świata rozmyślając,
Zdrzemnął się zając,
I mucha mu siadła na nosie,
Niedźwiedź, każdej pory
Do przysługi skory,
Nagle się porywa
I strasznie zaczął się dąsać:
— „Tak mi mojego przyjaciela kąsać!
Oj, czekaj, gadzino złośliwa!
Nie wiesz, czem to pachnie!“
I jak się na muchę zachnie,
Tak ją dobrze zagrabił,
Że razem muchę i zająca zabił.

Fr. Morawski.

62 (90). Nietoperze.

Gacki należą do najpożyteczniejszych zwierząt, gdyż przez całe długie swe życie wyłącznie żywią się żukami, czyli chrząszczykami, ćmami i owadami, w lot łowionemi. Niby zwierzęta ssące, niby ptaki, z dużemi uszami, są one każdemu wstrętne. Podobne są do latających myszy, tylko zamiast lotek mają skrzydła. przezroczystą błoną obciążniętą i połączone z nią ogonem. Mają ostre pazurki i śpiczaste ząbki; latają wieczorem i rano za owadami, które w wielkiej ilości tępią. Dni spędzają po dziuplach, kryjówkach ciemnych, strychach, w murach i rozpadlinach skał; ulubione ich kryjówki bywają w jaskiniach

skalnych. Zimę przepędzają w martwocie, w głębokim śnie pograżone, pazurami związane, tak, że niekiedy można w jednej kupce narachować setki nietoperzów, siedzących jedne przy drugich przez sześć miesięcy.

Mieszkając przez lat dziesięć wśród skał, napotykałem tam mniejsze i większe jaskinie, tworzące niekiedy wysokie i głębokie izby. Zaciekawiony wielce, zapragnąłem poznać wnętrza tych jaskiń. Ponieważ jednak wchody miały ciemne i połączenie jednej izby z drugą było zawalone, kazałem wejścia rozszerzyć i gruz uprzątnąć, a powietrze w nich duszne lub odurzające czyściłem dymem z prochu lub pochodni. Zwiedzając jaskinie z pochodniami, gdyż się w nich zupełna ciemnica rozesała, odkryłem niezliczoną ilość nietoperzy, przepędzających tam dni na ścianach, nieraz tak wysokich, że ich ręką dostać nie było można. Siatką więc ostrożnie zbierałem skrajne, nie ruszając całej kupy, co by mogło być niebezpiecznem w ciemnej jaskini. Nie mogąc nawet w przybliżeniu obrachować ilości zwierzątek, złączonych w jedną kupę, a kup takich bywało w jednej jaskini kilka i kilkanaście, z każdym dniem byłem ciekawszy poznania liczby razem siedzących i zapewne w jednym gatunku zgromadzonych nietoperzy.

Ciekawość zgubiła już niejednego na tym świecie, począwszy od żony Łota, wychodzącego z Sodomy i Gomory, aż do naszych czasów! Tak też i mnie się stało. Dobrawszy sobie kilku żwawych parobczaków, zaopatrzwszy się w zapalki i łuczywo do palenia ognia, wziąłem strzelbę i powędrowałem do największej jaskini, która się składała jakby z obszernej i wysokiej izby i z drugiej mniejszej, nibyto z alkierza. Za czasów napadów tureckich i tatarskich, a może i w czasie wojen szwedzkich, jaskinie te służyły ludności okolicznej za schronienie przed jasyrem, czyli niewolą, jak łatwo było poznać po odymionych i osmolonych ścianach. W tej to jaskini zaciekawiała mnie oddawna szeroka kupa nietoperzy, prawie na łokieć gruba: były ich tam setki, a może i tysiące.

Owóż, gdym się tam dostał z moimi parobczakami, jakiś zły duch mi doradził strzelić w tę kupę i przekonać się, czy

też śrut przestrzeli wszystkie i dotrze do ściany. Strzeliłem — rozpoczął się istny sądny dzień dla nas. Zabite spadły na ziemię, dym zaciemnił jaskinię do reszty, krocie nietoperzów zerwały się i poczęły się po jaskini uwijać, uderzać nas z nemi i mokremi skrzydłami to po twarzach, to po głowach. Piskiem przeraźliwym oznajmiały swój gniew i popłoch, wkończone wytwarzając skrzydłami wiatr dość silny, pogasiły nam wszystkie pochodnie. One widziały doskonale w ciemności, my zaś gdyby ciemni, byliśmy w rzeczywistym przestraszu. Młodzi chłopcy, doświadczeni i przytomni, rzucili się na ziemię, choć w błoto i wodę — w tych jaskiniach bowiem zawsze jest mokro; ale ja stałem odurzony i niemiłosiernie tłuczony w głowę przez nietoperze.

Jak to nawiedzenie długo trwało, powiedzieć nie umiem, gdyż o popatrzeniu na zegarek nie mogło być mowy. Zaledwie może po kilku godzinach pomału i stopniowo rozgniewane i popłoszone nietoperze zaczęły na tych samych miejscach usiadać po ścianach, a latające się przersedziły. Wtedy dopiero na raczkach wypełzłem szczęśliwie do otworu i zobaczyłem światło zachodzącego słońca. Pokazał się teraz, że bawiłem w jaskini blisko przez ośm godzin. Jakże musiało być silnem otrzymane wrażenie, kiedy przez kilka dni czułem w dzień i w nocy, na twarzy i na głowie to ustawiczne, a tak mi przykre uderzanie tych wstrętnych zwierzątek.

Ciekawość jest chorobą, ale u badacza przyrody bywa ona nieuleczalna. Otóż po tygodniu namówiłem sobie znowu owych żwawych chłopców do jaskini, przyrzekając, że już nie strzelę; nawet strzelby z sobą nie wziąłem. Chciałem się przekonać, ile też nietoperzów zostało zabitych, a tem samem obrachować mniej więcej ilość w tej kupie siedzących; strzeliłem bowiem na odległość ledwie sześciu metrów, więc śrut mojego strzału nie objął ani dwudziestej części na wszerz siedzących na kupie nietoperzów. Oświeciwszy jaskinię na leżycie, narachowaliśmy ich ośmdziesiąt, leżących na ziemi zabitych lub ruszających się jeszcze. Przypuścić więc mog

w przybliżeniu, że w tej jednej kupie było zwierzątek przeszło tysiąc.

Najciekawszym wynikiem mych badań było ocenienie szybkości i zręczności ich lotu: latało ich bowiem po jaskini tysiące, nie trącąc się wcale nawzajem, a gdy wieczorem po zachodzie słońca zasiadłem w bliskości tej jaskini, nietoperze wylatywały przez otwór z nadzwyczajną szybkością jeden po drugim, ale nie zauważyłem ani razu, żeby ich kiedy dwa razem przez otwór wyleciało.

Przypuszczam, że nietoperze muszą żyć długo i doczekują się sędziwej starości, a wnoszę to na tej podstawie, że, choć rodzą się po jednym lub po dwoje i choć je łowią niekiedy i sowy, mimo to występują w tak zdumiewającej liczbie.

Kazimierz Wodzicki.

63 (91). Polowanie z sokołami.

Ty śpisz, sumaku¹⁾, ty śpisz, sumaku!
Między błyszczące rosą czahary:²⁾
A tutaj strzelce w stępach Budziaku³⁾
Otoczą wkrótce knieje i jary.
Sumak nie słyszy! sumak nie słyszy!
Bo, milcząc, strzelcy idą na łowy,

I coraz ciszej
Między parowy,
Pomiędzy trawy
Toną i toną;
A zorze płoną,
I świt jaskrawy
Pozłaca niebo na wschodzie.

¹⁾ Gatunek jelenia. — ²⁾ Zarośla. — ³⁾ Równina pomiędzy Dniestrem a morzem Czarnym.

O! jakże miło przy rannym chłodzie
Tak się zapuszczać w stepowe knieje!
Jak tajemnicza ta chwila nocy,
Kiedy noc kona, księżyc blednieje!
Już dzień na wschodzie, a na północy
Jeszcze lśnią gwiazdy, jeszcze lśnią jasno,
I wschód się złoci, blednie, czerwieni,
Niebo się mieni;
Gwiazdy w lazurze
Już gasną, gasną,
I polne róże
Powstają z rosy perlami.
I cicho łowcy szli manowcami.

Trzymaj, myśliwcze, ptaka na dłoni,
Zakryj mu oczy złotym kapturem!
Niech nastrzępionem nie szumi piórem,
Niech się nie trzępie, w dzwonki nie dzwoni!
Zdejmiesz mu kaptur, gdy w nasze sidła
Zwierz się dostanie, wtenczas posłuży.
Sokół się chmurzy,
I ociemniony
Nastrzępił skrzydła,
Wyciągnął szpony,
Ponury, piersi napuszył.

.....
Cicho... Wtem trąby zagrały grzmiące,
I zagrzmiał razem pod niebo wzbity
Z brzękiem surm,¹⁾ kotłów okrzyk wesóły,
I uwolnione z więzów sokoły
Szybko w powietrza lecą błękity;
Krażą i kraczą, dzwonkami dzwonią
I psy spuszczone jęczą i gonią.

¹⁾ Surma = trąba bojowa.

Czekają łowcy: wśród strasznej wrzawy
Patrzą na niwy, złożone świtem.

I oto śmiga
Sumak zbudzony;
Ledwo kopytem
Dotyka trawy,
Charty wyściga
I przez zagony
Przed szybką smyczą
Sadzi przez doły:
Gończe skowyczą,
Kraczą sokoły.

I jeden sokół już zleciał nisko,
Siadł mu na grzbiecie, szpony zatopił,
Chart wiatronogi za zwierzem tropił,
Już go dościgał, już blisko, blisko,
A sumak leci, bojaźnią ślepy,
Leci w zasadzkę — padł na oszczepy:
Drgnął tylko — upadł, a tłum wesół
Znów w trąby dzwoni, znów w kotły bije,
Żeby wystraszyć, co tylko żyje,
Z pomiędzy trawy. Lecą sokoły,
Kraczą i kraczą, dzwonkami dzwonią,
Ogary znowu jęczą i gonią.

Juljusz Słowacki.

64 (92). Napad dzików.

Było to we wsi podgórskiej w ziemi sanockiej, podczas ostrej zimy. Śnieg spadł tak wielki, że dziki nie mogły się dostać w lesie do żeru, więc zgłodniałe spuściły się wielkiem stadem do wsi.

Słysząc było zrazu straszliwe ujadanie psów, które coraz bardziej cichło, w miarę jak się groźny nieprzyjaciel zbliżał; bo dziki wycięły nie tylko wszystkie psy w drodze, ale i trzodę chlewną; gdzie ją tylko poczuły w obejściu, rozburzyły chlewy w okamgnieniu i pożarły trzodę. O obrobie nie można tu było myśleć. Jeden odgłos dzwonów zdawał się na chwilę zatrzymać stado. Dzwonnica stała na przeciwko dworu. Rzeczywiście, zwróciły się dziki przed obejściem dworskiem w bok, przeszły rzekę, a że z plebanji był już ślad do rzeki przetorowany, wpadły na dziedziniec plebanji całym stadem i tutaj się zatrzymały, znalazłszy w kopcach przeszło dwieście korcy ziemniaków. Ludzie w plebanji, przerażeni strasznym najazdem, uciekli na strychy i dachy. Przez cały dzień rozlegały się we wsi głosy, wołające ratunku, a dziki, rozłożywszy się po nawozach, leżały sobie spokojnie w barłogu.

We dworze miałem tylko dwie dubeltówki; ale co tu dwie strzelby pomogą na taki najazd całego stada dzików? Było wprawdzie kilkunastu gajowych i leśnych, ale tych śniegi oddzieliły od wsi; zresztą, nie miałem żadnego wyobrażenia o tem, jakby w myśliwski sposób można radzić w takim razie.

Powiedział mi sołtys, że, jeżeli kilkaset okłotów¹⁾ poświęcę, to może się uda odpędzić nocą dziki od wsi. Pozwoliłem na to bardzo chętnie.

— Ale, panie, trzeba się mądrze wziąć do tego, bo u księdza było tylko dwieście korcy ziemniaków w kopcach, a u nas jest ich przeszło trzy tysiące; jeżeli więc nie mądrze ruszymy dziki, to się do nas spuszcza i zjedzą ziemniaki, skutkiem czego i gorzelnia stanie, i woły nie wypasione pognamy na targ.

Teraz dopiero ujrzałem całe niebezpieczeństwo położenia mego, bo nie byłbym nawet pomyślał o tem, że to był właściwy najazd dzików na ziemniaki, w których już późno w jesieni wielkie zrobiły szkody.

¹⁾ Okłoty = siano zboża wymłóconego.

— Z plebanji — mówił sołtys dalej — nietrudno będzie ruszyć dziki, bo już tam oporządziły wszystko, więc i same tej nocy ruszą; ale cała sztuka, aby nie puścić tego najazdu napowrót do wsi. Wypada tedy to zrobić, że ja z gromadą zastąpię im drogę od dworu i rzeki, oparłszy się aż o dzwonnice, a pan z innymi ludźmi ruszysz dziki z miejsca. Przed wieczorem zbiorą się ludzie we dworze... Ale oto już idą, to przygotowujemy tyki.

Tuż na ogrodzie dworskim stały tyki chmielu, w piramidy ułożone; rozebraliśmy jedną i wybraliśmy co najcięższe i najgładsze. Potem w kierunku, przez sołtysa oznaczonym, wyrobiono wołami szlak, na którym co ośm albo dziesięć kroków przygotowywano po dwa okłoty, a oprócz tego kilka kóp mierzwiastej słomy. Przez resztę dnia robiono gałki żywiczne, a nawet krajano stare wory, moczono je w żywicy i przywiązywano na końcu, tak jak chorągiewki. Na tej robocie upłynął prawie dzień cały.

Pod wieczór zeszła się prawie cała gromada do dworu. Z najcięższymi chłopami stanął sołtys na szlaku od granicy obejścia dworskiego aż do dzwonnicy. Chłopcy obsiedli dachy, a gdy się już dobrze ściemniło, wzięliśmy wszystkie dworskie konie pod ludzi, zabraliśmy tyki ze smolnemi wiciami i ruszyliśmy ku rzece. Plebanja leżała nad rzeką, na wysokim wzgórku, a droga do niej wiodła krótkim wąwozem pod górę.

Podjechaliśmy tedy, nie spostrzeżeni przez dziki. Jeden z górali skrzesał ognia, a myśmy trzymali wszystkie nasze smolne tyki w kupie — i płomień buchnął odrazu okazałe w górę. Wąwóz był przez dziki dobrze utarty: ruszyliśmy więc cwałem i z wielkim hałasem w górę, trzymając w ręku owe płonące chorągiewki. Bardzo strwożone, porwały się dziki z barłogu. Wtem padły cztery strzały celne. Dziki zbiły się w jedną wielką kupę na środku obejścia. Była to chwila-groźna, bo duże samury¹⁾ wybijały się na czoło, i zdawało się że pójdą na ogień przebojem. Lecz padły nowe cztery strzały i dwa

¹⁾ Samce.

zapalone kagańce rzucono na stado. Wówczas poczęły dziki fukać się i pryskać, samury rzuciły się w bok, wywaliły kilka płotów i ryły się w śniegach, wyszedłszy na pole.

Stado dzików przesuwano się powoli, co chwila stawało i obracało się napowrót do ognia; rzucaliśmy tedy zapalone okłoty przed siebie. Ale dziki, nałożywszy nieco drogi, polem zwróciły się ku dzwonnicy, chcąc się spuścić napowrót do wsi. Wtedy w mgnieniu oka, na znak dany przez sołtysa, rozgorzały owe okłoty i na kupach złożona słoma mierzwiasta i uderzono we wszystkie dzwony!...

Był to prześliczny widok zimowej sobótki, który mi wszelki niepokój i trudy poniesione nagroził! Dziki, widząc, że się do wsi dostać nie mogą, zwróciły się w górę i poszły w lasy sąsiednie.

Założyliśmy tedy ogromne ognisko na dziedzińcu, a choć blisko była plebanja, nie było obawy, aby się jaki budynek zapalił, gdyż dachy były zawalnymi śniegami pokryte. W dziedzińcu tedy plebanji i na szlaku przy dzwonnicy czuwali ludzie i palili ognie przez noc całą. Nie żałowano także prochu, i ile go można było wystrzelać z dwóch dubeltówek, tyle go wystrzelano na ślepe strzały. Ja zaś udałem się z dwoma góralami, aby uspokoić proboszcza, bo, lubo już od pół godziny gospodarzyliśmy w dziedzińcu, nikt z domowych nie dał znaku życia.

Wincenty Pol.

65 (30). Śniadanie myśliwskie.

Tymczasem na Wojskiego rozkaz pęki wrzosu,
Suche chrósty i pniaki rzucono do stosu;
Bucha ogień, wyrasta szara sosna dymu
I rozszerza się w górze nakształt baldachimu;
Nad płomieniem oszczepy złożono w koziołki,
Na grotach zawieszono brzuchate kociołki;

Z wozów niosą jarzyny, mąki i pieczone
i chleb.

Sędzia otworzył puzderko zamczone,
W którym rzędami flaszek białe sterczą głowy;
Wybiera z nich największy kufel kryształowy
(Dostał go sędzia w darze od księdza Robaka),
Wódka to gdańska, napój miły dla Polaka;
— Niech żyje! — krzyknął sędzia, w górę wznosząc flaszę —
Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, będzie znowu nasze! —
I łań srebrzysty likwor w kolej, aż na końcu
Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W kocielkach bigos grzano — w słowach wydać trudno
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną.
Słów tylko brzęk usłyszysz i rymów porządek,
Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.
Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,
Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy.
Przecież i bez tych przypraw potrawą nielada
Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa.
Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta,
Która, wedle przysłowia, sama idzie w usta;
Zamknięta w kotle, łonem wilgotnym okrywa
Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa;
I praży się, aż ogień wszystkie z niej wycisnie
Soki żywne, aż z brzegów naczyń war prysnie,
I powietrze dokoła zionie aromatem.

Bigos już gotów. Strzelcy z trzykrotnym wiwatem,
Zbrojni tyżkami, biegną i bodą naczynie,
Miedź grzmi, dym bucha, bigos, jak kamfora, ginie,
Zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów
Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów.

Adam Mickiewicz.

66.

Dokoła polanki, jak okiem dojrzał, ciągnął się mur ciemnych sosen i gęstwi leśnej. Mur ten przerywał się w jednym miejscu i idąc w dal naksztalt korytarza, rozszerzał się coraz bardziej! W korytarzu i rozszerzeniu bełkotały fale jeziora i opłukiwały brzeg polanki. Jezioro było rozległe, bo drugi koniec jego prawie że ginął w oddaleniu, i chyba jak przez mgłę można było dojrzeć czerwony dach i wieżyczkę stojącego na drugiej stronie kościoła i czarną opaskę lasu, zamykającą niedaleko za kościołkiem horyzont.

Sosny z wysokich i piaszczystych brzegów przeglądały się w jeziorze, niby w zwierciadle, więc zdało się — drugi las jest w toni. A kiedy kołysał się las na ziemi, kołysał się w jeziorze; kiedy szumiał na ziemi, zdawał się szumieć i w wodzie; kiedy zaś wśród ciszy powietrznej tkwił nieruchomie, wówczas i w gładkiej, nie pomarszczonej toni każda igielka sosny rysowała się wyraźnie, a pnie szły prosto, niby szeregi kolumn, idące gdzieś daleko, daleko, — w nieskończoność.

Środkiem jeziora fala w dzień odbijała słońce, rankiem i wieczorem zorze, nocą księżyc i gwiazdy, a wydawała się tak głęboko, jak wysoko nad nami jest sklepienie niebieskie ze słońcem, zorzą, księżycem i gwiazdami.

H. Sienkiewicz.

67 (94). Pieśń żniwiarska.

Jak las, wysokie żyto się udało;
Oj, będzie za to pieniędzy niemało.
A pszeniczka na zagonie
Złocistemi kłosa płonie.
Jęczmień i owies błyska barwą świetną:
Wszystko to, wszystko sierpy nasze zetną;

A pracowne nasze woły
 Wszystko zwiozą do stodoły.
 Potem wymłócim, a czeladka pańska
 W galarach z szyprem powiezie do Gdańska.
 Pięknie zboże się udało,
 Będzie pieniędzy niemało.
 Więc, chłopcy, dziewczki, żywo z sierpem, żywo!
 Skończmy co prędzej rozpoczęte żniwo,
 Gdy skończymy rażni, żwawi,
 Pan dożynki nam wyprawi.
 Dziewoja, która przodowała w żniwa,
 Wesołą piosnkę przed domem zaśpiewa
 I wianek, z kłosów pleciony,
 Wstążeczkami ubarwiony,
 Strojny kaliną i polnemi głogi,
 Złoży w podarku przed pańskimi nogi.
 Pan wystawi wódkę, piwo,
 Grajek zagra piosnkę żywo,
 Będziemy hulać do samego rana,
 Wielbiąc szczodrość i pani, i pana.

K. Gaszyński.

68 (95). Gniazdo słowicze.

Tarnina już zakwitła, gdy się rozpoczęły słowicze prace i pieśni. Do Dalewic przybyła para słowików i zajęła się naprzód wyszukaniem dobrego miejsca na gniazdko. Kiedyś tam jeszcze, w błotnym marcu, przypadkiem zapuścił się był koń Makosza pomiędzy wikliny; ślady kopyt jego, zrobione w grząskim podówczaś gruncie, dotychczas jeszcze były widzialne, choć je drobna trawka tu i owdzie pozarastała. Jedno takie odbicie końskiego kopyta było głębsze od innych, a znajdowało się tuż pod krzakiem. Słowicza samka złożyła tutaj pierwszą uschłą jakiś listek; przyleciał za nią małżonek i dołożył suche

żdziebelko trawy; były to więc fundamenty gniazdko. Przy-niesiono jeszcze więcej materiałów, podesłano dno i zaczęto budować boki; oboje to dziobkiem, to nóżkami splatali i prze-platali żdźbła, łączyli je ze sobą, naginali i wyrównywali, aż wreszcie stanęły ścianki słowiczego gniazda. Ale było ono niekształtne i wewnątrz bardzo nierówne, więc wstąpił w nie samczyk, stanął na podstawie i począł się wkoło obracać; obrócił się kilka razy całym ciałem w jedną stronę; obroty takie nadały kształt gniazdku, i pokazało się przytem, że nie-które pręciki oraz żdziebelko nie są na swoim miejscu; samczyk przeto powyciągał je, poprzycinał dziobkiem, dopasował.

Po nim z kolei teraz weszła w gniazdko samiczka i mogła się w niem obracać bardzo swobodnie. Oboje ptaszkiwie zatem wydali głos radosny, porwali się na skrzydełka i po-lecieli między olchy a wikliny; szukali oni skrzętnie po ziemi oraz po drzewach, zbierali kawałeczki mchów, znosili je i wyścielali niemi dno, jako też boki gniazdko. I znowu kolejno, jedno po drugim wchodziło w gniazdko, przesiadywało tutaj, obracało się dokoła, a gniazdko stawało się gładkie, i wklęsłość jego nabierała okrągłości dokładnej. Do mchów dołączono kawałki końskiego włosienia, sierści bydłęcej, a także włosów ludzkich, oraz nieco szczeciny; to wszystko bystre i baczne oczka słowiczej pary umiały znaleźć już to w sadzie, już w ogrodzie lub nad rzeką. Samczyk był tak śmiały, że rankiem puszczał się na podwórko Makoszowej chaty i zwykle powracał stamtąd, zaopatrzony obficie w ma-terjał potrzebny do budowy.

Gniazdko było już mocne, trwałe, sprężyste, należycie zastawione i pozszywane, ale nie było jeszcze w niem miękko. W takim mieszkaniu nader ważne i potrzebne są poduszki oraz materace. Okwitały właśnie na podręczu¹⁾ wierzby, a przy drodze — topole; wiatr roznosił puch ich kotkowych kwiatów; znajdowały też słowiki drobne puszkę pierza, uronionego przez rozmaite ptactwo, a za rzeką, na

¹⁾ Pod ręką, w bliskości.

lące, trafiały się i cząsteczki zajęczego futra. Wszystko to, jedno za drugim, przeniesione zostało do gniazdka, a nadto samiczka oddała nieco puchu z własnej piersi.

Nareszcie skończyła się budowa tej chaty w swoim rodzaju; gniazdo posiadało nie tylko odpowiednią moc, ale było bardzo wygodne także, było nawet piękne. Zadowolone ptaszyny powiedziały sobie chyba coś niezmiernie przyjemnego; może ona błysnęła ku niemu uszczęśliwionem okiem, bo oto wzleciał w górę, usiadł na gałązce olszyny i zaczął śpiewać piosnkę, którąśmy w nocy słyszeli.

Gniazdko poczęło się teraz napełniać jajkami; dopóki w niem było jedno jajko, dwa, trzy, samiczka oddalała się w gąszcze, chwytając muszki, uganiała się za komarami, pilnie zato nocą przesiadując na gniazdku. Kiedy już było jajek cztery i pięć, nie opuszczała gniazdka całymi dniami i nocą, chyba na maleńką chwilę, aby ugasić pragnienie. Mąż znosił jej pożywienie. Zresztą, coś ją do gniazdka wiązało, było jej tam dobrze i przyjemnie. Na pobliskiej gałązce małżonek, przesiadując, rozmawiał z nią tak serdecznie! Rozumiała ona dobrze tę piękną, wyśpiewywaną rozmowę, wsłuchiwała się w nią i przesiadywała cierpliwie.

Po kilkunastu dniach jedno jajko poruszyło się pod nią; usłyszała jednocześnie cieniuchny głosik, podniosła się więc i zobaczyła swego pierworodnego. Powstała wtedy z gniazda, wskoczyła na jego ściankę, wybierała starannie skorupki jajka, powyrzucała je, przyjrzała się maleńkiemu dziecku, dotknęła go lekko dziobkiem i krzyknęła, jako uszczęśliwiona matka. Wnet też z olszynowej gałązki sfrunął samczyk; i on także popatrzył na jedynaka, i on wydał z piersi głos radości. Potem prędko już posypały się słowicze dzieci; zaczęły one wołać: „Jeść, jeść!” a nowe trudy rozpoczęły się dla rodziców.

Ileż tu bywało radosnego pisku, kiedy dziatwa spostrzegła przylatującą matkę z komarem, albo chrząszczem w dziobie! Na wyścigi podnosiły gołe główki, rozwijały nagie skrzydła, otwierały żółte dziobki, wytrzeszczały czarne oczka. Wykarmić pięcioro dzieci — to bardzo trudno! Trzeba było

sprawiedliwie obdzielać porcjami, aby które z głodu nie umarło; matka umiała wybornie rozróżniać każdą główkę. Przytem wtargnęły nieraz do gniazdka mrówki i zaczęły małcom dokuczać w sposób bardzo dotkliwy; więc nowa praca, nowe kłopoty; mrówki należało pilnie wybierać, powyrzucać lub pozabijać i pozjadać. Oprócz tego, troskę niemalą w tej rodzinie stanowiły dla matki chłodne a mgliste wieczory, oraz poranki; mogło się łatwo które dziecko w czasie pierwszej młodości zaziębić i zamrzeć. Jednakże na wszystko była szybka i dobra rada.

A. Dygasiński.

69 (97). Pod lipą.

Słońce pali; a ziemia idzie w popiół prawie,
Świata nie znać w kurzawie,
Rzeki dnem uciekają ¹⁾,
A zagorzałe ²⁾ zioła dżdża z nieba wołają.
Dzieci! z faszją do studni, a stół w cień lipowy
Gdzie gospodarskiej głowy
Od gorącego lata
Broni list ³⁾, za wsadzenie przyjemna zapłata.
Lutni moja, ty ze mną, bo twe wdzięczne strony ⁴⁾
Cieszą umysł trapiiony,
A troski nieuśpione
Prędkim wiatrom podają za morze czerwone.

Jan Kochanowski.

70 (98). Pożar lasu.

W r. 1857 w górach koło Mikuliczyna, w tej uroczej ojczyźnie Huculów, widziałem straszny obraz lasu, palącego się na przestrzeni kilkunastu morgów.

¹⁾ Dnem uciekają — wysychają do dna. — ²⁾ Zagorzałe — spalone.
— ³⁾ List — liść. — ⁴⁾ Strony — struny.

Nie wiem z jakiego powodu zabłysnął płomień w głębi smerekowego drzewa, niby to błędny ognik lub swawolna sobótką, zrazu przygaś, zadymił; znowu powstał, powołał drugi. Już połączyły się oba w płomiennych uściskach, już gonią dalej, szybują po ziemi, wznoszą się i opadają; już luna zakrwawiła widnokrąg. Ognistą powłoką nakrywają przestrzeń, zabierając ziemi jej barwiste kwiaty i wesołe trawki, cały uroczy strój letni, obnażają przyrodę, wzamian sypią płomieniem i iskrami, lecz jakby gniewem zaślepione, nie po-
przestają na tem zniszczeniu. Posuwają się na jałowce, tworzą płomienne świeczniki, pną się na smereki i jodły i te posępne drzewa przeistaczają w ogniste piramidy. Kłęby dymu różno-
barwnego bałwanią się w powietrzu, pną się ku chmiurom, pochłaniają się wzajemnie i walczą iskrami.

Zrywa się wiatr, dmie silnie i podnieca ognisko, wyrwa niedopalone gałązki, roznosi i trzęsie z wściekłością, rzuca palące się pochodnie w gąszcze i tworzy ogniste jeziora lub też zapala wierzchołki drzew na sygnał. Wierny pomocnik ognia, wiatr, zbiera mu po ziemi suche szpilki i smolne części i podnieca płomień. W ustawicznej ze sobą rozmowie syczą oba, huczą, jęczą, i słysząc trzaskanie i grzmoty wśród nieustających błyskawic. Niezmęczone i nieustraszone, niosą wspólne zniszczenie: płomienie biegają po ziemi, gdyby węże ogniste, słupy ognia wznoszą się ku niebu, palące się komety gonią się wzajemnie, śpieszą zwiastować pożogę i sypią żar po drodze. Wieńce z ognia, różgi z iskier, latające pochodnie, istna lawa, paląca się w powietrzu, wznosi się ku górze, ku niebu. A niebo całe zaognione, zalane płomieniami, ciełuje swe tło czerwonymi chmurami; bałwany mgliste łączą się z dymem i kłębią się tak, iż niebo i ziemia zdają się ginać w ognistym potopie. Piekielny to był obraz w ramach czarnych lasów.

Przestrach stworzeń był nie do opisania. Bydło, kozy, owce i konie rykiem i beczaniem wtórują pożarnej muzyce. Straciwszy instynkt i przytomność, pamięć i nabyte doświadczenie, rzucają się w ogień lub biegną bez kierunku i myśli;

uderzają o siebie, przewracają się wzajemnie i tratuja. Ptaszęta, szczęśliwsze od czworonożnych, wznoszą się w powietrze, chwilę trzepocą wśród dymu, podziwiając niezwykłą lunę; niejedno życiem przypłaci swą ciekawość, inne szybkim lotem opuszczają ten świat ognisty, kwiląc żałośnie za straconą działwą.

Po niejakiem czasie ogień przygaś, wiatr ustał, i dym opadł, ścieląc się po ziemi, jak gdyby przed światem chciał zakryć zdziałane spustoszenie; brakło już przedmiotów do niszczenia. I oto przedstawił się nam straszny obraz, jakby żałobny cmentarz przyrody: ziemia czarna i spopielona, a na niej sterczą krzaki opalone, gałęzie, widły i pnie; jedne z nich jeszcze z wnętrzości wydają ciecz żywiczną, inne stoją z pniem rozprutym, reszta sterczy bez konarów bez życia, przedstawiając grobowy obraz końca świata.

Kazimierz Wodzicki.

71. Jagoda.

Po brzozowym cichym lesie
Dziewczę idzie, dzbanek niesie,
Niesie dzbanek z jagodami,
Z jagodami borówkami.
— A dla Boga, co się dzieje,
Kto się śmieje? — las się śmieje —
Kłaniają się przed nią drzewa —
Ona śpiewa i las śpiewa.
Więc przystanie, dech zatrzyma,
Patrzy wkoło i nic niema.

Dzięcioł, co ma dzióbek spory,
Przysiadłże się też do kory,
A wywilga coraz świśnie —
Gęstwa, ledwie się przecisnie. —
Z pod jałowcu zając skoczy,
Z otwartemi śpiący oczy.

— Mój zającu, nie bójże się,
Ja borówki zbieram w lesie,
A toż ja ci nie przeszkodzę,
Że ze dzbankiem sobie chodzę!
Gdybyś był nie uciekł w chrósty,
Dałabym ci liść kapusty,
Jak królikom, kiedy z jamki
Wyjdą zrana stare samki,
A za niemi ich przychówek
Powymyka się z kryjówek;
Stara matka uchem strząśnie,
Przybliży się, liścia kąśnie,
I powoli się oswoją,
Że i Burka się nie boją.

Już powiadam, że uciecha!
Oj! frunęło coś z orzecha,
Z czubka drzewa, co się chwieje,
Choć najmniejszy wiatr nie wieje.

Coś zalata, cości słyhać,
Że aż chce się piersiom dychać;
Nocą spadły świeże deszcze,
Co się krople świecą jeszcze,
A na wrzosie, co mnie moczy,
Jak perełki, stoja oczy.

Jagódeczko — pójdz do dzbana,
Moja, moja, dana, dana...

(śpiewa)

Miała matka dwie sieroty:
Chłopiec starszy siedmiolatek,
Jak aniołek jaki złoty
Co otwiera drzwi do chatek

W koszulinie, zawsze bosy,
Przepasany wąską krajką,
Opalony, białe włosy,
Bóg wie, gdzieby szedł za bajką.

A dziewczyna, jakby fryga,
Nigdzie miejsca nie zagrzała,
O! śpiewała, o! biegła,
Tylko że się w oczach miga.

Dobrze tym, co mają matkę,
Miłe życie, czas wesoły;
Lecz gdy zajdzie wóz przed chatkę,
Zaprężony w siwe woły.

I kościelny dziadek stary
Od dzwonnicy linkę chwyci:
Za cmentarzem dzionek szary
Smutną zorzą się rozświeci,

I krzyżyków tyle, tyle,
Pokaże się z poza płoty,
I sieroty na mogile...
Były we wsi dwie sieroty...

.....
.....

Jak zalata boże ziółko..
Gdzie tak śpieszno, pani pszczołko?
Już za sosną, już za górką,
Przyjdiesz do mnie na podwórko;
Jak mateńka miód wysyci,
To się przecież coś zachwyci.
Danać moja, dana, dana...
Gdybym była poszła z rana,
Kiedy świat był w cieniu grubym,
To już byłby dzbanek z czubem.

Już południe, słychać dzwonki,
 Stary pasterz spędza z łąki.
 To Pawłowa — ta graniata,
 Co kołatką tak kołata.
 A to nasza krówka goni,
 Co jej dzwonek cienko dzwoni.
 I od gaja aż do gaja
 Rozlega się ryk buhaja;
 Jak zobaczy cudze chłopię,
 Zaraz staje, ziemię kopie,
 A Burek go łap za nogę:
 Nie przestępuj ludziom drogę.
 Dobrze psisko nie napada
 Na starego ze wsi dziada,
 Ale zato jak posłyszysz:
 Pójdź tu Burek, myszy, myszy!
 Toż pod siebie ziemię spycha,
 Kopie, kopie, potem kicha.

Coraz dalej dzwonki dzwonią,
 A brzęk leci równą błonią.

(śpiewa)

Pożegnała siostra brata,
 Pożegnała temi słowy:
 Kiedy idziesz na kraj świata,
 Mój braciszku, bywaj zdrowy.

Jak za siódmą będziesz rzeką,
 Jak ci zgłuchną wiejskie dzwony,
 Albo ja wiem, jak daleko,
 Obejrzyj się w nasze strony,

Gdzie nad chatą rozwaloną,
 Nad kominem het, wysoko
 Takie nieba jasne łono,
 Jak nieboszczki matki oko.

Nie oglądaj się na człeka,
 Ni na swoich, co już w grobie,
 Ale, bracie, wspomnij sobie:
 Że cię nasze niebo czeka.

Rosną wierzby nad wodami,
 Nad zieloną pochyłością:
 Kto pożegnał się ze łzami,
 Ten powita się z radością.

Bywaj zdrowy! bywaj zdrowa!
 Smutno świeci zachód złoty...
 Długa żalność, krótkie słowa:
 Żegnały się dwie sieroty.

.....

Danaż moja, dana, dana...
 Jagódeczko, pójdź do dzbana!
 Jakoś idzie mi powoli,
 A tu trzeba kupić soli.
 Łatoś ¹⁾ było coniemiarą;
 Dziwiła się matka stara,
 Że jak tylko w gaik wpadnę,
 Wnet borówki niosę ładne.
 A ja wcale się nie siłę,
 Wszędzie pełno, gdzie się schylę.

Rumienia się wkoło przy mnie:
 Weźże i mnie, weźże i mnie,
 I ja świeża, i ja świeża, —
 I już dzbanek po wybrzeża.
 I mówiła mi jagódka:
 Zjedz mnie, zjedz mnie, bo ja słodka...
 A ja kładę do kozubka ²⁾,
 Tyś dla matki, moja lubka.

¹⁾ Zeszłego roku. — ²⁾ Rodzaj koszyka.

Ja dziewczyna nie łakoma,
Dadzą mi, jak wrócę doma.

A dziś chodzę dzionek cały,
Czyby ptaki wydziobały?
Oj, wy ptaki nienasyte,
Widzę ja was, choć ukryte!
Dziwuje się, kręci główką,
Nie pocieszysz się borówką.
Otóż widzisz, że nie twoja,
Tylko boska, potem moja.
Danaż moja, dana, dana!
Jagódeczko, pójdź do dzbana.

(śpiewa)

Płyną wody za wodami,
I z gałązki liść oblata;
Sieroténka za górami
Przewędrował kraje świata.

A chociaż mu nie zbywało
Ani soli, ani chleba,
Ale wszystko to zamało,
Bo swojego nie miał nieba.

I napisał liścik drobny
Złotoocznem piórkiem pawia,
Ale taki niepodobny,
Że co słówko to zakrwawia.

Niby nic mu nie potrzeba
Nad wodami, nad cudzemi,
Ale chciałby krzynkę nieba,
I wietrzyka z swojej ziemi.

Wzięła siostra liść kaliny,
Napisała mało — wiele:
Tyś braciszek, ty jedyny,
Tyś mi anioł w ludzkim ciele.

I co przyszło jej do głowy,
Wypisała wszystko na nim;
Teraz wietrze cichem wianiem
Zanieś listek kalinowy.

.....

Przeleciałam kawał lasa,
Zarosłam się do pasa,
Trzeba wracać! bywaj zdrowy,
Mój gaidu brzeziny.
Śpieszy dziewczę drogą z lasu,
Dobrze nogom w ciepłym piasku,
A wciąż jedną nutę nuci,
Czyż jej piosnka nie porzuci?
Nie porzuci, trudna rada,
Z wschodniem słońcem na nią spada,
Między myśli jej się płacze:
Skończ mnie, skończ mnie! nie, nie skończę.

(śpiewa)

Miała matka dwie sieroty:
Chłopiec starszy siedmiolatek...

.....
Cicho, piosnko, dosyć psoty!

.....

Najciekawszy był ostatek...
Coś o koniu, o szabelce,
Najpiękniejszy koniec dzieła.
Ja sam ciekaw byłem wielce,
Lecz dziewczyna się zawzięła,
I ustami różanemi
Szeptala, jak woda zdroja,
Cichy pacierz: Wola Twoja
Jako w niebie, tak na ziemi.

Teofil Lenartowicz.

72 (100). Zaścianek Dobrzyński.

Słynie szeroko w Litwie Dobrzyński Zaścianek
 Męstwem swoich szlachciców, pięknnością szlachcianek,
 Niegdyś możny i ludny, bo, gdy król Jan Trzeci
 Obwołał pospolite ruszenie przez wici,
 Chorąży województwa samego Dobrzyna
 Przywiódł mu sześćset zbrojnej szlachty.

Dziś rodzina

Zmniejszona, zubożała; dawniej w pańskich dworach
 Lub wojsku, na zajazdach, sejmikowych zborach
 Zwykli byli Dobrzyńscy żyć o łatwym chlebie,
 Teraz zmuszeni sami pracować na siebie,
 Jako zaciężne chłopstwo! tylko że siermięgi
 Nie noszą, lecz kapoty białe w czarne pręgi,
 A w niedzielę kontusze. Strój także szlachcianek
 Najuboższych różni się od chłopskich katek:
 Zwykle chodzą w drylichach albo perkaliczkach,
 Bydło pasą nie w łapciach z kory, lecz w trzewiczkach;
 I żną zboże, a nawet przędą w rękawiczkach.

Różnili się Dobrzyńscy między Litwą bracią
 Językiem swoim, tudzież wzrostem i postacią. X
 Czysta krew lacka, wszyscy mieli czarne włosy,
 Wysokie czoła, czarne oczy, orle nosy;
 Z Dobrzyńskiej ziemi ród swój starożytny wiedli,
 A choć od lat czterystu na Litwie osiedli,
 Zachowali mazurską mowę i zwyczaje. X
 Jeśli który z nich dziecku imię na chrzcie daje,
 Zawsze zwykł za patrona brać Koronijasa,
 Świętego Bartłomieja albo Matyjasza.
 Tak syn Macieja zawsze zwał się Bartłojem,
 A znowu Bartłojem syn zwał się Maciejem;
 Kobiety wszystkie chrzczono Kachny lub Maryny.
 By rozemnać się wpośród takiej mieszaniny,

Brali różne przydomki od jakiej zalety
 Lub wady, tak mężczyźni, jako i kobiety.
 Mężczyznom czasem kilka dawano przydomków,
 Na znak pogardy albo szacunku współziomków;
 Czasem jedenże szlachcic inaczej w Dobrzynie,
 A pod innem nazwiskiem u sąsiadów słynie.
 Dobrzyńskich naśladując, inna szlachta zbliśka
 Brała również przydomki, zwane imioniska.
 Teraz ich każda prawie używa rodzina,
 A rzadki wie, iż mają początek z Dobrzyna,
 I były tam potrzebne; kiedy w reszcie kraju
 Głupiem naśladownictwem weszły do zwyczaju.

Adam Mickiewicz.

73 (105). Żubry w Białowieży.

Zrobiliśmy mały wypoczynek. Tymczasem przyjechał
 nadleśny, który wysłał budników na poszukiwanie żubrów.
 Była obawa, że, nie wiedząc, gdzie jesteśmy, mogli pognać
 stado w inną stronę.

Po chwili zjawił się jeden z budników.

— Schowajcie się, schowajcie! — wołał — zaraz będą
 szły tędy.

Skoczyliśmy co prędzej do sosen, żubry szły rzeczy-
 wiście.

Zwiastował je trzask suchych gałęzi, łamanie się krzów
 i drzewek. Gdy całe stado pędzi z pośpiechem, sprawia
 w puszczy taki łoskot, że wśród ciszy można je posłyszeć
 na dwie wiorsty. Ale tym razem były to pojedyncze sztuki.
 Naprzód w zaroślach zamigotały dwa czarne ciała, które, to
 zbiegając się, to rozbiegając, sunęły ku nam z nadzwyczajną
 szybkością, rosnąc z każdą chwilą. Były to dwa stare olbrzy-
 mie samce, co łatwo było poznać z ich garbów i łbów,
 pokrytych obfitemi kudłami, zwieszającemi się w kształcie

długich bród pod szczęką dolną. Ujrawszy nas, czy też zwiertżywszy, zwróciły się nagle i przeszły o jakie półtorasta kroków, skacząc lekko przez leżące zawały drzewne.

Ponieważ za nami las był zupełnie podszyty, wkrótce straciliśmy je z oczu. Po pewnym czasie znowu kilka sztuk ukazało się między drzewami, ale jeszcze dalej, niż poprzednio! Prawdziwie dobrze przypatrzeć się tym wspaniałym mieszkańcom puszczy mogliśmy dopiero w końcu zwierzyńca. Spore stado, ruszone przez budników, zatłoczyło się w ten kąt, przez który i nam wypadało wracać do domu. Posłyszawszy nawoływanie, zaledwie zdążyliśmy schronić się za drzewa, gdy ze wszystkich stron posypało się kilkanaście sztuk. Były tam stare samce, młode byczki i krowy z cielętami. Niespodzianie połączyło się z niemi i stado jeleni, które również schroniło się w to zacisze poprzednio. Wówczas otoczyła nas cała menażeria puszczy. Krasne łanie biegały bezładnie, becząc, za niemi zaś ostatni podążał jelen, jakiś zwycięzca z wczorajszej walki, uwieńczony potężną koroną rogów.

Teraz biegł za niemi w ciężkim galopie, przechylając przeciążoną głowę na grzbiet. Ręka mimowoli szukała strzelby, której brać z sobą do puszczy nie wolno. Cały korowód przesuwiał się nie więcej, niż o czterdzieści kroków. Ani jeden strzał nie byłby chybił. Żubry, płoszone krzykiem budników, którzy zabiegali im drogę, kołowały czas jakiś tuż koło nas. Małe cielątka, czarne, jak żuki, bezrogie, podobne do kulek, śmieszne, z rozwiniętym nad miarę łbem i przodem, a marną resztą ciała, smyrgały z chyżością sarn przez wszelkie przeszkody. Jedna krowa biegła tuż koło częstokołu, i tę widzieliśmy najlepiej. Małe jej nie tylko nie zostawało, ale uprzedzało jeszcze matkę. Gdyby było ranne, możeby się była rzuciła na budników, których żubry mniej się boją, niż ludzi, przybyłych zdaleka i noszących nieznane im ubiory. Wogóle jednak żubry są płochliwe, i gdy ranny jelen rzuca się na strzelca nader często, żubr, należący jeszcze do stada, nie mał nigdy. Natomiast stare samce, chodzące pojedynczo,

są zuchwale, złe i bywają niebezpieczne. Widocznie starość, odłączenie i ciągła samotność usposabia ich posępnie i gniewliwie.

Czasem, a zwłaszcza zimową porą, taki pojedynek staje napoprzek drogi, jak gdyby szukał zaczepki, i nie ustępuje nie tylko pojedynczemu człowiekowi, ale i gromadzie całej. Widząc zbliżających się ludzi, wozy i konie, poczyną kiwać swą olbrzymią, brodatą głową, toczy krwawemi oczyma, wydaje głuchy mruk, podobny do chrząkania i chrapania zarazem, i rzuca się naoslep. Naówczas biada zaczepionym. To też chłop puszczański, jadący zimą saneczkami, gdy zobaczy zdala stojącego na drodze pojedynka, zjeżdża natychmiast w las i stara się objechać olbrzyma jak najdalej. Bywają także wypadki, że w ostępie rzuca się niespodzianie na leśnika. Wówczas jedyną ochroną, jeśli napadnięty nie ma broni, lub jeśli nie chce strzelać, jest uciekać naokół cienkiego drzewa, bacząc na obroty napastnika i zwracając się wedle tychże obrotów. Naokół grubej sosny, która zasłania ruchy zwierzęcia, dogania ono z łatwością strzelca, depcze go i rozmiążdża raciami, potem porywa na rogi i ciska w górę. Pewien stary leśnik, którego nazwiska nie pamiętam, opowiadał jednemu z naszych towarzyszy, iż dwa razy w życiu napadany był przez żubra. Raz schronił się pod pień leżący i wyciągnął się wzdłuż, przyciskając ciało do drzewa jak mógł najszczelniej. Żubr nie mógł go deptać, że zaś przy pniu była wklęsłość, nie mógł także podłożyć pod niego rogów. Jednakże zaciekły zwierz nie odstępował go przez kilka godzin. Starzec opowiadał potem, iż zdawało mu się, że trwało to wieki całe. Drugi raz wyratował się ucieczką, sposobem wyżej wspomnianym.

Jeżeli postać żubra jest wspaniała i straszna zarazem, to i siła jego nie jest mniejsza. Dowodem tego jest wypadek, jaki niedawno zdarzył się w Budach. Chłopi puszczańscy, siedząc we wsiach, położonych koło biegu rzeczek i strumieni, mają przepyszne pastwiska, a co za tem idzie, i było tak piękne, jakiego gdzie indziej nawet w wielkich gospodarstwach nie znaleźć. Jest to wspaniała leśna rasa o wysokim

zadzie, niskim przodzie i kościach okrągłych, rasa bardzo mięsista i mleczna, hodowana z zamilowaniem i starannością. Ponieważ jednak wsie puszczańskie leżą czasem po pięć i sześć mil w głębi puszczy, i gospodarzom daleko było jeździć do dworów, trzymających stadniki, zakupili więc sobie składkowym sposobem olbrzymiego buhaja, który miał stać w Budach rezydować. Na nieszczęście, tuż do Bud przypiera częstokół żubrowego zwierzyńca. Buhaj, wyrwawszy się w nocy, obalił dwa przęsła częstokołu, wszedł do zwierzyńca i spotkał się ze starym pojedynkiem. Zaczęła się walka, przy której obecni byli rozbudzeni chłopci. Próbowali nawet przerwać ją krzykiem i drągami, ale usiłowania te nie przyniosły najmniejszego skutku. Zapaśnicy parli się łbami, lub odskakiwali od siebie, aby po chwili zewrzeć się nowem, strasznem uderzeniem. Po kilku chwilach buhaj padł. Chłopci pouciekali, żubr zaś bódł go jeszcze przez pewien czas ze wściekłością. Nazajutrz w dzień znaleziono byka z rozdartym brzuchem, z wnętrznościami na zewnątrz, prócz tego wszystkie kości kręgowe karku miał pogruchotane i zmiażdżone. Historję tę opowiadał młody budnik, który nas woził do Zamczyska, do Białowieży i w stronę Browska.

Obecnie niema już prawie niedźwiedzi w puszczy, ale czytałem w swoim czasie, że żubr, zaczepiony przez niedźwiedzia, pokonywał go z łatwością. Zato trzy, a nawet dwa wilki kładły po pewnym czasie najęźszego pojedynka, gdy bowiem jeden skakał mu przez łeb, drugi korzystał z czasu, by wyrwać mu dziurę w boku i wypuścić wnętrzności. Stada jednak żubrowe nie obawiały się wilków, choćby po Matce Boskiej gromnicznej połączonych w gromady.

Żubr litewski nader podobny jest do amerykańskiego bizona. Różni się tylko od niego zewnątrznie mniejszą głową i mniejszą wyniosłością przodu. Jest on także garbaty, ale nie do tego stopnia. Kudły na grzbiecie ma także mniejsze i nie tak obfite, zato jest dłuższy i silniejszy w zadzie. Pod względem wagi, zdaje mi się, że nasz Litwin nie ustępuje Amerykaninowi, ani go też nie przewyższa. Ustępuje tylko liczbą, bo, gdy

bizonów są jeszcze na wysokich i niskich stepach setki tysięcy, liczba żubrów nie przenosi ¹⁾ sześciuset sztuk. Mnożą się one bardzo powoli, gdyż cielęta ssą bardzo długo. Trzy-letnie ogromne byczysko musi klękać na przednie nogi, chcąc dostać się do wymienia matki, a jeszcze ją wysysa. Za rządów pruskich ²⁾ liczba tych zwierząt zmniejszyła się tak dalece, iż była obawa, że wyginą zupełnie.

Henryk Sienkiewicz.

74. Mazur.

Piękna nasza Polska cała,
Piękna, żyzna i niemała!
Wiele krain, wiele ludów,
Wiele stolic, wiele cudów;
Lecz najmiłsze i najzdrowsze
Przecież człeku jest Mazowsze!

Bo gdzie takie cudne stroje,
I śpiewanki, i dziewoje?
Kto w podkówki tak wykrzesze?
Komu miłe tak pielesze ³⁾
Jak ojczyste Mazurowi?
Niechaj cała Polską powie.

Poza Niemnem puszcza sroga,
A na Rusi błotna droga,
Góral zbyt podkasały ⁴⁾,
A Odraki lud ziemczały:
A więc nasza, nasza góra,
Nie masz w świecie nad Mazura!

¹⁾ Obecnie, po wojnie ostatniej, jest ich jeszcze mniej. — ²⁾ T. j. między rokiem 1795 a 1806. — ³⁾ Ojczyste strony. — ⁴⁾ Kuso ubierający się.

Mówią, że tam na Podolu
Rośnie żyto bez kłólu;
Ale u nas dary Boże
Płyną Wisłą aż za morze,
Przyspiewują jej flisaki,
A grosz człek ma jaki taki.

Gdzieś za światem Dniepr tam płynie,
Sławne konie w Ukrainie;
Ale kto, jak Mazur właśnie,
Wioząc konia, biczem trzaśnie?
Kiedy jedzie do Warszagi,
Mówią wszyscy: Mazur tęgi!

Tęgi Mazur wej w pokój!
Lecz się przyda i do boju,
Znane w Polsce kosyniery,
I do boju Mazur szczery,
Gdy do kosy się przyłoży,
Tnie Moskała, jak gniew Boży!

Dana, dana, dana, dana,
Za ojczyznę miła rana!
Prędzej zginą rzeki, góry,
Niżli Polska i Mazury:
Bies cię porwie, Mikołaju ¹⁾,
A swoboda będzie w kraju

I zanuć w Polsce ludzie
O Mazurach i o cudzie:
Bo Bóg, żeby świat dziś tworzył,
Już z Mazurów-by go złożył,
A pośrodku nich niecnotę
Mikołaja na zgryzotę.

W. Pol.

¹⁾ Mikołaj I, car rosyjski (1825–1855).

75 (107). Do puszczy białowieskiej.

Pociąg, do którego wsiedliśmy w Bielsku, składał się z długiego szeregu pustych platform, żwirówek, odrapanych brankardów i dwóch tylko pasażerskich wagonów. Trzecia klasa pełna była wrzasku, ruchu, Żydów, chłopów, kłębów gryzącego dymu tytoniowego; w drugiej: w jednym przedziale jakaś pani, roniąc z niechcenia francuskie wyrazy, rozmawiała półgłosem z dwoma szlachcicami, poznałem ich po sumiastych wąsach; w sąsiednim — samotny pan w czapce z zielonym lampasem patrzył wytrwale w okno. Wieźli nas tym pociągiem na wschód bez pośpiechu, ale z wielkim zgrzytem i sapaniem.

Droga wila się wśród ślicznej, zlekka sfalowanej okolicy. Szachownica zasianych pól i siwe smugi świeżo zoranego roli spływały wspaniale z widnokręgu po stokach wzgórz, niby bogata, królewska opona. W jej fałdach tu i ówdzie błyszczały nitki rzeczulek, połyskiwały strugi i stawy, to porośnięte szczeciniastym szuwarem, to czyste, lustrzane, z czochratami wierzbami u brzegów. Czasem zaczerpnął w wądołę drobny gaj olchowy, niby znamię rodzime na pięknej, jasnej okolicy. Białą dwór mignął w ciemnych ogrodach na szczycie pagórka. Sadzona strzelistymi topolami droga biegła ku niemu, a opodał mała wioszczyna rozsypała się, jak szary różaniec. Nigdzie śladu lasów. Bezmiar błękitnego powietrza, pełny śpiewających skowronków, spoczywał bezpośrednio na łąkach zbóż, a skąpany w rosie miał w ten łagodny, słoneczny poranek taką przejrzystość, że widać było wyraźnie odległe, coraz to inne krzewy, grusze, krzyże i wiatraki z rozpostartymi ramionami, płynące ku nam na powodzi światła. Górą luźno rozpierzchnięte obłoki, jak wianek białych kwiatów, wieńczyły młody dzień.

— Gdzież lasy?!

Wyglądaliśmy ich niecierpliwie. Nareszcie jedna z pań, którym towarzyszyłem, zawołała radośnie:

— Już są! Patrz pan!

Ciemna, długa, wąska chmura zamajaczyła na horyzoncie. Jednocześnie gwizdnęła chrapliwie lokomotywa, i pociąg zwolnił. Lecz nie lasy witaliśmy w ten sposób, ale straszliwi dzieci, które u zamkniętego szlabanem przejazdu zrobiły sobie zabawę z przemykania przez szyny tuż przed pociągiem. Konduktorzy łajali je, maszynista groził pięścią, lecz dopiero gdy pociąg prawie przystanął, one pierzchnęły z wesołą wrzawą i rozsypały się, jak stado gołębi po łące, płosząc tam długonogie bociany.

Pan w czapce, z zielonym lampasem, kiwał naganie głową, aż ruszyliśmy dalej, sapiąc i wyrzucając na pozłotę słońca kłęby brunatnego dymu.

Droga wężowato wiła się wśród uprawnych pagórków. Miejscami tor był tak wąski, że ciężkie, płowe warkocze bujnego żyta, z gwiazdkami modrych chabrów i malinowych kąkoli nieledwie zaglądały do okien wagonów. Ciepły, przyjemny aromat kwitnącego zboża zalatywał aż do nas. Pociąg na skrętach niezgrabnie stukotał, niby koń, zmieniający w galopie nogę. Hukały miarowo bufory, brzęczały łańcuchy, drżały i jęczały szyny, ale wszystko szło ospale, bez żywszego tętna, jak codzień się powtarzające, niepotrzebne, ciężkie roboty.

Od czasu do czasu rozlegało się gderliwe gwizdnięcie lokomotywy, spędzającej z plantu to babę z dwojakami, to zbłąkaną krowę. Baba uśmiechnęła się na zuchwały żart konduktora, a krowa długo biegła torem, nie rozumiejąc, czego chcą od niej, i ogłądała się głupowato na pociąg.

Sina chmura lasu rozplywała się tymczasem coraz szerzej po ziemi. Zwolna pierwsze jej smugi w błękitnawych stały się szaro-zielone, rozbiły na oddzielne gaje i zalesia. Spodem wyłoniły się szeregi pni drobnych od odległości, równych, niby pułki żołnierzy, stojących pod bronią. Nad nimi chwiały się wdzięcznie kosmate chorągwie uliścionych gałęzi.

Jeszcze jeden zakręt — i znaleźliśmy się przed stacją Hajnówką. Brzydka, pospolita, wgryzła się piernikową rdzą swych budowli i blade-żółtymi placami pylnych trzebieży w śliczny, sosnowy bór.

Wozili nas tu z linji na linję dobre pół godziny, odczepiając jedne, przyczepiając drugie wagony. Dama i szlachcice wysiedli, natomiast do wagonu z panem w zielonej czapce wszedł drugi pan w błyszczącym mundurze i przy szpadzie.

Pociąg, oswobodzony od połowy co najmniej ciężaru, pomknął z wesołym łoskotem. Z obu stron kolejowego porębu, w ciągu całej drogi płynęły obszary puszczy. W górze po jaskrawo-zielonych jej szczytach wciąż przelatują wilgotne dreszcze słoneczne, w dole ogromne, omszone jej pnie nikną, pograżone w przejrzystym zmroku morskiej głębin.

Wacław Sieroszewski.

76 (108). Niemen.

Płynie strumień, płynie mały,
Z grzęzawiska lub z pod skały,
Płynie w lewo, płynie w prawo,
Między kwieciami a murawą:
I na szmaty ziemię kraje,
I sąsiednie ssie ruczaje;
A wezbrany u łożyska,
Z wartkiej fali pianą pryska:
I rybackie pędzi łodzie,
I górzysty brzeg przebodzie,
I otworzy przepływ łatwy
Dla wiązanej z drzewa tratwy.

I w wesołe puszcza tany
Statek, zbożem ładowany.
A gdziekolwiek trąci falą,
Pana Boga ludzie chwala:
Bo bogatszem być poczyta
Ich miasteczko i wioszczyna,
I zieleniej rosną drzewa,
I weselej ptaszek śpiewa;
Niebo uśmiech ma w błękicie,
Wszędzie żywiej kipi życie,
Bo falista woda rzeczna
To krainy krew serdeczna.

L. Kondratowicz.

77 (110). Mgła poranna w górach.

Minęło lato. Góry śniegiem się odziewają; przedgórza występują w dzikszych coraz barwach.

Polany spustoszały; ogłuchły echa pieśni pasterskich; słońce z każdym dniem widoczniej się nudzi, z każdym

dniem wcześniej na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze z mgłami, rozdrażnia sny moje krótkie, jak sny rozkochanego. Budzę się w ciemnościach; gwiazdy iskrzą, lśni się obfita rosa; korzystam z ostatnich lata zabytków, chcę sobie przypomnieć letni poranek, puszczam się w góry. Zatrzymałem się na szczycie Wielkiej góry nad Łopuszną.

Cała dolina leżała cichym snem pod memi nogami. Księżyc spuszczał się bezchmurnym niebem do zachodu. Pogoda była mi tem uroczniejsza, że się zdawała być uśmiechem piękna snu marzącego; księżyc tem milej, tem tęskniej świecił, że tylko mnie samemu świecić się zdawał. Tatry stały uroczyście, jak żeby milczącą modlitwą dumały.

I oto ze szczytu Babiej góry wybuchnął kłęb lekkiego tumanu i stoczył się do jej podnóża. Wschód mocniej płonąć się począł. Jutrzenka ucieka w głębie nieba. Na kilku białych szczytach pokazały się płatki różowego blasku, a od zachodu mgły się podnoszą: z początku bieleją, w postaci kilku chmurek błędnych, powoli idą ku sobie, spotykają się, łączą się, gęstnieją, toczą się białym wałem cicho, uroczyście, coraz szerzej ostanając dolinę, już dosięgły mojego stanowiska, już je oblały dokoła, rozlewają się dalej, już dosięgły Pienin, i oto cała dolina zniknęła. Lasy i wody, wsie i pola, wzgórza i błonia, wszystko, co księżyc tak pięknie przed chwilą oświecał, w tej chwili zagasło pod mgły morzem. Prawdziwe to morze! Kłęby tumanu burzą się, jak poruszone fale, przewalają się przez siebie nawzajem; cała masa jednym ruchem zdaje się kołysać, cichnie, a jednostajna, siwa barwa rozlewa się po powierzchni całego tego ogromu. Tatry, Pieniny, Babia góra zostały teraz brzegami morza, z którego łona podnoszą się gdzieś niegdzie, jak ciemne wyspy, wyższe wzgórza, lasami porośłe.

Wzmagający się blask świtu rozjaśnia coraz mocniej część wschodnią mglistego morza i zaczyna rozścielać po niej pajęczynę z barw płomiennych, igrających. Nakoniec pokazało się słońce. Tu muszę złożyć w pokorze moim pendzel malarski; nie czuję się zdolnym wyobrazić, jak stup jego

palający, niezmierzony w swej długości, rzucił się wzdłuż mgieł aż ku mojemu oku, jakimi barwami po ruchomem tle ich igrał, jakiego uroku był ten most tęczyowy między ziemią a słońcem, jakim blaskiem zajaśniało wszystko między ziemią a niebem!

W miarę jak słońce podnosiło się, odbłask jego na powierzchni tumanów zmniejszał się i ciemniał. Powiał wreszcie wiatr, zawichrzył mgłami, podniósł niektóre do wysokości mego stanowiska... Widowisko skończone, zszedłem na dół, ale w zachwyceniu i poczuciu, że mi się objawiło owo Morze Karpackie, które, podług podań, zalewało niegdyś dzisiejszą Nowotarską dolinę.

Seweryn Goszczyński.

78 (111). Pieśń góralska.

Czerwony pas, za pasem broń
I topór, co błyska zdala,
Wesoła myśl, swobodna dłoń:
To strój, to życie górala!

• Gdy świeży liść okryje buk
I Czarnogóra¹⁾ szernieje.
• Niech dzwoni flęt, niech ryczy róg!
Ożyły nasze nadzieje.

Pęk rzeki grzbiet, popłynął lód,
Czeremosz²⁾ szumi po skale;
Nuż w dobry czas kędziory trzód
Weseli kapcie górale!

¹⁾ Góra w Karpatach galicyjskich. — ²⁾ Rzeka w tejże okolicy, przypływ Prutu.

Połonin¹⁾ step na szczytach gór,
 Tam trawa w pas się podnosi,
 Tam ciasnych miedz nie ciągnie sznur,
 Tam żaden pan ich nie kosi.

Dla naszych trzód tam paszy dość,
 Tam niech się mnożą bogato!
 Tam runom ich pozwólcie rość,
 Tam idźcie na całe lato!

A kiedy mróz posrebrzy las,
 Ładujcie ostrożne konie!
 Wy z plonem swym witajcie nas,
 My z czarką podamy dłonie!

J. Korzeniowski.

79 (112). Taniec górali.

Oto na skrawku łączki pod lasem, lub gdzie bądź przed szalasem lub schroniskiem porzucali na kupę torby i cuhy²⁾, porzucali kapelusze albo je przymocowali pod brodą, następnie wbijają wszystkie ciupagi w ziemię i zaczynają dokoła nich taniec. Każdy po kolei staje przed grajkiem, śpiewa parę zwrotek, płaci za muzykę i puszcza się drobnego. Wkońcu wszyscy są już w kole i wtedy rozpoczyna się jakieś szaleństwo: taniec opętany, warjacki, w którym na tle pewnego ogólnego tempa ruchów każdy, odpowiednio do swego temperamentu i zdolności tancerskich, improwizuje rozmaite ruchy i skoki.

Ten łagodny blondyn, zgrabny i smukły, stula nogi, bierze się pod boki i wyprostowany rzuca sobą w powietrze, padając ukośnie na ziemię, jak gwóźdź olbrzymi. Ten

¹⁾ Połonina — równina górską. — ²⁾ Cucha — opończa z baraniej skóry.

drab potężny, o czerwonej, spoconej twarzy, wyrzuca się w górę na sążęń, zgina nogi, uderza z trzaskiem w locie, dłońmi po piętach i spada z hałasem. Ów z nadzwyczajną elegancją i szykiem drepce w miejscu pochyłony, jak gdyby się zachwycał własnymi nogami. Tamten bije z zaciekleścią nogą w ziemię, jak gdyby chciał w niej dziurę wybić lub roztrząsać własną piętę. Ów przypada całym ciałem do ziemi i wylatuje nagle w powietrze, jak raca. Tamten przeciera obłąkane oczy, włosy mu się jeżą, wytrząsa rękoma nad głową, zdaje się być opętany, pijany jakimś szalem, a jego nogi same bez jego woli i wiedzy trzęsą się na miejscu w jakichś zygzakowatych, błyskawicznych ruchach. Wszyscy wykrzykują, szamoczą się, tupią, śmigają rękami i nogami i zdają się być zębami jednego koła, lecącego w najszybszym obrocie.

Znowu muzyka wolniej, ruchy stają się spokojniejsze, tańczący biorą ciupagi, zaczepiają je ostrzami, trzymając wysoko, i tańczą wkoło zwolna jakby dla odpoczynku. Lecz nagle grajek naciąga brwi wielkie nad oczami, ukrytymi pod wystającym, jak okap, zrębem czoła, ścisza konwulsyjnie skrzypki i rznie jeszcze wścieklejszym rytmem, i cała banda tancerzy zaczyna się jeszcze z większą gwałtownością ciskać i szaleć. Latają w powietrzu ręce i nogi, błyska stal ciupag; wszystko się miesza i mąci w jakiś chaos.

Pasja, która ich porywa przy tym tańcu, jest tak gwałtowna, że, kiedy stają przed grajkiem, najęźsze chłopcy z czerwonymi, jak rak, gębami, bledną, jak trupy, ze wzruszenia.

St. Witkiewicz.

80 (36). Dumka.

Zamierzchłeś mi dawno z przed oczu,
 Mój kraju kochany, daleki!
 Lecz w myśli, w tem dusznem przezroczu,
 Zwierciędlisz się cudnie — na wieki.

I widzę: step bujny, burzanny ¹⁾
 Zielenią w obłoki się ściela,
 W barwinki ubrany, w dziewanny,
 W młodości, w lubystki, w sen-ziele.

I patrzę z mogiły dokola,
 Gdzien błogo przedumał wiek jary ²⁾;
 Znajome wzdłuż groby i siola,
 Znajome czahary ³⁾ i jary.

Pas w dali się srebrzy, pas długi;
 Dniepr-ojciec, samotnik stepowy;
 W barwiste okutał się ługi ⁴⁾
 I ciągnie na progi, ostrowy.

Rząd mogił, gdzie pomknę oczyma,
 Wojenne, kaukaskie pątniki;
 Brat-orzeł, brat-sokół straż trzyma
 Krakają, a tabun rzy dziki.

Co blasku! co krasy! co woni!
 Co ptactwa i gwaru, rozgwaru!
 Hej! w nutę znajomą pieśń dzwoni
 Chórami od jaru do jaru!

Zamierzchłeś mi dawno z przed oczu,
 Mój kraju kochany, daleki!
 Lecz w myśli, w tem dusznem przezroczu,
 Zwierciedlisz się cudnie — na wieki!

Józef Bohdan Zaleski.

¹⁾ Zarosły ourzanami, t. j. wysokiem zielskiem. — ²⁾ Młody.
³⁾ Zarosła. — ⁴⁾ Łąki.

81. Ukraina.

Ale skoro się od tych dzierzaw ku południowi odwrócisz,
 zasinią ci się, zatumania na wschód i na zachód Dnieprowy
 ukraiinne ziemie, a świat zatoczy ci się stepem po najdalsze,
 niedojrzane krańce.

I wydzwignie się step na twarde podłoże z grząskich
 zapaści ¹⁾, a ziemie, podane ku południo-wschodowi, pocznie
 umiać potężnie wiatr suszący i szerokoskrzydły, buszując
 w ogromnych trawach samorodnej postaci; w trawach prze-
 bujnych, na nie tykanej sochą ani pługiem surowicy ²⁾ samopas
 rosnących.

I roztoczą się, rozprzestrzenia potężne, nieobjęte okiem
 dale i ogarnie cię świat nowy zgoła i nowy wiatr duszę ci
 obwieje.

Tu poszumy niekietznane chodzą stepem, niby wielkiem
 morzem; tu trawa idzie za wichrem, jak fala, a poświst gra
 w bodziakach ³⁾ pieśń dziką, a orzeł kracze nad głową, a czer-
 wona pełnia miesięczna wstaje gdzieś nad kurhanami i nagle
 step krwawo rozświetla. Wstają wtedy z pod kurhanów
 upiory starej chwały, a przesławne Atamany dmą w złoty róg
 na mołojce, po mogiłach uśpione.

Lecz rankiem i cichą pogodą zwabia cię, zaczarują te nie-
 zmierne, siniejące dale urokiem swobody i tęsknoty razem.
 Coś prze, coś woła, coś duszę z piersi wyrывa. Szedłbyś
 przez te burzany, któremi lekuchny dech wiatru przewiewa,
 aż tam, gdzie tuman mglisty, liljowy, łączy się z nieba okrajem ⁴⁾.
 Szedłbyś od krzyża do krzyża, od mogiły do mogiły, nasłu-
 chując ciszy, która się tu uczyniła po śmiertelnej wrzawie
 bohaterskich wypraw na Carogród ⁵⁾, na Synopę ⁶⁾.

Jeszcze tu czasem lirnik na kurhanie siedzie, zakręci
 rączkę u liry i zawiedzie dumę starosławną; jeszcze czajka ko-

¹⁾ Mokradła, na których można się zapaść. — ²⁾ Nieuprawianej
 ziemi. — ³⁾ Ostach. — ⁴⁾ Krańcem, brzegiem. — ⁵⁾ Konstantynopol. —
⁶⁾ Miasto w Azji Mniejszej.

zaczę zapluśnie, zakrąży po Dnieprze; jeszcze koń hetmański
zawodu zadrży, zatętni od staniszc; jeszcze Kijów rozbrzysnie
złotą bramą swoją. Ale to już nie to, już nie to...

Smutek rzeczy skończonych, które się nigdy nie wróca,
chodzi stepem ukraińskim szeroką, nieogarnioną wzrokiem
pustką, nie mający gdzie spocząć, chyba na mogile. Ten smutek
wspomnień to jest dusza stepu.

Z niego to lira ślepeca bierze tony swoje, w nim tają się
złote ziarna pieśni, ziarna, które się rozkwieciły czarodziejską
dumą.

Na całej dziedzinie ziem naszych niema tak cudnie roz-
śpiewanej przeszłości i ludowej doli, jak jest rozśpiewana na
tej Ukrainie.

Step, Dniepr i Pieśń, oto jest jej dusza, jej wyraz, jej życie.

Marja Konopnicka.

dot

82 (116). Kozak w stepie.

Ej! ty na szybkim koniu gdzie pędzisz, kozacze?
Czyś zaoczył zającą, co na stepie skacze?
Czy, rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swej lubej, co czeka śród niwy,
Nucąc żalosną dumkę, lecisz, niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rozpuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze.
Zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość,
I, jak światelko w polu, błyszczy na niej radość,
Gdy koń, co jak ty, dziki, lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wichur, wyciągnawszy szyję.
Umykaj, Czarnomorcu! z swą mażą ¹⁾ skrzypiącą,
Bo ci synowie stepu twoją sól roztrąca.

¹⁾ Wóz czumacki na Ukrainie.

A ty, czarna ptaszyno, co każdego witasz,
I krążysz i zaglądasz, i o coś się pytasz,
Śpiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
Nim skończysz twoje koło, oni ująć gotowi.

Minął już kozak bezdnie i głębokie jary,
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary:
Przyleciał do figury (co jej wzgórek znany,
Bo pod nią już oddawna upiór pochowany),
Uchylił przed nią czapkę, zegnał się trzy razy
I, jak wiatr, świsnął stepem z pilnemi rozkazy.
I koń rześki żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął i wierzgnął, i dalej pośpiesza,
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały wierny kozak myśl pana zgaduje.
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi.
A żwawy wierny konik kozaka rozumie.
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodiaki ¹⁾
Lżej się nie przesuwają pierzchliwe sumaki ²⁾
I, jak strzała, schylony na wysokiej kuli ³⁾,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli;
I przez puste bezdroże król pustyni rusza,
A step, koń, kozak, ciemność — jedna dzika dusza,
O! któż mu tam przynajmniej pohulać zabroni?
Zginał — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni!

A. Malczewski.

83 (114). Podole.

Jak zaległy ziemie Boże,
Przebież kraje, przerzuć rolę,
Zejdź świat cały, przepłyn morze,
Niema kraju nad Podole!

¹⁾ Osty. — ²⁾ Rodzaj jelenia stepowego. — ³⁾ Wygięcie u siodła.

Jak zasięgnie tylko oko,
I daleko, i szeroko,
Świat kłosami tylko płynie,
I w obszarach oko ginie...

Tu kraj cały jednym łanem
I nadany wszelkim płodem;
Płynie mlekiem, płynie miodem;
A lud cały wielkim panem!

Ziemie czarne, niepochybne,
Pasze żyzne, wody rybne;
Mało wprowadzie trochę lasa,
Ale za to chleb do pasa!

Z solą człek się tam nie kłopi:
Słomę pali, nawóz topi;
I co może, w skład wyorze,
A jak umie, Boga chwali!

Kilkoletnie sterty, brogi,
W toku z laty poczerniały,
Jak miasteczka stoją małe,
Nie strzeżone na obszarze —
I na polu skot¹⁾ w koszarze²⁾,
Co zabiela dniem rozłogi³⁾.

Za okopem lub za płotem
Wsie, zamknięte kołowrotem,
A choć rzadkie — duże, syte,
Chaty czysto wymuskane,
Strzechy grubo, równo szyte,
Drogi rowem okopane.

Cicho, jednak niby ludno:
Wszędy zboża, wszędy krzyże;
Konik polny piosnkę strzyże...
O mogiłę też nietrudno...

¹⁾ Bydło. — ²⁾ W ogrodzeniu. — ³⁾ Łąki stepowe.

Kłosa płyną w lekkiej fali,
A gdzieś widne w sienie dali
Brzozy smutne i powiewne
I dąbrowy starodrzewne...

A i ludu wdzięczne lica:
Boć to czysto, białe odzian,
Jak dąb młody, rzeźki młodzian,
A dziewczeczka, jak — pszenica!

W chacie też to człeka radzi
Bogiem, chlebem witać w progu;
I Bóg gościa spać prowadzi,
I na drogę zleca Bogu.

Wincenty Pol.

84 (121). Bolesław Chrobry.

Ten, co najpierwszy ujrzał światło wiary,
Niosąc zbawienie ludowi i sobie,
Syt lat i chwały, już Mieczysław stary
Legł w Piastów grobie.

Wychowan w dzielnych wojowników gronie,
Straszny sąsiadom, dla poddanych dobry,
Koroną przodków okrył młode skronie
Bolesław Chrobry.

Ledwie jął rządzić, alić Czech zdradliwy
Puszcza swe hordy po Lecha krainie,
Zamienia grody i obfite niwy
W głuche pustynie.

Jak lew zraniony, skrwawioną zrenicę
Tocząc, rzuca się na zwierzę zuchwałe,
Tak Chrobry walczy, bierze Czech stolicę
I państwo całe.

W dzielnym zawodzie chciwy dalszej sławy,
Kiedy ukarał tego, co przewinił,
Miśnię, Luzaków i żyzne Morawy
Swemi uczynił.

Wtenczas Jarosław Ruś żyzną wydziera...
Już gnębi Kijów okrutna przewaga,
Wygnań Światopelk u nóg bohatera
Pomocy błaga.

Bolesław, równie mężny, jak wspaniały,
Zbiera rycerstwo i w szyki sprawuje,
Już się nad wojskiem wznosi sztandar biały
Droge wskazuje.

Pędzi, pytając, gdzie nieprzyjacieł?
Widzi za Bugiem hufce ich skupione,
Rzuca się z koniem na rycerstwa czele
W nurty spienione.

Już obległ Kijów, już baszty szerokie
Tucze taranem, z kusz opoki ciska:
Padły świątynie i gmachy wysokie
W smutne zwaliska.

Wchodzi bohater w rozstąpione mury
Wśród radosnego wokoło żołnierza,
A miecz zwycięski podnosząc do góry,
W bramę uderza.

Na pamięć, gdzie się Polacy zagnali,
Jakie z Czech, Niemiec odnosili łupy,
Bije na Dnieprze, i Ossie, i w Sali
Żelazne słupy.

Spoczął, a sławny dzieły tak świetnemi.
P z /jmując w Gnieźnie Ottona cesarza,
Dziwi przepychem i skarby drogiemi
Hojnie obdarza.

J. U. Niemcewicz.

85 (122). Koronacja króla Przemysława.

Przed katedrą gnieźnieńską stał tłum zwarty, w ścisku wielkim wypełniając plac i przyległe uliczki. W katedrze odprawiano wielkie nabożeństwo koronacyjne. Wokół srebrnej ze złotem trumny św. Wojciecha jarzyły się w zmroku kościelnym setki płomyków świec. Z szeroko otwartych drzwi płynęła woń kadzideł i unosiła się wszędy na placu.

Nabożeństwo odprawiał arcybiskup gnieźnieński, Jakób Świnka, w otoczeniu czterech biskupów. Mnóstwo duchowieństwa w haftowanych szatach obrzędowych lub w białych i czerwonych komżach wypełniało stopnie ołtarza.

Resztę katedry szczelnie zajął dwór królewski, dostojnicy i przybyli zewsząd dostojni goście. Wszystko to lśniło od zbroi, od najdroższych materyj, od najpiękniejszych barw, od pachów drogocennych futer.

Czewojek stał z Nastawaczem w zwartym tłumie przed katedrą. Przez tłum przechodził chwilami gwar i milki znowu. Wszyscy znów stali w milczeniu, w skupieniu religijnem.

— Zaraz włożą koronę — pobiegła wieść od tych, co stali bliżej wejścia.

Pomruk przeszedł przez tłum, jak poszept wiatru przez łan kłosów.

— Patrzcież, Czewojku, co tam robią — powiedział nagle Nastawacz i, nim się chłopiec opatrzył, już go podniósł w górę i podparł ramieniem. Czewojek chciał się uwolnić, ale spojrzał w głąb katedry i przestał się szarpać.

Przemysław w złocistej zbroi, z odkrytą jasną głową, klęczał na obłożonych purpurą stopniach ołtarza. Nad nim trzymano wielką chorągiew państwa, czerwoną z białym orłem. Z boku jakiś dostojnik trzymał poduszkę, na której lśniła złotymi blaskami korona królewska.

— Widzę! — powiedział chłopiec zcicha. — Król klęczy, z boku trzymają koronę.

Wtem arcybiskup uroczystym ruchem odwrócił się od ołtarza. Chłopiec umilkł. Widział, jak arcybiskupowi lekko

drżały ręce. Z dwóch stron przystępowali obok niego dwaj inni biskupi. Zeszli. Wszyscy wokół klękli. Przez tłum przebiegał jakiś poszept, jakby westchnienie, jakby szum liści, który nagle się urywał. Było całkiem cicho, setki świec w kościele gorzało równym, wysokim płomieniem.

Arcybiskup ujął koronę. Ręce ciągle mu drżały.

Uniósł koronę i wymawiał słowa uświęcone.

Wtedy stało się coś, co było jakby największym zdarzeniem w życiu chłopca, choć naprawdę nic się nie działo: patrzył tylko na twarz arcybiskupa, Jakóba Świnki. Pojął nagle, że można coś kochać i czegoś chcieć tak, że znika świat, znika życie i śmierć. Tak się modlił arcybiskup, on, który pierwszy po latach przeszło dwustu koronował znowu króla polskiego, który widział, że z wiekowego zamętu wyłania się nowy ład pracy, nowa siła, nowe nawiązanie wątku prastarej sławy i siły, która oby szła dalej przez wieki, oby rosła i kwitła! Wieńczyła się zawzięta praca jego wspólna z Przemysławem nad wyrwaniem z nędznego zamętu starej ojczyzny polskiej. Wieńczyły się znojne trudy, twarde zabiegi, praca i dzielność!

Włożył koronę na głowę Przemysława.

Huknęły dzwony ze wszystkich wież kościelnych Gniezna. W okamgnieniu ruszył się łan schylonych głów i powstał. Wybuchła w katedrze pieśń triumfalna, jak grzmot, wstrząsając sklepienia murów i błękitne powietrze cudnego dnia czerwcowego: „Te Deum laudamus¹⁾...”

Wszystko wokół drgało dźwiękiem dzwonów i płynącą pieśnią. Hymn łaciński skończył się. Dzwony biły ciągle, jakieś uniesienie świąteczne rozsadzało piersi tłumy. Zrywały się co chwila okrzyki: „Żywie król! Żywie wódz nasz!” — które przebiegały, jak wiry, po tłumie.

Nagle, niewiadomo gdzie, poczęła się pieśń nowa i przeleciała, jak wichra, po tysiącznej rzeszy. Teraz powstała ona, jak burza, wszystko zrywająca. Śpiewał ją każdy, wyrwała

¹⁾ Ciebie, Boże, chwalimy (łac.).

się jakby z ziemi samej, grzmiało nią powietrze, zagłuszyła zgiełk dzwonów. Chłopca przeszedł zimny dreszcz. Stał w tłumie i czuł się, jakby był razem i sobą i całym tym tłumem. Drżał od gromu pieśni i śpiewał ją razem:

„Bogu rodzica, dziewica...”

Zdawało mu się, że leci na skrzydłach pieśni, jak orzeł. Nabrał szerokiego tchu. Czyż są na świecie jakie trwogi, jaka słabość? O słońce! O swobodo! Jest tylko zwycięstwo! Tłum kołysał się, gdzieś ruszał, wciąż śpiewając, jakby zczarowany wielką pieśnią, oderwany nią od ziemi, niepamiętny o niczem.

Z katedry szedł król, jaśniejący blaskami korony i zbroi. Nad nim wiał las czerwonych, błękitnych, żółtych chorągwi, topocących w blasku słońca. Za nim płonący barwami tłum dostojników: biskupi, wojewodowie, rycerstwo, duchowieństwo, ziemianie, jedni za drugimi, nieskończony orszak, który wciągał w siebie coraz to nowe zastępy ze zwartego tłumy, stojącego na placu katedralnym.

Było to w roku 1295.

J. Powalski.

86 (123). Święta Kinga.

Przez polskie łany, przez zieleń niw
Cóż to ucieka, goni, aż dziw?
Czy to przed burzą, przed burzą czarną
Owieczki trwożne do dom się garną?

Oj! nie owieczek białych to ślad,
Pomiędzy które grom niebios spadł;
Królowa Kinga, ta biała, święta,
Wiedzie do Węgier swoje dziecięta.

A za królową, za Kingą tuż
Czy to nadciąga sto wrogich burz?
Czy to dzień sądny świta dla ziemi
Z krzykami piekła, z łuny krwawemi?

Oj! to nie burza, nie chmurzysk cień,
Ale na Polskę sądny to dzień:
Bo po raz pierwszy czarnemi szyki
Szarańczą straszną spadł Tatar dziki!

Miotły na niebie i szczerą krew;
Psy wyją, świszczą wierzchołki drzew;
A po rosistej, zielonej łące
Dzwony pływają, na gwałt bijące.

Tam od Krakowa nadłata gwar,
Jęk słyhać, widać płomieni żar,
Krzyk mordowanych, jęk uwięzionych
Leci po niwach, niwach zielonych.

Zewsząd się ludek przygarnia wraz:
„Królowo Kingo, ratuj ty nas!”
A biała Kinga powiada, święta:
„Za mną do Węgier, moje dziecięta!”

W wstążkę jej szaty wiatr niebios wiał,
Z ust się jej uśmiech anielski śmiał,
Laseczkę białą trzymała w dłoni,
A z diamentów wieniec u skroni.

Gonią dzień cały i całą noc,
A coraz bliższa tatarska moc,
A coraz bliższe kopyt tętent:
— „O ratuj, ratuj nas, Kingo święta!”

Świt ranny błysnął, straszliwy brzask,
Słychać już, słychać Tatarów wrzask;
Słońce się szybą świeciło krwawą
Za dymem zgłiszczów, kopyt kurzawą.

Ku białej Kindze, by wiatrem gnan,
Chyli się ludu szeroki łan,
I w jęk boleści pani się skarży:
— „Ratuj nas, Kingo, oto Tatarzy!”

Królowa Kinga wstrzymała bieg,
Z szaty bieluchnej, jak ranny śnieg,
Niebieską wstążkę na wiatr rzuciła,
Aby w ucieczce jej nie wadziła.

Wstążka rzucona — o! cudów cud!
Między Tatarów i Boży lud
Wpadła szeroką szumiącą rzeką
I gdzieś w kraj świata leci daleko.

Zawyla tłuszcza i w męty wód
Leciała wściekła, gdzie Boży lud:
A lud on Boży nogą skrzydlatą
Za białą pani pośpiesza szatą.

Lecz już przez fali szumiącej toni
Leci Tatara szalony koń!
Leci, dosięga ludek ubogi:
— „O ratuj, Kingo! tam Tatar srogi!”

I oto Kinga u ludu głów,
Jako Stróż Anioł, stanęła znów
I z drobnej dłoni laskę rzuciła,
Aby w ucieczce jej nie wadziła.

Laska z jej ręki — o! nowy cud! —
Między Tatarów a Boży lud
Stanęła lasem gęstej świerczyny,
A las się rozrósł w świata kończyny.

Zawyla znów dzicz i w lasów cień
Pędziła poprzód przez długi dzień,
A ludek Boży borów odmętem
Stapał za śladem królowej świętym.

Lecz już się skończył świerkowy las:
— „O pani Kingo! ratuj ty nas!
Bo krok za krokiem czarnemi szyki
Już nas dogania Tatarzyn dziki!”

I oto Kinga, Archanioł Stróż,
Przed swoim ludkiem stanęła już;
Koronę z głowy zrzuciła miłą,
Aby nic w drodze jej nie wadziło.

Korona jasna — o! cudów cud! —
Między Tatarów i Boży lud
Stanęła Tater czarną opoką
I gdzieś pod niebo wzrosła wysoko.

Stanęła — stoi, jak wielki mur,
Świecącym szczytem dotyka chmur
I słońca promień, jak tęcza, wita,
Nieprzełamana już, nieprzebyta.

Za temi skały, jak wichrów wiew,
Skonał bezsilnie Tatarów gniew,
A biała Kinga, królowa święta,
Wiodła do Węgier swoje dziecięta.

Lecz na pamiątkę świętych jej dróg
Niebieską rzekę zachował Bóg:
Wstęgą się sunie jasną, świetlaną,
I nosi zdawna Dunajca miano.

I na pamiątkę świętych jej dróg
Lasy świerkowe zachował Bóg,
A drzewo w lasach proste, jak świeczka,
Jako królowej Kingi laseczka

I na pamiątkę korony jej
Bóg dał, że dotąd ziemi lśni tej;
Że u jej skroni poważnej, białej,
Dyjadem Tater błyszczący wspaniały.

A gdy na Tater lodowy szczyt
Wejdzie rumiany poranka świt,
To się rozbłyszcza, jak dyjamenty,
W koronie Kingi, królowej świętej.

Józef Szujski.

87 (93). Polowanie na tura w XV wieku.

Tymczasem nawrotnicy¹⁾ podnieśli ogromny krzyk, któremu od strony głównej ławy i od skrzydeł otoki²⁾ odpowiadały setki gromkich głosów; zawrzały rogi i piszczałki; zadrżała puszcza aż hen do najdalszych głębin, a jednocześnie wypadły na polanę ze strasznym harmiderem goniące po tropie psy kurpieskie. Widok ich wprowadził w mgnieniu oka we wściekłość samice, mające przy sobie młode. Idące dotąd zwolna stado rozproszyło się w szalonym pościgu po całej polanie. Jeden z turów, płowy, olbrzymi, niemal potworny byk, ogromem żubry przenoszący, puścił się w ciężkich skokach ku szeregowi strzelców, zawrócił ku prawej stronie polany, poczem, ujrawszy o kilkadziesiąt kroków między drzewami konie, zatrzymał się i, hucząc, począł orać rogami ziemię, jakby podniecając się do skoku i walki.

Na ten straszny widok nawrotnicy podnieśli krzyk jeszcze większy, w szeregu zaś myśliwych ozwały się przeraźliwe głosy:

— Księżna! księżna! ratujcie panią!

Zbyszko porwał za utkwiony w śniegu oszczep i skoczył na skraj lasu, a za nim skoczyło kilku Litwinów, gotowych zginąć w obronie córki Kiejstuta, a wtem zgrzytnęła w rękach pani kusza, zaświszczał grot i, przeleciawszy ponad schylonym łbem zwierzęcia, utkwił w jego karku.

— Dostał! — zawołała księżna — nie pójdzie....

¹⁾ Naganiacze. — ²⁾ Obławy.

Ale dalsze jej słowa zgłuszył ryk tak straszliwy, że aż konie przysiadły na zadach. Tur rzucił się, jak burza, wprost na panią, lecz nagle z niemniejszym pędem wypadł z pomiędzy drzew mężny pan de Lorche i, pochylony na koniu, z kopją, wyciągniętą, jak na rycerskim turnieju, runął wprost na zwierza.

Obecni ujrzeli przez jedno mgnienie oka kopję, utkwioną w karku byka, która wnet wygięła się, jak pałak, i przysła w drobne złamki, zaczęły olbrzymi rogaty łeb zniknął całkiem pod brzuchem konia pana de Lorche, i zanim kto z obecnych zdołał wykrzyknąć, i rumak, i jeździec wylecieli, jak z procy, w powietrze. Koń, spadłszy na bok, począł bić w przedśmiertelnych drgawkach nogami, oplątując je we własne wyprute trzewia, pan de Lorche leżał w pobliżu bez ruchu, podobny na śniegu do żelaznego klina, tur zaś zdawał się przez chwilę wahać, czy nie pominąć ich i nie uderzyć na inne konie, lecz, mając tuż przed sobą tę pierwsze ofiary, zwrócił się znów ku nim i jął pastwić się nad nieszczęsnym rumakiem, gniotąc go łbem i orząc z wściekłością rogami jego otwarty brzuch. Z boru jednakże sygnęli się ludzie na ratunek obcego rycerza; Zbyszko, któremu chodziło o obronę księżnej i Danusi, dobiegł pierwszy i wbił ostrze oszczepu pod łopatkę zwierzęcia. Lecz uderzył z takim rozmachem, że oszczep przy nagłym zwrocie tura pękł mu w rękę, on sam zaś upadł twarzą w śnieg.

— Zginął! zginął! — ozwały się głosy biegnących z pomocą Mazurów.

Tymczasem łeb byka pokrył Zbyszka i przycisnął go do ziemi. Od strony księcia już, już nadbiegali dwaj potężni „brońcy“, byliby jednak przybyli za późno, gdyby, na szczęście, nie uprzedził ich darowany przed Jagienkę Zbysz-kowi Czech, Hława. Ten dopadł przed nimi i, podniósłszy oburącz szeroki topór, ciął w pochylony kark tura, tuż za rogami.

Cięcie było tak straszne, że zwierz runął, jak gromem rażony, z przerażanemi kręgami i łbem, niemal do połowy

odwalonym, lecz, padając, przygniótł Zbyszka. Obaj „brońcy“ odciągnęli w mgnieniu oka potworne cielsko, a tymczasem księżna i Danusia, zeskoczywszy z koni, nadbiegły nieme z przerażenia do rannego młodzianka.

Henryk Sienkiewicz.

88 (127). Królowa Jadwiga.

Oto Jadwiga Królowa!
Wonna róża z Piastów rodu,
A Polska pamięć jej chowa
Jako świętości narodu!
Bo, jako anioł ofiary,
Ostatnia z rodu na straży
Podparła królów dom stary
Litwę z Polską kojarzy!
Gdy przywiódła pod krzyż Pański
Całej Litwy lud pogański,
Pan Bóg przymierze odnowił,
Bo z krzyża do niej przemówił!
Co rzec raczył — tajemnicą,
Ale w łasce Bożej rosła
I tę starą szkołę wzniosła,
Która światła jest krynicą...
Choć ostatnia z Piastów krzewu,
Przecież sławna jest z posiewu
Wiary, światła i miłości,
Co narodom drogę prości.
To też naród ją najczulej
W wielkim ołtarzu pochował
I tak ją wielce miłował,
Że tron odtąd naszych królów
Na Jadwigi stawiał grobie,
I korona siadła sobie;

A krucyfiks, słynny cudem,
Kirem odtąd zapuszczony,
I dziś świadczy między ludem
O tej Polsce bez korony.

W. Pol.

89 (128). Matka królów.

W połowie XV wieku Kraków rozbrzmiewał uroczystością weselną. Dwa tysiące młodych rycerzy na pięknych i bogato wystrojonych koniach wyruszyło ku granicy, aby powitać i odprowadzić do stolicy narzeczoną królewską, gdzie u bram oczekiwał na nią Kazimierz Jagiellończyk z całym swym dworem.

Dwa przepyszne orszaki, spotkawszy się u bram Krakowa, razem w mury jego wjeżdżać poczęły, a w tejże chwili uderzono we wszystkie dzwony kościelne i przy odgłosie trąb i muzyki powitały wjeżdżających procesje, bractwa i cechy.

Nazajutrz w katedrze na Wawelu prymas zaślubił parę monarszą i ukoronował młodą królową Elżbietę, córkę Albrechta II z rodu Habsburgów, cesarza Niemiec, oraz króla Czech i Węgier.

Królowa Elżbieta wniosła prawdziwe szczęście w dom Kazimierza Jagiellończyka. Była to bowiem pani, jaśniejsza najpiękniejszymi cnotami: pobożna, litościwa, przystępna dla każdego, obdarzona bystrym rozumem i biegła w naukach. Przyświecała ona całemu narodowi najpiękniejszym przykładem, jako wzorowa żona i najtroskliwsza matka.

Sześciu synów i pięć córek otaczało cnotliwą królowę, która swych dzieci nie wypuszczała z pod troskliwej opieki i ku cnotcie i pięknym czynom je wiodła.

Wychowywała dzieci w karności, utrzymując, że, kto chce umieć później rozkazywać, musi się wpięrować nauczycieł słuchać. Pragnęła, aby synowie przyzwyczaili się do niewygód, trudów,

wyrośli na mężnych rycerzy, przestrzegala więc, aby hartowano ciało młodzieńców, rozwijając równocześnie ich umysł.

Nauczycielem królewiczów, którym na imię było: Władysław, Kazimierz, Jan Olbracht, Aleksander, Zygmunt i Fryderyk, był sławny historyk polski i kanonik krakowski, Jan Długosz.

Nauczyciela tego szanowali i kochali królewicze, jak drugiego ojca.

Doczekawszy się tego szczęścia, że najstarszy z królewiczów, Władysław, został powołany na tron czeski i węgierski, napisała dla niego rady, jak ma swoje dzieci wychowywać. Utwór ten, który świadczy o wielkiem wykształceniu królowej, jest zatytułowany: „List o wychowaniu królewicza.”

Nie same jednak radosne chwile były udziałem Elżbiety. Musiała ona patrzeć na śmierć kilku córek i syna Kazimierza, który w dwudziestym czwartym roku zakończył swój świątobliwy żywot. Królewicz ten później w poczet świętych policzony został.

Przeżyła także królowa swojego małżonka, oraz syna, Olbrachta. Doczekawszy się sędziwej starości, szanowana i kochana przez naród do końca życia, zgasła ta matka czterech królów w r. 1505 za panowania Aleksandra.

Według K. Szajnoch.

90 (130). Pochód Jana Olbrachta na Bukowinę.

Zima była twarda w tym roku, więcej mroźna, niż śnieżna, ale zato wiosna bardzo pochopna i ciepła. Już w marcu stały śniegi po polach otwartych, a nawet po lasach wezbrane strumienie i rzeki szparkami bałwany toczyły swe wody do morza, a wiatry, prawie gorące, pędzone jakby umyślnie z południa na Polskę, osuszały nadzwyczaj prędko gościńce i drogi. W kwietniu już słońce zaczęło dobrze dogrzewać i łąki zielonemi trawami zaścilać,

zakwitły sady, rozweseliły się lasy, dzikie ptactwo, przelatujące z za morza, padało czarnymi chmurami z rozgłośnym wrzaskiem na moczary i stawy, bocian powrócił i zasiadł znowu swe gniazdo na wierzchu strzechy u kmiecia.

Z gorącym wiatrem, wiejącym z południa, i z dzikiem ptactwem, przylatującym od wschodu, tem szerzej i głośniej rozbiegały się wieści o Turkach, ciągnących na Polskę. Szlachcic, co nos wystawił poza wrota swojego dworku, czuł piżmo¹⁾ w powietrzu, którem cuchnęły namioty tureckie, a kiedy ucho przyłożył do ziemi, to słyszał tętent kopyt i rżenie ich koni. Byli ludzie, co widzieli we śnie, ale jakby na jawie, nieprzejrzone zastępy tureckie z krzywymi szablami w prawicy, kapiące od drogich kamieni i złota. Moc białych koni z czarnymi grzywami, jako z rozwiniętymi sztandary barwy zielonej, leciały powietrzem i właśnie, jak owe stada dzikiego ptactwa, z przerażającym wrzaskiem spadły na polskie krainy: gdzie padły, tam wszyscy ludzie umierali, jak od pomoru, a cała ziemia obracała się w wielkie pogorzelisko.

Były także i znaki, których Opatrzność nigdy nie szczędzi swym wiernym, aby ich ostrzec przed wielkiem nieszczęściem. Na południowem niebie codzień po zachodzie słońca było widać wyraźnie dwa skrzyżowane z sobą u dołu tureckie sztandary, a między niemi u góry półksiężyc, obrócony swemi ostremi rogami ku Polsce. Szlachcica, co z dwunastu końmi pod namiotem stał w polu, piorun zastrzelił i wszystkie konie za jednym wystrzałem. Na Rusi urodziło się ciele z dwiema głowami i obydwoma pyskami okrutnie ryczało: tak, powiadano, my ryczeć będziemy pod uciskiem tureckim. W Łwowie zjawił się chłop brodaty, a blade, jak śmierć, który pod białą płóciencą pokazywał krwawą ranę Chrystusową na piersiach, miał też rany na rękach i nogach, jakoby na świadectwo, od kogo jest posłan, i przepowiadał ciężkie pokuty dla Polski...

¹⁾ Roślina, wydająca silny zapach.

Wobec tych znaków głębokie niepokoje i drżenia wewnętrzności objęły całe królestwo; jedni obwarowywali na nowo swe dwory i gotowali się do obrony, drudzy zagrzebywali w ziemi klejnoty i uzbierane pieniądze, a wszyscy się ogładali, kędyby mieli przechować swoje żony i dzieci. Zgoła, mało niewiele, a cała Polska byłaby wyglądała, jak zmartwychwstali umarli, co się na dolinie Józefata zgromadzą i czuć będą przed sobą po znakach na niebie i ziemi zbliżający się do nich dzień sądny.

Ale król czuwał. Jak tylko te straszne wieści po całej Polsce się rozeszły, już w kwietniu rozesłał bardzo szybkimi gońcami wici do wszystkich województw, ziem i powiatów, przedstawiając grożące niebezpieczeństwo i rozkazując popolite ruszenie, a prosząc jak najusilniej, ażeby, kto żyw i broń może udźwignąć, wsiadł na koń i śpieszył zastawić swemi piersiami zagrożoną od Turków ojczyznę. Już czas pomścić na tych poganach nielitościwą śmierć króla Władysława i naszych ojców męczeństwo, którzy wszyscy polegli pod Warną. A lepszego czasu nigdy nie będzie, bo zwycięstwo jest pewne, albowiem bracia królewscy: Aleksander, wielki książę litewski, Władysław, król węgierski a czeski, nuż wreszcie krzyżacy związani są sojuszami i armje swe przysła; nawet i cesarz Maksymiljan obiecał posiłki, a Wene-towie¹⁾ wybierają się już na Turków z mnogimi okrętami i niechybnie na nich uderzą od tyłu. Jeżeli więc Polacy chcą, aby im drudzy nie odebrali sławy tego zwycięstwa, jeżeli pragną (co bardzo ważne jest zwłaszcza dla ubogich żołnierzy), aby im żołdacy węgierscy a czescy nie wzięli łupów tureckich z przed nosa, to niechże się śpieszą, ażeby pierwsi, a przed wszystkimi innymi ruszyli w pole.

Obawa przed najazdem tureckim, a zwłaszcza te wrzące proklamacje²⁾ królewskie odniosły skutek, przechodzący wszelkie nadzieje. Jeszcze nigdy, jak Polska Polską, szlachta wielka i mała nie okazała się tak posłuszną swemu królowi,

¹⁾ Mieszkańcy miasta Wenecji. — ²⁾ Odezwy.

jeszcze nigdy tak jednomyślnie, bo prawie od kołka do kołka,
nie stanęła w tak krótkim czasie do bronii, jeszcze nigdy
Królestwo Polskie nie wystawiło tak świetnej, a zarazem
tak licznej armji do boju.

Z. Kaczkowski.

91 (131). Duch królowej Barbary.

Mała mieścina Węgrowiec
To zapadły świata kątek;
Ale do dziś dnia wędrowiec,
Ciekawy dawnych pamiątek,
Może tam widzieć u fary
Rozbite, stare zwierciadło,
Z którym Twardowski swe czary
Odprawiał. W tej szybie szklanej
Jednemu cudne widziadło,
Drugiemu straszne poczwary
Ukazywał lub szatany;
Do kogoś ze szkła się śmieje
Łeb, od ciała odrąbany,
Kto inny w onym kryształe
Widzi swoje przyszłe dzieje:
Lecz i takich było wielu,
Co nic nie dojrzeli wcale.

.....
Zygmunt August na Wawelu
Kirem obite miał ściany,
Żył odludnie, jakby w grobie
Za życia już pochowany.
Raziły go ludzkie twarze,
Tak pograżył się w żalobie
Po małżonce swej Barbarze.

Bo też świat miłości równej,
Tak serdecznej, tak oddanej
Nie zna, jak była w tej parze
Króla i Radziwiłłówny.
Gruchnęła między dworzany
Wieść, że, jeśli Król Jegomość
Zechce, to mu ktoś pokaże
Nieboszczki królowej ducha.
Zadrżał na oną wiadomość,
Twarz mu blada ogniem bucha,
W oczach błysnęła nadzieja,
Że ujrzy zmarłe kochanie.
Szepnął: „Tego czarodzieja
Wołać, niech przed Nami stanie!“

W mig po Twardowskiego bieży
Pazik z królewskimi słowy,
Mistrz ledwie swym uszom wierzy,
Lecz służyć panu gotowy,
Za paziem pośpiesza w tropy.
Szli do komnaty zamkowej,
Zwanej „Salą Kurzej Stopy“;
Gmach ten, przedziwnej budowy,
Sypialnią zmarłej królowej
Bywał. Na ściany i stropy
Kazał król czarne opony
Porozwieszać. Tu zamknięty
Płakał ukochanej żony
I pamięć jej czczył, jak świętej.
Król Zygmunt siedział przy stole:
Był to mąż pańskiej urody.
Choć smutku bladeść na czole
I zapadłe miał jagody,
Znać było, że jeszcze młody;
Tylko zgryzota i ból
Pochyliły go przedwcześnie

I do pięknej, czarnej brody
 Dorzuciły srebrnej przędzy.
 Nieruchomy, jakby we śnie,
 Oczyma tonął w obrazie
 Zmarłej. Mistrz ostał pomiędzy
 Paziami, u drzwi narazie,
 Aż król ocknie się w zadumie...
 Ocknął się; a mistrz co prędzej
 Ugiął przed panem kolano
 Król skinął, odeszli pазie,
 On zaś rzekł: „To waszmość umie,
 Jak mi o tem powiadano,
 Ukazywać zmarłych duchy?“
 — „Umiem, Miłościwy Panie.“
 — „To pokaż...“ — Z twarzą pobladał
 Urwał rozpoczęte zdanie
 I zamilkł, a w ciszy głuchej
 Z oczu kilka łez mu spadło.

Twardowski rozpoczął czary:
 Przed królem stawiał zwierciadło,
 Zapalił ziół pęczek suchy,
 Poszły z nich dymy i pary,
 Aż wszystko na szkle osiadło;
 Wtem jął dziwne czynić ruchy,
 Zwolna, do taktu i miary.
 Mgła na szybie się rozplywa,
 W zwierciadła głębi przezroczej
 Ducha królowej Barbary
 Widać: stoi, jakby żywa,
 Uśmiecha się, cudne oczy
 Utkwiła żałośnie w królu...
 Na widok tej lubej mary
 Zygmunt z krzykiem się porywa,
 Pragnie objąć zwid¹⁾ uroczy,

¹⁾ Widzenie, mara.

W głos płacze z tęsknoty, z bólu,
 Zwierciadło do ust przyciska...
 Zjaw znika... Król się zatoczy,
 Upada z jękiem i mdleje...
 Wtem i tafla szklana pryska...

 Takie są zwierciadła dzieje.

L. Rydel.

92 (132). Niespodziewana obrona.

Było to w wieku XVI w porze zimowej.

Książę Konstanty Bazyli Ostrogski, pan sławny ze swych bogactw i pobożności, gotował się sprawić w zamku swoim wesele księżnie Beacie Dolskiej, wychowawicy swojej, którą wydawał za księcia Sołomereckiego. Liczny zjazd gości, sproszonych zdaleka, krewnych, przyjaciół, sąsiadów i drobnej szlachty, zappełnił całe podwórze zamkowe mnóstwem koni i kolebek, ciżbą pacholąt i czeladzi. W komnatkach gwarno było i wesoło. Mężczyźni przechadzali się, rozprawiając o wojnie, turniejach i koniach.

Naraz stanął u progu komnaty zbrojny kozak, Ukrainiec, widocznie z ważnemi wieściami przybyły. Wszyscy otoczyli go kołem, a książę zapytał:

— Jakież wieści przynosisz? mów!

— Słysząc — rzekł kozak — iż, skoro rzeki zamarzną, nadciągną Tatarzy.

— Którędy?

— Bóg to jeden wie! Póki idą, cicho się przekradają, ale, jak przyjdą, będzie się dymić za nimi i mogiłami drogi wysypia. Teraz ryją się gdzieś, jak krety, że ich spostrzec nie można.

— Wieluż ich jest? czy wielki zagon?

— Pewnie, jak zawsze, tyle, co szarańczy. Po stepie ludzie poznali, że idzie ich wielu i że zagon pociągnął pochichu w tę stronę.

Na tem urwała się rozmowa.

Książę zaraz polecił kilkudziesięciu kozaków wysłać na zwiady, ażeby zasięgnąć języka, w domu zaś zakazał wspominać o Tatarach przed kobietami. Ale wieść straszna, spadłszy tak niespodzianie wśród przygotowań weselnych, prędko po całym rozniosła się zamku, bo Tatarzy, co tyle razy ogniem i mieczem zniszczyli tę ziemię, straszniejsi byli dla niej nad wszystkie plagi zagniewanego nieba. Kiedy więc mężczyźni szable ostrzyli i broń opatrywali, doszła wieść o groźnym niebezpieczeństwie i do kobiet; dowiedziała się o niem księżna Beata.

— Ach, ja się tak boję — mówiła družka — strasznie się boję Tatarów! Takie to poczwary ogorzale, z przypłaszczonemi nosami, z czarnemi ślepiami kocieimi i z odstającemi uszami, co żyją końskim mięsem i w św. Trójcę nie wierzą. O! jak ja się ich boję!

— A ja nie — odpowiedziała panna młoda odważnie.

— Ależ nasz zamek nie oprze się ich przemocy — mówiła, drżąc ze strachu, družka.

— Kto? my? — odpowiedziała znowu księżna. — Alboż tu niema murów, dział i ludzi?

— Ale ich tylu!

— Nas mało, ale z nami Bóg nasz! I walczyć będziemy na naszych śmieciach!

Na te słowa wszedł książę wojewoda.

— Wiwat, Beata! — zawołał, całując ją w czoło. — Tak myśleć, tak mówić powinniśmy wszyscy, a nigdyby u nas Tatarowie nie postali. Ale, moja panno, jeszcze oni daleko, bo są tylko głuche o nich wieści. My tymczasem myślimy o weselu.

Wistocie nie było bardzo bać się czego w Dubnie, bo na ówczesny sposób wojowania ta warownia była dość mocna. Dokola oblana wodą Ikwy, wielkimi stawami otoczona, nie-

zbyt wprawdzie wyniosła, ale dla murowanych, a wysokich rowów niedostępna, mogła się długo bronić wojsku, któreby jej burzyć działami polowemi nie mogło. Trudno także było zapaśne zamczysko wziąć głodem, a Tatarzy, którym zawsze śpieszno było napowrót, nigdy tego próbować nie mogli.

Łatwo więc uspokoił się wszyscy zebrani goście i na zaproszenie gospodarza poszli do biesiadnego stołu, z książęciem przepychem zastawionego.

Już trzecie wniesiono danie, już rozpoczęto toasty za pomyślność państwa młodych, już ozwała się muzyka, gdy nagle z dziedzińca rozległ się krzyk przestachu, który, stłumiwszy wszystko, skamieniał gości i wytrącił z rąk kielichy. Wybladły kozak wpadł do sali.

— Książę — zawołał — Tatarzy!

Wszyscy porwali się od stołu. Gwar, krzyk, zamieszanie, ścisk, zgłęb zajęły cały zamek. Wszyscy wołali: — Tatarzy! Tatarzy!

Książę wyrzwał oknem. Na błoniu, za wodami Ikwy, pod lasem warczał, rozwijając się, zagon niepoliczonych Tatarów, który, doszedłszy pod Dubno niepostrzeżony, nagle posunął się pod miasto, pędząc przed sobą kozaków, wysłanych przez wojewodę dla dostania języka. W oddaleniu rozeznac nie można było liczby; szarzał tylko ten tłum, posuwając się coraz bliżej.

Książę zbiegł w dziedziniec. Tu siodłano konie, wyciągano działa, zwodzono mosty. Lud z miasta i przedmieść cisnął się w bramy tłumnie, krzycząc i wiodąc za sobą bydło, konie, wozy. Tymczasem w monasterze św. Krzyża bił dzwon na trwogę, ponuro a śpiesznie. Przestach był nie do opisania.

A tłuszcza tatarska coraz zbliżała się pod zamek, z krzykiem, a raczej okropnym piskiem, postępując naprzód. Jedni podbiegali pod mury, a strzały ich, jak posłańcy boju, padały nawet w podwórzec zamkowy; inni grozili stojącym na murze żołnierzom, potrząsając długimi sznurami, przygotowanymi do wiązania jeńców.

. Józef Ignacy Kraszewski.

93 (133). Karliński.

Pod Olsztynem obozem wkół leżą
Księcia Maksa¹⁾ wojenne szeregi.
Raz i drugi do szturm uderzą,
Lecz się łamią, jak fale o brzegi.
Zdobyc twierdzy obronnej nie mogą,
W niej Karliński dowodzi załogą.

Więc na sioła przyległe napadli,
Na wieś wodza załogi fortecznej.
„Ach, spalili ci dom i wykradli
Twoje dziecko, o wodzu waleczny!
Twego synka, niemowlę w pieluchach,
O złocistych na główce swej puchach.“

Twoje dziecko z piastunką, co płacze,
Zapędzili pod mury Olsztyna.
I mówiły te dusze żołdacze:
„Olsztyn w ręce nam da ta dziecina.
Więcej zdziała od naszych oręży,
Serce oja wnet wodza zwycięży.“

Przypadł goniec pod okop zamkowy
I zatrąbił pokoju sygnałem;
Z dzielnym wodzem zażądał rozmowy
I odezwał się słowem zuchwałem:
„Otwórz bramy przed armją niemiecką!
Oddaj Olsztyn — lub zginie twe dziecko!“

Skroń wodzowi oblała się potem,
Zblednął, zgrzytnął, boleścią rozdarty;
Serce biło w pancerzu, jak młotem,
Długo milczał, na szabli oparty
Nagle cały się wstrząsnął gwałtownie
I zawołał: „Nie oddam warowni!“

¹⁾ Maksymiljan, arcyksiążę austriacki, pretendent do tronu polskiego.

Ha! do szturm już biegną ich rotę!
A jak biała chorągiew na przedzie,
Świeci dziecię, aniołek ten złoty.
Czyż do boju szatanów tych wiecie?...
A głos w dzikim rozlega się gwarze:
„Przecież strzelać do syna nie każe.“

Lecz dowódca stał niemy na wałach;
Oko żarem straszliwym mu świeci,
Bombardjery na hasło przy działach
Oczekują... Wódz nagle lont chwyci —
Błysnął płomień, padł wystrzał armatni,
Padł od strzału syn jego ostatni!

Wszystkie działa ryknęły wystrzałem.
Huczą pieśnią zniszczenia straszliwą,
Dymy gęstym rozsiały się wałem,
Napastnicy nie wyjdą stąd żywo!
Pod czarnymi fortecy murami
Całe błonie zasłane trupami.

Jako oko daleko zasięże,
Pod Olsztynem nie widać już wroga...
Wojownicy otarli oręże;
Ale milczy zwycięska załoga,
Dziś nie pora okrzyków wesela,
Wojsko wodza żałobę podziela.

On milczący wciąż stał przy armacie,
Długo patrzył na krwawy plac bitwy.
Czy skamieniał po wielkiej swej stracie?
Czyli w ciche utonął modlitwy?
Spojrzał w niebo, potem głowę skłonił
I twarz bladą rękami zasłonił...

Stoi orszak rycerzy szlachetny,
Lecz nikt nie śmie przerywać tej ciszy,
Wtem się zwrócił on, ojciec bezdzietny,
I do swoich wyrzekł towarzyszy:
„Wyście świadkiem, mężowie olsztyńscy,
Że tak poległ, jak wszyscy Karlińscy.“

Adam Pajgert.

94 (137). Karol Chodkiewicz.

Kiedy Batory na Moskali godzi
i litewskie pułki zbiera,
Grono młodzieńców drogę mu zachodzi,
By powitać bohatera.

„Któż to pacholę — król Stetan zapyta —
Tej pięknej, śmiałej postawy?
Albo się mylę, lub nad nim już świta
Promień bohaterskiej sławy.“

Był to Chodkiewicz. Z młodości poranku
Rycerskie lubił ćwiczenie,
Godził na ostre, lub w zawartym szranku
Żelazne zrywał pierścienie.

Gdy pierwsze stawiał pod Zamojskim pole,
Wódz, hamując zbytek męstwa,
„Na lepsze — wołał — zachowaj się dole,
Czekają ciebie zwycięstwa.“

Spełnił Chodkiewicz, co wódz zapowiadał,
Wielkim stał się wojownikiem.
Niejedną klęskę bitnym Szwedom zadał
Odwagą i zręcznym szykiem.

Przezeń Infanty Polsce się wrócili,
On zgiął dumę Sudermana¹⁾;
Przezeń kirchholmska z nierównymi siły
Pamiętna w dziejach wygrana.

Tam w wątlach łodziach ogień niosąc wzdęty,
Morskiej powierza się fali;
Pod Salą szwedzkie napada okręty,
Zwycięża, bierze i pali.

Po bitwie, w kole stojąc obozowem,
Nagradzał rycerstwo swoje:
Temu dał konia z rzędem turkusowym,
Temu hełm i kolcze zbroje²⁾.

Kto mężny, tego odwagę wychwalał,
Kto zgwałcił karność wojskową,
Niepowściągniętym gniewem się zapalał
I umiał karać surowc

Ileć Polska nieprzyjaciół miała,
On wszystkich walczy, zwycięża:
Turczyn, Szwed mężny i Moskwa doznała
Dzielności jego oręża.

Anna Ostrogska, ceniąc w wielkim człeku
Męstwo i zdobyte kraje,
Licząc zwycięstwa, nie postrzega wieku
I piękną rękę mu daje.

Luba wdziękami idzie do świątynicy,
Ozdobiwszy wieńcem skronie,
Stawa Chodkiewicz przy pięknej dziewczycy,
I kapłan wiąże im dłonie.

¹⁾ Karol IX Sudermański, król szwedzki. — ²⁾ Pancierz, zrobiony z kółek stalowych.

Jeszcze swej hymen nie zgasił pochodni,
Kiedy goniec wieść mu daje,
Że z licznym ludem ciągnie sułtan wschodni
I nad brzegiem Dniestru staje.

Ustały gody, świetne widowiska,
Choć żalność wodza przenika,
Tonącą we łzach małżonkę swą ściska
I wsiada na koń i znika...

Z trzech części świata zebrał Osman¹⁾ dumny
Liczne szyki pod Chocimem,
Juczne wielbłądy, działa i lud tłumny
Posępnym ćmiły się dymem.

Waleczny hetman w bitwach zapalczywych
Na czele swoich naciera,
Dowodzi, walczy w wycieczkach szczęśliwych
Przeważne²⁾ tłumy odpiera.

Próżno Karakas³⁾ przykładem i głosem
Do rzezi hordy zagrzewa,
Lecz sam, śmiertelnym ugodzony ciosem,
Błuźnierczą duszę wyziewa.

Ugięty Osman przez okropne straty
Gdy już umowy zawiera,
Chodkiewicz, złaman trudami i laty,
Do namiotu wodze zbiera.

Stał hetman polny i rotmistrze dzielne,
Gdy z łoża wódz się podnosi;
Każdy już, widząc znaki w nim śmiertelne,
Łżą cichą jagody rosi.

¹⁾ Sułtan turecki. — ²⁾ Przeważające liczbą. — ³⁾ Basza turecki.

Wódz się odzywa: „Kochani rodacy!
„W zbyt ciężkiej rzucam was chwili,
„Lecz się nie trwożę: jesteście Polacy,
„Walczcie, jakeście walczyli...

„Niech w was ojczyzny pamięć nie ustaje!“
Tu wodzów tuli do łona:
Lubomirskiemu buławę oddaje,
Ściska za rękę i kona.

Osman, czcząc w wodzu pomyślność oręża,
Acz silna jego potęga,
Na martwych zwłokach walecznego męża
Mir wieczny Polsce przysięga.

J. U. Niemcewicz.

95 (134). Po bitwie pod Korsuniem.

Kopyta końskie zaszczękały po pustych ulicach. Na rynek
wleciał, jak piorun, na nieosiadłym koniu kozak bez czapki,
w jednej koszuli, z twarzą, rozciętą mieczem i buchającą
krwią. Wleciał, konia osadził, ręce rozkrzyżował i, chwytając
oddech otwartymi usty, krzyżeć począł:

— Chmiel bije Lachów! Pobytu jasno wielmożny pany,
hetmany i pułkownicy, łycari i kawalery!

To rzekłszy, zachwiał się i na ziemię runął.

Mirhorodcy skoczyli mu na pomoc. Płomień i błądź
przeleciały przez cblisce Skrzetuskiego.

— Co on mówi? — rzekł gorączkowo do Zachara. —
Co się stało? Nie może to być. Na Boga żywego! nie może
to być!

Cisza... tylko płomienie syczą na przeciwległej stronie
ryнку, trzaskają snopy iskiei, a czasem przepalone domostwo
runie z łoskotem.

Aż oto nowi jacyś gońce lecą.

— Pobyty Lachy! pobyty!

Za nimi ciągnie oddział Tatarów — idą zwolna, bo otaczają pieszych, widocznie jeńców.

Pan Skrzetuski oczom nie wierzy.

Poznaje doskonale na jeńcach barwę hetmańskiej husarii, więc w ręce płaszcze i jakimś dziwnym, nieswoim głosem powtarza uporczywie:

— Nie może to być! nie może to być!

Huk armat słychać jeszcze. Bitwa nie skończona. Przez wszystkie niepopalone ulice napływają jednak tłumy Zapo-
rożców i Tatarów.

Twarze ich czarne, piersi dyszą ciężko, ale wracają, jakby upojeni, śpiewają pieśni!

Tak wracają żołnierze po zwycięstwie. Namiestnik pobladł, jak trup.

— Nie może być! — powtarzał coraz chrapliwiej — nie może być!... Rzeczpospolita...

Nowy przedmiot zwraca jego uwagę.

Wchodzą semenowie Krzeczowskiego, niosąc całe pęki chorągwi. Przyjeżdżają na środek rynku i rzucają je na ziemię.

Niestety, polskie!

Huk armat słabnie, w oddali słychać turkot nadchodzących wozów. Jedzie naprzód jedna, wysoka kozacka telega, za nią szereg innych, wszystkie otoczone przez kozaków Paszkowskiego kurzenia, w żółtych czapkach; przechodzą tuż koło domu, przy którym stoją Mirhorodcy.

Pan Skrzetuski rękę do czoła przytknął, bo go blask pożaru oślepiał, i wpatrzył się w postacie jeńców, siedzących na pierwszym wozie.

Nagle cofnął się w tył, rękoma począł bić powietrze, jak człowiek, traiony strzałą w piersi, z ust zaś wyrwał mu się krzyk nieludzki:

— Jezus, Marja! to hetmani!

I padł na ręce Zachara, oczy zasły mu blachmanem, a twarz stężała i zakrzepła, tak jak u ludzi umarłych.

W kilka chwil później trzech jeźdźców na czele niezliczonych pułków wjeżdżało na rynek korsuński. Środkowy, ubrany w czerwień, siedział na białym koniu i, wspierając się pod bok poźlocistą buławą, spoglądał dumnie, jak król.

Był to Chmielnicki. Po obu jego stronach iechali Tuhajbej i Krzeczowski.

Rzeczpospolita leżała w prochu i krwi u nóg kozaka!

Henryk Sienkiewicz.

96 (124).

Żołnierz był w gotowości, więc tylko rury muszkietów pochyliły się bez szelestu i zapadło głucho milczenie.

Skrzetuski, pan Longinus i pan Wołodyjowski dyszelili obok siebie, a pan Zagłoba zastał z nimi, bo wiedział z doświadczenia, że najwięcej kul pada na środek majdanu, a na wale przy takich trzech szablach najbezpieczniej.

Usadowił się tylko trochę z tyłu rycerzy, aby pierwszy impet na niego nie przyszedł.

Nieco z boku przyklął pan Podbipięta z zerwikapturem w rękę, a Wołodyjowski przycupnął tuż przy Skrzetuskim i szepnął mu w samo ucho:

— Idą napewno...

— Krok pod miarę.

— To nie czerń, ani Tatarzy.

— Piechota zaporoska.

— Albo janczary¹⁾ oni dobrze maszerują. Z konia możnaby ich więcej naciąć.

— Dziś ciemno na jazdę.

— Słyszysz teraz?

— Ts! ts!...

¹⁾ Piechota turecka.

Obóz zdawał się być pogrążony w najgłębszym śnie. Nigdzie żadnego ruchu, nigdzie światła — wszędy najgłębsze milczenie, przerywane tylko szelestem drobnego, jakby sianego przez sito, dżdżu. Zwolna jednak w tym szeleście powstawał drugi, cichy, ale łatwiejszy do ułowienia uchem, bo miarowy i coraz bliższy, coraz wyraźniejszy; наконец, o kilkanaście kroków od fosi, zjawiała się jakaś wydłużona, zbita masa, tyle widzialna, ile czarniejsza od ciemności — i zatrzymała się w miejscu.

Żołnierze utaili dech w piersiach, tylko mały rycerz szczypał w udo Skrzetuskiego, jakby, chcąc mu w ten sposób swoje zadowolenie okazać.

Tymczasem napastnicy zbliżyli się do fosi i poczęli w nią spuszczać drabiny, następnie zleźli po nich sami i przechylili je ku wałowi.

Wał milczał ciągle, jakby na nim i za nim wszystko wymarło — i cisza nastąpiła śmiertelna. Tu i owdzie, mimo całej ostrożności wstępujących, szczeble zaczęły skrzypieć i trzeszczeć...

— Dadzą wam bobu! — myślał Zagłoba.

Wołodyjowski przestał szczypać Skrzetuskiego, a pan Longinus ścisnął rękojeść zerwikaptura i wyteżył oczy, bo był najbliżej wału i spodziewał się pierwszego uderzyć.

Wtem trzy pary rąk zjawily się u krawędzi i chwyciły się jej silnie, a za nimi poczęły się zwolna i ostrożnie podnosić trzy szpice od misiurek — wyżej i wyżej.

— To Turcy! — pomyślał pan Longinus.

W tej chwili rozległ się straszliwy huk kilku tysięcy muszkietów; zrobiło się widno, jak w dzień. Nim światło zgasło, pan Longinus zamachnął się i ciął okropnie, aż powietrze zawył pod ostrzem. Trzy ciała wpadły w fosę, trzy głowy w misiurkach potoczyły się pod kolana klęczącego rycerza. Wówczas, choć piekło zawrzało na ziemi, niebo otworzyło się przed panem Longinem, skrzydła wyrosły mu u ramion, chóry anielskie rozśpiewały mu się w piersi, był

jakby wniebowzięty i walczył, jak we śnie, i cięcia jego miecza były jakby modlitwą dziękczynną.

A wszyscy dawno zmarli Podbięptowie, począwszy od przodka Stowejki, uradowali się w niebie, że taki był z Zerwikapturów-Podbięptów żyjący ostatni.

Henryk Sienkiewicz.

97 (135). Buława Rewery.

Twarz taka pogodna, pod hełmem włos siwy,
Na czole promienie spokoju;
Powraca zdaleka, choć starzec sędziwy,
A jeszcze przywoził tam w boju.

Lecz tęskno Rewerze¹⁾ po bojach spoczynku
I życia z rodziną w zagrodzie,
I gędźby przy szklance, i dum przy kominku,
I słońca zachodu w pogodzie.

I dosyć mu krwi już — i dosyć już chwały,
Zdobytej na hordzie, Osmanie,
Tatarach i Szwedzie; bohater on biały
Już doma do grobu zostanie.

Sześcudziesiąt lat gromi i wiatry stepowe
Prześciga zwycięską pogonią;
Na mrozach północy obielit on głowę,
A pierwszy, gdzie szable zadzwonią.

Dziś spokój w Koronie; śmierć w bojach nie miała
Dla piersi żelaznych tych gromu.
Więc myślał Rewera: Bądź Panie, Ci chwała!
Żywota dokonam już w domu!

¹⁾ Hetman Rewera Potocki.

Tam syn mu w sen wieczny zaciśnie powieki
Po życiu burzliwym i srogiem.
Rozmawiał on z wrogiem, jak step ów daleki,
Dziś pragnie rozmowy już z Bogiem.

Tu jego już błonia, bogate tak w plony,
Koń stąpa drożyną zamkową;
Tam rolnik sędziwy swe orze zagony,
I nuci skowronek nad głową.

Rewera tak dawno nie widział już pługa,
Więc stanął. — „Szczęść, Boże!“ — zawoła,
I patrzył, jak czarna krajała się smuga,
I radość błyszczała mu z czoła.

I wzrok się promieni. Wtem rolnik się zwrócił,
Poznaje: pan jego wielmożny;
Więc skoczył od pługa i do nóg się rzucił:
— „A witaj, hetmanie, w dzień zbożny!“

— „Nie hetman jam, bracie. O, żyzna to rola!
Orz śmiało, ja wracam do domu:
Tatarzyn już końmi nie stłoczy ci pola,
Ni Bohdan¹⁾ przyniesie ci gromu.“

I rolnik usłuchał, pług sprawił, gnał woły:
Pług w ziemię się zaciął — ustawa.
Pękł lemiesz — patrzą: — o święte anioły!
Pod skibą hetmańska buława!

Podnieśli, śniedź starli i podziw ich ima;
A rolnik przy pługu ukłeka,
I patrzy na niebo łzawemi oczyma,
I rzewną modlitwę wyjęka.

¹⁾ Chmielnicki.

Od wschodu bo dziwnie widnokrąg się mroczy,
I ptactwa mnogiego tam wrzawa.
Wtem rolnik się zerwie, do wodza przyskoczy:
— „O panie, to twoja buława!“

„Weź broń twą, hetmanie. Jam znachor tej włości:
Bóg czasem mi zgadnąć pozwoli,
A przyszłość wyczytać umięją i prości;
Buławę weź w dani z twej roli!“

Rewera się zdumiał: „Żyw jeszcze, przez Boga!
Nasz hetman koronny żyw jeszcze!“
A rolnik odpowie: „Idź, panie, na wroga!
Źle wróżą nam ptaki te wieszczce.“

„Patrz, lecą od wschodu, tam burza się zrywa:
Ptak darmo od gniazda nie leci;
Znać grzmi tam janczarka¹⁾ i burczy cięciwa:
Hetmanie, pośpieszaj do dzieci!“

Rewera na trakt się zawrócił już lwowski,
Bodzony ostrogą koń bieży.
Wieść leci po drodze: zginął Kalinowski!
Rewera i wierzy — nie wierzy

I modli się w duszy rolnika słowami:
„O Boże! czyż nigdy spokoju?
Czyż wiecznie twój piorun grzmieć będzie nad nami?
Ach! wiecznież nam latać do boju?“

On wjeżdża do Lwowa, a dziwny gwar w grodzie
I odgłos go wita studzowny;
Witają go pany i ludu powodzie:
„Hej! wjeżdża nasz hetman koronny!“

¹⁾ Strzelba turecka.

„O ratuj, hetmanie! — wieść straszna od Boha:
Chmielnicki Bohdanko znów w polu;
Legł hetman koronny na błoniach Batoha,
A kozak już hula w Podolu!”

— „Skąd wieści, rycerze? hej, szlachta, Bóg z wami!”
Podano list króla — buławę.
Rewera list czyta i zalał się łzami
I pomknął na boje, na krwawe.

M. Romanowski.

98 (109). Procesja na wałach Jasnej Góry.

Tymczasem ksiądz Kordecki przygotowywał dusze ludzkie. Przystąpiono do nabożeństwa, jakby w wielkie i radosne święto i gdyby nie niepokój i bladość niektórych twarzy, możnaby było przypuszczać, że to wesołe a solenne „Alleluja!” się zbliża. Sam przeor mszę celebrował, ozwały się wszystkie dzwony. Po mszy nabożeństwo nie ustawało jeszcze: wyszła bowiem wspaniała procesja na mury.

Ksiądz Kordeckiego, niosącego Przenajświętszy Sakrament, prowadził pod ręce miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki. Przodem szły pacholęta w komżach, niosące trybularze na łańcuskach, bursztyn i myrrę. Przed i za baldachimem postępowały szeregi białej braci zakonnej, ze wzniesionymi ku niemu głowami i oczyma, ludzie różnych wieków, począwszy od starców zgrzybiałych, skończywszy na młodzieniaszkach, którzy zaledwie do nowicjatu weszli.

Żółte płomyki świec chwiały się na wietrze, a oni szli i śpiewali, zatopieni całkiem w Bogu, jakoby niczego więcej na tym świecie nie pamiętni. Za nimi widziałeś pogolone głowy szlacheckie, zapłakane oblicza niewiast, ale spokojne pod łzami, wiarą i ufnością natchnięte. Szli i chłopci w sukmanach, długowłosi, do pierwszych chrześcijan podobni; małe

dzieci, dziewczęta i chłopcy, zmieszani w tłumie, łączyli swe anielskie cienkie głosiki z ogólnym chorałem.

I Bóg słuchał tej pieśni, tego wylania serc, tego uciekania się z pod ucisków ziemskich pod jedyną ochronę skrzydeł Bożych. Wiatr ucichał, uspokoiło się powietrze, niebo wyblękitniało, a słońce jesienne rozlało łagodne, bladozłote, lecz ciepłe jeszcze światło na ziemię.

Orszak obszedł raz mury, lecz nie wracał, nie rozpraszał się — szedł dalej. Blaski od monstrancji padały na twarz przeora, i ta twarz wydawała się od nich jakoby złota także i promienista.

Ksiądz Kordecki oczy trzymał przymknięte, a na ustach miał nieziemski prawie uśmiech szczęścia, słodczy, upojenia: duszą był w niebie, w jasnościach, w odwiecznym weselu, w niezmaconym spokoju. Lecz jak gdyby stamtąd odbierał rozkazy, aby nie zapomniał o tym ziemskim kościele, o ludziach i o twierdzy, i o tej godzinie, która miała nadejść, chwilami zatrzymywał się, otwierał oczy, wznosił monstrancję i błogosławił.

Więc błogosławił lud, wojsko, chorągwie kwitnące, jak kwiaty, a migotliwe, jak tęczę, potem błogosławił mury i wzgórza, na okolice patrzące, potem błogosławił działa mniejsze i większe, kule ołowiane, żelazne, naczynia z prochem, dyłowania przy armatach, stosy srogich narzędzi, do odparcia szturmujących; potem błogosławił wioskom, na dalekościach leżącym, i błogosławił północy, południu, wschodowi i zachodowi, jak gdyby chciał na całą okolicę, na całą tę ziemię moc Bożą rozciągnąć. Była godzina druga z południa, procesja była jeszcze na murach. A wtem na krańcach, gdzie niebo zdawało się stykać z ziemią i rozciągały się mgły sinawe, w tych mgłach właśnie zamajaczyło coś i poczęły wypełzać jakieś kształty, z początku mętne, które, zwierając się stopniowo, stawały się coraz wyraźniejsze. Okrzyk nagle uczynił się na końcu procesyi:

— Szwedzi! Szwedzi idą!

Potem zapadła cisza, jakoby serca i języki zdrętwiały; dzwony tylko biły dalej. Lecz w ciszy zabrzmiał głos Kordeckiego, donośny, choć spokojny:

— Bracia, radujmy się, godzina zwycięstw i cudów się zbliża!

A w chwilę później:

— Pod Twoją obronę uciekamy się, Matko, Pani, Królowo nasza!

Tymczasem chmura szwedzka zmieniła się w niezmiernego węża, który przepęłzał jeszcze bliżej. Widać już było jego straszliwe dzwona.

Skręcał się, rozkręcał, czasem zamigotał pod światło połyskliwą stalową łuską, czasem ściemniał i pęłzał, pęłzał, wychylał się z oddalenia.

Wkrótce oczy, patrzące z murów, mogły już szczegółowo wszystko rozpoznać. Naprzód szła jazda, za nią czworoboki piechoty, każdy pułk tworzył długi prostokąt, nad którym wznosił się w górze mniejszy, utworzony przez dzidy sterujące; dalej, hen, za piechotą wlokły się armaty z paszczami, odwróconymi w tył i schyłonymi ku ziemi.

Leniwe ich cielska, czarne lub żółtawe, połyskiwały złowrogo w słońcu; jeszcze za niemi trzęsły się po nierównej drodze jaszczke z prochem i nieskończony szereg wozów z namiotami i wszelkiego rodzaju wojennym sprzętem.

Henryk Sienkiewicz.

99 (139). Śmierć Czarnieckiego.

W Sokołówce, przed chatą u proga,
Pachołkowie i ludu czerń mnoga;
Stoi stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży hetman polny.
Hetman głowę pochylił na łożu,
Krzepkiem ciałem już władnąć nie może,
Złożył ręce, jakby do modlitwy,
Ale wojak ciągle marzył bitwy.

To o Szwedach odmawia pacierze,
To Stawiszczan rozhukanych bierze.
A przy świetle gromnicy ksiądz cichy
Świątym krzyżem maże ziemskie grzechy,
Prosi Boga w pokorze i skrusze,
By do raju przyjął starca duszę;
A lud słowa powtarza kapłana:
— Sługę Twego zbaw, Panie, Stefana!

Zarżał stępak u żłobu powolny,
Wzniósł na łożu głowę hetman polny,
Bielmem zaszle roztworzył źrenice
I popatrzył na smutną gromnicę;
Witał księdza, jak ze snu powstały.
I znów słuchał, jak rży jego biały.

— Wprowadźcie go! — skinął na husarzy.
I wnet biały po izbie się waży,
Na pierś starca kładzie łeb swój suchy
(A obadwaj biali, jak dwa duchy).

Śmiał się hetman, jak dzieciak, szczęśliwy,
Tuląc ręce między śniegi grzywy;
— „O mój biały!...“ A biały spokojnie,
Zda się, z panem rozmawia o wojnie,
Raz po raz to uszami ruszy,
Aż starcowi jakoś tęskno w duszy;
Wzniósł buławę, spojrzał wkoło groźnie
I rzekł: „Królu, dałeś ją za późno!“

Potem opadł na łożu bez siły;
Znowu rzesze pacierze mówiły,
Znowu stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży hetman polny.
Pan kijowski nie daje rozkazów;
Twardych z ust swych nie ciska wyrazów

Ani rzeniem rozbudzi go siwy:
 Bo wódz wielki już leży nieżywy!
 A twarz jego szlachetna, uczciwa
 Jeszcze jakimś postrachem przeszywa;
 Jeszcze z śmiercią nawet walczy samą
 I szeroką odzywa się szramą:
 Jam nie z soli, ani z roli,
 Tylko z tego, co mnie boli!

A. Czajkowski.

100 (86). Wydra króla Jana Sobieskiego.

Jan Chryzostom Pasek, który żył za czasów Jana III Sobieskiego, tak pisze w swoich pamiętnikach:

Chowałem sobie wydrę tak łaskawą, że wolałbym być częścią majątku mojego dać, niżeli ona, bom ją tak lubił. Król Jegomość dowiedział się od kogoś o tej wydrze i chciał ją dostać koniecznie; ale nie wiedziano, jak mnie zowią, i nie wiedziano, do kogo owe prośby odesłać. A że to była wydra sławna na całe województwo krakowskie, więc ktoś dał wiadomość, że u mnie jest. Dopiero tedy król ucieszył się nadzieją, mówiąc:

— Mnie pan Pasek dawno znajomy; wiem, że mi jej nie odmówi.

Przysłała więc Straszewskiego z listem; pisze oraz koniuszy koronny, pisze Pisarski Adrian, krewny mój, dworzanin królewski, prosząc, żebym tego podarunku królowi nie odmawiał, gdyż mi to król Jegomość nagrodzi łaską i względami. Przeczytawszy listy, zadziwiłem się, kto to tam o tem zwiastował, i pytam:

— Dla Boga! coż to królowi Jegomości po tej wydrze?

Powiedział poseł, że bardzo król Jegomość żąda i prosi. Ja dopiero: że niema tej rzeczy u mnie, coby miała być od-

mówiona królowi Jegomości. Ale tak mi było, jakby mnie kto ostrem zgrzeblem po gołej skórze drapał.

Wydry nie było w domu, lecz gdzieś się tam włóczyła po stawach. Wyszliśmy na łąki. Począłem ją wołać jej przezwiskiem, bo się Robakiem nazywała; wyszła mokra z trzciny, poczęła się koło mnie łasić, a potem poszła za nami do izby. Zdumiał się Straszewski i mówi: „A dla Boga! jakże to król tego nie ma kochać, kiedy to tak łaskawe?” Odpowiem ja: „To waść tylko, co widzisz, chwalisz; ale dopiero bardziej chwalić będziesz, gdy obaczysz jej cnoty!” Poszliśmy nad staw. Stanąwszy na grobli, mówię: „Robak! trzeba mi ryb dla gości, hul w wodę!” Wydra poszła, wyniosła najpierw płocicę; drugi raz kazałem, wyniosła szczupaka małego; trzeci raz wyniosła półmiskowego szczupaka, trochę go tylko na karku obraziwszy.

Straszewski za głowę się porwał: „Dla Boga! co ja widzę!”

Mówię tedy: „Każesz waść więcej nosić? bo ona pót będzie nosiła, póki nie będzie zadosyć; trzeba ryb cebra, nanosi ona, bo jej sieć nic nie kosztuje.”

Straszewski rzecze: „Już wierzę, kiedy widzę; gdyby mi zaś kto powiadał, nie wierzyłbym.”

Póki Straszewski nie odjechał, pokazałem mu wszystkie jej umiejętności, które były takie: najpierw, że mną sypiała w pościeli; druga, stróż taki z niej w nocy, że, Panie, zachowaj, do łóżka przystąpić; chłopcu ledwie pozwoiliła mi z butów zzuć, a potem już się nie ukazuj, bo narobiła wrzasku takiego, żem się musiał obudzić, choćbym najlepiej spał; w dzień zaś, rozłożywszy się gdziekolwiek, spała tak, że, choć ją na ręce wziął, oczu nie rozdziawiła. Surowej ryby, surowego mięsa nie chciała jeść; nawet kiedy w piątek albo w post uwarzono jej kurczę, albo gołębia, a nie włożono pietruszki i nie dano tak, jak należy, to nie chciała jeść. Rozumiała też, jak i pies: „nie daj ruszać!” Kiedy mnie kto poszarpał za suknie, a rzekłem: „rusza!”, to skoczyła z krzykiem przeraźliwym, szarpała za suknię, za nogi, równo z moim psem, do którego

bardzo była przywiązana; inszych zaś psów nie lubiła, i jak który do izby przyszedł, zaraz go łapką wycięła, choćby to był najroślejszy chart!

Przyjechał był raz do mnie Ożarowski Stanisław; byłem mu rad. Wydra też, że mnie trzy dni nie widziała, przyszła do mnie i nie mogła się nacieszyć i naigrać. Miał gość z sobą charcicę piękną i rzecze do syna: „Samuelu! trzymaj charcicę, żeby tej wydry nie zjadła.“ Ja mówię: „Nie turbuj się waś! nie da sobie to zwierzątko krzywdy uczynić, choć małe.“ — Aż on rzecze: „Co waś żartujesz? ta charcica wilka się chwyta, liszka¹⁾ jej tylko raz ziewnie.“ — Poradowawszy się ze mną, wydra obaczyła psa niedomowego; przyjdzie do owej charcicy i patrzy jej w oczy, a charcica też na nią; obesła ją dookoła i odeszła. Ja myślę: toć to już nic nie będzie czyniła. Jeno cośmy o czemś poczęli mówić, aż wydra znowu wstała (bo mi się układała była pod nogami) i idzie cicho popod ławami. Zaszła charcicy znowu z tyłu, a kiedy ją wytnie w tydkę, charcica skoczy do drzwi, wydra za nią; charcica za piec, wydra za nią; kiedy widzi, że niema gdzie uciec, skoczyła na stół, chce w okno uderzyć, aż ją Ożarowski uchwycił za nogi. Dwa jednak kieliszki szlifowane z winem stłukła, a potem, jak ją wypuszczono, nie pokazała się do pana, choć nie pojechał, aż nazajutrz po obiedzie. To się jej tak wszędzie psy bały!

Pojechał tedy Straszewski do króla i wszystko, co widział, opowiedział. Ledwie co Straszewski przyjechał i uczynił doniesienie, wzięła króla taka chęt: „Nie może być, tylko jedź znowu, a przywieź już wydrę jakimkolwiek sposobem, byłem ją miał.“ Listy znowu do mnie popisano, pytając, co sobie za nią każe dać. Koniuszy koronny i Piekarski pisali do mnie: „Dla Boga! już że się nie wymawiaj; wolisz dać i zbyć kłopotu, bo pokoju nie będziesz miał, gdyż król, i jedząc, i chodząc, i śpiąc, tylko o tej wydrze myśli.“ Przyjechał więc znowu na odwrót Straszewski, listy oddał i powiada: „Kto

¹⁾ Liszka — lis.

prędko daje, jakby dwa razy dał.“ Posłał mi też król dwa konie tureckie, bardzo piękne, z siedzeniem bogatem. Ale jam powiedział, że nie tylko pieniędzy, ale i koni nie wezmę, bobym się tego wstydził za tak błahy podarek takie odbierać nagrody.

Wyprawiłem tedy wydrę na nową służbę. Niewdzięcznie bardzo przyjęła tę wyprawę, piszcząc, wrzeszcząc w klatce, kiedy przez wieś jechali; ażem poszedł do izby, nie chcąc słuchać tego, bo mi jej żal było. Napisałem tedy na całym arkuszu, jako z nią mają postępować, to też napisałem, żeby jej nigdy nie wiązać za obrączkę, ale podle obrączki za szyję; dlatego, że u wydry grubsza jest szyja, niżeli głowa, więc choćby najciaśniejsza obrączka, to się zaraz przez głowę zdejmuję. Napisałem także, jak ją żywić.

W drodze jadąc, gdzie upatrzyli wodę na czystem, chociaż bali się, żeby się nie skryła, wpuszczali ją przecie kilka razy do wody dla ochłodzenia. I to nie pomogło; było pisku, wrzasku poddostatkiem. Stęskniło się to, znikczemniało; przywieźli królowi tak jako sowę odętą. Niezmiernie król rad, widząc, mówi: „Stęskniło się to, ale się to obaczy.“ Komu ją każą pogłaskać, to wydra za rękę. Król rzecze: „Marysieńku, odważę się pogłaskać ją.“ Królowa perswaduje, żeby niechać, aby nie ukąsiła, on przecie, usiadłszy podle niej, jak ją znowu na łóżku posadzono, do niej z ręką powoli. „To sobie będę miał za dobry znak, jeżeli mnie nie ukąsi; jeżeli też ukąsi, o to mniejsza, pisać tego nie będą po gazetach.“ Pogłaskał ją tedy, pochyliła mu się; jeszcze bardziej się król ucieszył, że i więcej począł ją głaskać; potem jej jeść kazał przynieść, łakoci dawał jej po kawałku, a ona jadła, siedząc na złoto-głowi. Już tam chodziła po pokojach, gdzie chciała, coraz swobodniej. Byłać tedy dwa dni; postawiono jej wody w naczyniach wielkich, napuszczono tam rybek, żaków; to się cieszyła, wynosiła. Król rzecze do królowej: „Marysieńku, nie będę jutro jadł ryby, tylko co mi ta wydra ułowi; pojedziemy da Bóg, do Wilanowa i tam będziemy próbować, azali się tam pozna z rybami.“

Robak powoli przyzwyczaił się do nowego mieszkania. Lecz pewnego dnia, gdy biegł po łąkach i gajach wilanowskiego lasu, postrzegł go pewien żołnierz, który zabił go kijem i za złotówkę sprzedał jego skórę. Skoro postrzeżono, że niema wydry, okropny hałas zrobił się w zamku.

Jan Chryzostom Pasek.

101 (142). Król w gościnie.

Kiedy król Stanisław August Poniatowski w r. 1784 objeżdżał Litwę, przyrzekł między innymi obywatelami także panu Rdułtowskiemu, chorążemu nowogrodzkiemu, iż z Nieświeża przyjedzie do niego w odwiedziny. Ucieszył się tem pan Rdułtowski bardzo, ale to mu niemały sprawiało kłopot, gdzieby pomieścić tylu i tak dostojnych gości, nie mając w swym domu tak obszernych pokoi, z królem bowiem trzeba było i cały jego orszak ugościć. Położenie jego było tem przykrzejsze, iż, mając czuwać nad usługą królewską, nie mógł się sam od boku pana oddalić.

W wigilię tedy owego dnia, w którym miał król do domu jego zawitać, prosił pan chorąży przyjaciół i wszystkich jemu obowiązanych, ażeby zaraz ruszyli do jego domu, do Snowia, i tam w jego nieobecności przygotowali wszystko na przyjęcie tak znakomitego gościa. Jakoż zebrało się w Snowiu przez dzień cały bardzo wiele szlachty, a naza-jutrz o świcie przybył sam gospodarz, ażeby w domu swoim oczekiwać przybycia króla.

Około południa przybył Stanisław August w towarzystwie dwóch najdostojniejszych panów. Potem zajeżdżały niezliczone pojazdy jeden za drugim, a z nich wysiadali najznakomitsi dostojnicy duchowni i świeccy. Gospodarz, przyjmując króla na ganku, padł mu do nóg, dziękując za zaszczyt, wyświadczony jego domowi; wszyscy obecni wzniesli okrzyk na cześć przybyłego gościa. Pani chorążyna po-

dała rękę królowi i zaprowadziła go do sali bawialnej, która się w okamgnieniu zapełniła gośćmi. Król, kilka chwil zabawiwszy, wyszedł do komnaty, dla niego przeznaczonej, aby wyprawić listy do Warszawy, a tymczasem goście, przybyli z królem, wesolą bawili się rozmową.

Kiedy król powrócił do towarzystwa, przystąpiła do niego pani chorążyna i tak przemówiła:

— Najjaśniejszy panie, skromny nasz dworek nie ma sali tak obszernej, w którejby mogli się zmieścić wszyscy tu obecni tego powiatu obywatele; a przecież wszyscy łakną dzielić gody królewskie. Pozwól przeto, miłościwy panie, służyć sobie obiadem w stodole.

Na to król bardzo uprzejmie odpowiedział:

— Wybornie! Wszakże króla narodu rolniczego najwłaściwiej będzie nakarmić w stodole.

I podawszy rękę gospodyni domu, poszedł z nią naprzód do stołu.

Za przykładem króla poszli wszyscy obecni, i w jednej chwili zapełniła się biesiadnikami ogromna stodoła, cudem prawie przemieniona w salę jadalną.

Ledwie za przykładem i pozwoleniem króla zasiedli wszyscy za stołem, gdy powszechną uwagę zwrócił na siebie stojący przed królem wizerunek Piasta, misternie z ciasta i cukru zrobiony. Była to rzecz prześliczna! Na wozie, dwoma wołami ciągnionym, a naładowanym kołami, siedzi Piast kołodziej, a tu u wrót Kruszwicy wojewodowie zachodzą mu drogę i przynoszą koronę i berło.

Uradowany tym widokiem, król zawołał:

— Patrzcie, panowie, czy może być przy uczcie w stodole milsze wspomnienie nad tego kołodzieja, obwołanego królem!

I zaczęła się przy stole żywa rozmowa, czy wybór Piasta kołodzieja odbył się wistocie, czy też może zdarzenie to było tylko wymysłem późniejszym; a król odezwał się z uśmiechem:

— Zmiłujcie się, nie odbierajcie nam naszego Piasta; niech on służy na zawsze za dowód, że w naszym narodzie

prosty kołodziej cnotami swojemi może dostąpić do najwyższej władzy.

Po tych słowach zapał niezwykle ogarnął wszystkich, a gdy za chwilę gospodarz ogromnym kielichem wzniosł zdrowie Jego Królewskiej Mości, wszyscy obecni powstali i, jak jeden mąż, wzniesli okrzyk na cześć dostojnego gościa, który, odpowiadając na życzenia, wypił zdrowie gospodarstwa i zebranej szlachty.

Wtedy radość wszystkich nie miała już granic; bawiono się najwesелей i mnogie wychylano puhary. Ale ze względu na obecność króla wszystko odbywało się przyzwyczajenie i umiarkowanie.

Według *Henryka hr. Rzewuskiego*.

102 (58). Gościnność polska.

Wielkie domy zagranicą,
A w nich ciasno, choć nie ludno;
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człekby czasem wierzył:
Dom niewielki, wtem gość wchodzi,
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi,
Przybył drugi i dziesiąty
I nie ciasno jest nikomu;
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu.
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.

I ta strzecha, choć uboga,
Chociaż niska, przecież bliska
Dla obcego i dla swego,
I od Boga aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.
A dopiero to przyjęcie,
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczone święcie,
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesole, w noc rześisto,
Biało, gładko, potoczysto,
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone;
Indyk kruchy, kapłon tłusty,
A do tego dzban niepusty.
Jest czem serce rozweselić,
Jest się wszystkim czem obdzielić;
Choć przyjęcie najłaskawsze,
Jest mis parę, parę dzbanów,
Zostawionych jeszcze zawsze
Dla — zagórskich panów.
Lecz, gdy rzucisz stoły hojne
I pominiesz dworską bramę,
Ściany jakby nie te same,
Znowu ciche i spokojne,
Przed Świętymi lampa płonie,
Na kominku ogień strzela,
A tem światłem czasem płonie
Ponad łóżem karabela.
Gdy za wcześniej do spoczynku,
A Bóg nie dał w dom sąsiada,
Osiwała para siada
Do marjasza przy kominku;
I jegomość kartę łaje,
A z czterdziestu jejmość zdaje.

Wszystko cicho, nic nie szańnie,
Czasem tylko warta wrzańnie.
Albo kotki załopocą,
Lub panienki zachichocą.

Wincenty Pol.

103 (29).

Któryś król, przejeżdżając mimo któregoś z bernardyńskich klasztorów, spostrzegł napis na facjacie: „Providentia Dei“¹⁾. Zawołał zatem gwardjana i zapytał:

— Co rozumiecie przez ten napis?

— Miłościwy królu — odpowiedział on — rozumiemy to, że żyjemy z Opatrzności Boskiej, która przez ręce pobożnych i miłosiernych ludzi opatruje nas chlebem. Zakon nasz nie może posiadać dóbr ziemskich, więc, nie orząc ani siejąc, z łaski dobrodziejów żyjemy.

— Dobrze — rzekł król — obaczmyż, jak żyjecie.

I wszedł do klasztoru w gościnę z całym dworem na obiad.

Naturalnie, dla takiego gościa ksiądz gwardjan nie żałował, co miał najlepszego, a że spiżarnia zaopatrzona była porządnie, więc król jegomość zjadł obiad, choć klasztorny, ale dobry i smaczny, i skosztował zapewne bernardyńskiego trójniaku²⁾. Ale po traktamencie³⁾ rzekł do gwardjana i asystujących⁴⁾ mu ojców:

— No, widzę, że Opatrzność Boska opatruje was hojnie: teraz więc musicie mi dowieść, żeście jej godni, to jest, żeście mądrzy i pobożni, i że ta sama Opatrzność nie tylko daje pokarm waszemu ciału, ale i wasze dusze oświeca i karmi. Zatem macie mi odpowiedzieć na trzy pytania:

¹⁾ Opatrzność Boska. — ²⁾ Gatunek miodu. — ³⁾ Poczęstunek. —
⁴⁾ Towarzyszących.

Po pierwsze — ilem ja wart? Powtóre — jak daleko z ziemi do nieba? Po trzecie — co ja myślę? Daję wam trzy dni czasu, po których, jeżeli mi na każdą tę kwestję przyniesiecie dostateczną odpowiedź, uwierzę, że Opatrzność Boska was wspiera i żeście godni tej opieki: owszem, będę sam dla was Jej narzędziem. A jeżeli pytań tych nie rozwiążecie, usunę was z klasztoru, jako ludzi, chwalcących się fałszywie łaską Opatrzności, której nie są godni.

Trudno opisać, jakie zamieszanie stało się w klasztorze po takim gorzkim koncepcie króla. Najtężsi teologowie suszyli sobie głowy i nie schodzili z narad, na których od rana do wieczora siedzieli, ale nic wymyślić nie mogli. A tu czas upływa i trzeci, ostatni, dzień nadszedł, a odpowiedzi jak niema, tak niema; było ich może sto, ale żadnej takiej, któraby królowi podobać się mogła.

Wtem wszedł na walną radę, w refektarzu zebraną, brat-kwestarz klasztorny i zapytał:

— A cóżeście, ojcowie, uradzili? Czy macie odpowiedź dla króla?

Po milczeniu i minach wszystkich poznał, że sprawa idzie, jak z kamienia.

— No, przewielebni — rzekł — kiedy mądre głowy wasze nic nie wymyśliły, to pozwólcie mnie stanąć przed królem jegomością, może ja was uratuję i dowiodę, żeśmy nie...

Przerwali i nie dali mu dokończyć ojcowie, ruszyli się hurmem z ław i wszyscy razem pytali, jakie odpowiedzi ma dać królowi, a niektórzy, kiwając wątpliwie głowami, odzywali się:

— Myśmy nic nie wymyślili, a waszeć masz być mędrszy od nas?

— Odpowiedzi moich — rzekł kwestarz — wam nie powiem, bo do wieczora może jeszcze własne wymyślicie; ale kiedy wam na to oleju w głowach nie stanie, to powiadam wam: posyłajcie po mnie, bo już nic lepszego zrobić nie będziecie mogli.

Stańło na tem, że wysłano kwestarza do króla, nie dopytując się już, co on tam powie, a tylko błogosławiąc na drogę.

Stańał więc kwestarz przed królem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł, wchodząc.

A król odpowiedział:

— Na wieki wieków.

I spostrzegłszy go, przypomniał sobie onegdajszą gościnę i rzekł:

— Przychodzisz zapewne, księżulu, z odpowiedzią na moje kwestje?

— Tak jest, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział z niskim pokłonem kwestarz.

A więc król zasiadł na tronie i włożył koronę, zwyczajnie, jak król, a około niego cały dwór; od złota i srebra aż się w oczach kwestarzowi zaćmiło, jednak nie stracił fantazji.

— No — rzekł król — ilem ja wart?

— Szacujemy Waszą Królewską Mość na dwadzieścia dziewięć srebrników — odpowiedział kwestarz. — Zdaje się, że bez krzywdy, kiedy o jeden tylko srebrnik mniej od naszego Zbawiciela.

Król spojrział po dworzanach; nie było co odpowiedzieć.

— Jak daleko z ziemi do nieba? — zapytał znowu król.

— Moment drogi, Miłościwy Królu: skonanie! — odpowiedział kwestarz. — Idzie tylko o to, aby nie zbłądzić i nie trafić do piekła; od czego by Bóg ustrzegł Waszą Królewską Mość, my, niegodni słudzy jego, gorliwie modlić się będziemy.

Król pokręcił głową.

— No, ostatnie pytanie: Co ja myślę?

— Wasza Królewska Mość myśli — mówił kwestarz — że, kiedy mnie tu wysłali, to ja muszę być bardzo mądry teolog, a ja tylko prosty brat-kwestarz, do usług Waszej Królewskiej Mości.

— Bravo! — zawołał król i wszyscy za nim: — Bravo!
— Wygrałeś sprawę. Widzę teraz, że Opatrzność Boska opiekuje się wami i nie opuszcza was w każdym kłopocie. Poczem król zaprosił kwestarza na obiad, po którym odprawił go, sownie obdarzonego.

Ignacy Chodźko.

104 (54). Polonez.

Poloneza czas zacząć. Podkomorzy rusza
I, zlekka zarzuciwszy wyloty kontusza
I węża pokręcając, podał rękę Zosi
I, skłoniwszy się grzecznie, w pierwszą parę prosi.
Za Podkomorzym szereg w pary się gromadzi,
Dano hasło, zaczęto taniec — on prowadzi.

Nad murawą czerwone połyskują buty,
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty,
A on stąpa powoli, niby od niechcenia;
Ale z każdego kroku, z każdego ruszenia
Można tancerza czucia i myśli wyczytać:
Oto stanął, jak gdyby chciał swą damę pytać,
Pochyla ku niej głowę, chce szepnąć do ucha;
Dama głowę odwraca, wstydzi się, nie słucha.
On zdjął konfederatkę, kłania się pokornie,
Dama raczyła spojrzeć, lecz milczy upornie;
On krok zwalnia, oczyma jej spojrzenia śledzi
I zaśmiał się nakoniec — rad z jej odpowiedzi.
Stąpa prędzej, pogląda na rywalów z góry
I swą konfederatkę z czaplinami pióry
To na czoło zawiesza, to nad czołem wstrząsa,
Aż włożył ją na bakier i pokręcił węża.
Idzie; wszyscy zazdroszczą, biegają w jego ślady,
Onby rad ze swą damą wymknąć się z gromady;

Czasem staje na miejscu, rękę grzecznie wznosi
I, żeby mimo przeszli, pokornie ich prosi.
Czasem zamyśla zręcznie na bok się uchylić,
Odmienia drogę, radby towarzyszków zmylić,
Lecz go szybkimi kroki ścigają natręty
I zewsząd obwijają tanecznymi skręty;
Więc gniewa się, prawicę na rękojeść składa,
Jakby rzekł: nie dbam o was; zazdrośnikom biada!
Zwraca się z dumą w czoło i z wyzwaniem w oku
Prosto w tłum; tłum tancerzy nie śmie dostać w kroku.
Ustępuje mu z drogi — i, zmieniwszy szyki,
Puszczają się znów za nim...

Brzmią zewsząd okrzyki:

„Ach, to może ostatni! patrzcie, patrzcie, młodzi,
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!“
I szły pary po parach hucznie i wesoło,
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,
Jak wąż olbrzymi, w tysiąc łamiący się zwojów,
Mieni się cętkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,
Wyłożona promieniami zachodniego słońca
I odbita o ciemne murawy wezgłowia,
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Adam Mickiewicz.

105. Jasełka w Warszawie w 1794 r.

W jakimś mgnieniu zrobiło się cicho i na przedzie
stajenki, jakoby na teatrum¹⁾, jęły się pokazywać łątki²⁾, wy-
obrażające przeróżne personsy³⁾. Staszek, ukryty pod spodem,
wyprawiał niemi różne brewerje, za każdą innym głosem
przemawiając. Jasełka odprawowały się składnie i czyniło

¹⁾ Teatrze. — ²⁾ Lalki. — ³⁾ Osoby.

się coraz ciszej, publicum¹⁾ bowiem nie mogło się połapać
w przedstawianych historjach i osobach. Wszystko pokazywało
się niby jak zawsze, jak co roku, te same niby Herody,
Małgorzatki, Djabły, Żydy i Węgry z olejkami, a zarazem
jakieś zgoła inne, i chociaż uciészne, a wielce do myślenia
dające. Słuchali też z zapartym oddechem i wytrzeszczonemi
oczyma, głowiąc się nad wyrozumieniem.

Exemplum²⁾, zaraz po hołdzie Dzieciątka jawiła się na
owem teatrum łątką, udająca królową; złota korona świeciła
i płaszcz miała w znaki narodowe aftowany, twarz zroszona
łzami wyrażała boleść; szła, utykając i brzęcząc jakby kajdanami,
zaś kołędnicy zaśpiewali na znaną nutę:

W mękach leży, któż pobieży
Salwować!³⁾
Zbrakło panów i rycerzy,
Zbrakło serca ratować.
Cni chłopkowie, przybywajcie,
Kosy na sztorc obsadzajcie,
Matka woła was!

I nim ochłonęli, a jaki taki zmiarkował, o co sprawie⁴⁾,
wleciała Małgorzatka z huzarem, a za nimi djabeł z widłami;
Staszek zaś zaśpiewał:

Za górami, za lasami
Tańcowała Katarynka z Orłowami,
Król malutki grał jej w dutki
I rzewnie płakał.
Nie płacz, Stasiu, potańcuję;
Tron ci potem zaborguję⁵⁾,
Byleś mnie słuchał!

Głuchy pomruk przeleciał po tłumach, ktoś głośno zaklął,
gdy wystąpiła cała kompanja: gruby proboszcz, kobieta
z dzieckiem, pijany organista i Żydek z koszem cytryn; wiedli

¹⁾ Publika. — ²⁾ Na przykład. — ³⁾ Ratować. — ⁴⁾ Co to znaczy. —

⁵⁾ Dam na kredyt.

między sobą jakiś spór zaciekł, przyczem ksiądz kropił lachą na prawo i lewo, kobieta lamentowała, dzieciak wrzeszczał, Żydek się przewracał, fajtając nogami, a organista, pociągając z flachy, śpiewał piosenki, z czego uczynił się taki wrzask, jakoby wistocie żywe osoby miały z sobą sprawę.

Staszek tak trafnie oddawał głosy, a nawet sposoby mówienia każdej z figur, że cała powszechność zatrzęsa się od śmiechów. Posypały się klaskania i krzyki kontentacji¹⁾; zaś Andzia, cisnąca się w pierwszym szeregu z rotmistrzem, rozbawiona do łez, rzuciła kołędnikom garść srebrnych rubli i najgłośniej aplauzowała²⁾. Jeszcze było nie zupełnie przy- cichło, kiedy na teatrum pokazała się nowa osoba. Wielu ją rozpoznało z twarzy ogromnej, wspartej na podbródkach, i z wielkiego brzucha: za nią posuwał się Herod, przypomina- jący Igelströma i sznur żołnierzy z karabinami. Przystanąła w pośrodku i kiedy orszak padł jej do nóg, przemówiła z ruska i grzmiąco:

„Leć mi zaraz do Polski!
Weź żołnierzów, harmaty,
Weź dla króla dukaty,
Weź dla panów tytuły, order i wstęgi.
Niechże za to wydają, co najlepsze mają:
Swoją honor, swą ziemię i wojsk swych potęgę.
I, co nad wszystko wołę,
Ukrainę, Wołyń i Podole.
Kto się oprze, kto wzbroni,
Tego kozak niech goni
I w dalekie popędzi Sybiry!
A kto sławę przyniesie, kto zarobi wawrzyny,
Posmakuje mej łaski i mojej pierzyny.“

Na to wyskoczył z przeciwnej strony działo obwieszony torbami z twarzą jakoby z talarów obitą i jęklwym prosił- głosem zaskrzeczał:

¹⁾ Zadowolenia. — ²⁾ Oklaski ała.

Dziadek ci ja, dziadek,
Mam puste torbeczki,
Gdzie spocznie ma głowa,
Gdzie ja co uproszę,
Skąd wezmę trzy grosze
Jeśli nie wesprze carowa.

Po nim Herod jął się bzdyczyć, tupać i wykrzykiwać wie kim głosem:

Gdzie nogą stąpie, krew, łzy i groby,
Bom ja zwierciadło carskiej osoby,
Kto mnie nie słucha, weźmie nahaje,
W sybirskie ześlę go kraje!
Przy mnie kozacy pędzą, jak ptacy,
Precz mi, Polacy!

Snadź dosyć było nawet tego Belzebudowi, gdyż, wy- skoczywszy z widłami, wołał:

Gamratko wściekła, ciebie do piekła!
Przy tym Herodzie w siarczonym smrodzie
Utopię...
A ciebie, dziadku, choć na ostatku
W najgorszym skąpieć ukropie!

Na takie dictum¹⁾ nikt się nawet nie zaśmiał, dziwna cichość oprzędła szynkownię, spojowano jeno po sobie w niemem poruszeniu. Niejednym luty strach zjeżył włosy, pobudzając zarazem do ciężkich westchnień. Wraże nazwiska krążyły z ust do ust, wzmagały się szepty, tysiące przy- pomnień stanęły naraz w pamięci, słuszny gniew zaczynał targać trzewiami. Pospółstwo, ślepe zazwyczaj na sprawy powszechności, zdawało się spostrzegać jakąś prawdę groźną nawet dla swoich mizerackich sytuacji²⁾, że troska zasepiła

¹⁾ Powiedzenie. — ²⁾ Stanowisk.

czoło i kładła się niepokojem na sercach, lecz Staszek, nie dopuszczając dłuższych deliberacyj ¹⁾, znowu pokazał królową: sunęła, tak samo brzękająca kajdanami, na bladych licach lśniły zastygłe łzy, a boleściwy, żalospny głos przemawiał:

„Sierota jestem, opuszczona nieboga,
Dola mnie spotkała sroga:
Opadli mnie morderce, złodzieje!
Pomóżcie, jaśni panowie dobrodzieje!
Ratujcie, szlachta, wielmoże,
Ratujcie, duchowne stany!
Na nogach wlokę kajdany,
Przeszyły mnie ostre noże,
W sercu mam okrutne rany
I śmiercim haniebną bliska,
Wesprzyjcie, jaśni panowie dobrodzieje!
Ratujcie, szlachta, wielmoże,
Zerwijcie ze mnie obrozę!
Obroń mnie, ludu kochany!
Śmiertelne sposobią mi łożę
I z ran już mdleję...

Na ten rzewliwy rozzdzierający głos krzywdy pierwsza Andzia zaniósł się płaczem, zawtórowały jej liczne szloch i poruszone wielce publicum jęło wykrzykiwać, burzyć się, bić pięściami w stoły, że niewiadomo na czym byłoby się skończyło, gdyby Staszek nie był pociągnął uwagi nowemi jasełkami. Pokazał bowiem chłopca w białej sukmanie, z kosą w ręku, który zaczął lamentliwie prawić:

Ubogim, nieszczęsny,
Przez wszystkich wzgardzony,
Przez wszystkich krzywdzony,
Przez wszystkich deptany.

¹⁾ Rozmyślań.

Ale na wiosnę
Niech jeno w siły podrosną,
Niech jeno kosę na sztorc obsadzę,
Taką ja łaźnię sprawię,
Że król zadrży w Warszawie!
I wszyscy moi ciemiężcy
Zapłacą krwawie!”

Po nim zaczął jakiś urwisz śpiewać na nutę „Chciało się Zosi jagódek“, gdy powstał nagły wrzask, bowiem nie spodzianie wtargnęli marszałkowscy ¹⁾. Kacper ze swoimi zagroził im drogę, dając czas na rejteradę Staszce, czem rozszokowane pachyły chciały ich aresztować. Powstała sroga bijatyka i kołowanie, że ani można rozpoznać, kto bił i kto był bity.

Wł. St. Reymont.

106 (155). Bartosz Głowacki.

Hej! tam w karczmie za stołem
Siadł przy dzbanie Jan stary;
Otoczyli go kołem.
On tak mówił do wiary:

„Ja mówiłem wam nieraz,
Że dziś zuchów już mało,
Wiara, bracia, źle teraz,
Dawniej lepiej bywało.

Za mych czasów to słynał
Kum Bartłomiej Głowacki:
Od Moskali on zginął,
Oi, to Krakus był gracki!

¹⁾ Straż marszałkowska.

Bo czy w karczmie, czy w domu,
Czy to taniec, wesele,
Nie dał bróździć nikomu,
Wszędzie sam był na czele.

Jak na wroga zwołali
Wiarę z naszych powiatów,
Myśmy bili Moskali
Bez pomocy magnatów.

Po szeregach jaśniały
Kierezyje, czapeczki,
Do każdego się śmiały,
Kieby łanie, dziewczeczki.

A Bartosz nad wszystkimi
Jaśniał, jak dąb wspaniały,
Bo w krakowskiej też ziemi
Nikt nie dorósł mu chwały!

Raz, pamiętam, z wieczora,
W Racławicach stoimy,
Wtem coś miga z za bora,
I Moskali widzimy.

Jak Kościuszko ich zoczył,
Kazał bębnić na bitwę,
Wtem Głowacki poskoczył,
A miał kosę jak brzytwę.

Hań za borem armaty,
Bronił oddział kozacki,
„Poczekajcie, psułaty!”
Krzyknął Bartosz Głowacki.

Jak wziął machać, wywijać,
My też obces na wrogi;
Dalej ranić, zabijać,
Aż Moskale het w nogi!

Het przez pola, przepaście,
Uciekali, jak wściekli,
Myśmy harmat dwanaście
Do Kościuszki przywlekli.

Jak się zesзли wodzowie,
Bartosza przywitali
I pili jego zdrowie,
I serdecznie ściskali.

Ja mówiłem wam nieraz,
Że dziś zuchów już mało.
Wiara, bracia, źle teraz,
Dawniej lepiej bywało!“

Gdy to wyrzekł Jan stary,
Zapał w oczach mu błysnął,
Wspomnił sobie wiek jary,
Starą kosę uściśnął...

Młodzież kubki nalała,
Wychyliła je duszkiem;
„Oto zuchy!“ krzyczała;
„Nasz Głowacki z Kościuszkiem!“

Wincenty Pol.

107 (143). Pokusa.

Opisując rysy charakteru księcia Józefa Poniatowskiego,
jako wodza i zwycięzcy, nie opuszczę tego, com z ust Marcina
Badeniego, znanego w całej Polsce z rzadkiego rozsądku

i nieposzlakowanej prawości, usłyszał. Wypiszę tu jego własne słowa.

— Po rozwiązaniu centralnego rządu — mówił mi — udałem się do Krakowa dla złożenia uszanowania księciu Poniatowskiemu i powinszowania mu zwycięstw. Zastałem go zasmuconego.

— Panie Marcinie — rzekł do mnie — w wielkim jestem kłopotcie. Stoję tu na czele trzydziestu tysięcy wojska, a nie mam grosza w kasie. Tutejsze kasy puste, Księstwo Warszawskie nic mi nie nadsyła; wojsko zaczyna być nieukontentowane, może się w niem rozprząc karność i rozprzężona uczynić je uciążliwym krajowi: zlituj się i zaradz temu.

Zastanowiwszy się, rzekłem:

— Niema innego sposobu w tej nagłości, jak użyć znacznych depozytów sądowych, które do dwóch milionów w kasach foralnych¹⁾ wynoszą; ksiązę możesz ten rozkaz wydać, a potem wezwać skarb Księstwa Warszawskiego, aby owe sumy zwrócił.

— Jakiegoż to są rodzaju te sumy? — zapytał ksiązę.

— Są to po większej części sumy wdów i sierot.

Na to moje wyjawienie (słowa są własne Badeniego) rumieniec dziewiczego wstydu wystąpił na całą twarz księcia, zapłonął się, jak panna, załamał ręce i rzekł do mnie:

— Panie Marcinie, przebóg, przyjaciel mój jesteś, a na co mnie namawiasz! Ja, człowiek honoru, miałbym się tykać grosza wdów i sierot? Choćby z głodu umrzeć, ja tego nie uczynię.

Na te słowa jego, z żywością wyrzeczone, taki mnie razem wstyd samego siebie i ku niemu cześć i uwielbienie ogarnęły, że gotów byłem do nóg mu upaść. Uchwyciłem go za rękę, chciałem ucałować, wyrwał ją.

— Otóż — rzekłem — będą i pieniądze, i ksiązę nie tkniesz się funduszów wdów i sierot.

— A to jakim sposobem? — zapytał.

¹⁾ Foralne — sądowe.

Odrzekłem:

— Ja, ksiązę Henryk Lubomirski prefekt, panowie Wodziccy i jeszcze znajdują się tacy, co na swoje dobra weźmiemy te depozytowe sumy, przecież będą miały bezpieczeństwo; pożyczmy Księstwu i w jednym roku oddamy kasom.

Uściskał mnie ksiązę i rzekł:

— Kiedy tak, to się nie gniewam i przyjmę, ale z rąk waszych.

K. Koźmian.

108 (129). Pieśń żołnierza.

A kto chce rozkoszy użyć
Niech idzie w wojence służyć!
Na wojence jak to ładnie,
Kiedy ułan z konia spadnie.
Koledzy go nie żałują,
Jeszcze końmi potratują,
Rotmistrz z listy go wymaże,
Kapitan trumnę zbić każe
A za jego trud i pracę
Hejnał zagrają trębacze.
Tylko grudy zaburczały,
Chorągiewki zafurczały;
Śpij, kolego! — twarde łoże,
Obaczymy się jutro może.
Dalej, naprzód! Cary z drogi!
W piekło, zbiry! z drogi, wrogi!
Śpij, kolego, a w tym grobie
Niech się Polska przyśni tobie!
Więc kto chce rozkoszy użyć,
Niech idzie w wojence służyć!

Ern. Buława.

109 (152). Bracia.

Było to we Włoszech, w czasie owej wielkiej wojny, którą Napoleon, cesarz Francuzów, prowadził prawie ze wszystkimi królami Europy w obronie uciśnionych ludów; w wojnie tej pomagały mu dzielne wojska polskie, zwane legjonami.

Pod Leniano, małym miasteczkiem, wznoszącym się na drodze do Medjolanu, stanęły naprzeciw siebie dwie armje: austriacka i francuska, którą wspierały legjony polskie.

Po kilkogodzinnej bitwie Austriacy pokonani ustąpili w nieładzie, a Francuzi i Polacy okrzykami radości głosili swoje zwycięstwo.

Ale wśród wesółych byli i smutni; ten jęczał, bo kula wroga strzaskała mu nogę i rana piekła; tamten wołał z rozpaczą ratunku, gdyż krew uchodziła z jego piersi i czuł, że umiera; ów skarżył się głośno, że nieprzyjaciół odciął mu prawą rękę i pozbawił możliwości pracy.

Byli tacy, którzy płakali nie nad sobą, lecz nad stratą przyjaciela, ojca, lub kogo innego z drogich ich sercu.

Nad rozciągniętym nieruchomo młodym żołnierzem, już nieżyjącym, klęczał równie młody żołnierz, młodszy może nawet, także w mundurze granatowym z karmazynowymi wyłogami — takie bowiem mundury nosili legjoniści polscy.

— Czemu Bóg zabrał mi ciebie! Jam cię tak kochał i szanował, jak ojca, tyś był mi bratem i przyjacielem, opiekunem i doradcą rozumnym! Co ja teraz pocznę bez ciebie, kogo kochać będę? — skarżył się żałośnie.

Tym żołnierzem był Cyprjan Godebski, poeta polski. Kula nieprzyjacielska zabiła mu brata starszego, który wistocie był jego opiekunem i przyjacielem.

Wtem, gdy tak się skarżył i płakał, uczuł, iż ktoś położył dłoń na jego ramieniu.

— Podnieś wzrok, spójrz naprzeciw, alboż to nie bracia twoi?

Poznał ów łagodny głos: to znaczny Rymkiewicz chciał go pocieszyć. Spojrzał naprzeciw, ujrzał całą rotę towarzyszków, ale widok ich podrażnił go mocniej jeszcze.

— Ci żyją, a on umarł! — pomyślał.

I zakał jeszcze głośniejsze, pochylił się nad bratem, wziął go na ręce i oddał się z nim w miejsce ciche, samotne; tam wykopał mu grób, ułożył go wygodnie, poczem usypał mogiłę, zatknął krzyż, zrobiony z drzewa, uklęknął i znowu płakał.

Nazajutrz musiał ruszyć w drogę razem ze swoimi towarzyszami, musiał zostawić mogiłę brata za sobą.

Szedł blady, smutny, z czołem pochylonem, a pieśń legjonów, jaką śpiewali jego towarzysze, przykrość mu sprawiała.

Zmęczony dotarł do wsi, w której wódz postanowił spocząć.

Żołnierze rozłożyli się na ziemi, wsunawszy pod głowy tornistry, i opowiadali sobie różne zdarzenia z obecnej wojny.

— Czy wiesz? — mówił właśnie jeden — Jakób Wroński stracił pod Leniano ojca.

— To dzielny chłopak — dodał drugi — ma lat 17 dopiero, a jednej łzy nie uronił, choć został sierotą...

Podszedłem do niego, gdy się modlił na grobie ojca, i rzekłem:

— Biedaku, jak mi cię żal!

A on na to:

— Nie żałujcie tak bardzo, sierżancie, bom gotów się rozbeczeć; a wszakże nie mnie jednemu śmierć zabrała opiekuna; toć sierot nie brak teraz na naszej ziemi, a ja nie najmłodszy wśród nich.

Łzy cisnęły mu się do oczu, widziałem sam, ale je zdusił i nie pozwolił im płynąć.

— Zuch! — wykrzyknęło kilku.

Cyprjan słyszał tę rozmowę, podniósł czoło i zaczął przypatrywać się towarzyszom. W ostatnim szeregu ujrzał siedemnastoletniego chłopca: blady był i oczy miał pełne cichego smutku, lecz czyścił zapamiętałe szablę, jakby pracą chciał odegnać smutek. Cyprjan uczuł szacunek dla tego chłopca, wstał i podszedł bliżej.

— Tyżeś Jakób Wroński? — zapytał.
— Tak jest — odparł tamten spokojnie.

Cyprjan wyciągnął do niego rękę.
— Jam stracił brata starszego, ty ojca, obaj jesteście sierotami; uściśnijmy sobie dłonie i braćmi się nazwijmy, a smutek zmniejszy się w naszych sercach, nie będziemy się czuli samotni — rzekł głosem wzruszonym.

Jakób ujął jego rękę.
— Uściśnę cię chętnie i nazwę bratem — odpowiedział — lecz ja samotnym się nie czuję: alboż na ziemi można być samym? Tylu ludzi koło nas; wszakże to wszyscy bracia!

— Już drugi raz słyszę dzisiaj te słowa, muszą więc być prawdą — odparł Godebski — postaram się zapomnieć o sobie, a myśleć o innych.

I począł rozpytywać Jakóba o jego dole. Dowiedział się, że biedny chłopiec nie ma grosza w tornistrze, a na wojnie grosz nieraz potrzebny; podzielił się więc z nim pieniędzmi, jakie miał na piersiach w woreczku. Gdy się dowiedział, że Jakób ma nogę skaleczoną, opatrzył mu ją starannie.

Rozjaśniło się czoło przy tej czynności, weselszy już ruszył w pochód dalszy. Szedł razem z Jakóbem.

Wtem chłopak trącił go w łokieć.

— Czy widzisz, co nasz „Stary“ czyni? — zapytał.

Cyprjan poszukał wzrokiem wodza, tak bowiem Drzewieckiego nazywali żołnierze; zobaczył, iż zdejmuje buty i oddaje je jednemu z piechoty; tamten się wzdragał... ale zacny wódz rzekł:

— Bierz, toć bratem mi jesteś, mnie łatwiej bez butów na koniu siedzieć, niż tobie iść piechotą. Do Medjolanu nie-daleko, kupię sobie tam nowe.

W Cyprjana oczach zaświeciły łzy.

— O tak, na ziemi nikt samotny nie jest, my tutaj wszyscy bracia, a on, wódz nasz, to ojciec nasz, ojciec legjonu — rzekł wzruszony.

Teresa Jadwiga.

110 (149). Wawóz Somosierry.

A czyż to imię
Rozlega się sławą,
Kto walczy za Francję
Z Hiszpanami krwawo?

To konnica polska,
Sławne szwoleżery¹⁾
Zdobywają cudem
Wawóz Somosierry.

Już francuska jazda
Cofa się w nieładzie,
Pod śmiertelnym ogniem
Wół trupów się kładzie.

A wtem Napoleon
Na Polaków skinął:
Skoczył Koziętulski,
W czwórki jazdę zwinął.

Na wiarusów czele,
Jak piorun, się rzucił,
Wziął pierwszą baterję,
Ale już nie wrócił...

Skoczył Dziewanowski,
Jak piorun, się rzucił,
Wziął drugą baterję,
Ale już nie wrócił...

I rzeczce, ściskając
Rannego junaka:
— Niema niepodobnej
Rzeczy dla Polaka!

Skoczył Krzyżanowski,
Jak piorun, się rzucił,
Wziął trzecią baterję,
Ale już nie wrócił...

Jeszcze się została
Ta baterja czwarta...
Bronią jej Hiszpanie,
Walka wre zażarta.

Niegolewski młody
Spiał konia ostrogą.
— Może stracę życie,
Lecz przedam je drogo!

Jak wicher, się rzucił
I jak błyskawica,
A za nim, jak burza,
Ta polska konnica.

Już biorą armaty,
Już tną kanoniery,
Już wzięli Polacy
Wawóz Somosierry.

Niegolewski ranny
Z konika się chyli,
Napoleon do piersi
Orla mu przyszpili

Marja Konopnicka.

¹⁾ Lekkokonna gwardja.

III (147). Dwaj weterani.

... Wkrótce ujrzelismy się w pierwszym, czyli służbowym salonie generała, gdzie zastaliśmy starych dwóch walsali, po cywilnemu ubranych i oczekujących na niego. Jeden z nich był stary żołnierz, kaleka, drugi zdawał się być niedyś wojskowym wyższej rangi.

Generał zwrócił się ku pierwszemu, i taka między nimi powstała rozmowa:

— Kto ty jesteś?

— A ja z panem generałem różne kraje deptałem...

— Gdzieś był?

— Naprzód, jak mnie od cesarskich¹⁾ zagarnęli, byłem u Francuza i zaraz biliśmy się tam... gdzie to... ale to człowiek już tych włoskich przezwisk spamiętać nie może... hm... tam, gdzie to żubra zabito.

— Jak to? żubra? W Italji, żubra?

— Tak jest, JW. generale, żubra.

— Ale zwarzjowałeś, kochanku, gdzie żubry we Włoszech? i któżby je w czasie bitwy gonił?

Wreszcie, uderzywszy się w czoło i głośno zaśmiawszy, dodał:

— Zapewne, gdzie generał Joubert zginął.

— Tak jest, żubr, JW. generale.

— No i cóż dalej, mój Żubrze?

— Potem do legjonów nas transportowali i służyłem za naszych.

— W czyjej kompanji? Popławskiego?

— Tak jest, tego, co go pod Trebją zagarnęli, jak Francuz zbankrutował.

— I czegoż ty chcesz, mój kochanku? Zapewne pensji?

— Jużci, żeby dali, toby człowiek przyjął, aleć mogę się i obejść jeszcze bez niej. Mam przy zięciu przytułek.

¹⁾ Austrjaków.

a na tabakę toć się jakoś zarobi. Ja tylko chciałem pana generała zobaczyć i Bogu dzięki, jeszcze nam dobrze wygląda.

Tu obejrzał się ku drzwiom, czy kto nie podsłuchuje.

— Może też, panie generale, będzie kiedyś jaka zrywka, to stary Wawrzyn zawsze gotów do wojaczki.

— Jużci, że będzie, to będzie kiedyś, ale naprzód cicho o tem, a potem już my podobno tego obaj nie doczekamy, mój Wawrzynie. Bóg ci zapłać, mój stary, żeś mię odwiedził; masz tu talarka, idź do domu, a jak będziesz w prawdziwej biedzie, to przyjdź do mnie.

Pocałował go żołnierz w kolana i wyszedł szczęśliwy.

— A waćpan czego chcesz? — zapytał Dąbrowski drugiego.

Ten, zamiast odpowiedzi, całoarkuszową podał suplikę. Rzucił Dąbrowski wzrokiem na podpis i papier.

— Waćpan — rzecz — chcesz pensji?

— Tak jest, panie generale, ojciec nas, biedaków!

— Otóż z tego nic nie będzie. Byłeś złym kapitanem, złym komendantem placu, złym dozorcą lazaretu. Bądź kontent, że się na dymisji skończyło. Ani słowa za tobą nie powiem, nic nie dostaniesz.

— Jakto, panie generale! Ja, co 30 lat ojczyźnie służyłem.

— Właśnie dlatego, że jej 30 lat służyłeś! Cóż ci ta ojczyzna zrobiła, abyś przez tyle lat ją krzywdził, brał płacę, a tak niepoczcziwie się jej odwodził. Bądź zdrow i proszę mnie więcej nie nachodzić.

F. Morawski.

III (153). Napoleonista.

Honorowy krzyż na fraku,

Wąsy zawiesiste,

Jedna ręka na temblaku:

Masz napoleonistę.

Babia czułość nieraz błysnie
Przez rysy junacze;
Nieraz marszem brwi naciśnie,
By ukryć, że płacze.

Nie powie, że bił się tego,
Że łał krew szeroko;
Ale wspomnij Lipsk, Marengo,
I spojrzysz mu w oko!

Dziś, gdy jego przeszłość cała
W grobie pochowana,
Bywa zimny, gdyby skała,
Milczący, jak ściana.

Ale przed nim niespodzianie
Wyrzecz imię jego ¹⁾,
On się zerwie, frontem stanie
I łzy mu pobiega.

Krzyż na piersiach, lecz ma drugi
Pod suknią znak Boski:
Obok krzyża za zastugi
Medal częstochowski.

Krzyż i medal miał na łonie
W dni bitew; jak zbroją
Pierś wojaka i po zgonie
W krzyż, w medal ustroją.

Z medalikiem zda rachunek
Przed Najwyższym Panem;
Z krzyżem — stanie na meldunek
Przed wodzem kochanym.

L. Kondratowicz.

¹⁾ T. j. Napoleona.

113 (156). Napad na Belweder.

29 listopada 1830 r.

Na Belweder miało napaść ośmnastu śmiałków pod wodzą Nabelaka. Wysocki zaś na czele podchorążych winien był uderzyć na koszary trzech pułków gwardji konnej rosyjskiej i pułki te rozbić. W odsiecz podchorążym miało przybyć kilka kompanij piechoty.

Dobrze przed szóstą zaczął się zbierać na moście łazienkowskim oddział Nabelaka, ale jeszcze nie zeszli się wszyscy, gdy przedwcześnie rozniecony pożar na Solcu zmieszał zgromadzonych. Pożar wszczął się o godz. 5½, a o 6 zagasł, na Nowolipiu zaś nie było widać umówionego ognia. Nabelak nie wiedział, co to oznacza, i namyślał się, co przedsięwziąć, gdy w pobliskich koszarach zadzwoniono na alarm ogniowy, a Łazienki zaczęli przebiegać jacyś ludzie, wysłani na zwiady.

Spiskowcy postanowili rozproszyć się na chwilę i zebrać się znowu na moście, gdy alarm, wywołany pożarem, ucichnie. Jakoż łuna na Solcu niebawem zagasła i oddział Nabelaka zebrał się ponownie, ale nie wiedział, co robić. Cisza panowała dokoła, w pobliżu tysiącem światła migotało miasto, ale łuny na Nowolipiu widać nie było. Napróżno zebrani wyteżali wzrok. Płynęła minuta za minutą, długa, jak wieczność, stary park łazienkowski szumił ponuro nad głowami spiskowców, a oni stali w mroku nocnym, stali zagniewani, niepewni, niecierpliwi, a narażeni w każdej chwili na wielkie niebezpieczeństwo zdradzenia swej obecności i obudzenia podejrzeń.

Wreszcie Nabelak i Goszczyński wyruszyli na zwiady i szczęśliwym trafem spotkali Wysockiego, który śpieszył do szkoły podchorążych. Od niego dowiedzieli się o fatalnym zbiegu okoliczności, który nie dozwolił wzniecić jednocześnie dwu umówionych pożarów, a zarazem i o tem jeszcze, że mimo wszystko trzeba rozpoczynać natychmiast.

Wówczas nowy duch wstąpił w garstkę śmiałków Nabelaka. Zniechęcenie prysło w jednej chwili i męstwo wstąpiło

w piersi sprzymierzonych. Nabito przyniesione karabiny i oddział podzielił się na dwie równe części, z których jedna miała napaść na Belweder od frontu, a druga pilnować tyłów pałacu, co było koniecznem na wypadek, gdyby W. Księciu udało się wymknąć.

Tymczasem w Belwederze panowała cisza.

Wielki Ks. Konstanty spał spokojnie, nie przeczuwając, co się święci tego wieczora. Naraz na dziedzińcu przed książęcą siedzibą rozległy się przerażające okrzyki, jęknęły szyby pałacowe i rozprysły się z trzaskiem, jacyś ludzie wyważyli drzwi i, jak huragan, wtargnęli do komnat, wołając strasznym głosem:

— Śmierć tyranowi!

Budzi się Konstanty, słyszy hałas i złowróżbne okrzyki, zrywa się na równe nogi i, podtrzymywany przez kamerdynera, biegnie do pokojów żony i w otoczeniu kobiet szuka dla siebie ratunku.

Tymczasem oddział sprzymierzonych, wpadłszy do wnętrza pałacu, przebiega jeden pokój po drugim, lecz nigdzie nie znajduje oporu. Czyni więc ogromny hałas, przewraca napatkane sprzęty, lecz nadaremnie poszukuje W. Księcia. Cisza i pustka wieje z każdej komnaty.

Dopiero przed sypialnią W. Księżnej napastnicy spotykają gubernatora Lubowidzkiego, który przybył właśnie do Belwederu, by uprzedzić W. Księcia o niebezpieczeństwie. Lubowidzki stoi przed drzwiami i osłania je rozkrzyżowanymi rękoma. Uderzony bagnietami, pada zalany krwią, i napastnicy chcą kroczyć dalej, gdy wtem od tyłów pałacu rozlega się okrzyk:

— Wielki Książę zabity!...

Wówczas oddział Nabelaka przerywa dalsze poszukiwania i z tą samą szybkością, z jaką wpadł, wybiega z pałacu. Lecz cóż się okazało? Oto na krótko przed napadem przyjechał do Belwederu generał rosyjski, Gendre. Usłyszawszy groźne okrzyki, rzucił się do tylnego wyjścia i, jak kula, wpadł pomiędzy oddział, pozostawiony na straży tyłów pałacowych.

Spiskowcy, dostrzegłszy w ciemnościach mundur generalski, wzięli uciekającego za W. Księcia i przeszli pierś generała bagnietem.

Po chwili oddział połączył się i szybkim krokiem zmierzzał do mostu łazienkowskiego.

A. Śliwiński.

114. Gospodyni.

Dalej, dalejże, dziewczęta,
Żwawo się zawińcie!
Pieczcie kaczki i kurczęta
I na chleb rozczyńcie.

Ale trzeba i obrazy
Ubrać w jakie kwiaty,
By panisko bez urazy
Mógł wstąpić do chaty.

Bo dziś na noc tutaj zjadą
Przezacni panowie,
A żem była z duszy radą,
Niechaj każdy powie.

Zbił Moskali, powiadają,
Zbił ich, co się zowie!
Nasi jadą i śpiewają —
Niech im Bóg da zdrowie!

Wódz naczelny, mówi ziomek,
Będzie tu nocował:
Dzięki Bogu, że ten domek
Od ognia uchował!

Dalej, dalejże, dziewczęta,
Żwawo się zawińcie!
Pieczcie kaczki i kurczęta,
I na chleb rozczyńcie.

W. Poi

115. Obraz cudowny.

Pośród tatarskiej bitwy znaleziony
Dziwnym trafunkiem przed dawnymi łątą,
Stał obraz święty, w framudze złożonej
W rogu sypialnej komnaty.

Stary pan miecznik dostał go w spuściznie
 Po swoich przodkach pogłowią męskiego ¹⁾,
 A tak go cenił, że już po ojczyźnie
 Nadeń nic nie miał świętszego.

Ale nie dziwno — ile bowiem razy
 Dom lub ojczyznę klęska dojąc miała,
 Twarz Matki Boskiej, twarz Panny bez skazy
 Cudowne znaki wydała.

Pobladał Ona, kiedy w Targowicy
 — Panie, im odpuść! — zdradę uknowali,
 I na łup obszar rozległy ziemicy,
 A lud na mękę wydali.

Pobladał Ona, gdy na polską ziemię
 Trzech nieprzyjaciół nastąpiło srodze,
 Kiedy przez Pragę, kosząc polskie plemię,
 Moskał po krwawej szedł drodze ²⁾.

Lecz od lat wielu nic już nie słyszano
 W domu miecznika o podobnym cudzie,
 Aż wczoraj w nocy — mówią dworscy ludzie —
 Nowy cud jakiś ujrzano:

Obraz rozgorzał ogniem błyskawicy,
 Ze ściany szabla turecka zleciała,
 Posada dworca starego zadrżała,
 I lampa zgasła w świetlicy.

A koń zatętnił świtem wśród wawozu —
 Z listem pośpieszał goniec od obozu.
 I odgadnęli dworscy, co się święci:
 Bo list miał czarne pieczęci...

¹⁾ Linji męskiej. — ²⁾ W r. 1794.

Drżącą go ręką pan miecznik rozwinął,
 Pobladał. — Przez rany Zbawiciela Pana!
 „Słuchajcie! — Kicki i Kamiński ¹⁾ zginął!
 Pod Ostrołęką przegrana!”

W. Pol.

116 (158). Zwycięstwo pod Stoczkiem (1831 r.).

Stare wiarusy złamali swe szeregi i utworzyli cztery
 czoła, najeżyli się bagnetami i czekali na tygrysi napad jazdy
 nieprzyjacielskiej. Ale doczekać się go nigdy nie mieli, bo
 już na skrajnem prawem skrzydle na rozkaz generała Dwernickiego
 dwa dywizjony szaserów ²⁾ polskich pierwszego
 i trzeciego pułku, pod wodzą pułkowników Chmielewskiego
 i Suchorzewskiego, poczęły bujać się, by piorunowym atakiem
 obalić wszystko przed sobą, wsparte dwoma szwadronami
 czwartego pułku ułanów niebieskich, na których czele
 stanął sam generał. Obok niego uszykowali się jego adjutanci
 i stary, niedźwiedziowaty Żubr, dobywszy odwiecznej
 serpentyny ³⁾, mierzył strasznym wzrokiem szycujące się szeregi
 nieprzyjacielskie.

Ale nie miały one czasu sformować się należycie, gdyż
 Chmielewski i Suchorzewski z grzmiącym okrzykiem ruszyli
 na nich z kopyta. Rzucili się oni na wroga od czoła, by
 wziąć byka za rogi, gdy tymczasem generał Dwernicki skręcił
 w bok, by lancami ułańskimi w serdeczny utulić ich uścisk
 od skrzydła.

Widział to książę Puzyna i kazał wstrzymać ogień artyleryjski,
 żeby nie razić swoich i, przyłożywszy rękę do czoła,
 dla osłonięcia go od słońca, które prosto nań padało, patrzył,
 patrzył i szeptał:

— Dobrze! dobrze! zuchy!

¹⁾ Generałowie polscy, zginęli pod Ostrołęką w 1831 r. — ²⁾ Strzelców. — ³⁾ Krzywej szabli.

I w rzeczy samej widok, jaki roztoczył się przed milknącą działobitnią polską, ustawioną na wzgórzu, miał coś wielkiego, coś wstrząsającego i rozpierającego dumą pierś polską.

Dywizjony szaserów rwały już cwałem z podniesionemi do cięcia szablami, które migotały się złotem i błyskawicami od słońca, a ponieważ obie artylerje umilkły, wielka więc cisza leżała na pobojuwisku, tylko słychać było głuche dudnienie ziemi i nieomal ciężki, zadyszany oddech ludzi i koni. Grube na chwilę chmury kurzu ich okryły i w tej kurzawie toczyli się, jak lawina, jak piorun, szli naprzód niepowstrzymanym, rosnącym ciągle pędem. I oto dopadli...

I jak kiedy pasiecznik dmuchnie w ul rojny i z niego na wszystkie strony rozbiegną się pszczoły, jak kiedy chłopiec swawolny ciśnię kamieniem w spokojne wody i one rozprysną się srebrnymi kroplami, tak pryśli dragoni nieprzyjacielscy pod tem taranowem uderzeniem szaserów polskich. Zrobił się straszny, dziki zamęt, chaos ludzi i koni, a już ułani z jenerałem dopadli z boku lancami i kłuli.

Żubr po dawnemu wszył się w gęste masy nieprzyjaciela i konfederacką krzyżową sztuką rąbał na prawo i lewo. Nie minęło i dziesięć minut nawet, kiedy dragoni rzucili się w trudnym do opisanja popłochu do ucieczki, a za nimi, tnąc szablami, kłując lancami, gnali szaserzy i ułani.

Za chwilę wszystko to znikło z przed oczów kniazia Puzyny i na pobojuwisku na prawo i lewo nie było ani jednego nieprzyjaciela i po okropnym huku i wrzawie, nad temi niwami legła dawna, senna cisza, tylko wiatr przynosił dalekie, głuche dudnienie, tylko dochodziły jęki ranionych i rzenie koni, biegających po polu bez jeźdźców.

Kniaź Puzyna spojrział na swych kanonierów, nieruchomie stojących przy rozpalonych do czerwoności nieomal działach, spracowanych ciężko, zdjął kapelusz, obtarł spoczone czoło, przeżegnał się parę razy i westchnął głęboko, jak ten, który nakoniec spełnił swe trudne zadanie i zabierał się do dobrze zasłużonego, słodkiego spoczynku

Zeszedł z konia i, oddając go jednemu z żołnierzy, skierował się ku pułkownikowi Rychłowskiemu, który, zdziwiony tą nagłą ciszą po okropnej wrzawie bojowej, jakby nie ufając temu podejrzanemu spokojowi, trzymał ciągle swych wiarusów w groźnym czworoboku z bronią u nogi, gdy nagle z pośrodku opadających leniwie dymów i kurzawy rozległy się krzyki, gwałtowny tętent koni i widać było pędzące cwałem działa nieprzyjacielskie wprost na baterję polską.

W jednej chwili kniaź Puzyna skoczył na konia i groźnie, głosem grzmiącym, rozkazywał:

— Kanonierzy do dział!

Ale Radziżewski, który miał doskonały wzrok, popatrzywszy przez chwilę na pędzącą ku nim nawałę, zawołał:

— Ależ, panie kapitanie, to są nasi, poznaję czapki i czerwone kołnierze szaserów!

— Jakto nasi? Skądżeby wzięli działa?

— Zdobyli je, panie kapitanie, to jest baterja, wzięta przez szaserów.

— Nie może być! nie może być! — powtarzał, wlepiając wzrok w cwałującą działobitnię, a nakoniec, przekonawszy się o prawdzie słów Radziżewskiego, wołał:

— Masz słuszność, to nasi! Działa, jaszczyki zdobyli. Wielki Boże, to zwycięstwo!

I po tej marsowej, groźnem brwi zmarszczeniem nacechowanej twarzy starego rycerza potoczyły się dwie łzy...

A już wśród okrzyków, niestłuchanego uniesienia radości i triumfu szaserzy i ułani, siedząc na zdobytych sześciu działach, przypadli przed Puzynę, krzycząc z całych sił.

Wtedy Puzyna zeskokczył z konia i padł na kolana, a za jego przykładem poszli kanonierzy, poszli szaserzy i ułani, którzy przyprowadzili zdobyte armaty, ziałął się czworobok piechoty i wszystko to uklęknęło, odkryło kornie głowy, a kniaź Puzyna dygocącym od wzruszenia głosem zanucił starą, melancholijną, przenikniętą kajaniem się dusz polskich pieśń religijną:

„Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy...”

I płynęła ta senna pieśń po tych niwach, na których
drżały jeszcze odgłosy dopiero co minionej burzy, płynęła
cicho, rzewnie i konała gdzieś na skrajach borów. A gdy
modlitwę tę rzewną, będącą raczej skargą dusz uciśnionych,
niż hymnem triumfalnym, skończono, wszyscy powstałi
i poczęli rzucać się sobie w ramiona, i ścisnąć się, i win-
szować zwycięstwa. A stary Puzyna ruszał wierzchowatemi
włoskami, obcierał łzy, toczące mu się nieustannie ze spło-
wiałych oczu, i wołał:

— No, chłopcy, spisaliście się dzielnie i ojczyzna wam
wdzięczna będzie. Wiecie wy, kogoście sprali na kwaśne
jabłko? Oto Geismara, sławnego na całą Europę wodza,
zwycięzcę Turków, prawą rękę Dybicza, głośnego jenerała
jazdy. No! tośmy mu napsuli krwi, ha! ha! ha!

I śmiał się głośno, rubasznie i zacierał ręce i ścisnął
wszystkich.

W. Przyborowski.

117 (151). Śmierć pułkownika (1831).

W głuchej puszczy, przed chatą leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona;
A u wrót stoi straż pułkownika...
Tam w izdebce pułkownik ich kona.

Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze;
Wódz to wielkiej był mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia pułkownik kulbaczyć,
Konie w każdej sławnego potrzebie;
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby, do siebie.

Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swoją kordelas, i pas, i ładunki:
Stary żołnierz, on chce, jak Czarniecki,
Umierając, swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiera,
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się, klęcząc przed progiem.

Nawet starzy Kościuszki żołnierze
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej, a teraz płakali,
I mówili z księdzami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy;
Już przed chatą nie było żołnierza,
Nieprzyjaciół był w tej okolicy.
Przyszli lud widzieć zwłoki rycerza.

Na pastuszym tapczanie on leży —
W rękę krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordelas, dwururka.

.....
Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewczę ma lica!
Jaka pierś! — Ach, to była dziewczica!
To Litwinka — dziewczica-bohater...
Wódz powstańców, Emilija Plater!...

Adam Mickiewicz.

118 (157). Czarna sukienka.

Schowaj, matko, suknie moje,
 Perły, wieńce z róż;
 Jasne szaty, świetne stroje —
 To nie dla mnie już!
 Niegdyś jam stroje, róże lubiła,
 Gdy nam nadziei wytryskał zdrój;
 Lecz gdy do grobu Polska zstąpiła,
 Jeden mi tylko przystoi strój:
 Czarna sukienka!

Narodowe nucąc śpiewki,
 Widząc szczęścia świt,
 Kiedym szła chorągiewki
 Do ułańskich dzid,
 Wtenczas mnie kryła szata godowa:
 Lecz gdy wśród bitwy brat zginał mój,
 Kulą przeszyty w polach Grochowa,
 Jeden mi tylko przystoi strój:
 Czarna sukienka!

Gdy kochanek w sprawie bratniej
 Mściwą niosąc broń,
 Przy rozstaniu raz ostatni
 Moją ścisnął dłoń,
 Wtenczas, choć smutna, lubiłam stroje:
 Lecz gdy się krwawy ukończył bój,
 A on gdzieś poszedł w strony nie swoje,
 Jeden mi tylko przystoi strój:
 Czarna sukienka!

Gdy laur Igań, Wawru kwiaty
 Dał nam zerwać los,
 Brałam perły, drogie szaty,
 I trefiłam włos;

Lecz gdy nas zdrady wrogom sprzedały,
 Gdy zaległ Polskę najeźdźców rój,
 Gdy w więzach jęczy naród nasz cały,
 Jeden mi tylko przystoi strój:
 Czarna sukienka!

K. Gaszyński.

119 (43). Przygoda w Wejmarze.

Wejmar w czasie owym uchodził za stolicę poezji, w której królował słynny poeta niemiecki Goethe. Na uroczystość jego ośmdziesięciolecia zjechały się znakomitości z całej Europy, a na niej przypadkowo Polacy byli najzaszytniej reprezentowani, bo przez największego ze swych poetów.

Mickiewicz był wówczas już znany we Francji; na dowód tego może posłużyć zabawne zdarzenie przy stole hotelu, zwanego „pod Słoniem“, gdzie Mickiewicz zamieszkał z Odyńcem

Odyniec, który dnia tego spóźnił się na obiad, usłyszał w sali jadalnej głośniejszą, niż kiedykolwiek, rozmowę, a raczej jeden głos pojedynczy, który z wielkim widać zapamiętaniem rował coś po francusku. „Jakoż, wszedłszy — pisze w swych listach z podróży — ujrzałem dwóch nowych panów Mickiewicza, siedzącego naprzeciw, pijących kawę przy sprząniętym już stole. Jeden z nich, starszy, lat może około czterdziestu, niskiego wzrostu, z bródką prawie żółtego koloru, trochę z hiszpańska ostrzyżoną; drugi — wysoki brunet w moim wieku, z dużemi, palającemi oczami i z długimi włosami, spadającemi mu aż na szyję, wyglądał, jak bursz niemiecki. Ten to właśnie gadał tak głośno: a pierwsze słowa, które posłyszałem wyraźnie, były: „Nie, nie, to nie to nie zwisko! Mik... Mis... Mik... Ech! któż więc jest teraz waszym wielkim poetą?“

¹⁾ Student.

Mickiewicz spojrzał na mnie znacząco i zlekka potrzęsnał głową. Zrozumiałem znak, żebym milczał, i z odpowiedzi jego dopiero pojąłem, o co rzecz idzie. Francuz, chcąc się widać pochwalić przed Polakiem znajomością literatury polskiej, mówił o świeżem wydaniu w Paryżu „par monsieur Szosko“ (Chodźko) dzieł wielkiego poety polskiego, którego nazwiska zapomniał.

Mickiewicz tymczasem wypił kawę i, pożegnawszy tych panów, odezwał się do mnie, że będzie mnie czekał na górze.

— A to i pan Polak? — przemówił do mnie zaperzony Francuz. — Czy i pan nie wiesz także imienia największego waszego poety?

— Pan chcesz mówić o Adamie Mickiewiczu?

— Tak, tak, tak istotnie! o nim chciałem mówić! — wykrzyknął uradowany.

— To on właśnie w swej własnej osobie wyszedł — odpowiedziałem spokojnie.

Francuz zaczerwienił się, jak burak, i zerwał się, jak oparzony, wołając:

— Ach, mój Boże, to śmieszna rzecz, bardzo śmieszna! Ależ prawda, to on, on sam! Toć mam jego portret, i, wyjąwszy go z płaszcza, wskazywał nań rękami. Portret ten był zrobiony podług obrazu Walentego Wańkowicza, utalentowanego malarza, rówieśnika Mickiewicza, w burce, „na Judahu skale, w Krymie“.

Ten zapał i to uwielbienie dla poety, okazane przez Francuza, członka narodu, przewodniczącego w cywilizacji, wielce się podobały Odyńcowi. Po chwili przystąpił doń starszy cudzoziemiec, przysłuchujący się tej rozmowie i rzekł z ukłonem:

— Jestem Dawid d'Angers.

Wkrótce komiczna ta scena zmieniła się w poważną, gdy d'Angers, znakomity artysta-rzeźbiarz, członek Instytutu paryskiego, znany w świecie, wyraził gorące życzenie, ażeby Adam Mickiewicz pozował mu do popiersia, które wykonać

ma zamier, gdyż oddawna pragnął posiadać marmurową podobiznę autora „Grażyny“ i „Konrada Wallenroda“.

— Dłoto swoje i pracę — mówił ten artysta — poświęcę wyłącznie na uczczenie współczesnych mi wielkich ludzi. Obecnie przybyłem do Wejmaru, aby wykonać popiersie Goethego. Podróż moją Opatrzność wynagrodziła w dwójnasób, gdyż mam nadzieję, że autor „Sonetów Krymskich“ nie odmówi mej prośbie i pozwoli wzbogacić moją galerję wielkich ludzi jeszcze jednym popiersiem.

Powiedział to z taką prostotą i serdecznością, że wkrótce uzyskał zgodę Mickiewicza. Towarzysz jego, poeta niewielkiego talentu, Wiktor Parie, długo rozweselał się wspomnieniem swego pierwszego, tak zabawnego widzenia się z autorem „Grażyny“.

Stefan Gębarski.

120 (120). Spotkanie ze Słowackim.

Zjazd był we Wrocławiu nadzwyczajny. Po hotelach ścisk, tłok, nie było gdzie stanąć, gdzie zjeść, ze służbą w zajazdach ani gadania, o kwaterę bić się trzeba było. Zduszony, zgnieciony, znalazłem sobie wreszcie stancijkę na trzeciem piętrze, lichą, ciasną, na którąbym w każdy inny czas splunął, ale wtedy i z tej byłem kontent.

Ledwie się rozgościł, zbiegam na dół, żeby sobie wody bodaj z wiadra czerpnąć i trochę się z drogi ochłodzić, bo o posłudze i mowy w takiej chwili nie było — patrzę, stoi na dole schodów mały, niepokaźny człowieczek i klnie, na czem świat stoi. O co? Stancji nie ma. Torba podróżna przy nim, w twarzy duże zmęczenie, jakoś i nie na bogacza patrzył... Więc tknęło mię to i mówię:

— Ha! To możebyśmy razem jakoś... Stancję mam.

— A gdzie ona? — zapytał dość opryskliwie.

— Tu — mówię — na trzeciem.

— Idźmy zobaczyć! — on na to.

Zdziwiło mię trochę, że nie dziękuje i tak jakoś bez żadnej polityki... Ale nic, idę. Idę przed nim, ten za mną; jużem i o wodzie zapomniał. Ciężko mu widać było, bo dyszał i przystawał. Aż nareszcie na dobre stanął i kaszleć zaczął.

— Gdzie mnie pan, u licha, prowadzisz! — rzekł, wykaszlawszy się. — Na strychy, czy co?

Nie odpowiedziałem. Co będę gadał, myślę, a już mię złość brała. Chce, niech idzie, nie chce, niech nie idzie. Ja tu dla niego jak najlepiej, a ten jakby mi łaskę robił. Podyszał, powstał, potem ruszył.

Weszliśmy. Mój gość, jak stał, tak cisnął na stół kapelusz i, nie zdejmując dużego pledu, który mu z chudego grzbietu zwisał, zaczął po izbie chodzić sporym krokiem. Do mnie — ani słowa. Zupełnie, jakby mnie nie było. Irytowało mnie to, ale, żeby gościnności nie uchybiać, rzekłem:

— Jestem Darowski... Weryho...

Przystanął, podniósł głowę i utkwiał we mnie oczy, jakby tylko głos słyszał, a słów nie rozumiał. Aż po chwili rzekł: „Aa!...” I kiwnął głową, niby akceptując¹⁾ moje nazwisko. Poczem znów dalej chodzić po izbie zaczął. Przykusiłem wąsa, nie wiedząc, jak to sobie tłumaczyć mam, ale już byłem wzburzony. Ale ten, przeszedłszy jeszcze z dziesięć razy stancję od okna do proga i od proga do okna, zatrzymał się nagle przede mną i rzekł:

— Ale to tam torba moja w sieniach została...

Mówił to takim tonem, jakby oczekiwał, że mu pójdę po nią. Tego już mi było za wiele.

— Przepraszam — rzekłem, siłąc się na spokój — z kimże mam przyjemność?...

Na to on:

— Ale co za przyjemność, mój panie! Tu niema żadnej przyjemności. Izba, jak klatka, zmęczony jestem, zbity droga, tak że ledwie żyję, i cóż tu za przyjemność?...

¹⁾ Zgadzaając się, przyjmując.

Drwi, czy o drogę pyta? — myślę sobie, a zółć kipi we mnie. — Z lasu, czy co — myślę — że z ludźmi gadać nie umie. Hamuję się wszakże i rzekę:

— Jak jest, to jest; ja, jako gospodarz tej izby, czy klatki, przedstawiłem się panu i radbym nawzajem wiedzieć, kogo mam za gościa? — Tak mu już musiałem łopatą wyłożyć, i aż mi za niego wstyd było.

Mówilem, a on chodził. Chwilę trwała cisza.

— Słowacki... — burknął wreszcie, nie przerywając wędrówki.

Myślałem, że we mnie piorun strzelił. Zaniemiałem po prostu. Slo... Ju... Juljusz Słowacki!!... buchnęło mi nareszcie z piersi, a jużem myślał, że mię głos rozsadzi.

— A Juljusz, Juljusz! — rzekł gość, machnąwszy ręką, i, nie patrząc na mnie, chodził dalej.

Sam nie wiem, jakem po torbę zleciał i jakem ją do izby wniósł. Ręce mi latały, serce się tłukło we mnie: wszedłem cicho na palcach, jakby do kaplicy. Gość chodził jeszcze.

Więc czując ja tedy, że mu przeszkadzam i że będzie wolał zostać sam, zacząłem czapki szukać, a w oczach tak mi mgła stała, że leżącej na stole nie widział. Znalazłszy, prosiłem, aby kwatere, choć mizerną taką, przyjął dla siebie, aby ją za swoją miał, wywczasował się, a ja gdziekolwiek pójdę... Zatrzymał mnie.

— Nie, nie pozwolę na to! Pomieścimy się jakoś...

Trzymał mnie za rękaw, a ja, sążnisty drąg, drżałem pod tem dotknięciem, jak panna... Aż czując, że mi broda srodze lata, rzuciłem się na łóżko rozścielać, poczem — żeby mu zostawić spokój — wybiegłem na miasto. Gdzie, jak, sam nie wiem dotąd.

Po drodze wpadałem na ludzi, trącałem się o latarnie, zupełnie jak pijany. Dopiero na bocznicy, gdzieś pustszej czapkę zdjąłem i chłodzić się nią zacząłem... Gdym wrócił, a wracałem, jak złodziej, podnosząc klamkę, żeby nie zgrzytnęła, Słowacki leżał już. Nie na łóżku jednak, którem rozesłał dla niego, ale na wąskiej, twardej sofce, przykryty szalem

i z torbą pod głową. Czy spał, nie wiem. Oczy miał zamknięte, na mizernej, bladej twarzy głębokie cienie, skronie zakłęste, jak po chorobie, chuda, przejrzysta ręka zwieszała się z pod szala. Jaki duch bił z tej głowy na mnie, tego nie opowiem.

Zbliżyłem się na palcach, a widząc, że nim dreszcz wstrząsa, okryłem mu nogi podróżną burką moją. Wtedy, nie poruszając się, podniósł na mnie oczy ciemne, smętne i patrzył, poczem, bez słowa, rękę do mnie wyciągnął. Myślałem, że mi serce pęknie. Rzuciłem się do tej ręki chudej, przejrzystej i okryłem ją gorącymi pocałunkami, trzęsąc się cały z tłumionego łkania, aż czując, że nie strzymam, zerwałem się, uderzyłem we drzwi i w sieniach dopiero, folę sobie dając, ryknąłem płaczem.

Marja Konopnicka.

(Według opowiadania Weryhy Darowskiego.)

121 (52). W pamiętniku.

Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi,
Bo, kiedy Zośka do ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj, bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poematy składać.
Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;
Bo tam, gdzie lkwę ¹⁾ srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

¹⁾ Rzeczka pod Krzemieńcem, miastem rodzinnem poety.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości
I dalej mię los nieszczęśliwy goni,
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,
Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba.
Wróć mi więc z kraju taką, jakby z nieba!

Juljusz Słowacki.

122. Grób strzelca (1915).

1.

Pod cerkiewką bez ikon ¹⁾ i dzwonów,
Skąd moskiewskie cofnęły się hufce,
Padł od kuli towarzysz legionów,
Polski żołnierz w siwej maciejówce...

Wykopali mu grób w złotym piasku,
Grób zieloną darniną okryli,
I pod krzyżem przy świętym obrazku
Maciejówkę z orłem położyli.

Lecą liście z drzewa, lecą liście,
Płacze szary dzień, jak chłopska dola,
„Requiescat“ ¹⁾ śpiewa legioniście
Wiatr, wiejący z nie zżętego pola.

2.

Dymy wstają ze spalonej wioski,
Po cerkiewnym włóczą się cmentarzu,
A w cerkiewce — istny dopust boski —
W nocy pop się powiesił w otarzu.

¹⁾ Obrazy święte w cerkwiach prawosławnych. — ²⁾ Niech spoczywa (początek łacińskiej pieśni pogrzebowej).

Sam generał ikony i dzwony
Kazał zabrać, wydał rozkaz krótki,
Pop ze strachu pił i bił pokłony,
Pop pił wódkę i oszalał z wódki.

Nie zdążyli carscy czynownicy
Zabrać z sobą świętego wisielca,
Więc dziś patrzy ten żandarm w spódnicy
Na mogiłę krakowskiego strzelca.

Dymy wstają ze spalonej wioski,
Z płonącego gdzieś za cerkwią stogu...
— Jak śmiał taki buntowszczyk krakowski
Dać się zabić na cerkiewnym progu? --

Dymy wstają ze spalonej wioski,
Wiatr na dachu skrzypi chorągiewką...
— Śpij spokojnie, żołnierzu krakowski,
Pod tą starą unicką cerkiewką...

Złoty piasek na oczach twych leży,
Złoty piasek do serca się sączy,
Złotym piaskiem tym polskich żołnierzy
Śmierć na zawsze dziś z Polską połączy...

.....

3.

Lecą liście z drzewa, lecą liście,
Jeszcze serce krwią broczy... krwią broczy...
A już śpiewa swą pieśń legjoniście
Wiatr, co dotąd zawsze wiał mu w oczy...

Edward Słowski.

123. Siejba pod kulami (1915).

Wieś zaległa w jamach i dołach, ponuro nasłuchując piekielnego warkotu armat, lecz skoro jeno zmrozało na świecie, wszyscy stawali do przerwanych robót. Kto jeno żył, ruszał w pola. Od zmierzchów do pierwszych świtań wrzała wytężona, gorączkowa praca.

Przyświecały im krwawe łuny pożarów, wybuchy granatów i przemglone gwiazdy.

Michał Kozioł zaraz z wieczora zniósł worki z jęczmieniem na swoje zagony i zabrał się do siewu. Przepasany białą płachtą i kolebiąc się z boku na bok, rozsiewał zboże półkolistym, błogosławiącym ruchem.

Jasiek bronował.

Noc była szara, mętna i często rozdzielana błyskawicami wybuchów. Niekiedy brzęczały karabinowe kule, niekiedy ogromny grzmot wstrząsał powietrzem i słupy ognia buchały w niebo, a czasami blade, straszliwie wytrzeszczone oczy reflektorów spadały na pola i, mknąc cicho po zagonach, szukały uporczywie i długo. Wtedy w owym widmowym świetle jawiły się przygarbione sylwetki ludzi, zwarte wody i każda fałda ziemi. Zasię potem w miejsce, tknięte tem piekielnym spojrzeniem, były długo z nienawiścią bomby i szrapnele.

Michał Kozioł nie zważał na nic, co się wyrabiało dookoła, śpieszył się jeno i już dosiewał trzeciego zagona, gdy naraz zakręcił się w miejscu i przysiadł w brózdzie. Straszliwie zabolaty go piersi, ledwie dech poradził złapać, ból rozrywał mu żebra, nie jęknął jednak i, przywoławszy Jaśka, oddał mu płachtę ze zbożem i rzekł cicho:

— Dosiej synu... jakoś mi zamroczyło... wytchnę ździebko.

Jasiek posłusznie zastąpił rodzica i siał tym samym ruchem siewców całego świata, tak samo jak ojciec, kolebiąc się ze strony na stronę, siał równo, akuratanie, cierpliwie i spokojnie.

Michał Kozioł spoglądał za nim uważnie i długo, ale nagle, jakby go ogarnęła senność... chciał się zerwać... chciał coś wołać... wyteżał oczy... noc mu przysłaniała wszystko... noc gasiła światłości.

Chłopak był coraz dalej... już cieniem się wydawał... nikłym, dalekim cieniem, a każdy grzmot armatni uderzał go prosto w serce, rozrywał na ćwierci, zabijał...

Naraz Kozioł sprostował się, coś zabełkotał, rozkrzyżował ręce i padł twarzą w czarną, spulchnioną ziemię, jakoby w matczyne, miłujące objęcia.

A Jasiek siał niestrudzenie.

Wł. St. Reymont.

124. Rok 1916.

Choć ogród dotąd dojrzewania
Nie zaznał — ani słońca siły —
Wstąpił już w jutrznię, w świt zarania;
W górze pożary się zbudziły,

Życie chłopięcych ust modlitwę
Waży na tajnej losów szali;
Czy sny, rzucone w chmur gonitwę,
Ożyją — czy je słońce spali?

Sny — szczęście — złotem zachręściwały,
Męstwa zmocniały miedzią żywą:
Może wystarczy skarb ten cały,
By praść cud-życie, życie-dziwo..

Jan Starzewski

125. Po zdobyciu Wilna (1918 r.).

Po nabożeństwie ruszyliśmy automobilami w dół, potem zaś w boczną ulicę. Wóz Piłsudskiego zatrzymał się przed jakimś wielkim, mrocznym gmachem.

Ciężką, rządową bramą weszliśmy w szare podwórze, na którem rośnie cierpliwie stare drzewo samotne.

„Pierwaja Wilenskaja Gimnazja⁽¹⁾”, oznajmił nam komendant...

Pobiegł szybko na górę, jak ktoś, kto doskonale zna cały rozkład budynku, my za nim, trzeszcząc po korytarzu szablami.

— Tu była kancelaria dyrektora... — Piłsudski przystanął. — Rzadko się tu przychodziło... Zawsze tylko w bardzo ważnych sprawach... Pierwszy raz byłem u dyrektora za zorganizowanie tajnego stowarzyszenia. Bo trzeba panom wiedzieć...

Komendant wziął któregoś z oficerów za guzik od płaszcza. Stoimy przy drzwiach tej kancelarii dyrektorskiej, głos Piłsudskiego głęboki i radosny niesie się daleko po pustym korytarzu.

— Bo trzeba wam wiedzieć, że w drugiej klasie stworzyłem pierwsze tajne zgromadzenie, skierowane przeciw przeciąganiu nauki poza głos dzwonka...

Idziemy dalej, szable skrzeczą na kamieniach, idziemy śpieszną wojskową gromadą.

— A tu karcer... — Piłsudski znów przystanął, jak człowiek na zapomnianej już prawie drodze odnajdujący dawne, nigdy niezapomniane wspomnienia... — Tu w trzeciej klasie siedziałem pierwszy raz za „polskiej jazyk⁽²⁾”... Gdzież ta klasa?

Otworzył nagle drzwi izby gimnazjalnej, a my razem z nim stanęliśmy u wejścia zdumieni. Bo jakby się spełniała dowodnie przykładowa opowieść o niezłomnej drodze i czynach

¹⁾ Pierwsze gimnazjum wileńskie. — ²⁾ Język polski.

owocujących... Na tablicy tej klasy, w której Naczelný Wódz siedział za „polskij język“, stało wypisane niepewną ręką kwatermistrza:

Wojsko polskie
Pułk piechoty legionów
Kompanja.

Juljusz Kaden-Bandrowski

126 (49). Przypowieść o żołnierzach.

Do pewnego miasta szturmowali żołnierze: gdy przystawiono do muru drabinę, wojsko krzyknęło:

— Kto pierwszy postawi nogi na murze, będzie miał wielki znak wojskowy!

Przybiegła pierwsza rota, a iż każdy chciał pierwszy wstąpić na szczeble, zaczęli się odpychać, obalili drabinę i są pobici.

Postawiono więc drugą drabinę i nadbiegła druga rota, a który pierwszy skoczył na szczeble, puszczo go, a drudzy postępowali za nim.

Ale pierwszy żołnierz w pół drabiny stracił siłę i zatrzymał się, drugim zawalając drogę. A więc następujący żołnierz targał się z nim i oderwał go i w dół rzucił i innych zepchnął; zrobiło się zamieszanie wielkie, i wszyscy pobici są.

Aż postawiono trzecią drabinę i wbiegła trzecia rota; pierwszy żołnierz dostał ranę i iść dalej nie chciał. Ale następujący po nim był mąż silny i ogromny, więc, nic nie mówiąc, porwał tamtego, i poniósł przed sobą i zastawił się nim, jak tarczą, i postawił go na murze, zaczęli inni porządkiem i miasto zdobyli.

A wojsko potem weszło w radę i chciało dać znak wielki owemu żołnierzowi silnemu. On zaś tak im mówił:

— Bracia żołnierze, okrzyknęliście, iż, który pierwszy na murze nogi postawi, znak weźmie, a oto jest żołnierz ranny,

który stanął przede mną, on tedy znak weźmie. Przez niego Bóg miasto zdobył. Nie ważcie go lekce, mówiąc, iż tylko prędkości nóg winien pierwsze miejsce: bo i prędkość jest przymiot w żołnierzu, jako siła i męstwo. Nie mówcie, iż on nic nie sprawił; bo, gdyby go nie raniono przede mną, tedy ja odniósłbym tę ranę i możebyśmy miasta dziś nie wzięli. A ten, kto zaślania, równy temu, kto walczy, i tarcz ma równą cenę, jak miecz. Znaku nie potrzebuje, bo wszyscy wiedzą, com zrobił.

Bóg daje zwycięstwo, używając prędkości jednego, męstwa drugiego, siły trzeciego; a skoro człowiek zręczny lub silny, zamiast nieść w górę towarzysza słabszego, strąca go, tedy robi zamieszanie i klęskę; a jeśli chwali się z zasługi swej, zasiewa niezgodę.

Adam Mickiewicz.

127 (40). Djabeł i zboże.

Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,
Nie chciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu,
I rozkazał aniołom zboże przysposobić
I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.

Przyszedł Adam, znalazł je, obejrzał zdaleka
I odszedł, bo nie wiedział, co ze zbożem robić.

Aż w nocy przyszedł djabeł mądry i tak rzecze:
— Niedaremnie to Pan Bog rozsypał garść żyta,
Musi to być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;
Schowajmy je, nim człowiek ich wartość dociecze. —
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,
Napłwał i ziemią nakrył i przybił kopytem;
Dumny i rad, że Boże zamiary przeniknął,
Całem gardłem się rozśmiał i ryknął, i zniknął.

Aż tu wiosną, na wielkie djabła zadziwienie,
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosy i nasienie.

O wy, co tylko na świat idziecie z północą,
Chytróść rozumem, a złość nazywacie mocą;
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,
Myśli Boga oszukać — oszuka sam siebie.

Adam Mickiewicz.

128. Miłość i zgoda.

Dwoje przedniejsze rozkazy, umierając, Pan Jezus, Bóg i Pan nasz, zostawić nam swoim testamentem raczył: jedno, abyśmy się wspólnie miłowali; drugie, abyśmy pokój między sobą i zgodę świętą zachowali. Jedno z drugiego pochodzi i płynie. Miłość rodzi zgodę, a bez zgody miłość być nie może. Miłość ku bliźnim im jest szersza, tem jest lepsza. Dobrze miłować sąsiada; lepiej wszystkie¹⁾, którzy w mieście jednym są, a pogotowiu²⁾ jeszcze lepiej wszystkie obywateli królestwa tego, gdy im dobrego co czynim, abo dla nich co cierpim. Także dobra zgoda i pokój między pospolicym ludem, ale lepsza między pany, którzy ludźmi rządzą abo o nich radzą; a najlepsza między królmi, którzy wszystkiemu światu pokój zgodą swoją przynoszą.

Piotr Skarga

129 (51). Wygnańcy i Szaman.

Przyszli wygnańcy na ziemię sybirską i, obrawszy miejsce szerokie, zdudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i w miłości braterskiej; było zaś ich około tysiąc ludzi z różnego stanu.

A rząd dostarczył im niewiast, aby się żenili, albowiem dekret mówił, że postanili się na zaludnienie.

¹⁾ Wszystkich. — ²⁾ Zwłaszcza.

Przez jakiś czas był pomiędzy nimi wielki porządek i wielki smutek, albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą ojczyzny, chyba Bóg zechce! A gdy już zbudowali dom i każdy się zajął swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli, aby je nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności, mówiąc: „Oto myślimy o zbawieniu ojczyzny“, ujrzeli raz wielką gromadę ptaków czarnych, lecących z północy.

Za ptakami zaś ukazał się obóz jakoby i tabór i sanie, zaprzężone psami, i trzoda renów z gałęzistymi rogami i ludzie na łyżwach, niosący oszczepy; był to cały lud sybirski.

Na czele zaś szedł król ludu, a zarazem ksiądz, ubrany podług zwyczaju w futrach i koralach, na głowie zaś miał wieniec z węzów nieżywych zamiast korony.

Więc mocarz ów, przybliżywszy się do gromady wygnańców, przemówił językiem ich ziemi:

„Witajcie!

„Oto ja znałem ojców waszych, także nieszczęśliwych, i widziałem, jak żyli bogobojnie i umierali, mówiąc: „Ojczyzno! Ojczyzno!“

„Więc chcę być przyjacielem waszym i zrobić przymierze między wami a moim ludem, abyście byli w ziemi gościnnej i w kraju dobrze wam życzących.

„A z ojców waszych już nie żyje żaden oprócz jednego, który jest już stary i mnie sprzyja; a, mieszka stąd daleko w samotnej chacie.

„Jeżeli chcecie, aby przyjaciel ojców waszych był przewodnikiem waszym, zostanę z wami i lud mój opuszcze; albowiem wy jesteście nieszczęśliwsi.“

Mówił jeszcze dłużej starzec ów; i uszanowali go i zaprosili do swej szopy.

I zrobiono przymierze z ludem sybirskim, który się rozszedł i zamieszkał w swoich śnieżnych siołach; a król jego został z wygnańcami, aby je pocieszał.

I dziwiono się mądrości jego, mówiąc: „Oto jej zapewne od ojców naszych nabył, a słowa jego są od przodków naszych.“

Nazywano go zaś Szamanem, tak albowiem nazywa lud sybirski królów i księży swoich, którzy są także czarownikami.

Juljusz Słowacki.

130. Pieśń katorżników.

Nie dbam, jaka spadnie kara:
Mina, Sybir czy kajdany —
Zawsze ja, wierny poddany,
Pracować będę dla cara.

W minach, kruszec kując młotem,
Pomyślę: „Ta mina szara
To żelazo — z niego potem
Zrobi ktoś topór na cara.“

Gdy będę na zaludnieniu,
Pojmę córeczkę Tatara:
Może w mojem pokoleniu
Zrodzi się Palen¹⁾ dla cara.

Gdy w kolonijach osiedę,
Ogród zorzę, grzędy skopię,
A na nich co rok siać będę
Same lny, samo konopie.

Z konopi ktoś zrobi nici —
Srebrem owita nić szara
Może się kiedyś poszczyci,
Że będzie szarfą dla cara.

Adam Mickiewicz.

¹⁾ Piotr hr. Pahlen, stał na czele spisku, który pozbawił życia cara Pawła I w r. 1801, dusząc go jego własną szarfą.

131 (53). Marianna w drodze do Brazylii.

W dzień wyjazdu Marianna ubrała się też tak, jak się zwykle wybierała na wielkie uroczne odpusty. Wzięła na siebie nową kamlotową suknię, na to watowaną jupkę¹⁾, na to dużą swoją paradną chustkę derową; zaciesała siwiejące włosy na wysoki grzebień, przykryła je czarną kordonkową siatką, na siatkę włożyła aksamitny kapelusz, który ją zaszczytnie wyróżniał już od lat piętnastu z pośród gawiedzi wioskowej w każdą niedzielę na sumie; włożyła bawełniane mitynki, jedną rękę okręciła kokosową koronką i wzięła w nią książkę do nabożeństwa, w drugiej rozwiesiła chustkę białą do nosa i stanęła gotowa do drogi za morze.

Pożegnawszy państwo, dzieci, służbę pokojową, wychodziła już za próg, kiedy zobaczyła ulubioną kokoszę ze świeżo wyleżonym drobiazgiem.

Wróciła tedy raz jeszcze, sypnęła jej suto pośladu. Maryni obiecała, że ją za łeb wydrze, jeśli kania choć jedno z małych kurcząt chwyci, zadrzała do maciory, porachowała prosięta, uchyliła drzwi od karmnika, gdzie pochrząkiwał podpasany na kiełbasy wieprzak, nawymyślała Zuźce, że nie wygarnia z koryta wczorajszego jadła, i, szeleszcząc wykrochmalonemi spódnicami, do krów, do obory poszła.

Dotąd trzymała się mężnie; ale kiedy Krasula zarzyczała, a Kwiatucha obejrzała się na nią, opuściła nagle Mariannę moc ducha, a małe, bure jej oczki silnie mrugać zaczęły. Teraz dopiero poznała, co to jest rzucać przyjaciół. Byłaby się nawet rozplakała może, ale zajeżdżający w tej chwili przed oficynę Wicek zawadził o sernicę, na której ociekał świeży ogrzany twaróg, i omal nie wyrzucił całego kramu.

To ją otrzeźwiło natychmiast. Jak stała, tak, nie dbając na swoją toaletę, skoczyła, Wicka zwymyślała, prasę z twarogiem naprostowała, psa, który do serwatki milczkiem pod-

¹⁾ Kaftan.

chodził, kopnęła, a tymczasem dziewczki, rade, że gospodyni w „tyłośny świat“ rusza i choć ze dwie niedziel pomstować o byle co nie będzie, śpiesznie zaczęły węzłki jej wynosić, a w rękę ją całować, a fartuchy do oczu przykładają, jako że niby taka je żalność spiera. Marjanna także się łobruchała, Zośkę i Marynę pocałowała w głowę, pogłaskała kota, pogłaskała Rozboja i, głośno się przeżegnawszy, zapadła w grochowiny, zasłane kilinkiem.

Zaraz przecież od krzyża wracać chciała, bo jej się zdawało, że gęsi Maćkowe między dworskie wpadły i że je odżerają na ściernisku; ale się Wicek uparł, koniom po bacie dał i ruszyli naprzód.

Kiedy Marjanna stanęła w Warszawie, okazało się, że jakoś trudno z nią będzie. Nie tylko bowiem ani słowa po niemiecku nie umie, ale się gniewa jeszcze, kiedy ją o to pytamy.

A tu w Hamburgu, gdzie właśnie szła jej droga, nie znaleźmy żadnego Polaka. Nie było rady, chyba Marjanę opisać i agentowi znanego domu handlowego listem ją polecić, żeby nie przepadła gdzie w mieście, a we właściwym czasie na okręt dostać się mogła.

Opisać? hm!... Ale jak ją tu opisać? To, że była niska, krępa, że miała bure, małe oczki, nos kaczkowaty i pocziwą twarz czerwoną, a świecąca, zdawało nam się niedostatecznym jakoś. Agent musi być o przybyciu Marjanny uprzedzonym, musi czekać na nią, poznać ją i zabrać z sobą. Trzeba ją tedy koniecznie czemś wyróżnić.

Radzimy o tem, kiedy Marjanna spostrzegła wielkiego papierowego motyla na lampie.

— A to, proszę ja państwa mojego! — wykrzykuje — nie dobreby było?

Pomysł jej wydaje nam się zrazu tak komicznym, że wszyscy wybuchamy śmiechem. Ale Marjanna bierze to zupełnie serio i gotowa jest paradować w motylu do Hamburga.

Odczepiwszy go tedy od lampy, przypinamy Marjannie, która spogląda z zupełnem zadowoleniem na tę nową swoją ozdobę. Wielki, czerwony w złote centki motyl tworzy istotnie jedyną w swoim rodzaju broszę. Maryanna rozmawia z nami jeszcze chwilę, ale od czasu do czasu patrzy ukradkiem w lustro; pewnem jest prawie, iż żałuje, że jej w tym stroju nie widzi ekonomowa i organiscina. Odprowadzona wreszcie przez bandę chłopaków, którzy myślą, że to „sztuki“, siada szczęśliwa do wagonu i jedzie.

Jedzie bez żadnej niepewności, bez żadnego strachu. W wybornej równowadze umysłu utrzymuje Marjanę ów czerwony motyl. Okazuje się on skutecznym wszakże pod jednym tylko względem: agent domu handlowego istotnie czeka na Maryannę, poznaje ją po tym nieomylnym znaku, który wygląda zdala, jak sygnał pożarny, i zabiera ją pod swoją opiekę. Ale trzeba nieszczęścia, że okręt tylko co odpłynął i że dwa tygodnie czekać trzeba na wyruszenie drugiego.

Kiedyśmy otrzymali tę wieść niepomyślną, ogarnął nas żywy niepokój. Co ona tam robić będzie w Hamburgu przez dwa tygodnie, kiedy nie umie nawet Boga zawezwać w żadnym obcym języku? Oszuka ją kto, ograbi, a już że się niewygody nacierpi, to pewna. Ale odpowiedź przychodzi jak najbardziej uspokajająca. Marjanna w obcym mieście zupełnie się nie czuje zakłopotaną; co jej potrzeba, to pokaże na migi, a kiedy jej kto zrozumieć nie chce czy nie może, natychmiast palcem stuka w swojego motyla, którego ciągle na piersiach nosi.

— W porcie — pisze agent — wszyscy już ją znają. Są tacy, którzy usługują jej nawet bardzo pilnie, myśląc, że ten wielki, czerwony motyl to znak jakiegoś stowarzyszenia, na które się ona powołuje z całą powagą.

Nareszcie odbieramy wiadomość, że nasza Marjanna szczęśliwie morze przepłynęła i jest w Rio.

Maria Konopnicka.

132 (145). Tęsknota za krajem.

A znasz ty kraj ten, gdzie brzegiem strumieni
 Niezapominki i kaliny rosną?
 Gdzie zbóż falami niwa się płomieni,
 A bór się śmieje jedliną i sosną?
 Gdzie chmiel złociste rozwiesza festony
 Po szczytach olszyn, usrebrzonych mchami?
 Gdzie biała brzoza i jawor zielony
 Błyszcza malowniczo nad łąk kobiercami?

O! za tym krajem,
 Jakby za rajem,
 Codzień wzdycham i płacę,
 I nie będę szczęśliwy,
 Aż te lasy, te niwy
 Jeszcze choć raz zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie wzdłuż bitej drogi,
 Co płynie wstęgą pod topoli cieniem,
 Każdy wędrowiec, czy pan, czy ubogi,
 Wita przechodniów Chrystusa imieniem?
 Gdzie szary bocian na dachu przedsienia
 Wije swe gniazdo za wiosny powrotem?
 Gdzie krzyże z drzewa lub święci z kamienia
 Stoją na straży przed wsi kołowrotem?

O! za tym krajem,
 Jakby za rajem,
 Codzień wzdycham i płacę...
 I nie będę szczęśliwy,
 Aż te siola, te niwy
 Jeszcze choć raz zobaczę!

A znasz ty kraj ten serdeczny, wesóły,
 Gdzie się gospodarz, pełen uprzejmości,
 Wszystkiem, czem może, dzieli z przyjaciół
 I tęskni w domu, kiedy niema gości?

Gdzie lud, choć biedny, rad w święto się stroi,
 W tańcu czy w pracy, zawsze piosnki śpiewa?
 Gdzie czapka chłopca i warkocz dziewczoi
 Szychem się świeci, wstęgami powiewa?

O! za tym krajem,
 Jakby za rajem,
 Codzień wzdycham i płacę;
 I nie będę szczęśliwy,
 Aż te stroje, te niwy
 Jeszcze choć raz zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie w chwilę wesolą,
 Gdy brzmi od ucha zapustna kapela,
 Sunie poważnie poloneza koło,
 Jak szyk pancernych na nieprzyjaciela?
 Gdzie rześka młodzież przy hucznym mazurze
 Brzękiem podkówek gromko takt wybija?
 Gdzie żywym wieńcem, przy piosenek chórze,
 W rączych się płasach krakowiak przewija?

O! za tym krajem,
 Jakby za rajem,
 Codzień wzdycham i płacę;
 I nie będę szczęśliwy,
 Aż te tańce, te niwy
 Jeszcze choć raz zobaczę!

Konstanty Gaszyński.

133 (118). W ziemi Świętej.

W Jeruzalem stanąłem dnia 13 stycznia 1837 r., o godzinie 9 w nocy. Bramy miasta zamknięte, cisza grobowa, księżyc, szczekanie psów, odpowiadające na nasz stuk do bramy, niepewność, czy nie trzeba będzie na polu nocować,

jakoweś wspomnienia krzyżackie... wszystko to pamiętnym mi uczyniło przyjazd do Jeruzalem. Nareszcie otworzono bramy — wjechaliśmy do miasta.

Noc z dnia 14 na 15 stycznia miałem przepędzić u grobu Chrystusa Pana. Na wspomnienie tej nocy tak byłem wzruszony, że łzy rzucały mi się do oczu. Noc, u grobu Chrystusa przepędzona, zostawiła mi mocne wrażenie na zawsze. O godzinie 7 wieczorem zamknięto kościół. Zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu świętego. Nade mną płonęło 43 lamp. Miałem biblię, którą czytałem do godziny 11 w nocy. O wpół do dwunastej weszły do grobu dwie osoby: młoda kobieta i mężczyzna, jak sądziłem, małżonkowie, którzy musieli mieszkać w klasztorze i zrobili pewnie ślub odmawiać codziennie pacierz w nocy na grobie. Jakoż oboje pomodlili się krótko, pocałowali kamień i powstali; potem, przyszedłszy do mnie, oboje pocałowali mnie w rękę. Tak byłem tem zmieszany, że nie wiedziałem, jak się znaleźć.

Wyszli — zostałem sam. O północy dzwon drewniany obudził w kościele księży greckich. Różne wiary, każda mająca swoją mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Bogata kaplica grecka oświeciła się lampami; na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy; także katolicy w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać jutrznie — słowem, o północy ludzie obudzili się, jak ptaki w gzymsach jednej budowy budzą się, świergocąc o wschodzie słońca. Grecy na grobie odprowadzili mszę, potem Ormianie, o drugiej zaś w nocy ksiądz rodak wyszedł ze mszą w imieniu mojej ojczyzny, a ja, klęcząc na tem miejscu, gdzie anioł błądy powiedział Magdalenie: „Niema go tu, zmartwychwstał!“, słuchałem całej mszy z głębokiem uczuciem. O trzeciej w nocy, znużony, poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami.

Jeździłem do morza Martwego i do Betlejem, gdzie słuchałem mszy św., odprawionej na żłobku Chrystusa. Wszystkie te okolice Jeruzolimy napełniają serce jakąś prostotą i świętością. Miło być w prostej grocie, gdzie anieli zwiastowali

pasterzom narodzenie się Pana; miło widzieć wioseczkę Jerycha, niegdyś zburzoną głosem trąby boskiego wodza; ale ażeby opisać wszystkie wrażenia, jakich się doznało, depcząc ziemię Palestyny, trzeba by na to dzieła...

A ziemia tu tak piękna, do pięknego kobierca podobna! Góry tylko, na których stoi Jerozolima, dzikie i nieurodzajne, nadają temu miastu pozór straszny; okropną jest dolina Józefata. Z pod oliw Chrystusa wziąłem ziemi na moje martwe oczy. Byłem w Nazarecie i Tyberjadzie. Jezioro, gdzie Chrystus wsiadał do łodzi, nauczając lud, błękitne i spokojne, otoczone górami; na jednej z nich stał się cud rozmnożenia ryb i chlebów. Nie znalazłszy w mieście miejsca, nocowałem na murawie pod gołym niebem; a kiedym się obudził i odkrył głowę, widziałem księżyc, późno wschodzący nad jeziorem Genezaretańskiem.

Następnie udałem się do Damaszku.

Juljusz Słowacki.

134 (119). Nad jeziorem szwajcarskiem.

Obraz wspaniały,

Góry i skały

Przed sobą mam.

Lecz obraz w myśli

Inny się kreśli,

Jam duszą tam!

Wśród obcych ludzi

Serca nie zbudzi

Przyrody cud!

Obce tu zdroje,

Góry nie moje,

Nie mój tu lud!

Nad Alp śnieg biały,

Nad lodozwały¹⁾

Świat miłszy znam!

Ach, dla mnie Eden²⁾

Na ziemi jeden,

Jam duszą tam!

Seweryna Duchńska.

¹⁾ Lodowce. — ²⁾ Raj.

135 (45). U ludożerców afrykańskich.

Droga była daleka, i trochęśmy w duszy żalowali, że nie wypadło nam zostać w poprzedniej wiosce. Do Muene-Pira przyszliśmy prawie zupełnie pociemku i również pociemku zabraliśmy znajomość ze starym królem, noszącym to samo imię, co wieś.

Byliśmy tedy nakoniec u ludożerców. Ale czasy zmieniły się nawet dla nich. Stary król nie przyjmował nas już z dzidą w rękę, ale z najwidoczniejszym strachem. W pomroku nie mogłem rozeznaczyć jego rysów, ale widziałem czarną, wysoką sylwetkę, w ciągłych ukłonach i podrygach, oraz słyszałem jego głos, przerywany co chwila uprzejmem: „chi, chi, chi!“, które miało oznaczać radość z przybycia gości, a oznaczało niepokój. Wspominałem już, że starowinka, folgując dawnym przyzwyczajeniom, kupuje od czasu do czasu, w największym sekrecie, niewolnika i urządza sobie z niego *filet sauce naturelle*¹⁾, stąd sumienie jego nigdy nie jest czyste i stąd w każdym białym widzi sędziego, który przybywa z Baga-mojo, aby zrobić z nim ostateczny obrachunek.

Stary królik nie śmiał nawet zrazu przy nas usiąść. Dopiero gdy mały Tomasz uspokoił go, że nie przyszliśmy na żadne sądy, stał się nieco poufalszy, ale i wówczas gościnność jego nie przestała mocno graniczyć z uniżonością. Sądziłem, że będę świadkiem rozczulającej sceny między synem a ojcem, tymczasem Tomasz i stary ledwie że zwrócili na siebie uwagę. Nie jestem nawet pewien, czy sobie powiedzieli: „jambo!“ czy też kiwnęli tylko głowami.

Misjonarze wytłumaczyli mi później, że Murzyn wogóle czci matkę bez porównania więcej, niż ojca, o którym wyraża się poprostu: „Mąż mojej matki.“

Jakoż tenże sam Tomasz czekał tylko na nasze pozwolenie, by pobiec witać się z matką, nazajutrz zaś był praw-

¹⁾ Rodzaj befsztyku z sosem naturalnym (franc.).

dziwie uszczęśliwiony, gdyśmy podarowali mu dla niej piękną perkalową chustkę, drukowaną w czerwone pawie.

Jeszcze nasz namiot nie stanął i nie zapalono ognisk, gdy papa Muene przyniósł nam własnoręcznie pić. Wiedząc od misjonarzy, że ich niegdyś częstował z czaszki ludzkiej, obmacałem starannie w ciemności naczynie, które mi podał i dopiero przekonawszy się, że to tykwa, nie głowa, przechyliłem ją do ust. Był w niem miód leśny, bardzo chłodny, ale tak pełen gąsienic, że go odsunął ze wstrętem, dając znać zapomocą gestów gospodarzowi, by zachował dla siebie samego takie przysmaki. Natomiast „pombe“, zawarte w drugim naczyniu, wydało mi się rozkosznym napojem. Teraz zrozumiałem, dlaczego ludzie nasi woleli narazić skórę, niż nie zatrzymać się w poprzedniej wiosce.

Po dwóch, a właściwie trzech pochodach byłem spragniony nadzwyczajnie, to też przez długi czas nie mogłem oderwać ust od naczynia. Zaspokajałem za jedną drogą głód i pragnienie, albowiem pombe nie tylko było chłodne, nie tylko kwaskowate, jak rozczyń razowego ciasta, ale w smaku przypominało chleb, było zaś gęste, jak żur, którym żywi się nasz lud na Mazurach. Barwie jego nie mogłem się w ciemności przyjrzeć, ale w tej chwili była mi ona zupełnie obojętna, również jak i to, że od czasu do czasu przesuwaty się przez moje gardło kawałki nieco zwartsze, nieznanego mi pochodzenia.

Towarzysz mój raczył się nie gorzej ode mnie, co widząc, Muene, rad, że nam dogodził, począł podskakiwać z radości, jak Dawid przed arką, powtarzając: „Pombe msuri! pombe msuri!“

Rzeczywiście, nigdy żaden napój nie odświeżył nas tak prędko; nie rozumieliśmy tylko, jakim sposobem Murzyni mogą upijać się pombe, które w gruncie rzeczy nie jest niczem innem, jak rozrobionem na rzadko i zaledwie sfermentowanym ciastem. Można to chyba objaśnić tem, że czarnym, zamieszkałym nieco dalej od wybrzeża i nieprzyzwyczajonym do naszych napojów spirytusowych, byle co w głowie zawraca.

Po zaspokojeniu pragnienia zajęliśmy się obiadem, a następnie Muene-Pira przyszedł w odwiedzin pod nasz namiot, wraz z dwoma synami, z których starszy, dwudziestokilkolletni Murzyn, odznaczał się istotnie wielką pięknoscią i rozumnym wyrazem twarzy. Ten też miał prawdopodobnie objąć rządy po ojcu, gdyż pokazało się, że nasz Tomek jest Bóg wie którym z rzędu dzieckiem. Jako naszemu słudze, nie przyszło mu nawet na myśl wejść pod namiot; było tam i tak dość ciasno, albowiem oprócz trzech przybyszów, nadszedł i Franciszek, którego musieliśmy zawołać, jako tłumacza. Dwaj synowie siedli obok Franciszka na ziemi, ojciec na mojem polowem łóżku, i poczęła się rozmowa, przerywana co chwila okrzykami podziwu na widok różnych europejskich przyborów. Stary zachowywał się przytem mniej powściągliwie od synów, albowiem porywał się za głowę, uderzał się po udach, pisał lub wybuchał śmiechem nad każdą nieznaną sobie rzeczą.

Teraz dopiero mogłem mu się dobrze przypatrzyć. Był to człowiek sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu lat wieku, wysoki, barczysty. Nosił małą, siwiejącą bródkę; czupryna jego, nieco przeredzona na wierzchu, tworzyła jakby wełniany walek naokoło głowy. Twarz niespokojna, a śmiejąca się ciągle, nie czyniła przyjemnego wrażenia. W nosie i uszach nie miał żadnych ozdób. Synowie jego byli przepasani tylko w biodrach, on zaś ubrany był w rodzaj długiej koszuli z żółtawej dymki, z jakiej angielscy żołnierze noszą mundury w gorących krajach. Wogóle wyglądał bardzo brudno.

Poczęstowałem go winem; ale kiedy, nalawszy następnie drugą szklankę, podałem ją domniemanemu następcy, starszy odebrał mu ją natychmiast i wypił sam, wychodząc zapewne z zasady, że nic tak nie uszlachetnia duszy młodzieńczej, jak wstrzymywanie się od rozkoszy.

Nie pozwoliliśmy mu jednak okazywać stale w ten sposób rodzicielskiej miłości dla synów. Dwie szklanki wina wprawiły go i tak w wyśmienity humor. Stał się nadzwyczaj gadatliwy i skłonny do politycznych zwierzeń, których

nie powtarzam, bo już o nich wspomniałem. Miałem wielką ochotę spytać się go, jak dawno jadł człowieka, ale wzbudziłoby to w nim obawę i nieufność, więc wolałem się wstrzymać i słuchać jego opowiadań o historii narodu U-Doe. Wprawdzie w przekładzie Franciszka niewiele można było z tego zrozumieć, jednakże coś zrozumiałem, a reszty dopełnili misjonarze.

Henryk Sienkiewicz.

136 (74). Wyspa wszelkiej pomyślności.

Ledwie co nie piękniejsza od raju Adama,
Jest to kraj delicyi¹⁾, jest to rozkosz sama:
Wśród wiecznej wiosny leży miasto zbudowane,
Cudowne i przyjemne, wałem opasane,
Wałem, darnią okrytym; na jej liść pieszczony
Składał się tyftyk²⁾, jedwab, aksamit strzyżony;
A choć się czasem zdarzy, że niebaczne stopy,
Nie wiedząc o zakazie, przejdą te okopy,
Przecież, miasto zapłaty, zamiast uwięzienia,
Za karę trzy jedynie wydają westchnienia.
Domy są o dwóch piętrach, w każdym oknie ganek,
Schody z bułek siedleckich, a okna z łazanek³⁾;
Lecz jak bo też są czyste łazanki tamtejsze,
Niż szkło czeskie, niż kryształ, sto razy czystsze!
Firanki z naleśników, frendzle z makaronów,
Zamki z szynek, półgęsków, klucze z salcesonów:
Wewnątrz dużych pokojów są przesmaczne meble,
Jakie chyba angielskie zdziałać mogą heble.
Tam po trudach światowych śmiertelnik spoczywa.
Na noc kładzie się w pasztet, pasztetem przykrywa;

¹⁾ Rozkosz, coś wybornego. — ²⁾ Gatunek tkaniny bawełnianej.

³⁾ Łazanek — kluska płaska.

Na ścianach wiszą torty, gdzie mądry cukiernik
 Wyrył, co zdziałał Cezar, co odkrył Kopernik;
 W doniczkach rośnie bigos lub potrawka z kury,
 Podług uprawy ziemi i nasion natury,
 Bowiem ziemia tej wyspy jest cudnej zalety:
 Posiać kostki z kotletów — zrodzą się kotlety,
 A kędy żyto, owies albo jęczmień wschodzi,
 Zaraz się już na niego wpodłe kupiec rodzi.
 Dalej, chcąc się rankową rozerwać gonitwą,
 Wchodzi golić cyrulik floransową¹⁾ brzytwą.
 Sama taca przybywa, na niej czekolada,
 A zefir²⁾, by ją studzić, na imbryczku siada,
 To dmucha w filiżankę, to biszkopty macza.
 Wtem stu kamerdynerów dokoła otacza;
 Dają bogate suknie, w różne cukry tkane,
 Kieszenie duże, liczne, gruszkami napchane;
 Zamiast guzików, pączki pulchne z powidłami,
 Człowiek je czasem zrywa, żyje guzikami...
 Wychodzi na ulicę, alie tam szerokiem
 Wali się porter, wino i płynie rynsztokiem.
 W boku kawa lewancka³⁾, a śmietanka w tyle,
 Kozuszki zaś latają, jak u nas motyle.
 Błoto z konfitur, lodów, a bruk tego miasta
 Jest w pierogi leniwe i francuskie ciasta.
 Nie żałuje tam człowiek, chociaż się pośliznie,
 Bo, choć czasem upadnie, zawsze czegoś liźnie.
 Las szparagów tuż dąży za dzielną pieczenią,
 Tu się bielą sandacze, tam raki czerwienią,
 Kielich pełen szampana sam do gościa biega.
 Rozmowa idzie śmiało, nikt się nie wystrzega,
 Bo zacniejsze tu szpiegi, nie z naturą wilczą,
 O dobrem częściej wspomną, złe pewno zamilczą.
 Gdy kto kichnie przy stole, zdarzenia nie tracą,
 Sto tysięcy mu życzą i zaraz je płacą.

¹⁾ Florans — materja jedwabna. — ²⁾ Ciepły, lekki wiatr.

³⁾ Wschodnia, azjatycka.

Wreszcie piwo z węgrzynem dłoń do siebie nęca,
 Ledwie zeszyły z obrusa, już się w głowie kręca.

A. Żółkowski.

137 (69). Sąd krasnoludków nad szczurem złodziejem.

Uroczyście, wspaniale otwarł się sąd królewski w Słowiczej Dolinie. Król Blystek wystąpił w całym majestacie. Purpurowy płaszcz jego niósł za nim opasły paź Krężotek, złota korona błyszczała na królewskiej głowie, a brylantowe berło siało takie blaski, jak wschodzące słońce. Przed stołami sali sądowej stał oskarżyciel państwa, bystry Kocieoczko; tuż za nim Mikuła i Pakuła w paradnych mundurach; dokoła, lecz w pewnym oddaleniu, tłoczyły się Krasnoludki, a wszystkie oczy zwrócone były na oskarżonego.

Stał on pochylony, skurczony, w ubogiej sukmanie na grzbiecie, mając przednie łapki mocno związane za plecami, pozieleniały ze wzruszenia i strachu, a tak drżący, że nogi widocznie trzęsły się pod nim, jak w febrze.

Właśnie wymowny Kocieoczko, skończywszy przedstawiać jego winę, żądał surowej kary: już to co najmniej powieszenia na najwyższej gałęzi dębu, oraz zwrotu strat i kosztów procesu.

Szanowny oskarżyciel aż zachrypnął w ciągu tego wywodu i, fularem ocierając zapocone czoło, sapał głośno.

Król skinął berłem i zapytał sam:

— Jak się zowiesz, nieszczęśniku?

Zsiniął szczur i na nogach się zachwiał, aż, popchnięty ku królowi przez Mikułę:

— Wiechetek, do usług! — rzecze cichym głosem.

A król:

— Dlaczego zabrałeś to ziarno?

— Głodny byłem... nędzarz byłem... dzieci moje ko-
 nały z głodu...

— Ale głód nie daje prawa do cudzego mienia. Czy nie tak?

— Tak, Miłościwy królu! — odrzeczcie Wiechetek, drżąc cały.

— Więc cóż masz na swoją obronę? — spytał król.

— Nic... prócz głodu... Głód... straszny głód...

— Ale nie mogłeś i przy największym głodzie zjeść tej miary zboża. Dziesiąta część wystarczyłaby tobie i dzieciom twoim.

— Zimy się bałem... Najmiłościwszy królu!... zima strasznie długa, ciężka.. Połowa moich dzieci wyginęła tamtej zimy, królu! Ach, jak cierpiały strasznie. Najmłodsze... najmłodsze dziecko moje, królu, umierało w oczach moich z głodu... Sześć dni, sześć nocy patrzałem na to... i żyłem... żyłem... i nie mogłem sam za niego skonać... nie mogłem! Po najmłodszym umierał starszy... Dziesięć dni, dziesięć nocy konał... i ja patrzałem na to... A potem umierał trzeci... A ja nie mogłem umrzeć...

Wtem poczał się trząść bardzo i, zmrużywszy oczy:

— Głód... głód... głód — szeptał nieprzytomnym głosem.

Zmarszczył król brew, żeby powstrzymać łzę, nabiegając do oczu, w drużynie Krasnoludków słyhać było głębokie westchnienie; dobry Pietrzyk, który był wytropił złodzieja, ikał głośno.

Ale król Blystek podniósł berło i rzekł:

— Srogim być muszę, boć zawinił srodze. Pszenica ta była siewna, na siew dla podobnego tobie nędzarza przeznaczona, który też głodne dzieci ma. Niech się nad tobą spełni sprawiedliwość.

— Śmierć! śmierć złoczyńcy! — zawołał Kocieoczko.

— Śmierć! — powtórzyli za nim Mikuła i Pakuła jednym srogim głosem.

Wiechetek stał, jakby porażony, trzęsąc się i patrząc obłąkanym wzrokiem.

Marja Konopnicka.

138 (78). Janek szewczyk.

Było sobie niegdyś w szkole
Piękne dziecię, zwał się Janek.
Czuł zawczasu Bożą wolę,
Ze starymi suszył dzbanek.
Dobry z niego byłby wiarus,
Bo w literach nie czuł smaku;
Codzień stary Bakalarus¹⁾
Łamał wierzby na biedaku;
I po setnej, setnej próbie
Rzekł do matki: „Oj, kobieto!
Twego Janka w ciemię bito,
Nic nie wbito — weź go sobie!...“
Biedna matka wzięła Jana,
Szła po radę do plebana.
Przed plebanem w płacz na nowo;
A księżulo słuchał skargi,
I poważnie nadał wargi.
Po ojcowsku ruszył głową.
Wysłuchawszy pacierz złego:
„Patrz mi w oczy“ — rzekł do żaka,
„Nic dobrego! nic dobrego!“
Potem hożą twarz pogładził,
Dał opłatek i piętaka
I do szewca oddać radził...

Jak poradził, tak matczysko
I zrobiło... Szewc był blisko...
Lecz Jankowi nie do smaku
Przy szewieckiej ślipiać igle.
Djabel mieszał żółć w biedaku,
Śniły mu się dziwy, figle;

¹⁾ T. j. bakalarz, nauczyciel.

Zwyciężyła wilcza cnota,
 Rzekł: w świat pójdę o piętału!
 A więc, tak jak był — holota,
 Przed terminem rzucił szewca
 I na strudze¹⁾ do Królewca
 Popłynął...
 Jak do wody wpadł i zginął...

Matka w płacz, łamała dłonie,
 A ksiądz pleban na odpuszcie
 Przeciw dziatkom i rozpuszcie
 Grzmiał, jak piorun, na ambonie;
 Wkońcu dodał: „Bogobojna
 Trzódka moja, bądź spokojna,
 Co ma wisieć, nie utonie.“

Mały Janek gdzie się chował
 Przez rok cały, zgadnąć trudno.
 Wsiadł na okręt i żeglował,
 I na jakąś wyspę ludną
 Przyplłynawszy — wylądował...
 Owdzie król przechodził drogą.
 Jaś pokłonił się królowi
 I dworzanom, i ludowi;
 A kłaniając, szastał nogą
 Tak układnie, że król stary
 Włożył na nos okulary.
 I wnet tym-że samym torem
 Dwór za królem, lud za dworem
 Powkładali szkła na oczy...
 Owóż król ten posiadał sławę,
 Jakoby miał wzrok proroczy,
 I choć stracił oko prawe,
 Tak kunsztownie lewem władał,
 Że człowieka zaraz zbadał,
 Na co mierzy, na co zdatny:

¹⁾ Rodzaj statku.

Czy zeń ma być rządca kraju,
 Czy odstoli, czy też szatny...
 Lecz tą razą, wbrew zwyczaju,
 Król pan oczom niedowierza,
 Czy żak Janek na tancerza?
 Czy na rządcę dobry kraju?
 Więc zapytał: — Mój kochanku,
 Jak masz imię?

— Janek.

— Janku,

Co ty umiesz?

— Psom szyć buty.

— A czy dobrze?

— Oj, tatulu!

Czyli raczej, panie królu!
 Jak szanuję, ręczyć mogę,
 Że but każdy ostro kuty
 I na jedną zrobię nogę.
 Czyli raczej na łap dwoje...
 To na zimę. — Z letnich czasów
 But o jednym szwie wystroję,
 Na opłatku, bez obcasów;
 A robota takiej wiary,
 Że psy puszcza na moczary,
 Suchą nogą przejdą stawy.
 — Masz więc służbę, złotem płacę —
 Rzekł do Janka pan łaskawy
 I za sobą wiódł w pałace.
 A gdy dzień zaświtał czwarty;
 Szły na łowy w butach charty;
 A szewc chartów w aksamicie
 Przy królewskiej jechał świecie,
 Złoty order miał na szyi,
 W trzy dni został szambelanem,
 W sześć dni rządcą prowincyi,
 W dni dwanaście został panem.

Starą matkę wziął z chałupy,
 Król frejliną ¹⁾ ją mianował,
 A plebana pożałował ²⁾
 W biskupy...

Juliusz Słowacki.

139 (79).

Od wieków wieczystych wiadomo, że nocą św. Jana kwitnie paproć; a kto jej kwiatuszek znajdzie, urwie i schowa, ten wszelkie ziemskie szczęście mieć będzie. Bieda jednak cała w tem, że noc ta jest tylko jedna w roku, a taka niezmiernie krótka; nadto paproć w każdym lesie tylko jedna zakwita, i to w takim zakątku, tak ukryta, że nadzwyczajnego trzeba szczęścia, aby na nią trafić. Mówią jeszcze i to, że droga do kwiatu bardzo jest trudna i niebezpieczna, że tam różne strachy przeszkadzają, bronią, nie dopuszczają i że nadzwyczajnej odwagi potrzeba, aby kwiat zdobyć.

Pewnego czasu był sobie chłopak, któremu na imię było Jacuś; we wsi przezywali go „ciekawym“, dlatego że zawsze szperał, szukał, a co było najtrudniej dostać, do tego on się najgoręcej garnał... Taką już miał naturę: co pod nogami znalazł, po co tylko ręką było sięgnąć, to sobie lekcewazył; a o co musiał się dobijać, to najwięcej mu smakowało.

Trafiło się tedy raz, że gdy wieczorem przy ogniu siedzieli, a on sobie kij kozikiem wyrzynał, stara babusia, okrutnie rozumna, która po świetle bywała i знаła wszystko, poczęła opowiadać o tym kwiecie paproci. Jacuś słuchał i tak się zaszłuchał, że mu aż kij z rąk wypadł.

Skoro babusia skończyła, Jacuś powiedział sobie:

— Niech się dzieje, co chce, a ja kwiat ten znaleźć muszę. Znajdę go, bo człowiek, kiedy chce mocno a powie sobie: „To musi być“, zawsze wkońcu na swoim postawi.

¹⁾ T. j. damą dworu. — ²⁾ Podniósł do godności.

Tuż pod wioską, w której stała chałka rodzicieli Jacusia, był niedaleko las i pod nim właśnie palono co roku sobótki w noc świętojańską. Przez kilka miesięcy Jacuś czekał na tę noc i o niczem nie myślał, tylko o tem. Czas mu się strasznie długim wydawał. Naostatek nadeszła wigilja św. Jana, zbliżyła się noc; ze wsi wszystka młodzież się wysypała palić ognie, skakać, śpiewać i zabawiać się.

Jacuś umył się czysto, wdział koszulę białą, pasik czerwony nowy, łapcie lipowe, nie noszone, czapeczkę z pawiem piórkim, i jak tylko zmrok zapadł, udał się do lasu.

Las stał czarny, głuchy, nad nim noc ciemna z mrugającymi gwiazdkami. Znał Jacuś dobrze drogę w głąb lasu po dniu i jaką ona bywała w czas powszedni. Teraz, gdy się zapuścił w głąb — osobiwa rzecz — nie mógł ani wiadomej drożyny znaleźć, ani drzew rozpoznać. Wszystko było jakieś inne. Potem stanęły na drodze gąszcze takie, że ani palca przez nie przecisnąć; ale Jacuś, jak się rzucił, pchnął, zamachnął, zdusił je, zmiotł, połamał i przebił się szczęśliwie.

Zdawało mu się już, że szedł rok cały, tak długą wydała mu się ta droga... Kwiatu nigdzie!... Nie zawrócił się jednak i nie stracił serca, ale szedł dalej... Aż wkońcu tuż pod nogami zobaczył kwiatek: pięć listków miał złotych, a w środku oko świecące. Wyciągnął rękę i pochwycił. Zapiekło go, jak ogniem, ale nie rzucił... trzymał mocno.

Kwiat w oczach rosnąć mu poczynął, a taką jasność miał, że powieki musiał Jacuś przymknąć, bo go oślepiało. Weisnął go zaraz za pazuchę pod lewą rękę, na serce... Wtem głos się odezwał do niego:

— Wziąłeś mnie — twoje szczęście; ale pamiętaj o tem, że, kto mnie ma, ten wszystko może, co chce; tylko nigdy z nikim swoim szczęściem nie wolno mu się dzielić!

Jacusiowi się tak w głowie z wielkiej radości zamąciło, że niewiele na ten głos zważał.

— A co mi tam?! — rzekł w duchu. — Był mnie na świetle dobrze było!

Z czapeczką na bakier, podśpiewując, wracał do domu. Droga przed nim świeciła, jak pas srebrny, drzewa się ustępowały, krzaki odchyłaly, kwiaty, które mijał, kłaniały mu się do ziemi. Z głową podniesioną stąpał dalej i tylko roił, czego mu żądać. Zachciało mu się naprzód pałacu, wioski ogromnej, służby licznej i strasznego państwa; ledwie o tem pomyślał, gdy znalazł się na skraju lasu, ale w okolicy zupełnie mu nieznanej.

Spojrzawszy sam na siebie, poznać się nie mógł. Ubrany był w suknie z najprzedniejszej materji, buty miał na nogach ze złotemi podkówkami, pas, sadzony kamieniami drogiemi, koszulę z najcieńszego płótna. Tuż stał powóz, koni białych sześć w chomątach pozłocistych, służba w galonach; kamerdyner rękę mu podał, kłaniając się, wsadził do karety — i wio! Jacuś nie wątpił, że go do pałacu wiodą; jakoż tak się stało. W mgnieniu oka powóz już był u ganku, na którym służba liczna czekała. Tylko twarze wszystkie były mu obce i nieznane.

Upłynął tak rok i drugi; wszystko miał, czego dusza zapragnęła; ale szczęście to wydało mu się czasem takie głupie, że mu życie obrzydło. Najwięcej go zaś gnębiła tęsknica do wioski swojej, do chaty i rodziców; żeby ich choć zobaczyć, choć dowiedzieć się, co się tam z nimi dzieje! Matkę kochał bardzo, a ilekroć ją wspomniał, serce mu się ścisnęło.

Jednego dnia zebralo mu się na odwagę wielką i, wsiadłszy do powozu, pomyślał, aby się znalazł we wsi przed chatą rodziców.

Natychmiast konie ruszyły, leciały, jak wiatr, i nie opatrzył się, gdy się zatrzymały przed znanem mu dobrze podwórkiem. Jacusiowi lzy się z oczów puściły.

Wszystko tu było tak, jak porzucił przed kilkoma latami, ale postarzałe, a po tych wspaniałościach, do których nawykł, jeszcze mu się nędzniejszem wydawało. Żłób stary przy studni, pień, na którym drewka rąbał, wrotka od dziedzińca, dach porosły mchami, drabina przy nim... stały, jak wczoraj. A ludzie?

Jacuś wysiadł. Pierwszy spotykający go w podwórku był stary Burek, jeszcze chudszy, niż był niegdyś, z sierścią najezoną. Szczekał na niego zjadle i ani myślał go poznać.

W progu pokazał się w koszulinie najmłodszy brat jego.

— A matuś gdzie? — zapytał przybyły.

— Chorzy leżą — odrzekł malec, wzdychając.

— A tatuś?

— Na mogiłkach...

Wszedł Jacuś do chaty. Stara matka leżała w kątku na biednem łóżeczku. Poszedł do niej Jacuś; popatrzyła nań, nie poznała... Mówić jej było trudno, a on nic pytać nie śmiał. Serce mu się krajało. Już sięgał do kieszeni, aby złotem sygnąć na ławę; ale dłoń mu się ścisnęła, bo strach brzydki go ogarnął, że własne szczęście utraci.

I wyrwał się z chaty do powozu, a w nim do pałacu; ale, przybywszy tu, zamknął się i płakał. Zbudziło się w nim sumienie i gryzło mu wewnątrz serce. Nie dawał się. Durzył się ciągle czemś, latał, jeździł, strzelał, pił, hulał... Nic nie pomagało. W uszach ponad wszystkie wrzaski brzmiało: „Niema szczęścia dla człowieka, jeśli się niem z drugim podzielić nie może!...”

Rok nie upłynął, aż Jacuś wysechł, jak szczepka, wyżółkł, jak воск, i w tym swoim dostatku i szczęściu męczył się nad wszelki wyraz. Wkońcu, po jednej nocy bezsennej, nakładłszy złota w kieszenie, kazał się wieźć do chaty. Miał postanowienie, choćby wszystko stracić, a matkę i rodzeństwo poratować.

— Niech się już dzieje, co chce! — mówił — niech ginę! dłużej z tym robakiem w piersi żyć nie mogę.

Stały konie przed chatą. Wszystko tu było, jak przedtem: żłób stary u studni, pień, dach, drabina, ale w progu chaty żywej duszy nie było...

Jacuś pobiegł do drzwi — stały kolkiem podparte; zajrzał przez okno — chata była pusta.

Wtem żebrak, stojący u płota, wołać nań zaczął:

— A czego tam szukacie, jasny panie? Chata tę pusta:
wszystko w niej wymarło z biedy, z głodu i choroby.

Jak skamieniały, stanął ów nieszczęśliwiec u progu —
stał i stał...

— Z mojej winy zginęli oni — rzekł w duchu — niechże
i ja ginę!

Ledwie to rzekł, ziemia się otworzyła i zniknął, a z nim
ów nieszczęsny kwiat paproci, którego już dziś próżno szukać
na świecie.

J. Ign. Kraszewski.

140 (80). Kiszka.

Ballada.

Był to sobie dziad i baba,
Baba Anna, dziad Barnaba:
Żyli zgodnie i poczciwie,
Ale bardzo nieszczęśliwie;
Bo poczciwość źle popłaca
I poczciwych los ugniata,
Pracowali, lecz ich praca
Zawsze poszła gdzieś do kata.

Siedząc sobie raz oboje,
Rozmyślali nędzę swoją,
Ona płacze, on w żałobie ¹⁾
Tkliwie tuli ją ku sobie:
— Wszak przywykłaś do niedoli,
Prośmy raczej Pana Boga,
Aby odjął, co nas boli.
W wielkiej, prawda, żyjem nędzy,
Bo nie mamy nic pieniędzy,

¹⁾ Żałoba — tu: żal, żalność.

Lecz sumienie nasze czyste,
Jak to słońce promieniste:
Zdrowie i swoboda złota,
Która bogactw miejsce trzyma;
Gdyż występki, gdyż niecnota
Do serc naszych wstępu nie ma.

My ubodzy, lecz poczciwi;
Chociaż los się nam sprzeciwi,
Choć nam Plutus ¹⁾ głuchy, niemy,
Z czystym sercem dobrze śpimy.
Mnie nie smuci dola taka!
Tyś nie dłużna, jam nie dłużny,
Bo, ujrawszy gdzie żebraka,
Jeszcze dajem i jałmużny.

— Moje serce — rzecze żona,
Mniej już trochę zasmucona —
My dajemy, jak nam staje,
Lecz nam Pan Bóg nic nie daje!
Cóż więc z tego, żem nie dłużna.
Że się tulim, jak dwa śledzie,
Kiedy praca nasza próżna,
Kiedy nam się nic nie wiedzie.

Chciała płakać z nim babina,
Gdy się ozwie głos z komina,
(Bo w ubogiej swej izbinie
Wraz siedzieli przy kominie):
— Dość tych żalów, tej zgryzoty,
Że nie macie kęsa chleba!
Wasza dola, wasze enoty
Obudziły litość nieba.
Rozweselcie się oboje,
Błyszna dla was szczęścia zdroje!

¹⁾ Bożek złota i bogactw.

Ja wam mówię, niebios goniec,
 Że mąk waszych przyszedł koniec;
 Niebo was ma w swojej pieczy,
 Chce dać szczęście waszej chacie,
 Proście tylko o trzy rzeczy,
 A natychmiast otrzymacie.

— Ach, Anusiu! głos anioła!
 Cóż, nie płaczesz? czyś wesola?
 Prośmyż, prośmy, co sił stanie,
 Naprzód kiskę na śniadanie.
 Jestem głodny, moja luba! —
 Wnet z komina aż do ziemi
 Wisi kiszka długa, gruba
 i upada tuż przed niemi.

To już jedno. — Co? w tej nędzy
 Ty chcesz kiszki, nie pieniędzy?
 O! ciesze się nią radośnie,
 Niech do nosa ci przyrośnie.
 — Jestem głodny, moja luba! —
 Wnet się ciężko i zukosa
 Dźwiga z ziemi kiszka gruba
 I przyrasta mu do nosa

Fr. Kowalski.

141 (161). Boże dary.

Legenda.

Jeden bardzo zacny staruszek, który przepędził młodość z szablą, a późniejszy wiek przy uprawie roli, ciężko raz zaniemógł. W tej słabości uczynił ślub, że, jeśli wyzdrowieje, już tylko o Bogu rozmyślać będzie i nauczać

maluczkich. Wejrzał Bóg miłosiernem okiem na gorącą jego modlitwę i staruszek odzyskał zdrowie.

Dopełniając uczynionego ślubu, wziął staruszek kij w rękę i powędrował od wioski do wioski.

Gdzie tylko stanął, gromadził dziatwę około siebie i opowiadał jej różne ciekawe dzieje. Ale przychodziły nań takie dni, że, jak się zamyślił, to i cały dzień przesiedział nieruchomy, słowa do nikogo nie mówiąc. Po każdym jednak takim zachwyceniu wstawał daleko rzeświejszy i jakby upojony szczęściem.

Zdarzyło się, że podczas jednego takiego zachwycenia ujrzał się na drugim świecie i wcisnął się nawet do samego nieba. Trafił właśnie na chwilę, kiedy sam Pan Bóg wyprowadzał stamtąd młodziuchne duszyczki na pielgrzymkę życia, zawieszał każdej torbeczkę na szyję i błogosławił jej na drogę. Co się tam jednak w tych torbeczkach znajdowało, tego staruszek nie dojrzał, bo oczyma, świeżo z ziemi przyniesionymi, nie potrafił jeszcze wszystkiego rozeznaczyć.

Szczęściem, stojący u drzwi jakiś mąż święty, widząc ciekawość staruszka, zbliżył się do niego i zapytał:

— Chcesz zapewne wiedzieć, co się w tych torebkach znajduje?

— O i bardzo! — odpowiedział staruszek.

— Wiedz więc — rzekł święty — że żadna duszyczka nie wychodzi stąd bez darów niebieskich, któremi je sam Pan Bóg szczerą dłonią uposaża; ale wszystkie potem, powracając z ziemi, muszą ze skarbu, im powierzonego, ściśle zdać rachunek.

— Spójrzysz-no tylko — dodał święty po chwili — przez to okienko, przez które widać drogę ziemską i duszyczki, po niej idące; co się z temi niebieskimi torbeczkami dzieje!

Staruszek, ponieważ był bardzo ciekawy tego, wychylił głowę przez okienko i patrzył... Gościńcem szło tysiące duszek, z torebkami pełnymi na piersiach... Nierychło rozpatrzył się staruszek w tym tłumie. Ale gdy poszedł

okiem powoli za jedną, potem za drugą i trzecią duszą, dopiero zauważył, jak się to dary Boże marnują na ziemi. Jedni szli, wesoło śpiewając, i gubili je po ziemi przez nieuwagę; drudzy, nie patrząc pod nogi, jak należy, upadali i rozsypywali je po ziemi; innym znowu zabiegali drogę filuci i za lada cacko wykpiwali od nich najdroższe zapasy życia: a tylko bardzo mało było takich, którzy donosili do mety to, co im Bóg dał, całe lub pomnożone.

Najczęściej odarty i nagi przychodził człowiek do kresu pielgrzymki i dopiero u drzwi niebieskich postrzegał, że próżną niesie torebkę. Byli czasem i tacy, co ochronili całą swą puściznę, ale gdy przyszło do obrachunku, pytano się ich, czemu z darów Bożych nie korzystali i nie pomnożyli ich pracą. Niektórzy znowu zamiast brylantów niebieskich nieśli z powrotem w torebce błoto i piasek. Inni wreszcie mieli ją napelnioną łzami gorzkiemi i żalem, ale tych ostatnich Ojciec Niebieski przytulał do serca, bo łzy i żal warte były drogich kamieni.

Patrzył się tak staruszek a patrzył: taki to był cudny widok tych ziemskich pielgrzymów w białych z początku sukienkach, które się brukały, prały we łzach, to znów świeciły i znowu czerniały. I byłby tam staruszek nie wiedzieć jak długo patrzył, gdyby go ów święty nie był odciągnął od okienka.

Wtem zdało mu się, jakoby się ze snu przebudził, znalazł się bowiem na tym samym kamieniu, na którym usiadł przy drodze. Ale pamięć tego widzenia nie zatarła się w nim przez całe życie. Opowiadał je chętnie innym, ale i sobie często przypominał, z czem on to wyszedł na pielgrzymkę życia, co stracił, a co zebrał i pomnażał ciągle: to też, gdy przyszedł na końcu drogi do obrachunku, pewnie łzą żalu pocziwiał reszty torebki dopełnił.

Józef Ignacy Kraszewski.

142 (162). Ucieczka do Egiptu.

Legenda.

Przed siepaczami króla Heroda Święta Rodzina kryje się w lasy i ucieka do Egiptu; idą ciemnym, gęstym borem, szukając drogi i schronienia a jęki mordowanych niemowląt lecą za nimi, jakby ze skargą na okrutnika i z wołaniem o pomoc. Serce Marji Panny drży od strachu, lica Jej pobladły, jak księżyc na młodziu¹⁾; tuli do łona swoją Dziecinę i okrywa ją płaszczem, aby nawet noc czarna nie zajrzała Jezusowi w oczy.

Ale głodne Dzieciątko kwili i pożywienia żąda, a w głuchym borze żalosny płacz się rozlega.

Stare drzewa pochylają się litośnie, jakby szemrały:

— Cył, cył, Dziecino!

W zielonych oczach błyszczą im łzy rosy, łzy współczucia nad głodnym Jezusem.

Przy ziemi paproć czepia się nóg Marji Panny i nieśmiało prosi:

— Pozwól mi posilić Dzieciątko Twoje, Święta Boża Rodzicielko.

— A cóż ty masz za pożywienie?

— Korzonki mam, któremi sama życie czerpię z ziemi.

Rozrzewniła Marję Pannę ta skromna ofiara i przyjęła ją, aby czemkolwiek nakarmić zgłodniałą Dziecinę.

Pan Jezus za to, że ssal korzonki paproci, pobłogosławił litościwą roślinę i odtąd korzeń jej utracił dawną gorycz, a człek, zbłąkany w lasach i zgłodniały, może w niej znaleźć pożywienie i posiłek i od głodowej uchronić się śmierci, zanim go Pan Bóg z puszczy nie wyprowadzi...

Ze świtem Rodzina Święta w dalszą znów szła drogę, aby uniknąć przed siepaczami króla Heroda.

¹⁾ W pierwszej kwadrze.

Marji Pannie ciężko było dźwigać bez ustanku Jezusa; ale rozstać się z Nim ani na chwilę nie chciała, by skarbu macierzyństwa Swego z rąk nie wypuścić, póki na miejsce bezpieczne nie zdążą.

Próbowała na chwilę odpocząć i ukryć się pod osiką, ale niedobra drzewina nie chciała jej dać schronienia.

— Boję się! — zawołała, drżąc ze strachu — aby mnie król Herod nie kazał ściąć za to, żem was ukrywała; boję się zemsty króla Heroda!.. Idźcie stąd, pójdźcie gdzieindziej!.. boję się!..

I trzepotała gałązkami, listeczki jej pobladły i odstawały, jak włosy na głowie człowieka z wielkiej trwogi i przerażenia, więc Marja Panna musiała wstać z pod osiki i pobięła skryć się pod leszczyną.

— A ty się nie będziesz bała Heroda?... — spytała, i, jak spłoszona przepiórka, przypadła pod krzak leszczyny, ale ta, zamiast odpowiedzi, nakryła ich swemi gałązkami, otuliła swym gęstym płaszczem z listeczków drobnutkich i dech w sobie zapała.

Musiałby być król Herod wpierw mieczem rozrąbać jej ramiona, gdyby chciał z objąć leszczyny wydobyć Bożą Matkę z Dzieciątkiem, ale król-okrutnik przeszedł mimo i nie dojrzał niczego; nawet nie zauważył osiki, która trzęsła się ze strachu i którą taki lęk okrutny przejął, że nie umiała być dać odpowiedzi na zapytanie, czy widziała ściganą niewiastę z dzieckiem małym u łona.

W leszczynie jednak siedziała kukulka zdrajczyny i, chcąc się przypochlebić Herodowi, zaczęła wołać:

— Kuku — kuku!.. aby zwrócić jego uwagę na kryjówkę Matki Bożej.

Za to złe serce jest ptakiem bez gniazda i nie ma gdzie własnych ukrywać piskląt, a osika, że się bała dać schronienie Marji Pannie, musi po wieki trząść się ze strachu i dygotać listkami, choćby największa była cisza w powietrzu i najjaśniejsza pogoda na niebie.

Nie dosyć na tem; zhańbił ją jeszcze Judasz później, gdy się na niej obwiesił, i za karę, że Jezusa przyjąć pod swój cień nie chciała, musiała dźwigać największego zdrajcę i najpodlejszego wisielca na ziemi.

Leszczyna zaś w nagrodę została błogosławioną krzewiną: odtąd grom w nią nigdy nie uderza i człowiek podczas burzy może śmiało szukać pod nią schronienia z imieniem Marji i Jezusa na ustach, bo ona pozostaje odtąd w łaskach Marji Panny.

M. Gawalewicz.

143 (163). Msza wiejska.

Wyszła msza. Nie obejmie świątynia maleńka
Całego zgromadzenia; lud na trawie kłęka,
Patrząc we drzwi kaplicy, odkrywają głowy;
Włos litewskiego ludu, biały albo płowy,
Pozłacał się, jako łan dojrzałego żyta.
Gdzie niegdzie kraśna główka dziewczęca wykwiła,
Ubrana w świeże kwiaty albo w pawie oczy,
I, wstęgi rozplecione, ozdoby warkoczy,
Śród głów męskich, jak w zbożu bławał i kąkole.
Kłęczący różnobarwny tłum okrywa pole,
A na głos dzwonka, niby na wiatru powianie,
Chylą się wszystkie głowy, jak kłosa na łanie.
Wieśniaczki dziś na ołtarz Matki Zbawiciela
Niosą pierwszy dar wiosny: świeże snopki ziela;
Wszystko wkoło ubrane w bukiety i wianki,
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonnica i ganki,
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i zrzuca na kłęczących skronie
I rozlewa, jak z mszalnej kadzielnicy, wonie.

Adam Mickiewicz.

144 (164). Anioł Pański.

Och! jasno, zielono — a wieczór tak cichy:
Na gniazdo ptak leci, kwiat stula kielichy,

I perłą się rosy świecące ...

Tam wiejskie pacholę pofleca ¹⁾ z pagórka,
Tam dalej młyn szumi, tam bije przepiórka,

Tam skrzypią chróściele ²⁾ na łące,

Tam trzody ku wodzie hasają dolina,

I szemrze mącona rzeczulka.

I wstają mgły białe nad senną wioszczyną,

I ozwał się dzwonek z kościółka:

Anioł Pański!...

O! dzwonek — skowronek lubuje ³⁾ w swym głosie,

To skacze po górach, to ślizga po rosie,

Powodnią się tonów rozlewa...

A oto — woń kwiatów, mgła biała, szum rzeczny,

Gwar ptasząt, flet dziecka, obłoczek słoneczny —

To wszystko się modli i śpiewa!

I dusza w wszechświecie się rada rozwleka,

I pełnią żywota pierś rośnie.

Wznioślejsza nad inne modlitwa człowieka,

Więc dalej do chóru najgłośniej:

Anioł Pański!...

Kornel Ujejski.

PYTANIA I ĆWICZENIA STYLISTYCZNE.

1. *Pieśń o domu.* Dlaczego tu tyle razy (ile?) powtarza się wyraz: „dom“? Czy za każdym razem ten wyraz ma to samo znaczenie? Czy wyrażenia: „rodzinny dom“, „rodzinny próg“, „ojczysty próg“, „ojczyste ściany“, „rodzinny dach“ znaczą to samo? Czy w wyrażeniach: „srebrna broszka“ i „srebrna mgła“ wyraz srebrny oznacza to samo? a jeśli nie, to jaka zachodzi różnica? Co znaczy: „cierniowe drogi“? a „droga, różami usłana“? Co znaczy: „głogom kwiat wplatają w skroń“? O jakim to „gromie“ jest mowa w przedostatniej zwrotce? Jakie uczucie zawiera się w tym wierszu?

2. *Karmienie ptaków.* Podkreśl wyrazy, oznaczające barwy, oznaczające ruchy. Co powiesz o takich wyrażeniach, jak: „potomek rodu Olbromskich“, „zespoły ptasze“, „Prytaneum“, „samowładny, ale oświecony, władca“ „okazał zgromadzeniu“ i t. p.? Jak zaznaczają się uczucia autora względem Huba? a względem ptaków? a uczucie Huba względem ptaków? a stosunek Machnickiego względem całej tej ceremonii?

Dokonać następującego wypracowania:

Pojęcia nadrzędne

Pojęcia podrzędne

Ptak

Gil, szczygieł, wróbel i jeszcze jakie?

Czworonóg

Roślina

Owad

¹⁾ Gra na flecie, na fujarce. — ²⁾ Chróściel — rodzaj ptaka. —

³⁾ Podoba mu się jego głos.

3. **Dzwony w szkole.** Jakich porównań używa autor, kiedy mówi o dzwonach? Jakie uczucie budzi w autorze każdy z dzwonów? A jakie uczucie budzi w tobie dzwonek szkolny? z czym lub z kim mógłbyś go porównać? Co znaczy „zakon ojca Dominika”? Napisz wypracowanie p. t. „Mój dzwonek szkolny“.
4. **Koledzy.** Co powiesz o każdym z wymienionych tu kolegów? Który ci się najbardziej podoba? A co powiesz o całej klasie? Podkreśl w rozmowach wyrazy z gwary uczniowskiej? Na czym polega koleżeństwo w tym urywku? Co w nim jest właściwe, a co niewłaściwe? Napisz wypracowanie p. t. „Dobry kolega (koleżanka)“.
5. **Przysłowia o dzieciach.** Naucz się tych przysłów na pamięć. Które z tych przysłów należy rozumieć dosłownie, a które pod przerośniętą? Wytlumacz myśl, zawartą w każdym z nich. Rozszerz którekolwiek z nich w opowiadanie lub w rozprawkę.
6. **Wyjazd do szkół.** Wytlumacz wyrażenie: jechać rzeziennym dyszlem“, „spuścić nos na kwintę“, „z milion chłopaków“, „nuż w perewerty“, „zabrzmiła trąba pokoju“, „laurowe gałęzie“, „oliwne gałęzie“, „bożki leśne“. Jakie znaczenie ma czas teraźniejszy czasowników w obrazach zabaw? Zastąp go czasem przeszłym i porównaj wtedy oba urywki. Obrazowi walki na śnieżki nadaj kształt rozmowy. Podkreśl porównania i zastanów się, jakie zachodzi podobieństwo między porównywanymi przedmiotami.
7. **Dziecięce lata.** Podkreśl wyrazy zdrobniałe i pieszczotliwe i powiedz, poco zostały użyte. Co znaczą wyrażenia: „złocąc je snami, łzami cichemi“, „w sercu woń taka i tyle wdzięku“? Jaka zachodzi różnica między wyrażeniami: „piękne to były dziecięce lata“, „dziecięce lata były piękne“, „lata dziecięce były piękne“? Ułóż sam podobne przykłady z przedstawianiem wyrazów

8. **Artysci klasowi.** Ułóż plan tego opowiadania, dzieląc na następujące główne części: I. *Wstęp*: pogoda, nastrój w klasie i t. d. II. *Rozwinięcie*: najznakomitsi artyści klasowi (Welinowicz, Konopka). III. *Zakończenie*: inni artyści. Jak zaznacza się stosunek autora do każdego z uczniów? a wzajemny stosunek uczniów? Porównaj uczniów w §§ 4 i 8.
9. **Pod sosenki koronę.** Porównaj myśli i uczucia, zawarte w wierszach §§ 1 i 9. Co znaczy: „sosenki korona“? Wylicz wszystkie znaczenia wyrazów: „korona“, „kielich“, „groch“, „żabka“. Co powiesz o obrazie „ogrodu warzywnego“? Opisz ten ogród w zwykły sposób. Dlaczego poeta nazywa „chatę ojcową“ królowną? Przypomnij baśni o śpiącej królownie. Jaki zachodzi stosunek między pojęciami: *chata, dom, pałac, lepianka, dwór, willa* i t. p.? A jakie będzie pojęcie nadrzędne względem wszystkich powyższych? A jeśli dodamy do nich pojęcia: *kościół, uniwersytet, muzeum, szkoła, fabryka*, jakie pojęcie nadrzędne obejmie je wszystkie?
10. **Chory nauczyciel.** Dokończ tego opowiadania. Co powiesz o stosunku wzajemnym ucznia i nauczyciela? Napisz wypracowanie p. t.: „Dobry nauczyciel“. Oznacz, jaki zachodzi stosunek między pojęciami: *uczeń klasy drugiej, uczeń naszej szkoły, uczeń gimnazjum, uczeń szkoły powszechnej, uczeń, chłopiec*.
11. **Z „Katechizmu rycerskiego“.** Naucz się odpowiedzi na pamięć. Co powiesz o tych odpowiedziach? Przypomnij, co wiesz o Szkole Rycerskiej (z pomocą nauczyciela)? Ułóż podobny „Katechizm ucznia“, odpowiadając np. na takie pytania: „Czem jest szkoła polska?“; „Co winienem szkole?“; „Co to znaczy lenistwo?“; „Czem jest posłuszeństwo w szkole?“ i t. p.

12. **O chłopcu, co sypiał w trumnie.** Ułóż plan tego opowiadania. Który moment opowiadania jest najśmieszniejszy i dlaczego? A który ci się najbardziej podobał? Jak autor charakteryzuje Wojtusia? Podkreśl wyrazy z języka uczniowskiego. Wymień 10 przedmiotów, wyrabianych przez stolarza. Którzy jeszcze rzemieślnicy obrabiają drzewo? I co oni robią?
13. **Mały świątek.** Podkreśl wyrazy zdrobniałe i pieszczotliwe. Jaka zachodzi różnica między wyrazami: *świat* i *świątek*, *dom* i *domek*, *dwór* i *dworek* i t. d. Czy różnica ta zależy od samych przedmiotów, które te wyrazy oznaczają, czy od czegoś więcej jeszcze? Co możesz powiedzieć o osobie, w której usta poeta wkłada ten wiersz? Czy tobie wystarczy taki „świątek”? Jeżeli nie, to czego by ci w nim brakło?
14. **Skazana (z dziejów tajnego nauczania w Warszawie).** Pogadanka o tajnym nauczaniu pod zaborem rosyjskim. Jak zachowuje się wobec sądu Joanna? A jej brat Mieczysław? Co powiesz o tym wyroku? Jak autorka charakteryzuje poszczególnych świadków? Wymień wszystkie znaczenia następujących wyrazów wieloznacznych: *bęben*, *dziecko*, *pokój*, *oko*, *para*, *rączka*, *róg*.
15. **Pożegnanie ze stajnią przed wyjazdem do szkoły.** W jakim znaczeniu użył autor przymiotników: *pochlebny* i *przedchlebny*. W jaki sposób przedstawił autor stosunek wzajemny Huba i koni? Czy dzieci miejskie tak samo kochają zwierzęta? Jeśli nie, to dlaczego? Napisz wypracowanie p. t. „Koni — przyjaciel człowieka”. Zmień to opowiadanie tak, jakby to mówił Hub, Machnicki, Łyska. Znajdź wyrazy bliskoznaczne względem następujących wyrazów: *kon*, *przyjaciel*, *dobroczynca*, *podwórze*, *noga*, *furman*.

16. **Nasza szkapa.** Czy stosunek wzajemny dzieci i zwierząt jest jednakowy w §§ 15 i 16? Jeśli nie, to na czym polega różnica? Czy miłość dzieci do koni wynika w obu opowiadaniach z tych samych przyczyn, czy z innych? Podkreśl wyrazy z gwary warszawskiej w rozmowach. Oznacz różnice następujących bliskoznaczników: *kon* — *szkapa* — *rumak*; *krowa* — *krówka* — *krowina* — *króweczka*; *gęś* — *gąska*; *wrób* — *wróbel* — *wróblatko* — *wróblisko*; *leb* — *głowa* — *główka* — *głowina*.
17. **Wrona miejska.** Jakiego człowieka oznacza tu wrona? a kruk? Jaka nauka moralna wypływa z tej bajki? Znajdź pojęcie nadrzędne, podrzędne i współrzedne względem pojęć: *wrona*, *kruk*, *ptak*.
18. **Na lekcji gimnastyki.** Jak zaznacza się charakter każdego z chłopców przy wdrapywaniu się na drążki? A jak zaznacza się stosunek koleżeński? Porównaj pod tym względem §§ 4, 8 i 18. A co powiesz o Nellim? a o Garronem? Porównaj Nellego z Józiem z § 4.
- Dokończ następującego wypracowania:
- | | |
|------------------------------|----------------------|
| Zwinny, jak <i>wiewiórka</i> | Zły, jak <i>osa</i> |
| Pracowity, jak ? | ? jak <i>mucha</i> |
| Uparty, jak ? | ? jak <i>kot</i> |
| Żarłoczny, jak ? | ? jak <i>śłoń</i> |
| Łagodny, jak ? | ? jak <i>baran</i> . |
19. **W piwnicznej izbie.** Porównaj, w jakich barwach maluje poetka „piwniczną izbę” i „wieś”. Poco poetka powtarza niektóre wyrazy, np.: „*po trawce, po zielonej*”, „*zboża a zboża*”, „*takie ci owsy, takie ci żyta*”, „*spójrzysz na lewo, spójrzysz na prawo*”, „*takie ci idą szumy, takie w powietrzu granie*”, spójniki *i*, *a*, *jak*, wykrzyknik *oj!* i t. d.? Które cechy krajobrazu wiejskiego uwypatnia głównie poetka? Jakie uczucie panuje w tym urywku? Znajdź bliskoznaczniki do wyrazów: *izba*, *zmrok*, *mur*, *piwnica*, *dola*, *jęk*, *kąt*.

20. **Mularczyk.** Napisz charakterystykę „mularczyka” według następującego planu. I. *Wstęp*: mój kolega „mularczyk”. II. *Rozwinięcie*: charakterystyka „mularczyka”: 1) imię i nazwisko, 2) twarz, 3) nos, 4) wzrost, 5) chód, 6) ubranie, 7) kapelusz, 8) wiek, 9) „pyszczyk”, 10) uwaga i cierpliwość w pracy, 11) zapal do zabawy, 12) wstydlivość, 14) rodzina, 15) zajęcie ojca i matki, 16) stosunki rodzinne, 17) miejsce zamieszkania. III. *Zakończenie*: czy lubię mego kolegę „mularczyka”?

Co myślisz o nauce, którą dał ojciec synowi w zakończeniu tego opowiadania? Napisz plan, podobny do powyższego, charakterystyki jednego ze swoich kolegów.

21. Wymyśl tytuł do tej powiastki. Zmień tę powiastkę tak, jakby to opowiadał Józio, albo jego ojciec, albo wdowa, albo ubogi chłopiec. Czy jest jakie podobieństwo myśli i uczucia między tą powiastką a wierszem § 1? Znajdź wyrazy bliskoznaczne względem następujących czasowników: *plakać, śpieszyć, odziewać, kupować, wchodzić, zabierać*.

22. **Cobym ci chciała dać.** Co powiesz o każdym z tych życzeń? Które wydaje ci się najcenniejszym? A które najmniej ci przypada do serca? A które z tych życzeń sama autorka uważa za najcenniejsze? Czy mówi wprost o tem? Jeśli nie, to jak można się tego domyślić? Porównaj pod tym względem zwrotkę pierwszą z drugą, trzecią z czwartą. A jaki charakter mają życzenia, zawarte w dwóch ostatnich zwrotkach?

23. **Czeladnik krawiecki Panewka.** Jak autor przedstawia zewnętrzną postać Panewki? A charakter jego? Co można znaleźć dobrego w jego charakterze? A czego mu brak? Jak autor przedstawia stosunek wzajemny Jasia i Panewki? Na czym polega różnica poglądów na życie obu tych ludzi? Podkreśl wyrazy, wzięte z języka ludu warszawskiego.

24. **Żebrak.** Dokończ tego wiersza. Zauważ, jak poeta przedstawia walkę w duszy młodzieńca i jakie pobudki skłaniają go do udzielenia jałmużny żebrakowi a jakie go powstrzymują. Które z nich są silniejsze? A jaką rolę odgrywa krajobraz w tym wierszu? Rozróżnij ściśle znaczenie następujących bliskoznaczników: *ubogi, żebrak, biedak, nędzarz, dziad, dziadek*.

25. **Urbanowa.** Jak autorka przedstawia Urbanową? Jakie są jej zalety, a jakie wady? Co w niej rozśmiesza, co gorszy, a co rozrzewnia? A co czuje autorka względem Urbanowej i jak to swoje uczucie wyraża? Co powiesz o języku, jakim przemawia Urbanowa? Podkreśl w nim wyrazy gwarowe oraz wyrazy i wyrażenia gminne. Czy w języku tym zaznacza się charakter Urbanowej? A jak przedstawia Konopnicka przedstawienie teatralne i jakie obraz ten wywołuje wrażenie? Który moment z życia Urbanowej jest najbardziej wzruszający i dlaczego? Jaka różnica zachodzi między bliskoznacznikami: *łgać, klamać, mijać się z prawdą?*

26. **Poranek mglisty.** Podkreśl wyrazy i wyrażenia, oznaczające mgłę, słotę, wilgoć, osobno zaś wyrazy, oznaczające ruchy powolne i ospałe. Zauważ, jakie uczucie przeważa w tym opisie i podkreśl wyrazy, które oznaczają to uczucie. Jakie dźwięki słyszysz w ostatnich 9 wierszach?

Wypisz 10 rzeczowników i 10 czasowników, oznaczających przyjemne dźwięki, a obok 10 rzeczowników i 10 czasowników, które oznaczają dźwięki przykre.

27. **Odpust na wsi.** Napisz ogólny plan tego opowiadania. Podkreśl porównania i zastanów się, jakie zachodzi podobieństwo między porównywanymi przedmiotami. Wypisz wyrazy, oznaczające dźwięki i głosy, osobno zaś wyrazy i wyrażenia, których autor używa, by oznaczyć upał. Czy

w tem opowiadaniu wyraża się uczucie autora? Jeżeli wyraża się, to jakie i jak? A jak autor przedstawia przyrodę? Czy w obrazach przyrody zawiera się uczucie? Podkreśl wyrazy i wyrażenia gwarowe (gwara mazurska) i wytłumacz ich znaczenie.

28. **Obrazek sielski.** Podkreśl powtarzające się wyrazy i zwroty. Zastanów się, pociągają one się powtarzają. Zauważ osobliwy szyk wyrazów w zdaniach: „Z wierzb szelestem ponad rzeką płynie śpiew“; „To słowika piosnka dzwoni“; „Aż zaszumi pole zbożem“; „Jak srebrnie pole kwitnie“. Znajdź więcej podobnych zdań. Dlaczego szyk wyrazów jest w nich zmieniony? W zdaniu: „Po kościele do gospody płynie tłum“ zmieniaj szyk wyrazów w różny sposób i zauważ, co zmienia się jednocześnie pod względem znaczenia.

29. **Stary sługa.** Napisz ogólny plan tego urywka. Które cechy charakteru starego Mikołaja zaznacza autor? A którą z nich najsilniej podkreśla? Które z nich są miłe, a które niemiłe? A które przeważają? Które z nich charakteryzują go, jako sługę, jako dawnego wojaka, jako szlachcica? Co powiesz o języku, którego używa Mikołaj? A jakie wrażenie wywołuje postać Mikołaja i dlaczego? A jak autor przedstawia cały dom? Co można o nim powiedzieć? Wymień wszystkie znaczenia następujących wieloznaczników: *koń, byk, koza, kozieł, kotka, kobyła, myszka, kot, kura*.

30. **Powój.** Jakiego człowieka oznacza powój? Jak rozumiesz jego odpowiedź? Na czym polega przeciwstawienie „ziemi“ i „nieba“? A co powiesz o przemówieniu poetki do powoju? Zamknij w jednym zdaniu główną myśl utworu. Przyjrzyj się dobrze jakiemu kwiatkowi i opisz go dokładnie.

31. Nadaj tytuł temu opowiadaniu. Zmień je tak, jakby to opowiadał Świątecki. Zmień jego zakończenie w ten sposób, jakby istotnie pod nimi była przepaść. Czy opowiadanie to ma charakter poważny czy żartobliwy?

Ułóż następujące bliskoznaczniki w szereg według ich stopnia: *przyjemność, rozkosz, zadowolenie, upojenie, rozpromienienie, radość, wesele*.

32. **A gdy będą mnie chowali.** Jaka jest główna myśl tego wiersza? Czy dzisiaj ten wiersz ma takie znaczenie, jak przed kilku laty? Podkreśl powtarzające się wyrazy i zwroty. W jakim celu użyte są te powtórzenia? Czy w mowie potocznej powtarzamy czasem niektóre wyrazy i pociągają? Ułóż kilka takich przykładów.

33. **Lirnik.** Ułóż plan tego opowiadania. Napisz charakterystykę lirnika, wymieniając najpierw jego cechy zewnętrzne, potem wewnętrzne, wreszcie charakterystyczne szczegóły z życia i t. d.

Znajdź wyrazy współrzędne względem wyrazu: *lirnik*. Znajdź wyraz nadrzędny.

34. **Gęsiarka.** Jak poeta wyraża wzajemny stosunek gęsiarki i gęsi? Podkreśl porównania. Podkreśl wyrazy zdrobniałe i oznacz, w jakim celu używa ich autor? A jak wyraża się stosunek autora do gęsi i gęsiarki? Objaśnij wyrażenia: „luniano-włosa kosa“, „żdźbło złocisto-ktose“, „sznur gęsi“, „śnieżny łańcuch“. Opowiedz to, jakby mówiła gęsiarka.

35. **A grajze mi, fujareczko.** Chóralna deklamacja wiersza. Pociąg poeta zwraca się do fujarki? Co znaczy: „ulinić“? A jak jeszcze można powiedzieć? Czy każdy potok jest „srebrno-siny“, czy każdy gaj — „szumny“? Pociąg poeta używa tych określeń? Czy wiersz ten jest melodyjny?

36. **Papierucha.** Dokończ tego opowiadania. Jak autor zaznacza charakter chłopski w czynach i przemówieniach starego chłopca? Jaki jest stosunek panów z miasta do obrządku pogrzebu? A jakie szczegóły podkreśla autor w obrazie izby chłopskiej i dlaczego te, a nie inne?
37. **Do mojego grafika.** Jakie uczucie panuje w tym wierszu? Co znaczy: „Zmarnowane bieda z nędzą, jak szalone, ze wsi pędzą”? Jak poeta przedstawia „dobrą wolę” i „cnotę”? Co powiesz o melodyjności tego wiersza? Podkreśl w nim wyrazy z gwary mazurskiej. Następujące wyrazy ułóż w szeregu w taki sposób, by każdy wyraz był podrzędny względem poprzedniego a nadrzędny względem następnego: *chłop, Polak, Europejczyk, chłop polski, Mazur, Aryjczyk, gospodarz ze wsi Wólka*.
38. **Na wakacjach.** Kto to opowiada? Jaki charakter ma ten człowiek? Jaki jest jego stosunek względem samego siebie? Na czym polega przeciwieństwo między nim a ową dziewczyną? Jaka jest główna myśl noweli? Zmień to tak, jakby to opowiadała dziewczyna? Dlaczego ów opowiadający nie wyratował dziecka? A dlaczego wyratowała je dziewczyna? Do kogo lub czego możnaby porównać człowieka męznego? śmiałego? ostrożnego? bojaźliwego? tchórzliwego? nędznego? chytrego? dobrodusznego?
39. **Duch sieroty.** Ułóż opowiadanie treści tego wierszu w kształcie rozmowy (dramatu). Czego sierota żałuje na tym świecie? Dlaczego nikogo i nic więcej nie żałuje? Co powiesz o życiu sieroty? Które z następujących wyrazów — blisko znaczących odpowiadają uczuciom sieroty, a które — gajowego: *rozpacz, ból, cierpienie, żal, smutek, przygnębienie, melancholia, smutek, tęsknota, przykrość, niezadowolenie, troska, zaduma, pochmurność*.

40. **Jarmark.** Ułóż plan tego opowiadania. Podkreśl wyrazy oznaczające barwy i blaski. Jaki główny rys w obrazie jarmarku podkreśla autor. Wypisz wyrazy gwarowe. Porównaj pod tym względem §§ 27 i 40. Napisz wypracowanie p. t. „Na targu (w mieście lub w miasteczku)”, uprzednio obejrzawszy go.
41. **Grzybobranie.** Podkreśl porównania w obrazie zbierających grzyby. Zauważ, jak poeta przedstawia różne gatunki grzybów. Podkreśl wyrazy, oznaczające ruchy. Objasnij wyrażenia: „kobierce murawy”, „namiot gałęzi” i t. p. Czy w tym urywku wyraża się uczucie autora? Kogo lub co można porównać do: *grzyba, lilji, róży, pokrzywy, wierzy, dębu, tulipanu, fiołku* i innych roślin?
42. **Leśniczówka.** Podkreśl wyrazy, oznaczające barwy. Wytlumacz wyrażenia: „czerwone główki maków”, „fala błękitna kwiatków lnu”, „srebrne warkoczce brzozy”, „fala listków”, „brzoza miłuje chatę i bierze ją w ramiona”, „wicher skrzydlaty” i t. p. Podkreśl porównania. Rozróżnij następujące blisko znaczniki: *rozhovor, rozmowa, biesiada, garweda, pogawędka, pogadanka*.
43. **Pies i wilk.** Jakiego człowieka oznacza wilk, a jakiego pies? Jaki jest sens moralny tej bajki? Jak on jest wyrażony? Jak poeta przedstawia oba zwierzęta? Jak zaznacza się charakter obu zwierząt w ich czynach? a w ich słowach? a w sposobie przemawiania? A jak w sposobie przemawiania malują się uczucia obu zwierząt? Co powiesz o wyrażeniach: „połknął dyskurs cały”, „smaczna przyszłość”? Dokończ następującego wypracowania: Ten wilk jest chudy, zgłodniały i jaki jeszcze? Ten pies jest tłusty, syty i jaki jeszcze?
44. **Przysłowia o wilku.** Wybierz sobie niektóre z tych przysłów do nauki pamięciowej. Wytlumacz ich znaczenie. Jakich ludzi oznacza wilk (w tych przysłowiach)? Czy we wszystkich takich samych?

Dokończ następującego wypracowania:

Do *wilka* można przyrównać człowieka chciwego, żarłocznego i jakiego jeszcze?

45. **Lis i kozieł.** Jakich ludzi oznaczają lis i kozieł? Wytlumacz sens moralny tej bajki. Jak poeta charakteryzuje oba zwierzęta w ich czynach, w ich słowach, w ich sposobie mówienia? Jak poeta przedstawia szybkie ruchy lisa? Co powiesz o wyrażeniach: „witał się z gąską“, „za wysokie progi na lisie nogi“, „nasz lis“, „załamałby łapy i bił się w chrapy“? Podkreśl wykrzykniki i określ, co one oznaczają.

Wypisz zdania, w których zauważysz osobliwy szyk wyrazów.

46. **Przysłowia o lisie.** Naucz się niektórych z tych przysłów na pamięć. Wyjaśnij ich znaczenie. Jakich ludzi oznacza w nich lis? Oznacz tych ludzi i porównaj ich charaktery. Które z tych przysłów można zastosować do lisa w bajce § 45?

47. **Odjazd Wiesława.** Co możesz powiedzieć o charakterze Stanisława, Bronisławy, Wiesława, Broniki? Ułóż opowiadanie tego urywku w kształcie rozmowy (komedyjki). Opowiadanie zbiorowe (każde z dzieci mówi za jedną osobę). Co powiesz o sposobie mówienia Bronisławy? a Stanisława? Które z nich ładniej mówi i dlaczego?

48. **Jesienią.** Jak poeta przedstawia krajobraz jesienny? Który jego szczegół uwydatnia najbardziej? Jak rozumiesz ostatnie dwa wiersze? Jakie uczucie autora przemawia w tym wierszu? Które wyrazy powtarzają się i dlaczego? Chóralna deklamacja wiersza.

49. **Do ziemi polskiej.** Naucz się na pamięć tego urywka. Wytlumacz wyrażenia: „skarbnica przeszłości i przyszłości naszej“, „arka, pełna żywego ducha narodu naszego“ „roztocze, zbożami złote“, „kłosowym szumem głośny“, „kró-

lewskie makaty borów“, „kipiele wód“, „osrebrzą światła jezior twoich“, „step kurhanami zagada“, „zima Tatrom srebrne hełmy wdzieje“. Wymień, jakie krajobrazy przedstawia tu poeta, odrzucając te wszystkie piękne wyrażenia i porównania. Co oznacza końcowe wezwanie do „Matki“? Jak tu przejawia się uczucie poetki?

50. **Kościółek wiejski.** Napisz plan tego opisu. Podkreśl wyrazy, oznaczające dźwięki i głosy. Napisz wypracowanie p. t. „Nabożeństwo niedzielne“, dodając takie szczegóły, których niema w powyższym opisie, np.: jak ksiądz był ubrany? jak się modlił przy ołtarzu? kto mu służył do mszy? jak dokonywało się „Podniesienie“? i t. p.

51. **Na plebanji.** Co ks. Piotr widzi na ławce pod cisem? Podkreśl w tym krajobrazie wyrazy, oznaczające barwy. Czy jest w tym krajobrazie uczucie? Jaki krajobraz powstaje wtedy w duszy ks. Piotra? Porównaj z sobą te krajobrazy. Który z nich jest wyrazistszy, który bogatszy w szczegóły i dlaczego? Co powiesz o rozmowie proboszcza i sieroty? Jak sobie wyobraża sierota świat nadzmysłowy? A co powiesz o odpowiedziach ks. Piotra? Podkreśl wyrazy gwarowe w rozmowie. Utwórz rzeczowniki zdrobniałe od następujących rzeczowników: *ksiądz, kościół, sierota, miód, ręka, noga, świat* i określ, co one oznaczają.

52. **Siedzi ptaszek na drzewie.** Jaka myśl zawiera się w tym utworze? Jak ją wypowiada poeta? Wyraź tę myśl w kształcie rozprawki p. t. „Szczęście ludzkie“. A poco tu poeta wprowadził owego „ptaszka“? Dokończ następującego wypracowania:

Pojęcia spreczne		Pojęcia spreczne	
<i>Szczęście</i>	— nieszczęście	<i>Pewność</i>	— niepewność
<i>Stalość</i>	— ?	<i>Sumiennosc</i>	— ?
<i>Sprawiedliwość</i>	— ?	<i>Uczciwość</i>	— ?
<i>Ludzkość</i>	— ?	<i>Możliwość</i>	— ?
<i>Jasność</i>	— ?	<i>Pogoda</i>	— ?

53. **Przepowiednie pogody.** Naucz się niektórych na pamięć. Poszukaj w kalendarzu oznaczonych w nich świąt i postaraj się w ciągu roku sprawdzić słuszność tych przepowiedni. Które z tych przepowiedni wyrażone są wprost, a które w sposób obrazowy?

54. **Brona.** Objasnij wyrażenia: „senna ziemia“, „duch się zmierzchem wzbogaca“, „na nieboskłonie dnia pomnym“, „ciemną sylwetą się czerni“. Jakie tu wyraża się uczucie? a w jaki sposób? A co poeta opisuje? Jak opis łączy się z uczuciem?

Dokończ następującego wypracowania:

Pojęcia przeciwne		Pojęcia przeciwne	
<i>Sen</i>	— czuwanie	<i>Prawda</i>	— kłamstwo
<i>Ciemność</i>	— ?	<i>Spokój</i>	— ?
<i>Cieężkość</i>	— ?	<i>Radość</i>	— ?
<i>Pamięć</i>	— ?	<i>Praca</i>	— ?
<i>Głębia</i>	— ?	<i>Skąpstwo</i>	— ?

55. **Huczy woda po kamieniach.** Jaki obraz natury przedstawia tu poeta? A jaką myśl przeprowadza? Jak łączy się obraz przyrody z myślą przewodnią? Wypowiedz tę myśl w jednym zdaniu. Napisz plan tego wiersza. Kogo porównać można do: *wschodzącego słońca, kwitnącej róży, szemrzącego strumyka, gasnącej lampy, ry czącego lwa, skradającego się lisa* i t. p.?

56. **Klaczka Basia.** Jak autor opisuje klaczkę? Które cechy jej uwydatnia najbardziej? Jaki jest stosunek klaczki do Rafała? Porównaj konie i stosunek ich do ludzi w §§ 15, 16 i 56. A jak autorzy przedstawiają w tych urywkach duszę zwierzęcą? Czy wszystkie trzy konie są pod tym względem jednakowe? Czy lzy Huba i lzy Rafała mają tę samą przyczynę?

57. **Wieczór wigilijny na wsi.** Podkreśl wyrazy i wyrażenia gwarowe. Jaką rolę odgrywa w tym opisie opis natury? Które szczegóły obyczaju chłopskiego wymienia tu autor? Czy przemawia tu uczucie autora i jakie? Napisz wypracowanie p. t. „Wieczór wigilijny w mieście“.

58. **Orzeł i żóraw.** Kogo przedstawia orzeł, a kogo żóraw? Jak wyraża się stosunek autora do obu ptaków? Uzupełnij tę bajkę jeszcze jedną rzeczą: co stało się po drugim przemówieniu orla? Jaka jest myśl moralna bajki? Jaki zachodzi stosunek między pojęciami: *orzeł, orzeł tatrzański, ptak drapieżny, stworzenie skrzydlate, ptak*?

59. **Połowanie na niedźwiedzia.** Ułóż plan tego opowiadania. Podkreśl wyrazy, oznaczające ruchy, oznaczające dźwięki i głosy. Co możesz powiedzieć o doborze tych wyrazów? Podkreśl porównania. Czy jest ich dużo? Jak jest pisane to opowiadanie? Czy wypadki, tu opowiedziane, następują szybko jeden po drugim? Jak ta okoliczność zaznacza się w doborze wyrazów? Jak poeta opisuje tu niedźwiedzia? Wypisz 10 wyrazów, oznaczających ruchy szybkie, oraz 10, określających powolne ruchy. Użyj ich w zdaniach.

60. **Niedźwiednik.** Ułóż charakterystykę „niedźwiednika“: jego cechy zewnętrzne, wewnętrzne, wypadki z życia i t. d. Porównaj zachowanie się „niedźwiednika“ wobec niedźwiedzia z zachowaniem się młodzieńców w § 59. Porównaj charakterystykę niedźwiednika z charakterystyką lirnika w § 33.

Opowiedz szczegółowiej o śmierci „niedźwiednika“.

61. **Zając i niedźwiedź.** Jakich ludzi wyobrażają zając i niedźwiedź? A jaki jest sens moralny? Na czym polega żartobliwość tej bajki? A jak się ona wyraża w sposobie opowiadania? Opowiedz końcową scenę tej bajki w kształcie przemówienia (monologu) niedźwiedzia.

Co znaczy: „przyjaźń gorąca“? „chłodne przyjęcie“? „zimna obojętność“? „żarliwa modlitwa“? „ognisty zapal“? „lodowate słowa“? „palający wzrok“?

62. **Nietoperze.** Ułóż plan tego opisu według następującego wzoru: I. *Wstęp* (o czym?). II. *Rozwinięcie*: przygody autora z nietoperzami (jakie?). III. *Zakończenie*: spostrzeżenia nad nietoperzami (jakie?).

Obejrzyj nietoperza na obrazku lub wypchanego i spróbuj go opisać.

63. **Polowanie z sokołami.** W jakim celu autor zwraca się do sumaka w pierwszej zwrotce? Jak przedstawia ciche podkradanie się strzelców w tejże zwrotce? Podkreśl wyrazy, oznaczające barwy i blaski w drugiej zwrotce. Jak przedstawia ruchy i postawę sokoła w trzeciej? Podkreśl wyrazy, oznaczające dźwięki w czwartej. Jak poeta przedstawia szybkość ruchów sumaka w piątej zwrotce? A jak odtwarza śmierć sumaka w ostatniej zwrotce? Co powiesz o wyrazistości całego obrazu polowania?

64. **Napad dzików.** Ułóż plan tego opowiadania. Obejrzyj dzika na obrazku lub w gabinecie zoologicznym i spróbuj go opisać. Objaśnij następujące wieloznaczniki: *pokój, róża, sumak, kosz, stółek, bęben, głowa*.

65. **Śniadanie myśliwskie.** Podkreśl porównania. Objaśnij wyrażenia: „szara sosna dymu“, „brzuchate kociolki“, „flaszek białe głowy“, „łonem wilgotnem okrywa“. W jakim celu poeta opuszcza spójniki w zdaniu: „Miedź grzmi, dym bucha, bigos, jak kamfora ginie, zniknął, uleciał“? Co tu oznacza wyraz: „miedź“? W jaki sposób poeta mówi o bigosie? Znajdź wyrazy nadrzędne względem następujących podrzędnych: *bigos, kociolatek, żóładek, kapusta, wódka, wulkan, wrzos*.

66. Nadaj tytuł temu opisowi. Objaśnij wyrażenia: „mur-sosen“, „czarna opaska lasu“, „sosny prze-głądały się w jeziorze“, „las tkwił nieruchomie“, „szeregi kolumn, idące gdzieś daleko“. Poco w tym zdaniu powtarza się wyraz: „daleko“? Podkreśl porównania. Narysuj plan tej miejscowości.

67. **Pieśń żniwiarska.** Jakie uczucie przemawia w tym wierszu? Jaka jest przyczyna tego uczucia? Jak wyraża się to uczucie w samym doborze wyrazów? A jakie szczególne krajobrazu wymienia tu autor? Opisz (jeżeli widziałeś) dożynki lub inną uroczystość wiejską.

68. **Gniazdo słowicze.** Jak autor przedstawia budowanie gniazda przez słowiki? Jak przedstawił tu autor duszę ptaków? Które cechy ich charakteru najwięcej uwydatnił? Czy zachodzi jaka różnica między charakterami samca i samiczki? Porównaj zabiegi i troski słowików z zabiegami i troskami ludzi.

69. **Pod lipą.** Podkreśl wyrazy staropolskie w tym wierszu. Jakie szczegóły krajobrazowe zaznacza tu poeta? A jak wyraża swoje uczucia? Co oznaczają wyrazy: *liść, liścik, list, listek, listeczek, listowie, liście*? Jak tu należy rozumieć wyraz: *lutnia*? A wyrazy: *pędzel, dłuto, pióro, smyczek, olówek*?

70. **Pożar lasu.** Ułóż plan tego opisu. Jak autor przedstawia ogień i wiatr? Podkreśl wyrazy, oznaczające blaski, oznaczające dźwięki. Podkreśl porównania.

Znajdź bliskoznaczniki do wyrazów:

Las — bór, puszcza i jak jeszcze?

Wiatr — wicher „ „ „ ?

Ogień — płomień „ „ „ ?

Zwierzę — zwierz „ „ „ ?

71. **Jagoda.** Co powiesz o tej dziewczynie? Jakie uczucie przemawia w tym wierszu? Jakie zwierzęta dzikie i swojskie wymienia poeta? A jakie rośliny leśne? Podkreśl wyrazy z gwary wiejskiej. Podkreśl powtarzające się wyrazy i oznacz, poco się powtarzają. Jaka myśl zawiera się w piosence „jagody”? Dopowiedz koniec tej piosenki.

72. **Zaścianek dobrzyński.** Jak poeta charakteryzuje Dobrzyńskich? Które ich cechy, zewnętrzne i wewnętrzne, najbardziej uwydatnia? Jak zaznacza różnicę między Dobrzyńskimi-szlachtą a ludem litewskim? Napisz wypracowanie p. t. „Charakterystyka Dobrzyńskich” (z planem).

73. **Żubry w Białowieży.** Ułóż plan tego opisu. Obejrzyj żubra na obrazku i spróbuj go opisać. Jaki zachodzi stosunek między pojęciami: *żubr, tur, bizon, byk, krowa*?

74. **Mazur.** Jakie uczucie przemawia w tym wierszu? A jaka jest przyczyna tego uczucia? Podkreśl wyrazy gwarowe. Co powiesz o wyrażeniach: „do kosy się przyłoży”, „tnie Moskala”, „biesz cię porwie”, „wykrzesać w podkówki” i t. p.? Co powiesz o śpiewności tego wiersza?

Dokończ następującego wypracowania:

Pojęcie nadrzędne

Pojęcia podrzędne

Polak	Mazur, Wielkopolanin, Kaszuba
Polak	szlachcic
Polak	Warszawiak
Polak	uczony
Polak	mieszkaniec nizin

Które z tych pojęć mogą być z kolei nadrzędne względem pojęcia: „Polak”?

75. **Do puszczy białowieskiej.** Podkreśl porównania. Objaśnij wyrażenia: „nitki rzeczułek”, „szczeciniasty szuwar”, „czochrate wierzby”, „wiatraki z rozpostartymi ramionami”.

„powódź światła”, „poziłota słońca”, „płowe warkocze żyta”, „gwiazdki modrych chabrów i malinowych kąkoli”, „gderliwe gwizdnięcie lokomotywy”, „kosmate chorągwie ulścionych gałęzi”, „piernikowa rdza”, „wesoly łoskot pociągu”, „płynęły obrazy puszczy”, „wilgotne dreszcze słoneczne”, „pogrążone w przejrzystym zmroku morskiej głębiny”. Na czym polega żartobliwość tego opowiadania? Napisz wypracowanie p. t. „W drodze kolejną”.

76. **Niemen.** Objaśnij wyrażenia: „ssie ruczaje”, „w wesote puszcza tany”, „niebo uśmiech ma w błękicie”. Jak poeta opisuje rzekę? a jak wyraża swoje uczucie? A czego tu więcej: opisu czy uczucia? Podkreśl powtarzające się wyrazy. Napisz wypracowanie p. t. „Nad moją rodzinną rzeką”.

77. **Mgła poranna w górach.** Napisz plan tego opisu. Objaśnij wyrażenia: „ogłuchły echa pieśni”, „dolina leżała cichym snem”, „uśmiech piękna snu marzącego”, „barwa igrająca”. Podkreśl porównania. Podkreśl w pierwszej części opisu wszystkie wyrazy, oznaczające mgłę i jej gęstość, a w drugiej części — oznaczające blask i barwę. Opisz, jak wygląda miasto (lub wieś) podczas mgły w dzień lub wieczorem.

78. **Pieśń góralska.** Które cechy charakteru górala podkreśla tu autor? Które wymienia szczegóły krajobrazu górskiego? Które wyrazy się powtarzają? Porównaj pieśni §§ 74 i 78: 1) pod względem przejawiającego się w nich charakteru ludowego, 2) pod względem przeważającego w nich uczucia, 3) pod względem śpiewności.

79. **Taniec górali.** Podkreśl wyrazy góralskie. Podkreśl porównania. Co powiesz o wyrażeniu: „brwi wielkie nad oczami, ukrytymi pod wystającym, jak okap, zrębem czoła”? Podkreśl wyrazy, oznaczające dźwięki; oznaczające ruchy. Jak poeta przedstawia powolność lub szybkość tych ruchów? Porównaj charakter górali w §§ 78 i 79.

Jaki zachodzi stosunek między pojęciami: *cucha* i *opończa*; *ciupaga* i *siekierka*; *juhas* i *pasterz*; *gazda* i *gospodarz*; *smrek* i *świerk*?

80. **Dumka.** Jaki krajobraz maluje tu poeta i w jaki sposób? A jakie przemawia tu uczucie i w jaki sposób? Jak zaznacza autor stosunek swój do przyrody? A jak przedstawia Dniepr? Podkreśl wyrazy ukraińskie. Podkreśl wykrzyknienia i wykrzykniki i określ, co się w nich wyraża. Wypisz 10 wykrzykników i objaśnij ich znaczenie.

81. **Ukraina.** Podkreśl wyrazy powtarzające się i oznacz, poco je poetka powtarza. Wybierz czasowniki, złożone z przedrostkami: *za* —, *roz* —, i zastanów się nad ich znaczeniem. Podkreśl wyrazy, oznaczające szerokość przestrzeni. Co znaczy: „smutek rzeczy skończonych”? Jak poetka określa pieśń ukraińską? Podkreśl porównania. Rozróżnij bliskoznaczniki: *lekki* — *lekuchny*; *cienki* — *cieniuchny*; *biały* — *białawy* — *bieluchny* — *bielutenki*. Znajdź więcej podobnych przykładów.

82. **Kozak w stepie.** Jakie szczegóły krajobrazu wymienia tu poeta? Porównaj obraz stepu w §§ 80, 81 i 82. A jak określa Malczewski charakter Kozaka? Ułóż plan jego charakterystyki. W jakim celu poeta rozpoczyna swój utwór od wykrzyknika: „Ej!”? A w jakim celu podaje szereg pytań na początku? A jak zaznacza stosunek Kozaka do przyrody? Napisz na podstawie §§ 80, 81 i 82 wypracowanie p. t. „Step ukraiński”.

83. **Podole.** Którą cechę krajobrazu podolskiego uwydatnia poeta i w jaki sposób? A jak określa życie tamtejszych mieszkańców? Porównaj obraz Podola z obrazami Ukrainy w poprzednich trzech paragrafach. A jakie tu przemawia uczucie? Porównaj pod względem uczucia § 74 („Mazur”) i § 83 („Podole”).

84. **Bolesław Chrobry.** Które wypadki z czasów panowania Chrobrego wymienia tu poeta? Czy znasz takie, których nie wymienia? A dlaczego wymienia te, a nie inne? Co możesz powiedzieć o Chrobrym na podstawie tego wiersza? Znajdź bliskoznaczniki względem następujących wyrazów: *pędzić*, *rzucić*, *ujrzeć*, *okryć*, *blagać*, *zbierać*, *uderzać*, *padać*, *podnosić*.

85. **Koronacja króla Przemysława.** Którą chwilę dziejową przedstawia tu autor? Jakie znaczenie miała ta chwila w dziejach Polski? Jak autor przedstawia uczucie arcybiskupa Świnki? a króla? a tłumu? a Czewojka? Które zaznacza szczegóły obrzędu koronacyjnego? Jakie ma znaczenie śpiewanie pieśni „Bogarodzica”? A jak w końcowym ustępie przedstawia autor orszak koronacyjny? Zauważ zdania ze zmienionym szykiem wyrazów. Opisz jakiegokolwiek święto narodowe, nie zapominając i o swoich uczuciach podczas tej uroczystości.

86. **Święta Kinga.** Podkreśl porównania. Zauważ osobliwy rodzaj porównań w pierwszych czterech zwrotkach. Objaśnij wyrażenia: „miotły na niebie i szczerą krew”, „dzwony pływają”, „chyli się ludu szeroki łan”, „noga skrzydlata”, „i oto Kinga u ludu głów stanęła”, „diadem Tater” i t. p. Objaśnij zdania ze zmienionym szykiem wyrazów, np. „Już nas dogania Tatarzyn dziki” i t. p. Co jest niehistorycznego w tym wierszu? Objaśnij następujące wyrażenia: „stać na czele wojska”, „głowa ludu”, „strzec, jak żrenicy oka”, „dawać gardło”, „mieć dla kogoś serce” „zginać kark przed kim”.

87. **Polowanie na tura w XV wieku.** Podkreśl wyrazy myśliwskie. Podkreśl wyrazy, oznaczające ruchy, głosy. Porównaj obraz tego polowania z obrazami w §§ 59, 60, 63, 64. Jak zachowują się podczas tego polowania myśliwi? a księżna? Co wiesz o turach? Czy dziś istnieją jeszcze tury?

88. **Królowa Jadwiga.** Podkreśl porównania. Co oznaczają wyrażenia: „wonna róża z Piastów rodu“, „podparta królów dom stary i Litwę z Polską kojarzy“, „i tę starą szkołę wzniosła, która światła jest krynicą“, „ostatnia z Piastów krzewu“, „sławna jest z posiewu“, i „korona siadła sobie“? Co wiesz o krucyfiksie Jadwigi?

Dokończ następującego wypracowania:

Zamiast *nauka* można powiedzieć: *światło nauki*.

„	<i>nadzieja</i>	„	„	?
„	<i>chwała</i>	„	„	?
„	<i>smutek</i>	„	„	?
„	<i>rozpacz</i>	„	„	?

89. **Matka królów.** Ułóż plan tej charakterystyki. Co wiesz o synach królowej Elżbiety? A co wiesz o Długoszu? Jak autor charakteryzuje królowę Elżbietę? Znajdź 10 par wyrazów sprzecznych.

90. **Pochód Jana Olbrachta na Bukowinę.** Napisz plan tego opowiadania. Jak autor przedstawia zapowiedzi najścia tureckiego? Co powiesz o tych zapowiedziach? Jak zachowuje się naród wobec tych zapowiedzi? A król? Jakich dowodów używa król, by zachęcić szlachtę do obrony ojczyzny? Co powiesz o tych dowodach?

91. **Duch królowej Barbary.** Co wiesz o królowej Barbary? Jak poeta przedstawia króla Zygmunta? Wymień jego cechy zewnętrzne i wewnętrzne? Czy poeta przedstawia postać i charakter Twardowskiego? Wymyśl co o Twardowskim: jak on wyglądał? jak się ubierał? jaki to był człowiek, czy był naprawdę czarownikiem? i t. d.

92. **Niespodziewana obrona.** Dokończ tego opowiadania. Co powiesz o ks. Ostrogskim? a o księżnie Beacie? A o gościach weselnych i mieszkańcach Dubna? Co słyszałeś o Tatarach?

Dokończ następującego wypracowania:

<i>Niski charakter</i>	—	<i>podły charakter</i>
<i>Rozległe znajomości</i>	—	?
<i>Głęboki szacunek</i>	—	?
<i>Wysokie mniemanie o sobie</i>	—	?
<i>Ciasny pogląd</i>	—	?
<i>Szeroka natura</i>	—	?
<i>Płytki umysł</i>	—	?
<i>Krótką pamięć</i>	—	?

93. **Karliński.** Podkreśl porównania. Objasnij wyrażenia: „o złocistych na główce swej puchach“, „boleścią rozdarty“, „świeci dziecię, aniołek ten złoty“, „huczą pieśnią zniszczenia straszliwą“, „dymy gęstym rozsiadły się wałem“. Zauważ wykrzykniki i określ, co one oznaczają. Jak poeta określa uczucia Karlińskiego? Co oznaczają pytania w przedostatniej zwrotce? Wypisz 10 par wyrazów przeciwnych.

94. **Karol Chodkiewicz.** Które wypadki z życia Chodkiewicza wymienia tu autor? Co w jego życiu uwydatnia najsilniej? Objasnij wyrażenia: „nad nami już świta promień bohaterskiej sławy“, „z młodości poranku“, „godzić na ostre“, „w zawartym szranku żelazne zrywać pierścienie“, „jeszcze swej hymen nie zgasił pochodni“, „bluznierczą duszę wyziewa“, „mir wieczny Polsce przysięga“. Jakiemi bliskoznacznikami można zastąpić wyrazy: *mir*, *świętnica*, *hymen*, albo: *biegun*, *śmiertelnik*, *kapłan*, *gród*? Jaka zachodzi różnica między temi bliskoznacznikami?

95. **Po bitwie pod Korsuniem.** W jaki sposób autor opowiada o klęsce korsuńskiej? Czy widzimy samą bitwę? Jak autor stopniuje wrażenia klęski? Jak przedstawia uczucia Skrzetuskiego i jak je stopniuje? A jakie wrażenie na tobie wywołuje to opowiadanie? Podkreśl porównania. Podkreśl wyrazy ruskie w przemówieniach Kozaków.

Ułóż zdania, w których pory życia ludzkiego byłyby porównane do pór roku, do pór doby.

96. Nadaj tytuł temu opowiadaniu. Podkreśl wyrazy i wyrażenia, oznaczające głosy, oznaczające ciszę. Jaki jest wzajemny stosunek tych wyrazów. Jak zachowują się czterej rycerze? Co możesz powiedzieć o ich charakterze na tej podstawie?

Objasnij wyrażenia: *dać bobu, skroić kurtę, wyciąć kura, sprawić lupnia, dać drapaka.*

97. **Buława Rewery.** Co powiesz o Rewerze Potockim na podstawie tego wiersza? Objasnij wyrażenia: „twarz taka pogodna“, „na czole promienie spokoju“, „dla piersi żelaznych tych gromu“, „w sen wieczny zaciśnie powieki“, „twój piorun grzmieć będzie nad nami“. Które wyrazy powtarzają się i poco? Co powiesz o wyrazach: *gęźdba, duma, ima, ustawa?*

98. **Procesja na wałach Jasnej Góry.** Co wiesz o obronie Jasnej Góry przeciw Szwedom? Jak autor przedstawia procesję? A jak odtwarza uczucia ks. Kordeckiego, zakonników, ludu? A jak maluje przyrodę? W jakim celu powtarza wyraz: „błogosławił“? A jak Sienkiewicz przedstawił zbliżanie się wojsk szwedzkich? Czem ks. Kordecki różni się od całego otoczenia?

99. **Śmierć Czarnieckiego.** Co wiesz o Czarnieckim? A jak przedstawia go poeta w tym wierszu? Objasnij wyrażenia: „świętym krzyżem maże ziemskie grzechy“, „i szeroką odzywa się szramą.“ Które wyrazy powtarzają się i poco? Porównaj z tym wierszem znany obraz, przedstawiający również „Śmierć Czarnieckiego“ (nauczyciel powinien postarać się o reprodukcję). Jaki zachodzi stosunek między następującymi pojęciami: *stępak, klusak, wyścigowiec, wierzchowiec, bachmat, koń, dzianet, gniadosz, siwek, perszeron, arabczyk.*

100. **Wydra króla Jana Sobieskiego.** Jak w tem opowiadaniu przedstawia się charakter Paska? A króla Jana? A wzajemny stosunek króla polskiego i poddanych? Podkreśl wyrazy staropolskie. Uzupełnij to opowiadanie końcową sceną. Co wiesz o królu Sobieskim?

101. **Król w gościnie.** Jak w tym urywku przedstawiony jest Stanisław August? A Rdułtowski? A jak autor odtwarza stosunek króla polskiego do poddanych? Porównaj pod tym względem §§ 100 i 101. Rozszerz wzmiankę o Piaście w dłuższe opowiadanie. Jakie znaczenie ma podanie o Piaście dla nowych dziejów? Zmień to opowiadanie na komedijkę, składającą się z kilku scen, np.: Scena I.: Rdułtowski z żoną i dworzanami czyni przygotowania do przyjęcia króla. Scena II.: Rdułtowski wita króla na ganku. Scena III.: Uczta w stole.

102. **Gościnność polska.** Jak tu poeta przedstawia wnętrze dworu polskiego? A jak odtwarza gościnność polską? Porównaj gościnność w §§ 101 i 102. Który obrazek w tym wierszu najbardziej ci się podoba? Co powiesz o przysłowiu: „Gość w dom, Bóg w dom“? A czy znasz inne przysłowia o gościach i gościnności?

103. Nadaj tytuł temu opowiadaniu. Co znaczy „kwestarz“? Co powiesz o postępowaniu króla? A o kwestarzu? Które z pytań wydaje ci się najtrudniejszym? A która odpowiedź najdowcipniejszą? Odpowiedz na następujące pytania: 1) którądy droga do nieba? 2) co na ziemi jest najsilniejsze? 3) co na świecie najmniej warte?

104. **Polonez.** Podkreśl wyrazy, oznaczające ruchy, oznaczające barwy i blaski. Podkreśl wyrazy, oznaczające domniemane uczucia i myśli Podkomorzego. Co powiesz o ostatniem porównaniu do węża?

105. **Jasełka w Warszawie w 1794 r.** Kiedy mogła rozgrywać się ta scena: przed powstaniem czy po jego wybuchu? Kogo oznacza „królowa w kajdanach”? a „Katarzynka”? a „król malutki”? Co wiesz o Igelströmie? Poco Staszek pokazuje te figurki? A jaka główna myśl zawiera się w tych wszystkich piosenkach? Podkreśl wyrazy łacińskie i staropolskie. Co powiesz o wyrazach: „fajtać”, „bzdyczyć się”, „smród”?
106. **Bartosz Głowacki.** Co wiesz o Bartoszu Głowackim? A o bitwie pod Racławicami? Jak tu poeta przedstawia Bartosza? A bitwę? Podkreśl porównania. Podkreśl wykrzykniki i powiedz, co one oznaczają? Wybierz wyrazy gwarowe. W jakim znaczeniu użył tu poeta wyrazów: „wiara”, „brózdzić”, „jary”? Czy jest jaka wspólna myśl w §§ 105 i 106? Co powiesz o wyrażeniach: „poczekajcie, psu brat”, „aż Moskale het w nogi”, „uciekali, jak wściekli”?
107. **Pokusa.** Co słyszałeś o ks. Józefie? A jak autor przedstawia ks. Józefa? A Marcina Badeniego? Objasnij następujące bliskoznaczniki: *słońce* — *słonko* — *słoneczko*; *wiosna* — *wiosenka*; *miesiąc* — *miesięczek*; *rok* — *roczek*; *matka* — *mateczka*; *kompot* — *kompotecik*.
108. **Pieśń żołnierza.** Do wygłaszania głośnego, jednostkowego lub chóralnego. Jakie uczucie przemawia w tej piosence? W jakim znaczeniu użyto tu wyrazów: *ładnie*, *rozkosz*, *wojenka* (dlaczego nie: *wojna*?)
109. **Bracia.** Co wiesz o Dąbrowskim i legionach? Który szczególnie życia legionistów jest tu najbardziej uwydatniony? Co powiesz o postępowaniu Godebskiego? a Wrońskiego? a Rymkiewicza? a Drzewieckiego? Powiedz na pamięć „Pieśń legionów” czyli „Mazurek Dąbrowskiego”.

110. **Wąwóz Somosierry.** Dlaczego wiersz ten zaczyna się od pytania? Które wyrazy i zdania powtarzają się i w jakim celu? Podkreśl porównania. Wybierz 10 zdań ze zmienionym szykiem zdań i wy tłumacz, poco ten szyk został zmieniony.
111. **Dwaj weterani.** Co powiesz o obu wiarusach? A o Dąbrowskim? Podkreśl w przemówieniach pierwszego wiarusa wyrazy z gwary żołnierskiej. Porównaj Dąbrowskiego z Rymkiewiczem i Drzewieckim w § 109. Jaka zachodzi różnica między bliskoznacznikami: *wiarus* i *weteran*, *żołnierz* i *wojak*, *generał* i *wódz*, *wojna* i *wojaczka*?
112. **Napoleonista.** Jak poeta przedstawia starego napoleonistę? Jak maluje jego zewnętrzne cechy i jego charakter? Napisz, na podstawie §§ 111 i 112, wypracowanie p. t. „Stary wiarus”.
113. **Napad na Belweder.** Ułóż plan tego opowiadania. Co wiesz o powstaniu listopadowym? Co teraz dzieje się w Belwederze? Co wiesz o w. ks. Konstantym?
114. **Gospodyni.** Do deklamacji jednostkowej i chóralnej. Co powiesz o tej gospodyni? Czy sposób jej mówienia przypomina bardziej szlachciankę czy chłopkę? Co powiesz o jej sposobie mówienia? Wylicz wszystkie znaczenia wyrazów: *gospodarz* i *gospodyni*.
115. **Obraz cudowny.** Jakie wyraża się uczucie w tym wierszu? Porównaj pod względem uczucia §§ 114 i 115. Co powiesz o znakach cudownych, o których mówi się w tym wierszu? Co powiesz o szyku wyrazów w zdaniu: „Drżącą go ręką pan Miecznik rozwinął”? Zmień kilkakrotnie ten szyk i porównaj utworzone w ten sposób zdania.

116. **Zwłastwo pod Stoczkiem.** Co powiesz o postępowaniu wodzów polskich w tem opowiadaniu? Która z postaci historycznych jest tu najbardziej uwydatniona? Objaśnij wyrażenia: „utworzyli cztery czoła“, „tygrysi napad“, „piorunowy atak“, „niedźwiedziowaty Zubr“, „od czoła“, „w serdeczny utulić uścisk“, „wziąć byka za rogi“, „migotały się złotem i błyskawicami“, „wszył się“, „była senna cisza“, „konfederacką krzyżową sztuką rąbał“, „opadające leniwie dymy“, „kając się“, „napsuć krwi“. Podkreśl porównania.

Do czego można przyrównać: niezgrabiasza, lekkomyślnika, tchórza, chciwca, dziewczynę, obłudnika, pocziwca, uparciucha?

117. **Śmierć pułkownika.** Co wiesz o Emilji Platerównie? Porównaj ten wiersz z § 99: „Śmierć Czarnieckiego“. Czy obaj wodzowie postępują jednakowo, czy jest jaka różnica w ich postępowaniu? Czy w postępowaniu Platerówny widoczne jest, że jest to kobieta? Podkreśl zdania ze zmienionym szykiem wyrazów. Podkreśl powtarzające się wyrazy.

118. **Czarna sukienka.** Jakie uczucie przemawia w tym wierszu? Jakie są przyczyny tego uczucia? Wyjaśnij wyrażenia: „nadziei wytryskał zdrój“, „do grobu Polska zstąpiła“, „szata godowa“, „sprawa bratnia“, „poszedł w strony nieswoje“, „laur Igań“, „Wawru kwiaty“, „trefić“, „w więzach jęczy naród“. Porównaj uczucie w wierszach §§ 117 i 118.

119. **Przygoda w Wejmarze.** Co wiesz o Mickiewiczu? A o Goethem? Na czym polega żartobliwość tego opowiadania? Co powiesz o zachowaniu się Mickiewicza? a Odyńca? a owego Francuza? Przyjrzyj się dobrze portretowi Mickiewicza i powiedz, coś zauważył w tej twarzy?

120. **Spotkanie ze Słowackim.** Co wiesz o Słowackim? Co powiesz o zachowaniu się Słowackiego? Porównaj je z zachowaniem się Mickiewicza w § 119. Czy uczucia Darowskiego i uczucia owego Francuza były podobne? A jeśli różniły się, to czym? A co powiesz o jego zachowaniu się? Co naród winien swym poetom?

121. **W pamiętniku.** Jakie przemawia tu uczucie? W czym się ono przejawia? Co znaczy, że kwiatki i gwiazdki są poetami i będą „poematy składać“? Czem jest właściwie poeta? Podkreśl wyrazy zdrobniałe. Dlaczego używa ich poeta? Jaka różnica między wyrazami: Zofja, Zosia, Zośka, Zosienka, Sophie, Zosieczka?

122. **Grób strzelca.** W których czasach rzecz się dzieje? Co wiesz o tych czasach? Co powiesz o tym legioniscie? a o popie? Podkreśl wyrazy, wzięte z rosyjskiego. A poco ich używa poeta? Dlaczego popa nazywa poeta „żandarmem w spódnicy“? Które wyrazy powtarzają się i poco? O jakim wietrze mówi poeta w ostatniej zwrotce? A jakie uczucie przemawia w tym wierszu? Jaka jest jego myśl główna?

123. **Siejba pod kulami.** Kiedy to się działo? Czy pamiętasz jakie zdarzenie z ostatniej wojny? Co powiesz o tym chłopie? a o jego synu? Który rys charakteru chłopskiego występuje tu najdobitniej?

124. **Rok 1916.** Wytłumacz, co chciał autor powiedzieć w tym wierszu, zdanie po zdaniu. Wyraż w jednym zdaniu myśl główną tego wiersza. Czy podoba ci się sposób pisania w tym wierszu?

125. **Po zdobyciu Wilna.** Co pamiętasz o wojnie Polaków z Moskalami w r. 1918—1920. Czy nie miałeś kogoś bliskiego na tej wojnie? Pogadanka o dziejach Wilna po

rozbiarach. Jakie uczucie budzi w tobie to opowiadanie? Porównaj pod tym względem §§ 115, 116 i 125. A §§ 122, 124, 125. POCO tu użył autor wyrazów rosyjskich? Czy w tym samym celu, co Słoński w wierszu § 122?

126. **Przypowieść o żołnierzach.** Co powiesz o postępowaniu pierwszej rotę? a drugiej? a trzeciej? a owego żołnierza, co niósł rannego? a o jego przemówieniu? Jaka nauka płynie z tej przypowieści? Co powiesz o wyrażeniach: „są pobici“, „zaczem“, „wejść w radę“, „ważyć lekce“?
127. **Djabel i zboże.** Co tu oznacza zboże? A zagrzebanie zboża w ziemi? a djabeł? Co powiesz o postępowaniu diabła? Dlaczego, mówiąc o djable, poeta używa takich wyrażeń: „djabeł mądry“, „dumny i rad“, „całem gardłem się rozśmiał“? Kogo poeta ma na myśli w ostatnich czterech wierszach? A jaka myśl się w nich zawiera? Znajdź bliskoznaczniki do wyrazów: *Bóg* i *djabel*.
128. **Miłość i zgoda.** Naucz się tego urywku na pamięć. Jaki zachodzi, według Skargi, stosunek między miłością a zgodą? Jakie są stopnie miłości? a stopnie zgody?
129. **Wygnańcy i Szaman.** Co tu poeta mówi o wygnańcach? A co powiada o obyczajach ludu syberyjskiego? A jak określa Szamana? Co można powiedzieć o Szamanie na podstawie jego przemówienia do wygnańców? Jaki jest stosunek wzajemny Szamana i wygnańców? Czy mówiąc o wygnańcach, poeta zaznacza jakie ich wady? Kogo ma na myśli, mówiąc o wygnańcach? Opowiedz, co wiesz o Syberji.
130. **Pieśń katorżników.** Do nauki pamięciowej i wygłaszania jednostkowego i chóralnego oraz śpiewu. Jakie przeważa tu uczucie? Dlaczego takie właśnie uczucie żywi poeta względem cara? Porównaj uczucie wygnańców

w §§ 129 i 130. Co powiesz o wyrażeniach: „wierny poddany“, „pracować będę dla cara“, „może się kiedyś poszczyci“?

131. **Marjanna w drodze do Brazylii.** Jak autorka opisuje Marjanę, jej rysy, jej ubiór? A co możesz powiedzieć o jej charakterze? Który rys charakteru Marjanny autorka uwydatnia najsilniej? Który z następujących bliskoznaczników można zastosować do Marjanny: *inteligentna, wykształcona, rozsądna, rozumna, sprytna, uczona, pomysłowa, mądra, dowcipna* i t. p.?
132. **Tęsknota za krajem.** Czy domyśliłeś się, o którym kraju tu mowa? A po czym? A która z wymienionych tu cech tego kraju jest najwybitniejsza? Jakie tu przemawia uczucie i w jaki sposób? Porównaj pod tym względem §§ 129 i 132. Dlaczego tu jest tyle pytań i co one mają oznaczać? Objasnij wyrażenia: „zbóż falami niwa się płomieni“, „bór się śmieje jedliną i sosną“, „chmiel złociste rozwiesza festony“, „olszyny osrebrzone mchami“, „droga płynie wstęgą“, „krzyże stoją na straży“ i t. d. Co tu się powtarza i w jakim celu?
133. **W Ziemi Świętej.** Ułóż plan tego opowiadania. Przypomnij, co wiesz o złożeniu do grobu i zmartwychwstaniu Chrystusa Pana. Podkreśl wyrazy, oznaczające różne uczucia. Które uczucie (czy uczucia) przeważały w duszy poety? Jak poeta przedstawia krajobraz palestyński? Jaki zachodzi stosunek między pojęciami: *katolik, ewangelik, chrześcijanin, prawosławny, greko-ormianin, kalwinista*.
134. **Nad jeziorem szwajcarskiem.** Które szczegóły krajobrazu alpejskiego wymienia tu autor? A jakie tu przemawia uczucie? Porównaj pod względem uczucia §§ 129, 132 i 134.

135. *U ludożerców afrykańskich.* Które szczegóły z życia ludożerców zaznacza tu autor? A jak przedstawia króla Muene-Pira? W jaki sposób mówi o nim? Poco, mówiąc o nim, używa takich wyrażen, jak: „starowinka“, „filet sauce naturelle“, „papa“ i t. p.? Objaśnij przedostatni ustęp: „Poczęstowałem go winem“ i t. d.
136. *Wyspa wszelkiej pomyślności.* W jaki sposób autor mówi o wszystkich tych cudownościach? Czy wierzy sam, czy każe nam wierzyć, że taki kraj istnieje? Co ci się w tym kraju najbardziej podoba? A czego w nim brak, według twego zdania?
137. *Sąd krasnoludków nad szczurem złodziejem.* Dokończ tego opowiadania i orzec, jaki wyrok wydał król na Wiechetka. Co go potępia? a co zmniejsza jego winę? Czy krasnoludki istnieją naprawdę na świecie? A poco o nich autorowie piszą w książkach, a ludzie czytają? Czy lubisz baśnie i dlaczego?
138. *Janek szewczyk.* Jak poeta przedstawia Janka? Które wady jego wymienia? A czy zaznaczył jaką jego zaletę? Co mówisz o królu i jego dworze? A o księdzu plebanie? W jaki sposób mówi o nich poeta? A co powiesz o dziwnym losie Janka? A czy tu są jakie rzeczy cudowne? Co powiesz o wyrazie: „pożałował“?
139. Nadaj tytuł temu opowiadaniu. Czy to prawda, co ludzie mówią o kwiecie paproci? Jak autor przedstawia Jacusia i jego szczęście? Porównaj Jacusia i jego szczęście z Jankiem i jego losem w § 138. A co myślisz o szczęściu Jacusia?
140. *Kiszka.* Dokończ tego opowiadania. Jakie mogło być trzecie życzenie staruszków? A w jaki sposób przedstawia tu autor cudowne moce? Porównaj pod tym względem §§ 139 i 140. Gdybys ty usłyszał podobny „głos z komina“, o jakiebyś rzeczy prosił?

141. *Boże dary.* Co powiesz o mocach cudownych w tem opowiadaniu? Jak one są przedstawione? Jaka zachodzi pod tym względem różnica między §§ 137, 140 i 141? Jakie to są te „dary niebieskie“? A jak ludzie je trwonią? Daj przykład z życia takiego trwonienia? Wymień wszystkie bliskoznaczniki wyrazu: *dar* i różnij ich znaczenie.
142. *Ucieczka do Egiptu.* Przypomnij sobie, co wiesz o ucieczce do Egiptu. Co tu jest wzięte z Pisma św., a co jest zmyślane? Które rośliny i zwierzęta wymienia ta legenda? Czy żyją one w krajach południowych? A gdzie żyją? Dlaczego je tu wymieniono? Jak tu wogóle przedstawiona jest przyroda? Czy przyroda taką jest wistocie? Podkreśl zdania ze zmienionym szykiem wyrazów.
143. *Msza wiejska.* Jak poeta przedstawia tu świątynię? A które wymienia szczegóły z obrządku Mszy świętej? Podkreśl porównania? Czy między temi porównaniami zachodzi jaki związek? Jeżeli tak, to jaki? Napisz wypracowanie p. t. „W polu wśród zboża“.
144. *Anioł Pański.* Podkreśl wykrzykniki. Co one oznaczają? Które wyrazy powtarzają się i poco? Jaka jest główna myśl tego wiersza? Jak poeta przedstawia przyrodę? Porównaj pod tym względem §§ 142 i 144. Czy wyrazy „Anioł Pański“ w obu wypadkach mieszczą w sobie to samo uczucie? Jeżeli nie, to na czem polega różnica.



TREŚĆ.

Cyfry z gwiazdką * oznaczają poezję.

Strona

Przedmowa	3
1* (1). Pieśń o domu. M. Konopnicka	5
2. Karmienie ptaków. St. Żeromski	6
3* (48). Dzwony w szkole. Wł. Syrokomla (L. Kondratowicz)	7
4 (4). Koledzy. B. Prus	9
5*. Przysłowia o dzieciach i wychowaniu	11
6 (6). Wyjazd do szkół. Ks. A. Jełowicki	11
7* (7). Dziecięce lata. L. Siemieński	14
8 (8). Artyści klasowi. W. Gomułicki	15
9* (9). Pod sosenki koroną. K. Gliński	20
10 (10). Chory nauczyciel. Z »Serca« Amicisa	21
11. Z »Katechizmu rycerskiego«. A. K. Czartoryski	23
12 (12). O chłopcu, co sypiał w trumnie. W. Gomułicki	23
13* (13). Mały świątek. T. Lenartowicz	30
14. Skazana. Eliza Orzeszkowa	31
15. Pożegnanie ze stajnią przed wyjazdem do szkoły. St. Żeromski	36
16 (16). Nasza szkap. M. Konopnicka	37
17* (17). Wrona miejska. A. Górecki	39
18 (18). Na lekcji gimnastyki. Według E. Amicisa	40
19* (19). W piwnicznej izbie. M. Konopnicka	42
20 (20). Mularczyk. Z »Serca Amicisa«	46
21 (21). M. Konopnicka	47
22* (22). Coby ci chciała dać. Nar. Żmichowska	50
23. Czeladnik krawiecki Panewka. B. Prus (»Sieroca dola«)	51
24* (11). Żebrak. A. Górecki	55
25. Urbanowa. M. Konopnicka	56
26* (26). Poranek mglisty. A. Mickiewicz	64
27 (27). Odpust na wsi. Wł. St. Reymont	65
28* (28). Obrazek sielski. K. Gliński	69
29. Stary sługa. H. Sienkiewicz	71
30* (60). Powój. S. Duchińska	78

Strona

31 (31). H. Sienkiewicz	79
32* (32). A gdy będą mnie chowali. Or-Ot	81
33 (33). Lirnik. Wincenty Pol	82
34*. Gęsiarka. L. Staff	85
35*. A grajże mi, fujareczko! J. Kasprówcz	86
36 (35). Papierucha. A. Świętochowski	86
37*. Do mojego grajka. T. Lenartowicz	88
38 (37). Na wakacjach. B. Prus	92
39* (38). Duch sieroty. T. Lenartowicz	95
40 (39). Jarmark. Wł. St. Reymont	96
41* (5). Grzybobranie. A. Mickiewicz	99
42. Leśniczówka. H. Sienkiewicz	101
43*. Pies i wilk. A. Mickiewicz	103
44*. Przysłowia o wilku	104
45*. Lis i kozieł. A. Mickiewicz	105
46*. Przysłowia o lisie	106
47* (44). Odjazd Wiesława. K. Brodziński	107
48* (46). Jesienią. L. Rydel	109
49. Do ziemi polskiej. M. Konopnicka	110
50* (56). Kościółek wiejski. Juliusz Słowacki	110
51 (99). Na plebanji. K. Tetmajer	111
52* (68). Siedzi ptaszek na drzewie. A. Asnyk	114
53*. Przepowiednie pogody	115
54*. Brona. L. Staff	115
55* (50). Huczy woda po kamieniach. A. Asnyk	116
56 (83). Kłaczka Basia. St. Żeromski	116
57 (115). Wieczór wigilijny na wsi. Wł. St. Reymont	118
58* (85). Orzeł i żoraw. Al. Fredro	120
59* (87). Polowanie na niedźwiedzia. A. Mickiewicz	121
60 (88). Niedźwiednik. K. W. Wójcicki	123
61* (89). Zając i niedźwiedź. Fr. Morawski	128
62 (90). Nietoperze. K. Wodzicki	129
63* (91). Polowanie z sokołami. Juliusz Słowacki	132
64 (92). Napad dzików. W. Pol	134
65* (30). Śniadanie myśliwskie. A. Mickiewicz	137
66. H. Sienkiewicz	139
67* (94). Pieśń żniwarska. K. Gaszyński	139
68 (95). Gniazdo słowicze. A. Dygasiński	140
69* (97). Pod lipą. J. Kochanowski	143
70 (98). Pożar lasu. K. Wodzicki	143
71*. Jagoda. T. Lenartowicz	145
72* (100). Zaścianek Dobrzyński. A. Mickiewicz	152

	Strona
73 (105). Żubry w Białowieży. H. Sienkiewicz	153
74*. Mazur. W. Pol	157
75 (107). Do puszczy białowieskiej. W. Sieroszewski	159
76* (108). Niemen. L. Kondratowicz	161
77 (110). Mgła poranna w górach. S. Goszczyński	161
78* (111). Pieśń góralska. J. Korzeniowski	163
79 (112). Taniec górali. St. Witkiewicz	164
80* (36). Dumka. B. Zaleski	165
81. Ukraina. M. Konopnicka	167
82* (16). Kozak w stepie. A. Malczewski	168
83* (114). Podole. W. Pol	169
84* (121). Bolesław Chrobry. J. U. Niemcewicz	171
85 (122). Koronacja króla Przemysława. J. Powalski	173
86* (123). Święta Kinga. J. Szujski	175
87 (93). Polowanie na tura w XV wieku. H. Sienkiewicz	179
88* (127). Królowa Jadwiga. W. Pol	181
89 (123). Matka królów. Według K. Szajnochy	182
90 (130). Pochód Jana Olbrachta na Bukowinę. Z. Kaczkowski	183
91* (131). Duch królowej Barbary. L. Rydel	186
92 (132). Niespodziewana obrona. J. I. Kraszewski	189
93* (133). Karliński. A. Pajgert	192
94* (137). Karol Chodkiewicz. J. U. Niemcewicz	194
95 (134). Po bitwie pod Korsuniem. H. Sienkiewicz	197
96 (124). H. Sienkiewicz	199
97* (135). Buława Rewery. M. Romanowski	201
98 (109). Procesja na wałach Jasnej Góry. H. Sienkiewicz	204
99* (139). Śmierć Czarnieckiego. A. Czajkowski	206
100 (86). Wydra króla Jana Sobieskiego. Jan Chryzostom Pasek	208
101 (142). Król w gościnie. Według Henryka hr. Rzewuskiego	212
102* (58). Gościnność polska. W. Pol	214
103 (29). Ig. Chodźko	216
104* (54). Polonez. A. Mickiewicz	219
105. Jasełka w Warszawie w 1794 r. Wł. St. Reymont	220
106* (155). Bartosz Głowacki. W. Pol	225
107 (143). Pokusa. K. Koźmian	227
108* (129). Pieśń żołnierza. Ern. Buława	229
109 (152). Bracia. Teresa Jadwiga	230
110* (149). Wąwóz Somosierry. M. Konopnicka	233
111 (147). Dwaj weterani. Fr. Morawski	234
112* (153). Napoleonista. L. Kondratowicz	235
113 (156). Napad na Belweder. A. Śliwiński	237
114*. Gospodyni. W. Pol	239

BROJDO

60

00224

11877

BR(

Br

Brojdo Mojżesz
- Zamordovaný
prez nazi'stů
v 1942 v

1914/125 Jalea ml27